

IAN MCEWAN

SOLAR

Tytuł oryginału: SOLAR

Z angielskiego przełożyła MAGDALENA SŁYSZ

Albatros



Polly Bide
1949 - 2003

*Harry dostrzega, że sprawia mu jakąś
przyjemność takie wybrakowanie świata.
„Królik czuje się bogaty, wiedząc, że ziemia jest
również śmiertelna”.*

John Updike, *Jesteś bogaty, Króliku*,
przekład Jerzego Leśniewskiego,
Phantom Press International, Gdańsk 1993

Część pierwsza
2000

Należał do tego typu mężczyzn - raczej mało atrakcyjnych, zazwyczaj łysych, niskich, otyłych, inteligentnych - którzy nie wiadomo dlaczego podobają się pewnym pięknym kobietom. A przynajmniej tak sądził i miało to moc sprawczą. Przy tym kobiety widziały w nim często geniusza, którym trzeba się zaopiekować. Michael Beard w tym czasie był już jednak człowiekiem o ograniczonych możliwościach umysłowych, monotematycznym, pozbawionym radości życia i zgnębionym. Jego piąte małżeństwo ulegało rozkładowi i powinien już wiedzieć, jak się zachować, jak na to patrzeć, jak podejść do kwestii winy. Czy małżeństwa, jego małżeństwa, nie były niczym fale, które cofają się, zanim nadpłyną nowe? To małżeństwo jednak różniło się od poprzednich. Nie wiedział, jak się zachować, spojrzenie z dystansu sprawiało mu ból i po raz pierwszy to nie on ponosił winę, a przynajmniej tak sądził. Tym razem to jego żona miała romans i zupełnie tego nie kryła, wręcz obnosiła się ze swoimi uczuciami, nie wykazując żadnych wyrzutów sumienia. Zdawał sobie sprawę, że wśród rozmaitych emocji odczuwa wstyd i tęsknotę. Patrice spotykała się z budowlańcem, ich budowlańcem, który remontował im dom, odnowił kuchnię, ułożył glazurę w łazience, tym samym przyciężkim facetem, który kiedyś podczas przerwy na herbatę pokazał Michaelowi zdjęcie swojego domu w stylu Tudorów, własnoręcznie odnowionego i wystylizowanego, z łodzią na przyczepie pod pseudo wiktoriańską latarnią i miejscem na betonowym podjeździe, gdzie zamierzał postawić starą czerwoną budkę telefoniczną. Beard ze zdziwieniem odkrywał, jak trudno jest być rogiaczem. Cierpienie to nie taka prosta sprawa. Nie mówiąc o tym, że w tym wieku miał już zmniejszoną odporność na nowe przeżycia.

Sam był sobie winien. Jego poprzednie cztery żony, Maisie, Ruth, Eleanor, Karen, które wciąż przejawiały zainteresowanie jego życiem, na pewno by triumfowały, miał jednak nadzieję, że się nie dowiedzą. Żadne z jego małżeństw nie przetrwało dłużej niż sześć lat i mógł poczytać sobie za sukces, że przynajmniej nie dorobił się dzieci. Jego żony dość szybko się orientowały, że byłby kiepskim, wręcz fatalnym ojcem, więc stosowały różne środki i uniknęły kłopotów. Lubił myśleć, że jeśli nawet którąś unieszczęśliwił, to nie na długo, a że pozostawał z nimi w dobrych stosunkach, też przecież o czymś świadczyło.

Ale z obecną żoną było inaczej. Przypuszczał, że kiedyś raczej byłby po męsku oburzony, jak ona śmiała, wpadłby we wściekłość, może by się upił i późnym wieczorem ryczał gdzieś na tyłach ogrodu, skasowałby jej samochód, poszukałby sobie młodszej kobiety, jak Samson zechciałby zburzyć świątynię małżeństwa. Tymczasem był wręcz porażony wstydem, stopniem swojego poniżenia. Co gorsza, jeszcze za nią tęsknił. Ostatnio tęsknota za Patrice dopadała go zupełnie znieca, jak skurcze żołądka. Siadał wtedy gdzieś w samotności i czekał, aż mu przejdzie. Być może istniał typ męża, którego podniecają wizje swojej żony z innymi mężczyznami. Taki facet dałby się związać, zakneblować i zamknąć w sypialnianej szafie, gdy jego druga połowa będzie to robić dziesięć stóp dalej. Czyżby Beard odkrył w sobie skłonność do seksualnego masochizmu? Bo żadna kobieta nigdy nie wydawała mu się tak godna pożądania jak obecna żona, którą niespodziewanie zaczął tracić. Demonstracyjnie wyjechał do Lizbony w odwiedziny do dawnej przyjaciółki, ale spędził tam tylko trzy smutne noce. Musiał odzyskać żonę, bo przecież nie potrafił wyrzucić jej z domu, krzyżeć ani miotać gróźb, urządzać w przyływie szaleństwa spektakularnych scen. Nie umiał też błagać, to nie leżało w jego naturze. Był jak sparalizowany, nieszczęśliwy, nie potrafił myśleć o niczym innym. Czy gdy po raz pierwszy zostawiła mu wiadomość: „Zostanę na noc u R. XX P”, pojechał pod ten à la tudorowski bliźniak z motorówką pod plandeką na podjeździe i wanną na małym podwórku, żeby rozbić facetowi łeb kluczem francuskim? Nie, przez pięć godzin oglądał telewizję; siedział w płaszczu i wypił dwie butelki wina, usiłując nie myśleć. Bez powodzenia.

Bo mógł tylko myśleć. Dowiedziawszy się o jego romansach, poprzednie żony urządzały mu sceny, z płaczem albo bez, domagały się rozmów, które trwały do białego rana, wylewały żale o zawiedzionym zaufaniu, a potem żądały separacji i tak dalej. Kiedy jednak Patrice przypadkiem natknęła się na e-maile od Suzanne Reuben, matematyczki z Uniwersytetu Humboldta z Berlina, wpadła wręcz w jakieś uniesienie. Jeszcze tego samego popołudnia przeniosła się do pokoju dla gości. Przeżył szok, gdy odsunął drzwi garderoby i zobaczył, że zabrała swoje rzeczy. Uświadomił sobie, że te rzędy jedwabnych i bawełnianych sukienek dawały mu poczucie komfortu i bezpieczeństwa, jakby stanowiły wcielenia jej samej, stojące w kolejce, żeby sprawić mu przyjemność. Ale to się skończyło. Zniknęły nawet wieszaki. Tego wieczora przy kolacji powiedziała mu z uśmiechem, że ona też chce mieć „wolność”, i w ciągu tygodnia nawiązała romans. Co miał robić? Przy którymś śniadaniu przeprosił ją, oświadczył, że to była tylko przygoda, nic dla niego nie znaczyła, złożył żarliwe obietnice i szczerze zamierzał się z nich wywiązać. Zniżyć się do błagań nie potrafił. Odparła, że to, co zrobił, nie ma dla niej znaczenia. Że sama też nie jest bez winy - i wtedy ujawniła

tożsamość swojego kochanka, budowlańca o złowieszczym nazwisku Rodney Tarpin, wyższego od niego o siedem cali i młodszego o dwadzieścia lat, który, jak się przechwalał, układając kafelki i fugując je u Beardów, czytywał tylko dział sportowy jakiegoś szmatławca.

Pierwszą oznaką cierpienia Bearda była dysmorfia czy może raczej nagle jej ustąpienie. Przynajmniej w końcu dowiedział się, kim jest. Zauważywszy po wyjściu spod prysznicia stożkowatą różową postać w zaparowanym dużym lustrze, przetarł szkło, stanął przed nim i spojrzał w nie z niedowierzaniem. Jakież to mechanizmy obronne pozwalały mu przez tyle lat wierzyć, że ktoś z takim wyglądem może być pociągający? Ta idiotyczna szopa włosów aż za uszy, maskująca łysinę, zwiotczała skóra na ramionach i pod pachami, pozornie niewinne fałdki na brzuchu i tyłku. Kiedyś potrafił poprawić swój lustrzany wizerunek, prostując plecy i ramiona, wciągając brzuch. Teraz uniemożliwiało mu to sadło. Jak długo mógł utrzymać przy sobie młodą kobietę, i to tak piękną jak ona? Czy naprawdę sądził, że sam status wystarczy, że pozycja noblisty pozwoli mu zatrzymać ją w łóżku? Nagi nie miał szans, był kompromitacją, dupkiem, słabeuszem. Nie mógł zrobić nawet ośmiu pompek. Podczas gdy Tarpin potrafił wbiec po schodach do sypialni Beardów ze stufuntowym workiem cementu pod pachą. Sto funtów? Tyle mniej więcej ważyła Patrice.

Trzymała go na dystans tą swoją niszczącą pogodą ducha. Odbierał ją jako dodatkową obelgę - to wesołe „dzień dobry”, poranne rozmowy o sprawach domowych i jej planach na wieczór; wszystko to nie miałooby jednak znaczenia, gdyby potrafił obudzić w sobie pogardę dla niej albo po prostu zdecydował się z nią rozstać. Wtedy mogliby szybko i nieprzyjemnie zakończyć swoje pięcioletnie bezdzietne małżeństwo. Oczywiście próbowała go ukarać, ale kiedy jej to zarzucił, wzruszyła ramionami i odparła, że to samo mogłaby powiedzieć o nim. Oświadczył, że tylko czekała na taką okazję, a wtedy się zaśmiała i odrzekła, że w takim razie jest mu wdzięczna.

Wśród tych urojeń, gdy bał się, że ją straci, zrodziło się w nim przekonanie, że wreszcie znalazł idealną żonę. Tego lata, w 2000 roku, ubierała się inaczej, inaczej chodziła po domu - nosiła obcisłe sprane dzinsy, klapki japonki, powyciągany różowy sweter i T-shirt, obcięła na krótko swoje blond włosy, jasnoniebieskie oczy miały głębszy, żywszy odcień. Była drobnej budowy i można było ją wziąć za nastolatkę. Widząc puste błyszczące torebki firmowe i bibułę, które znajdował na stole, bo zdaje się, że specjalnie je tam zostawiała, domyślał się, że kupowała sobie nową bieliznę, którą Tarpin miał z niej zdejmować. Skończyła trzydzieści cztery lata i zachowała porcelanową cerę dwudziestolatki. Nie drażniła się z nim, nie flirtowała z nikim ani nie prowokowała go, za to wciąż demonstrowała całkowitą obojętność, którą zamierzała go wykończyć.

Musiał przestać jej pragnąć, ale było to pragnienie innego rodzaju - bo chciał jej chcieć. Którejś parnej nocy leżał odkryty na łóżku i próbował uwolnić się od niej poprzez masturbację. Przeszkadzało mu to, że swoje genitalia może zobaczyć, dopiero gdy oprze głowę na dwóch poduszkach, fantazje stale zakłócała mu osoba Tarpina, który jak niczego nieświadomy rekwizytor włąził na scenę z drabiną i wiadrem. Czy był na tej planecie jeszcze jeden mężczyzna, który w tej chwili próbował się spuścić, myśląc o swojej własnej żonie, leżącej zaledwie trzydzieści stóp dalej, po drugiej stronie schodów? Ta refleksja już zupełnie zniweczyła jego wysiłki. I było za gorąco.

Przyjaciele mówili mu, że Patrice jest podobna do Marilyn Monroe, a przynajmniej pod pewnym kątem i w pewnym świetle. Przyjmował tę schlebającą mu teorię, ale nigdy tak naprawdę nie dostrzegł żadnego podobieństwa. A teraz dostrzegł. Zmieniła się. Jej dolna warga stała się jakby pełniejsza - zapowiedź kłopotów, gdy opuszczała wzrok, a ścięte włosy wiły się na karku w urzekający, staroświecki sposób. Była jeszcze piękniejsza niż Marilyn Monroe, gdy tak krzątała się w weekendy po domu i ogrodzie, blondwłosa, w różu i jasnym błękicie. Na co mu przyszło - w tym wieku dać się uwieść takiemu infantylnemu zestawieniu kolorów.

W lipcu skończył pięćdziesiąt trzy lata i oczywiście zignorowała jego urodziny, a trzy dni później w swoim nowym stylu zaczęła udawać, że sobie o nich przypomniła. Podarowała mu krawat śledź w jaskrawym kolorze mięty, mówiąc, że „wraca” na nie moda. Tak, weekendy były najgorsze. Wchodziła do pokoju, w którym akurat siedział, nie żeby miała ochotę na rozmowę, ale może po to, by ją zobaczył, a potem rozglądała się z lekkim zdziwieniem i wychodziła. Jakby na wszystko, nie tylko na niego, patrzyła już inaczej, świeżym okiem. Widział ją na tyłach ogrodu, pod kasztanowcem, jak leżała na trawie z gazetami, czekając w głębokim cieniu, aż nadejdzie wieczór. Wtedy szła do pokoju gościnnego, brała prysznic, ubierała się, malowała i perfumowała. Jakby czytając w jego myślach, grubo pociągała usta czerwoną szminką. Może Rodney Tarpin też chciał widzieć w niej Marilyn Monroe - i ten banał zaczął Bearda prześladować.

Jeśli był w domu, gdy wychodziła - bo starał się zniknąć wieczorami - nie mógł się oprzeć pokusie, żeby podrażnić jeszcze bardziej swój ból i tęsknotę. Patrzył z okna na górze, jak Patrice wychodzi w mrok Belsize Park i idzie ogrodową ścieżką - jakież to nielojalne ze strony nienaoliwionej bramy, że skrzypi tak samo jak dawniej - a potem wsiada do samochodu, małego kapryśnego czarnego peugeota o całkiem niezłym przyspieszeniu. Dodawała gazu, gdy tylko zjechała z krawężnika, tak się jej spieszyło, i to jeszcze pogłębiało jego *douleur*, bo wiedział, że była świadoma jego wzroku. Później jej nieobecność unosiła się

w wieczornym powietrzu jak dym z ogniska w ogrodzie, erotyczny ładunek niewidzialnych cząstek stałych, pod wpływem którego zupełnie bez sensu stał przy oknie jeszcze kilka minut. Nie wariował, mówił sobie, tylko poznawał smak goryczy.

Niepokoilo go to, że nie był w stanie myśleć o niczym innym. Czytając książkę, rozmawiając z kimś, tak naprawdę myślał o niej czy też o niej i Tarpinie. Nie powinien zostawać w domu, gdy wychodziła na schadzke z kochankiem, ale od czasu Lizbony nie miał ochoty na spotkania z dawnymi przyjaciółkami. Zamiast tego podjął się serii wieczornych wykładów z kwantowej teorii pola w Royal Geographical Society, brał udział w dyskusjach radiowych i telewizyjnych, i od czasu do czasu chodził na imprezy dobroczynne na rzecz chorych kolegów. Choć filozofowie nauki głosili co innego, fizyka jego zdaniem była pozbawiona czynnika ludzkiego, opisywała świat, który mógłby istnieć bez ludzi, kobiet i mężczyzn, i związanych z nimi problemów. Pod tym względem zgadzał się z Albertem Einsteinem.

Ale nawet gdy wybierał się na kolację z przyjaciółmi, zwykle wracał do domu przed nią i musiał czekać, czy tego chciał, czy nie, na jej powrót, choć w niczym nie zmieniał jego sytuacji. Szła od razu do swojego pokoju, a on pozostawał w swoim, bo nie chciał widzieć jej na schodach w stanie postkoitalnej senności. Było już chyba lepiej, gdy zostawała u Tarpina do rana. Chyba - bo zwykle kosztowało go to bezsenność.

Pewnej nocy pod koniec lipca, o drugiej, gdy leżał w szlafroku na łóżku i słuchał radia, zorientował się, że wróciła, i natychmiast, bez namysłu, odegrał scenę, która miała wzbudzić w niej zazdrość, niepewność i pragnienie powrotu do niego. W BBC World Service jakaś kobieta opowiadała o wpływie prawa zwyczajowego na życie rodzinne tureckich Kurdów - była to usypiająca tyrada o okrucieństwach, niesprawiedliwości i absurdzie. Ściszywszy dźwięk, z dłonią na gałce u drzwi Beard zaczął głośno recytować fragment dziecięcego wierszyka. Pomyślał, że Patrice usłyszy w swoim pokoju jego głos, choć nie będzie rozumiała słów. Skończył zdanie i na kilka sekund pogłośnił wypowiedź kobiety, którą przerwał, wygłaszając linijkę ze swojego wykładu, a potem znowu podkręcił głos z radia. Robił tak przez pięć minut - najpierw jego głos, potem głos kobiety, czasami zręcznie nakładające się na siebie. W domu oczywiście panowała cisza, Patrice musiała słyszeć. Poszedł więc do łazienki, odkręcił kurek, spuścił wodę w toalecie i zaśmiał się głośno. Niech Patrice wie, że jej mąż ma dowcipną kochankę. Potem wydał stłumiony wesoły okrzyk. Niech Patrice wie, że świetnie się bawią.

Niewiele spał tej nocy. O czwartej, po dłuższej ciszy sugerującej chwilę wytchnienia, wspólny intymny sen, otworzył drzwi swojego pokoju, mrucząc przy tym, i zszedł po

schodach tyłem, pochylając się i uderzając dłońmi o stopnie w rytm własnych kroków, tak jakby ktoś schodził razem z nim. Był to tego rodzaju logiczny plan, który mógł wymyślić tylko wariat. Odprowadził swoją towarzyszkę do wyjścia, pożegnał się z nią pomiędzy jednym pocałunkiem a drugim i zamknął drzwi z głośnym trzaśnięciem, które poniosło się echem po domu, a następnie wrócił na górę. Po szóstej w końcu przysnął, powtarzając sobie pod nosem: „Sądzcie mnie po efektach”. Godzinę później zerwał się z łóżka, aby przypadkiem Patrice nie wyszła do pracy, nie natknąwszy się na niego, a chciał, żeby zobaczyła, jaki ma świetny humor.

Przystanąła przy drzwiach frontowych, z kluczami w ręku i pełną książek torbą, której pasek wpijał się jej w ramię pod bluzką w kwiaty. Nie było co do tego wątpliwości: wyglądała na zdruzgotaną, wykończoną, choć głos miała rażny jak zwykle. Poinformowała go, że zaprosiła Rodneya na kolację ze śniadaniem, więc byłaby wdzięczna, gdyby on, Michael, trzymał się wieczorem z dala od kuchni.

Akurat tego dnia miał pojechać do ośrodka w Reading. Nieprzytomny z niewyspania na początku tępo obserwował przez brudne okno pociągu przedmieścia Londynu, to cudowne połączenie chaosu i szarzyzny, i przeklinał własną głupotę. Teraz na niego przyjdzie kolej, żeby nasłuchiwać głosów zza ściany? Wykluczone, nie wróci do domu. Ale miałyby się usuwać z powodu kochanka żony? Nie ma mowy, zostanie i stawi mu czoło. I co? Stanie do walki z takim Tarpinem? Co to, to nie, zostałby wdeptany w podłogę. Nie mógł podjąć decyzji ani wymyślić żadnego planu; uznał więc, że od tej pory musi brać pod uwagę swój stan psychiczny i działać rozsądnie, zachowywać się spokojnie, naturalnie, przestrzegać zasad, nie przeginać.

Kilka miesięcy później miał złamać wszystkie te postanowienia i już pod koniec dnia poszły one w niepamięć, ponieważ Patrice wróciła do domu bez zakupów (lodówka była pusta), a budowlaniec w ogóle nie przyszedł na kolację. Wieczorem widział Patrice tylko raz, jak przechodziła przez hol z kubkiem herbaty w ręce; przygarbiona i poszarzała, wyglądała nie tyle na ikonę filmu, ile na przepracowaną nauczycielkę szkoły podstawowej, której życie prywatne legło w gruzach. Czyżby niesłusznie robił sobie wyrzuty w pociągu, jego plan wypalił i Patrice, zboleła, odwołała kolację?

Wracając myślami do minionej nocy, uznał za nadzwyczajne, że po tylu zdradach w życiu przygoda z wyimaginowaną kochanką wydawała mu się taka ekscytująca. Po raz pierwszy od wielu tygodni poczuł lekką wesołość, nawet pogwizdywał sobie, odgrzewając w mikrofalówce kolację, a kiedy spojrzął na siebie w lustrze à la Ludwik IV w garderobie na dole, pomyślał, że twarz mu trochę wyszczuplała i nabrała wyrazu, z tym zarysem kości

policzkowych, że w świetle trzydziestowatowej żarówki wygląda szlachetnie, być może jest to efekt słodkiego napoju jogurtowego, który wmuszał w siebie każdego rana, żeby obniżyć poziom cholesterolu. Położywszy się do łóżka, wyłączył radio i czekał przy przygaszonym świetle na jej pełne skruchy pukanie do drzwi.

Nie doczekał się, ale nie był tym przybity. Niech przez noc zastanowi się nad swoim życiem i, co ważniejsze, porówna ich obu: Tarpina, te jego stwardniałe dłonie i motorówkę pod plandeką, z nim, eterycznym naukowcem światowej sławy. Z tego, co się zorientował, pięć następnych wieczorów spędziła w domu, podczas gdy on wygłaszał wykłady, chodził na spotkania i kolacje. Kiedy pojawiał się z powrotem, przeważnie po północy, miał nadzieję, że jego pewne kroki brzmią w ciemnym domu jak kroki mężczyzny wracającego z łózkowej randki.

Szóstego wieczora mógł zostać w domu, ale tym razem ona wyszła, spędziwszy więcej niż zwykle czasu pod prysznicem i dłużej susząc włosy. Ze swojego miejsca przy małym okienku we wnęce na półpiętrze patrzył, jak Patrice idzie ścieżką, a potem przystaje przy wysokiej kępie cynobrowych malw, przystaje, jakby nie chciała odejść, i wyciąga rękę, żeby przyciągnąć do siebie kwiat. Zerwała go, ujęła w dwa palce ze świeżo polakierowanymi paznokciami, trzymała przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiała, a potem rzuciła pod nogi. Letnia sukienka, którą miała na sobie, z beżowego jedwabiu, bez rękawów, z pojedynczą fałdą u dołu pleców, była nowa, widział ją pierwszy raz - i nie wiedział, jak to interpretować. Ruszyła dalej do bramy i pomyślał, że idzie cięższym krokiem, a przynajmniej nie tak radośnie jak zazwyczaj, ale odjechała swoim peugeotem, jak zwykle energicznie wciskając gaz.

Gdy czekał na jej powrót tego wieczora, nie był już taki zadowolony; znowu przestał ufać swojej ocenie, zaczął nabierać przekonania, że jednak miał rację, że numer z radiem go pograżył. Żeby przemyśleć sprawy, nalał sobie szkockiej i obejrzał mecz piłkarski. Zamiast kolacji zjadł litr lodów truskawkowych i funt pistacji, które wcześniej wyłuskał. Był niespokojny, odczuwał niesprecyzowany głód seksualny i doszedł do wniosku, że mógłby wdać się w jakiś prawdziwy romans albo przynajmniej odnowić stary. Przez jakiś czas wertował notes z adresami, dłuższą chwilę wpatrywał się w telefon, ale nie wziął słuchawki do ręki.

Wypił pół butelki i przed jedenastą zasnął w ubraniu na łóżku, przy włączonym świetle nad głową. Kilka godzin później, gdy obudził go jakiś głos na dole, przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Zegar na szafce nocnej pokazywał wpół do trzeciej. Patrice rozmawiała z Tarpinem i Beard, ośmielony wypitym alkoholem, postanowił zamienić z nim słówko. Stał

półprzytomnie na środku pokoju, chwiejąc się trochę, gdy upychał koszulę w spodnie. Po cichu otworzył drzwi. Światła w całym domu były zapalone, ale to mu nie przeszkadzało, schodził już po schodach, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Patrice wciąż coś mówiła, a gdy przechodził przez hol w stronę otwartych drzwi do salonu, odniósł wrażenie, że słyszy jej śmiech albo śpiew i pomyślał, że zaraz przerwie tę imprezę.

Ale była sama i płakała; siedziała zgarbiona na kanapie, a po obu stronach długiego stolika do kawy ze szklanym blatem leżały jej buty. Wydawała nieznanym mu, stłumionym, zawodzącym dźwiękiem. Jeśli kiedykolwiek płakała tak z jego powodu, musiało go przy tym nie być. Zatrzymał się w progu i początkowo go nie zauważyła. Była prawdziwym obrazem nieszczęścia. W dłoni ścisnęła chusteczkę, płócienną albo papierową, szczupłe ramiona miała skulone i tak się trzęsła, że Bearda ogarnęła litość. Miał okazję odegrać rolę pocieszyciela, wystarczyło tylko, żeby dotknął jej delikatnie, powiedział kilka czułych słów, nie zadając żadnych pytań, a padłaby mu w ramiona i mógłby zanieść ją na górę - choć nawet w tym nagłym przypływie serdeczności wiedział, że nie zdołałby jej udźwignąć.

Gdy zrobił krok, żeby do niej podejść, zatrzeszczała klepka podłogowa i Patrice uniosła wzrok. Spojrzeli sobie w oczy, ale tylko przez moment, bo odwracając się, zasłoniła dłońmi twarz. Wypowiedział jej imię, a ona pokręciła głową. Wstała niezgrabnie, odwrócona do niego plecami, i przechodząc przez pokój jakby bokiem, potknęła się na skórze niedźwiedzia polarnego, która ślizgała się na wypastowanej drewnianej podłodze. Kiedyś sam omal nie złamał sobie na niej nogi i od tego czasu jej nie znosił. Nie cierpiał też wrednej, otwartej paszczy niedźwiedzia i wyszczerzonych zębów, które pozółkły pod wpływem światła. Nie przybili dywanika do podłogi ani nie umocowali w żaden inny sposób, a nie mogli go wyrzucić, bo był prezentem ślubnym od jej ojca. Utrzymała jednak równowagę, przypomniała sobie, żeby zabrać buty, i zasłaniając wolną ręką oczy, minęła go pospiesznie, a gdy wyciągnął rękę, żeby złapać ją za ramię, skrzywiła się i znowu zaczęła płakać, tym razem już nie kryjąc się z tym, po czym wbiegła po schodach.

Wyłączył światła w pokoju i położył się na kanapie. Nie było sensu za nią iść, skoro tego nie chciała, zresztą i tak już nie miało to znaczenia, bo zobaczył, co miał zobaczyć. Nie zdążyła zasłonić stłuczenia tuż pod prawym okiem; obejmowało policzek, z koloru czarnego przechodziło na brzegach w jaskrawą czerwień i sięgało opuchlizną dolnej powieki, tak że pewnie niewiele widziała. Głośno westchnął z rezygnacją. To było nieuniknione, wiedział, co powinien zrobić, wsiąść czym prędzej do samochodu i pojechać do Crickwood, nacisnąć dzwonek i wyciągnąć Tarpina z łóżka, wywlec go z domu, pod tę latarnię od powozu, i zaskoczyć znieawidzonego rywala szybkością i precyzją ciosów. Mrużąc oczy,

przeanalizował to jeszcze raz, dopracował szczegóły prawego prostego, którym przetrąca Tarpinowi nos, a potem, z drobnymi poprawkami, przy zamkniętych powiekach odtworzył całą scenę od nowa i nawet nie drgnął, aż do rana, kiedy obudziło go trzaśnięcie drzwi i Patrice wyszła do pracy.

*

Zajmował honorowe stanowisko na uniwersytecie w Genewie, ale nie prowadził tam zajęć, jego tytuł i nazwisko, profesor Beard, laureat Nagrody Nobla, widniało w nagłówkach papierów firmowych i w wykazach patronów naukowych różnych instytutów; podpisywał się pod międzynarodowymi „projektami”, zasiadał w fundacji wspierania nauki Royal Commission; przystępnym językiem wypowiadał się w radiu o Einsteinie, fotonach czy mechanice kwantowej, pomagał przydzielać stypendia, był konsultantem w redakcjach trzech czasopism specjalistycznych, pisywał wnikliwe recenzje i referencje, interesował się plotkami, polityką naukową, obsadą stanowisk, specjalnymi prośbami o wsparcie, niepokojącymi przejawami nacjonalizmu, pozyskiwaniem od niedouczonej ministrów i biurokratów olbrzymich sum na kolejny akcelerator cząstek czy miejsce do testowania urządzeń w nowym satelicie, zabierał głos na wielkich kongresach w USA - jedenaście tysięcy fizyków w jednym miejscu! - wysłuchiwał sprawozdań z badań naukowych doktorantów, wygłaszał cykle wykładów, z minimalnymi wariacjami, na temat obliczeń potwierdzających słusność połączonej teorii Bearda-Einsteina, która przyniosła mu Nobla, samodzielnie przyznawał nagrody i medale, przyjmował tytuły honorowe i występował na oficjalnych kolacjach z mowami pochwalnymi na cześć przechodzących na emeryturę czy grzebanych właśnie kolegów. W tym zamkniętym specjalistycznym świecie był, dzięki uprzejmości Sztokholmu, sławą i brylował w nim z roku na rok, lekko już sam sobą znużony i pozbawiony alternatywy. Źródłem podnieć i ewentualnych niespodzianek było dla niego życie prywatne. Może to miało mu wystarczyć, może osiągnął wszystko, co się dało, tamtego wspaniałego lata w młodości. Jedno było pewne; minęły dwie dekady od czasu, gdy godzinami siedział w ciszy, samotnie, z ołówkiem i blokiem kartek w ręku, i myślał, tworzył jakąś hipotezę, rozwijał ją, badał, dopasowywał. Chyba zabrakło okazji - nie, to była kiepska wymówka. Brakowało mu woli, materiału, tej iskry. Nowych pomysłów.

Ale pod Reading, tuż przy głośnym odcinku autostrady prowadzącym na wschód, po nawietrznej zakładów piwowarskich, powstała nowa rządowa placówka naukowa. Ośrodek miał przypominać National Renewable Energy Laboratory w Golden w Kolorado pod Denver i osiągać podobne cele, ale nie dysponował takim arealem ani funduszami. Jego szefem został

Michael Beard, choć robotę odwał za niego wyższy urzędnik służby cywilnej Jock Braby. Budynki administracji, których część ścian działowych zawierała azbest, nie były nowe, podobnie jak laboratoria służące niegdyś do testowania trujących materiałów dla budownictwa. Nowe było natomiast ogrodzenie z drutu kolczastego, wysokie na trzy metry, z betonowymi słupami i regularnie rozmieszczonymi zakazami wstępu, którym otoczono teren National Centre for Renewable Energy bez zgody Bearda i Braby'ego. Pochłonął on, jak niebawem odkryli, siedemdziesiąt procent rocznego budżetu placówki. Podmokłą działkę liczącą dwadzieścia akrów zakupiono od miejscowego farmera, ale prace nad osuszeniem jej były dopiero w planach.

Beard wcale nie podchodził sceptycznie do kwestii zmiany klimatu. Był to jeden z tematów, ewentualnych zagrożeń, które stale przewijały się w wiadomościach, i owszem, czytał o tym, ubolewał nad tą sprawą i oczekiwał, że rząd sprosta wyzwaniu i przedsięwzięcie jakiegoś kroki. I oczywiście Beard wiedział, że cząsteczka dwutlenku węgla pochłania energię w podczerwieni i że ludzkość emituje te cząsteczki do atmosfery w znaczących ilościach. Miał jednak inne sprawy na głowie. Nie robiły więc na nim specjalnego wrażenia pełne niepokoju komentarze, że światu grozi „niebezpieczeństwo”, że rodzaj ludzki zmierza ku zagładzie, bo miasta na wybrzeżach znikną pod wodą, uprawy zostaną zniszczone i setki milionów uchodźców będą przepływać z jednego kraju czy jednego kontynentu na drugi, w ucieczce przed suszami, powodzią, klęskami głodu, huraganami, nieustannymi wojnami o malejące zasoby naturalne. W tych ostrzeżeniach pobrzmiewały słowa Starego Testamentu, jak o zarazach i deszczach żab, złowróżbne zapowiedzi sugerujące, że świat stacza się po równi pochyłej, powtarzane zresztą od wieków, aby człowiek uwierzył, że żyje u schyłku świata, że jego własna śmierć jest w sposób nieunikniony związana z zagładą planety i dlatego ma większy sens albo niewiele mniejszy od niej. Koniec świata nigdy nie miał nastąpić w teraźniejszości, bo wtedy wiadomo by było, że to czysta fantazja, lecz już niedługo, w niedalekiej przyszłości, a gdy nie następował, niebawem pojawiał się nowe zagrożenie i nowa data. Stary świat oczyszczał się dzięki kolejnym wezwaniom do przemocy, obmywał krwią tych, których nie dało się uratować, jak w wypadku chrześcijańskich sekt milenijnych - śmierć niewiernym! Albo radzieckich komunistów - śmierć kułakom! Albo też nazistów i ich tysiącletniemu marzeniu - śmierć Żydom! Czy wreszcie ich naprawdę demokratycznemu współczesnemu odpowiednikowi, powszechnej, światowej wojnie nuklearnej - śmierć wszystkim! Ponieważ ta nie nastąpiła, a imperium radzieckie zżarły wewnętrzne konflikty, to pod nieobecność innych poważniejszych trosk poza nudną, powszechną i nieustającą biedą z apokaliptycznych tendencji zrodziła się kolejna bestia.

Mimo to Beard stale rozglądał się za jakąś oficjalną funkcją, która wiązałaby się ze stypendium. Stracił ostatnio kilka wieloletnich synekur, bo termin ich sprawowania dobiegł końca, a pensja uniwersytecka, honoraria z wykładów i wystąpień telewizyjnych nigdy mu nie wystarczały. Na szczęście, pod koniec stulecia, rząd Blaira zapragnął, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie, zaangażować się praktycznie, a nie tylko teoretycznie, w walkę ze zmianami klimatycznymi i wcielił w życie wiele projektów, do których należało także powołanie ośrodka, instytucji prowadzącej podstawowe nadania naukowe, akurat na potrzeby śmiertelnika z głową posypaną czarodziejskim pyłem sztokholmskim. Na szczeblu politycznym powołano więc nowego ministra, ambitnego mieszkańca Manchesteru o lekkich skłonnościach populistycznych, szczycącego się przemysłowymi dokonaniem swojego rodzinnego miasta. Minister ów oświadczył na konferencji prasowej, że zamierza wykorzystać „geniusz” Brytyjczyków, zapraszając ich do prezentacji własnych pomysłów na czystą energię. Obiecał przed kamerami, że odpowie na każdy list. I zespół Braby'ego - kilku słabo wynagradzanych fizyków z doktoratami, rezydujących w czterech barakach w morzu błota - w ciągu sześciu tygodni otrzymał setki propozycji. Większość z nich pochodziła od samotników pracujących w szopach ogrodowych, a kilka - od początkujących firm z symbolami skrzydeł w logo i „zgłoszonymi wnioskami patentowymi” na koncie.

Zimą 1999 roku podczas cotygodniowych wizyt w ośrodku Beard przeglądał stosy papierów piętrzących się na prowizorycznym stole. W tym zalewie fantastycznych wizji wyraźnie powtarzały się pewne motywy. Niektórzy proponowali wykorzystanie wody jako paliwa samochodowego z recyklingiem emisji - czyli pary wodnej; inni przedstawiali kolejne wersje silnika elektrycznego albo generatora, który wytwarzałby więcej mocy, niż pobierał, i wykorzystywał energię próżni - prawdopodobnie pozyskiwaną z pustej przestrzeni - albo czegoś innego, co według Bearda musiałoby być sprzeczne z prawem Lenza. Wszystko to były warianty perpetuum mobile. Wydawało się, że ci wynalazcy samoucy w ogóle nie znają długiej historii takich urządzeń i nie mają świadomości, że gdyby działały, podważyłyby podstawy całej współczesnej fizyki. Wszyscy oni rozbijali się o pierwszą i drugą zasadę termodynamiki, barierę z litego ołowiu. Jeden z młodych doktorów zgłosił pomysł, żeby sortować propozycje według tego, którą zasadę gwałciły, pierwszą, drugą albo obie naraz.

Przewijał się też inny motyw. W niektórych kopertach nie było schematów, tylko list, czasami pół-, a czasami dziesięciostronicowy. Autor z żalem informował - zawsze był to mężczyzna - że nie może ujawniać szczegółów, bo ogólnie wiadomo, że agencje rządowe obawiają się, nie bez powodu, nowego rodzaju energii wytwarzanej przez jego urządzenie, bo państwo straciłoby pokaźny dochód z podatków. Albo że siły zbrojne przechwycą pomysł,

otoczą go tajemnicą, a potem wykorzystają na własny użytek. Albo że wytwórcy energii konwencjonalnej wyślą zbirów, którzy zrobią z wynalazcy mokrą plamę, żeby utrzymać prymat w tym biznesie. Albo że ktoś ukradnie jego pomysł i zbije na nim fortunę. Było już mnóstwo takich przypadków, mógłby dodać autor listu. Dlatego powołana osoba z ośrodka, bez asysty, może je obejrzyć w pewnym miejscu, ale tylko przy udziale pośredników.

W baraku numer 2 na stole, który składał się z pięciu desek na kozłach, spoczęło więc sześć tysięcy listów i wydrukowanych e-maili, posegregowanych według dat. Żeby pan minister nie stracił twarzy, na wszystkie trzeba było odpowiedzieć. Braby, zgarbiony facet o wydatnej szczęce, wściekał się z powodu takiej straty czasu. Wściekał się, ale nic nie mógł na to poradzić. Beard był zdania, że należy przesłać listy do odpowiedniego wydziału ministerstwa w Londynie wraz z kilkoma przykładami odpowiedzi. Ale Braby liczył na tytuł szlachecki - pani Braby bardzo na tym zależało - i wiedział, że sprzeciw wobec decyzji ministra, podobno blisko związanego z premierem, przekreśliłby jego szanse na otrzymanie go. Doktorzy zabrali się więc do roboty i prace nad głównym projektem ośrodka - generatorem wiatrowym do instalacji na dachach - opóźniły się o całe miesiące.

Beard, choć jeszcze nie szukał ucieczki od swojego dogorywającego piątego małżeństwa, miał sporo czasu na studiowanie propozycji „geniuszy”, jak nazywali ich doktorzy. Fascynowała go duszna atmosfera obsesji, paranoi, bezsenności, a przede wszystkim smutku, jaka emanowała z wszystkich listów. Czyżby odnajdował samego siebie w tych stosach kartek - zastanawiał się - jakiegoś innego Michaela Bearda, który z powodu alkoholu, seksu, prochów albo zwykłego pecha nie zdobył formalnego wykształcenia w dziedzinie fizyki i matematyki? Pozbawiony przygotowania, ale lubi myśleć, kombinować, chce dać coś z siebie. Niektórzy z tych ludzi byli naprawdę inteligentni, jednakże wiedzeni wygórowanymi ambicjami, próbowali jeszcze raz wynaleźć koło, następnie, sto dwadzieścia lat po Nikoli Tesli, silnik indukcyjny, potem z entuzjazmem zgłębiali kwantową teorię pola, żeby w końcu znaleźć własne ezoteryczne paliwo, tuż pod nosem, w pustych przestrzeniach swoich szop lub skromnych sypialni - energię punktu zerowego.

Mechanika kwantowa. Co za skarbnica, wysypisko ludzkich aspiracji, pogranicze, gdzie matematyka przeczy zdrowemu rozsądkowi, a rozum i fantazja splatają się z sobą irracjonalnie. Ci, którzy mają skłonność do mistycyzmu, znajdują tu to, czego szukają, i będą twierdzić, że zdobyli dowody naukowe. A jeśli chodzi o nawiedzonych geniuszy, którzy nie mają co robić, jakaż to musi być muzyka dla ich uszu, piękna, niesamowita - asymetria widmowa, rezonanse, splątanie, kwantowe oscylatory harmoniczne - urzekające starożytne motywy, harmonia sfer, która może przemienić osłonę ołowianą w złoto i umożliwić budowę

silnika napędzanego dosłownie niczym, wirtualnymi cząstkami, które nie wyrządzają żadnych szkód i nie tylko będą służyć ludzkości, ale wręcz ją ocalą. Beard był poruszony marzeniami tych samotnych ludzi. A dlaczego sądził, że są samotni? Nie dlatego, że odnosił się do nich protekcjonalnie - przynajmniej nie tylko. Bo wiedzieli za mało, a jednocześnie za dużo, żeby mieć z kim rozmawiać. Jaki kumpel czekający w pubie czy w British Legion albo jaka zabiegana żona, pracująca zawodowo, zajmująca się dziećmi i domem, chcieliby towarzyszyć im w podróży przez zakrzywione tunele w kontinuum czasoprzestrzennym, te skrót do jedynego, ostatecznego rozwiązania globalnego problemu energii?

Beard, zainspirowany przez amerykański urząd patentowy, opracował odpowiedź, w której radził wszystkim geniuszom, żeby stworzyli modele swoich perpetuum mobile czy urządzeń mających sprawność większą od jedności. Choć żaden taki model nie mógł powstać. Mimo to, mając na względzie własne ambicje, Beard obserwował uważnie podwładnych, którzy przedzierali się przez stosy propozycji. Na każdy list musieli odpowiadać indywidualnie, poważnie, uprzejmie. Na stole jednak nie znalazło się nic nowatorskiego, a w każdym razie nic, co mogłoby się na coś przydać. Genialny samotny wynalazca był fantazją, wytworem kultury masowej - i wymysłem ministra.

W otępiająco wolnym tempie ośrodek jednak zaczął przybierać postać. Na błocie spoczęły schodnie - duży krok naprzód - potem wyrównano i obsiano teren, latem pojawiły się na nim trawniki ze ścieżkami i po jakimś czasie miejsce to zaczęło przypominać wszystkie inne nudne instytuty na świecie. Wyposażono laboratoria i w końcu wywieziono baraki. Przylegające do ośrodka pole osuszono, położono fundamenty i rozpoczęto budowę. Zatrudniono następną grupę pracowników - dozorców, sprzątaczy, administratorów, konserwatorów, a nawet naukowców, i powołano dział personalny, żeby znajdował takich ludzi. Po osiągnięciu masy krytycznej otworzono bufet. A w małym ceglany domku za bramą z barierką w biało-czerwone pasy zaczęło rezydować kilkunastu strażników w granatowych uniformach, którzy żartowali sobie we własnym gronie, ale wobec prawie wszystkich innych demonstrowali powagę i zachowywali się tak, jakby uważali, że to miejsce należy do nich, a cała reszta to intruzi.

Przez ten czas żaden z sześciu doktorów nie przeszedł do lepiej płatnej pracy w Caltechu czy MIT. W dziedzinie, w której roilo się od cudownych dzieci, ich życiorysy były wyjątkowe. Przez długi czas Beard, który zawsze miał trudności z zapamiętywaniem twarzy, zwłaszcza męskich, nie potrafił albo nie chciał ich rozróżniać. Liczyli sobie od dwudziestu sześciu do dwudziestu ośmiu lat i wszyscy mieli ponad sześć stóp wzrostu. Spinali włosy w kucyk, czterech nosiło identyczne okulary bez oprawek, trzech - bransoletki z kolorowych

sznurków, dwaj mieli na imię Mike, dwaj mówili ze szkockim akcentem, a wszyscy chodzili w spranych dżinsach, adidasach i sportowych bluzach. Znacznie wygodniej było traktować ich jednakowo, z pewną rezerwą, jakby byli jednym ciałem. Po co urażać jednego Mike'a, podejmując rozmowę, którą być może prowadziło się z drugim, czy też przyjmować, że facet z kucykiem, w okularach, ze szkockim akcentem, bez bransoletki jest kimś wyjątkowym albo ma na imię Mike. Nawet Jock Braby mówił ogólnie o całej tej szóstce „kucyki”.

I żaden z tych młodych mężczyzn nie traktował Michaela Bearda, laureata Nobla, z takim respektem, jakiego by od nich oczekiwali. Zнали jego prace, co do tego nie było wątpliwości, ale na zebraniach odnosili się do nich mimochodem, z pewnym lekceważeniem, jakby już dawno straciły na aktualności, choć było wręcz przeciwnie - teoria Bearda-Einsteina znajdowała się we wszystkich podręcznikach, była nie do obalenia, wciąż nowatorska i świeżo po fazie eksperymentów. Jako studenci musieli być świadkami demonstracji „kraty Feynmana” ilustrującej topograficzny aspekt dzieła Bearda. Lecz już na nieformalnych spotkaniach w bufecie te wyrosnięte dzieciaki stawały się wręcz pionierami fizyki teoretycznej, rozmawiały na okrągło o jego teorii, traktując ją jak jakąś starą regułę sir Humphry'ego Davy, i robiły wręcz eliptyczne odniesienia do BLG, jakichś dziwacznych zagadek teorii M albo 3-algebry Liego i Nambu, jakby to należało do tematu. I na tym polegał problem. Przeważnie nie rozumiał, o czym oni rozmawiali. Mówili szybko, niemal zawsze w tonacji wznoszącej, pytającej, pod wpływem której w gardle Bearda zaciskały się jakieś nieznane mu mięśnie. Ledwie wypowiadali słowa, wyrażając jakąś myśl, a gdy któryś z pozostałych mruknął: „Właśnie!”, przechodzili dalej, do następnej - trudno to było nazwać dyskusją.

Ale to jeszcze nie najgorsze. Pewne obszary fizyki, w których poruszali się swobodnie, były mu zupełnie nieznane. Kiedy w domu zaglądał do książek, irytowała go długość i stopień skomplikowania obliczeń. Lubił myśleć, że jest starym wygą, zna teorię strun i jej główne warianty. Ale ostatnio pojawiło się zbyt wiele jej rozszerzeń i modyfikacji. Kiedy Beard miał dwanaście lat, nauczyciel matematyki powiedział klasie, że jeśli w którymś zadaniu egzaminacyjnym uzyskają wynik z końcówką jedenaście dziewiętnastych albo trzynaście dwudziestych siódmych, to znaczy, że popełnili gdzieś błąd. To było zbyt zagmatwane, aby mogło być prawdą. Marszcząc czoło przez kilka godzin co najmniej, tak że następnego rana miał na nim dwie równoległe różowe zmarszczki, Beard dotarł wreszcie do najnowszych odkryć, do Baggera, Lamberta i Gustavssona - oczywiście! BLG to nie żadna kanapka! - ale ich lagranżowski opis przekrywających się membran. Bóg grał albo nie grał w kości, ale na pewno nie było go w pobliżu, gdy toczono tę błyskotliwą - przynajmniej z

poзору - dyskusję. Świat materialny po prostu nie mógł być aż tak skomplikowany.

*

Natomiast świat prywatny mógł, i owszem. Żaden z zakończonych związków Bearda nie ciągnął się tak długo - przez niego - i żaden go tak nie zdegradował, nie powodował takich urojeń ani tycia, nie popychał do popełniania tak niesłychanych głupstw, jak ten - piąty i ostatni. W ciągu tych długich miesięcy ani razu nie czuł się w pełni sobą, zresztą szybko zapomniał, co to znaczy być sobą, i popadł w stan lekkiej, ale chronicznej psychozy. Słyszał głosy i widział pewne wycinki tej nieznośnej sytuacji - na przykład zaskakującą, promienną urodę Patrice - których, jak potem stwierdzał, nie było. Skutki somatyczne objawiały się wręcz podręcznikowo. System odpornościowy, który miał go bronić, zaatakowała seria drobnych dolegliwości. Patogeny hordami pokonywały fosy, forsowały mury, bombardowały je opryszczkami, aftami, zmęczeniem, bólami stawów, biegunkami, pryszczami na nosie, blepharitis - dotychczas mu nieznanym zapaleniem brzegów powiek, na których pojawiły się jęczmienie z białymi czubkami, takie małe Fudzi, uciskające gałki oczne i zamazujące obraz. Widzenie zakłócały mu także bezsenność i monomania, i na skraju snu, gdy ten wreszcie przychodził, słyszał głos prezentera wiadomości przypominającego mu o jego żalonym stanie, choć odbywało się to bez słów. Poza tym czuł całkiem racjonalną żalność rogowca, którego żona, mimo wciąż widocznego sińca pod okiem, kręciła się po domu z triumfalnym uśmiechem, fałszywie wesoła, przez co stale odwlekał poważną rozmowę, jaką zamierzał z nią przeprowadzić. Jak wiadomo, usta są bardzo unerwione i czuł, że ma ranę pośrodku dolnej wargi, brzydką bliznę, znamię losu. Jak mogła się z nim jeszcze kiedykolwiek pocałować? Już nie przyciągnie jej uwagi, nie sprowokuje, nie oskarży o nic - nie będzie się z nią kochał, nie on.

Tak, tak, był kobieciarzem i kłamcą, sam napytał sobie biedy, ale co miał zrobić teraz, kiedy to się już stało, poza pogodzeniem się z karą? Do którego boga miał skierować przeprosiny? Już swoje odcierpiał. Po ciężkim okresie, kiedy głupio się łudził, zaczął wyczekiwać na pocztę i e-maile z zaproszeniami, które pozwoliłyby mu wyrwać się z Belsize Park i tchnęły w niego życie. Przez cały rok napływało ich po kilka tygodniowo, ale jak dotąd nie zainteresowała go żadna z propozycji wykładów nad brzegami plutokratycznego jeziora w północnej części Włoch czy w jakimś nieciekawym niemieckim zamczysku, a czuł się zbyt osłabiony i obolały, żeby dyskutować o swojej teorii w gronie kolegów na kolejnej konferencji w New Delhi albo w Los Angeles. Nie miał pojęcia, czego chce, ale sądził, że będzie wiedział, kiedy nadarzy się odpowiednia okazja.

Tymczasem z ulgą, na ogół, raz na tydzień wsiadał do brudnego porannego pociągu z Paddington do Reading, żeby znaleźć się na tej wiktoriańskiej stacji pomiędzy przytłaczającymi niskimi blokami, skąd prototypem priusa zabierał go jeden z nierozróżnialnych kucyków i wioził przez kilka mil. Wychodząc z domu, Beard był napięty jak jednotonowa struna, której amplituda drgań zmniejszała się, w miarę jak oddalał się od budynku i zbliżał do kosztownego ogrodzenia ośrodka. I ustawała zupełnie, gdy uniesieniem wskazującego palca odpowiadał na żartobliwy salut strażników - jak oni uwielbiali szefa! - i przejeżdżał pod uniesionym czerwono-białym szlabanem. Braby przeważnie wychodził mu na spotkanie, a nawet, z ledwie wyczuwalną ironią mandaryna, otwierał przed nim drzwi samochodu, bo oto nie przyjechał żaden rogacz, ale szacowny gość, szef, który miał występować na spotkaniach z prasą, zachęcać przemysł energetyczny, żeby zainteresował się ich badaniami, wycisnąć kolejne ćwierć miliona od chępliwego ministra.

Na początek dnia obaj panowie wypijali razem kawę. Omawiali postępy prac i opóźnienia, Beard odnotowywał sobie, czego się od niego oczekuje, a potem ruszał na obchód ośrodka. Już na wstępie działalności zasugerował bez owijania w bawełnę, że łatwiej będzie zdobyć fundusze, jeśli ośrodek podejmie spektakularny projekt badawczy, zrozumiały dla podatników i przedstawicieli mediów. W ten sposób rozpoczęto prace nad WUDU - Wind Turbine for Urban Domestic Use, turbiny wiatrowej do użytku domowego na terenie miasta, zabawki, którą każdy właściciel domu mógłby zainstalować sobie na dachu, aby samodzielnie wytwarzać energię i znacznie obniżyć rachunki za prąd. Wiatr nie wiał nad miastem z jednego kierunku, tak jak w wypadku wysokich budynków na otwartym terenie, więc fizycy i inżynierowie mieli opracować optymalny model łopatki, który by sprawdzał się w warunkach turbulencji. Beard skorzystał z pomocy starego przyjaciela z Royal Aircraft Establishment w Farnborough, żeby uzyskać dostęp do tunelu aerodynamicznego, ale najpierw należało przebrnąć przez skomplikowane zagadnienia z zakresu matematyki i aerodynamiki, pewne działy teorii chaosu, do których jemu samemu nie starczało cierpliwości. Technika interesowała go jeszcze mniej niż sprawy klimatyczne. Uważał, że sprowadzi się to do sporządzenia projektu po dokonaniu obliczeń matematycznych, budowy trzech czy czterech prototypów i przetestowania ich w tunelu. Ale trzeba było zatrudnić więcej ludzi, ponieważ wyniknęły inne problemy: wibracji, hałasu, kosztów, wielkości, uskoku wiatru, precesji żyroskopowej, naprężeń cyklicznych, wytrzymałości dachu, materiałów, przekładni, wydajności, synchronizacji z siecią, zezwoleń z zakresu urbanistyki. To, co wydawało się betką, przybrało rozmiary przedsięwzięcia, które pochłaniało całą uwagę i środki na wpół okrzepłego ośrodka. A było już za późno, żeby zawrócić z tej drogi.

Beard wolał robić obchód samotnie i z poczuciem winy obserwował skutki swojej beztroskiej propozycji. Na początku lata 2000 roku każdy z doktorów miał już własny mały gabinet. Podział na grupy okazał się pomocny, podobnie jak tabliczki na drzwiach, ale Beard własnej spostrzegawczości przypisywał to, że po siedmiu czy ośmiu miesiącach zaczął wreszcie rozróżniać tych młodych ludzi. Odbył zaledwie kilka kursów priusem ze stacji w Reading, kiedy unosząc głowę znad tekstu wykładu, który miał wygłosić tego wieczora w Oksfordzie, zdał sobie sprawę, że - no, jasne - za każdym razem przyjeżdża po niego ten sam kierowca. Był jednym z dwóch, którzy mieli prawdziwe kucyki - wysokim facetem o pociągłej twarzy, z dużymi zębami, jakby niemieszczącymi się w ustach, i głupkowanym uśmiechem. Pochodził z Swaffham w Norfolk, jak dowiedział się Beard podczas pierwszej bardziej konkretnej rozmowy, studiował najpierw w Imperial, potem w Cambridge, a następnie przez dwa lata w Caltechu w Pasadenie, ale pobyt w żadnym z tych legendarnych miejsc nie zatarł jego przeciągłego wiejskiego akcentu, z niewinnym połykaniem głosek i ze stale wznoszącą się tonacją, która przywodziła Beardowi na myśl żywoploty i stogi siana. Nazywał się Tom Aldous. Podczas pierwszej pogawędki powiedział szefowi, że zgłosił się do pracy w ośrodku, bo według niego planeta jest w niebezpieczeństwie i jego przygotowanie w dziedzinie fizyki cząstek może się na coś przydać, a kiedy dowiedział się, że sam Beard stanie na czele zespołu, ten Beard od teorii Bearda-Einsteina, uznał z radością, że ośrodek zajmie się przede wszystkim energią słoneczną, a zwłaszcza sztuczną fotosyntezą i tym, co nazywał nanosolarem, bo on, Tom Aldous, był przekonany, że...

- Energia słoneczna? - zapytał łagodnie Beard. Świetnie wiedział, o co chodzi, ale termin ten miał dla niego podejrzany wydźwięk, kojarzył mu się z druidami z New Age tańczącymi w oponczach wokół Stonehenge o letnim zmierzchu. Poza tym odnosił się z rezerwą do każdego, który używał słowa „planeta”, żeby robić wrażenie na innych.

- A tak! - Aldous uśmiechnął się, szczerząc zęby w lusterku wstecznym. Nie przyszłoby mu do głowy, że szef nie jest specjalistą w tej dziedzinie. - To ona kryje w sobie rozwiązanie, tylko musimy nauczyć się z niej korzystać, a kiedy to się wreszcie stanie, nie będziemy mogli się nadziwić, że kiedykolwiek myśleliśmy o paleniu węglem, olejem i całą resztą.

Bearda zaintrygował sposób, w jaki Aldous powiedział „całą resztą”, co brzmiało „cało reszto”, jakby stanowiąc jawne szyderstwo z tego, co próbował przekazać. Jechali czteropasmową drogą z kwitnącymi krzewami głogu pośrodku pasa zieleni, których zapach tłumiały spaliny. Poprzedniej nocy, nie licząc na to, że uda mu się zasnąć, leżał na łóżku w szlafroku i czytał, podczas gdy Patrice wyszła na całą noc. Miał przed sobą zbiór

nieopublikowanych listów Paula Diraca do różnych kolegów - człowieka całkowicie oddanego nauce, pozbawionego umiejętności prowadzenia rozmów towarzyskich i współżycia z ludźmi. Za piętnaście siódma odłożył wydruk i poszedł do łazienki, żeby się ogolić. Słońce zaczęło już przeświecać przez gałęzie rosnącej od frontu brzozy i rzucało cienie na marmurową podłogę pod jego stopami. Co za marnotrawstwo, wręcz przejaw złego zarządzania - żeby słońce stało tak wysoko o tak wczesnej porze. Biorąc brzytwę, żeby zlikwidować włoski pomiędzy brwiami, które go postarzały, pomyślał, że nie da rady zliczyć tych wszystkich słonecznych godzin, które tracił latem. Ale co mógł zrobić, co mógł zrobić jakkolwiek młody człowiek o siódmej rano, niezależnie od pory roku, jak tylko spać albo wybierać się do pracy? Choć on nie wysypiał się już od tygodni.

- Uważasz, że w przyszłości będziemy mogli obyć się bez węgla, ropy i gazu? - zapytał, tłumiąc ziewnięcie.

Aldous jechał odnogą olbrzymiego ronda, równie wielkiego i ruchliwego jak tor wyścigowy, która doprowadziła ich łukiem do schodzącego w dół zjazdu, a następnie do autostrady, w sam środek zwielokrotnionego ryku nadjeżdżających samochodów osobowych i ciężarówek wielkości pięciu domów z tarasami, mknących w stronę Bristolu z prędkością osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę, podczas gdy wszyscy inni stali w kolejce, żeby włączyć się do ruchu. No, właśnie - jak długo to mogło jeszcze potrwać? Beard, osłabiony i rozbity psychicznie z powodu niewyspania, poczuł się lekceważony. Autostrada M4 wykazywała energię i głód życia, którym nie był w stanie już sprostać. Wolał drogi kategorii B, polne, takie dla wozów, ścieżki. Kuląc się w tweedowej marynarce od Harrisa, słuchał Toma Aldousa przemawiającego śpiewnym głosem z pewnością siebie chwalonego ucznia, który udziela odpowiedzi, jakich w jego wyobrażeniu oczekuje od niego nauczyciel.

- Węgiel, a potem ropa umożliwiły nam rozwój, ale przecież już wiemy, że ich spalanie doprowadzi nas do ruiny. Potrzebujemy innego paliwa, bo inaczej przepadniemy, zginiemy. Przydałaby się kolejna rewolucja przemysłowa. I czy chcemy tego, czy nie, elektryczność i wodór to nasza przyszłość, jedyne czyste dwa nośniki energii, jakie znamy.

- Podobnie jak energia jądrowa.

Chłopak oderwał oczy od drogi i odpowiedział na spojrzenie Bearda w lusterku - trwało to zbyt długo i starszy mężczyzna, który steżał na tylnym siedzeniu, umknął wzrokiem w bok, żeby kierowca skupił się ponownie na odbywającym się wokół nich ruchu.

- Brudna, niebezpieczna i droga. Ale jak pan wie, mamy już elektrownię jądrową spełniającą wymogi bezpieczeństwa, która wytwarza czystą energię, przekształcając wodór w hel, i to bez żadnych kosztów. Znajduje się na szczęście dziewięćdziesiąt trzy miliony mil

stąd. Wie pan, co myślę, profesorze Beard? Gdyby na Ziemię przybył jakiś kosmita i zobaczył całe to światło słoneczne, byłby zdumiony, że mamy jakieś problemy z uzyskiwaniem energii. Fotowoltaika! Czytałem o tym w pracach Einsteina, czytałem pańskie prace. Pana teoria jest genialna. To największy dar boży: foton uderzający w półprzewodnik uwalnia elektron. Zasady fizyki są dla nas takie łaskawe, tak nam sprzyjają. Niech pan tylko pomyśli. Jest facet w lesie, pada deszcz, a on umiera z pragnienia. Ma siekiere i zaczyna ścinać drzewa, żeby pić ich soki. Z każdego uzyskuje łyk. Wokół niego robi się pustkowie, nie ma żadnych zwierząt. I facet ma świadomość, że przez niego las wkrótce zniknie. To dlaczego nie otworzy ust i nie zacznie pić deszczu? Bo świetnie mu idzie ścinanie drzew, zawsze to robił, i uważa, że ci, którzy są za piciem deszczu, to wariaci. Dla nas takim deszczem jest światło słoneczne, profesorze Beard. Spływa na naszą planetę, wpływa na klimat i rozwój życia. Słodki deszcz fotonów, my tylko musimy złapać go do kubków! Wie pan, czytałem gdzieś, że niespełna godzina światła słonecznego, które dociera na Ziemię, zaspokoiłaby energetyczne potrzeby świata przez rok.

Beard, na którym nie zrobiło to wrażenia, zapytał:

- A jakie przyjęto natężenie promieniowania słonecznego?

- Jedną czwartą stałej słonecznej.

- Zbytni optymizm. Trzeba by było to jeszcze podzielić na pół.

- To nie zmienia faktu, profesorze Beard. Promienie słoneczne docierające do ułamka terenów pustynnych na Ziemi dałyby nam tyle energii, ile potrzebujemy.

Beztroski ton chłopaka z Norfolku, tak kontrastujący z tym, co mówił, zaczął działać Beardowi na nerwy.

- Gdybyśmy umieli ją dystrybuować - zauważył ponuro.

- Tak. Nowe linie prądu stałego! Potrzeba tylko pieniędzy i trochę wysiłku. Warto, dla dobra planety! Dla przyszłości, profesorze Beard!

Beard przerzucił kartki swojego odczytu, aby dać do zrozumienia, że uważa dyskusję za skończoną. Przejawem szaleństwa jest po pierwsze wiara, że wszelkie problemy światowe da się sprowadzić do jednego, a potem ten jeden rozwiązać. A po drugie, gadanie o tym non stop.

Tom Aldous jednak jeszcze nie skończył. Gdy zajechali przed ośrodek i podniesiono szlaban, powiedział, jakby nie było żadnej przerwy w rozmowie:

- Dlatego... bez urazy... dlatego właśnie uważam, że tracimy czas na te mikroturbiny wiatrowe... Ich projekty techniczne są już wystarczająco zaawansowane. Rząd musi jedynie przekonać do nich ludzi... to drobiazg, resztę załatwi rynek. Można na tym zarobić dużo

forsy. Ale solar... nowatorska sztuczna fotosynteza... nanotechnologia stwarza wielkie pole do popisu. Profesorze, tym moglibyśmy się zająć!

Aldous otworzył przed nim drzwi i Beard wygramolił się w wysiłkiem.

- Dziękuję za rady - odparł. - Ale naprawdę powinieneś nauczyć się patrzeć na drogę. - I odwrócił się, aby podać rękę Braby'emu.

Dlatego podczas swojego cotygodniowego obchodu miał nadzieję, że nie natknie się na Aldousa, a przynajmniej nie samego, bo ten młody człowiek stale próbował go przekonać do fotowoltaiki czy też do jego własnej kwantowej teorii zjawiska fotowoltaicznego, a generalnie przytłaczał swoją życzliwością i entuzjazmem, zupełnie nie zwracając uwagi na opryskliwość Bearda, gdy tylko zaczynał starą śpiewkę o porzuceniu projektu WUDU. Oczywiście należało go porzucić, ponieważ zżerał prawie cały budżet i komplikował się, w miarę jak spadało nim zainteresowanie. Był to jednak pomysł Bearda i porzucenie go byłoby dla niego osobistą katastrofą. Żywił więc coraz większą niechęć do tego młodego człowieka, jego głupawej twarzy o grubych rysach i rozdętych nozdrzach, kucyka, bransoletki z brudnej czerwono-zielonej plecionki, świętoszkowatej diety: sałatki i jogurtu, które kupował w bufecie, nieznośnego zwyczaju podchodzenia z tacą i przysiadania się do szefa, który z przygnębieniem dowiedział się, że chłopak reprezentował Norfolk w zawodach bokserskich o tytuł mistrza, uprawiał wioślarstwo w Cambridge i przybiegł trzeci do mety w maratonie w San Francisco. Podsuwał powieści, które jego zdaniem szef powinien przeczytać - powieści! - opowiadał o dokonaniach w muzyce współczesnej, o których Beard powinien wiedzieć, o znaczących filmach, programach dokumentalnych poświęconych zmianie klimatu, które sam oglądał co najmniej dwukrotnie, ale chętnie obejrzałby jeszcze raz, gdyby szef mu towarzyszył. Aldous miał umysł, który predestynował go - za pośrednictwem norfolkskiego akcentu - do nieustannego udzielania rad, rekomendowania, wymuszania zmian czy wyrażania entuzjazmu dla różnych podróży, wakacji, książek czy witamin, co samo w sobie było formą wywierania nacisku. Nic tak nie osłabiało dobrej woli Bearda jak słuchanie, że powinien spędzić miesiąc w Vale of Swat.

Wędrował więc od laboratorium do laboratorium po budynku, w którym kiedyś, bynajmniej nie dla celów ratowania środowiska, testowano pył ceglany i izolacje z włókna szklanego, i przyjmował raporty z postępu prac od inżynierów, projektantów i specjalistów do spraw energii o tajemniczo brzmiących tytułach, którzy tworzyli razem długi dokument, nazwany „Badania nad mikroturbiną wiatrową typu 4.2”, stanowczo nie do przeczytania, bo nie był w stanie przebrnąć nawet przez pierwszy akapit. W ciągu lata dział personalny, dopiero co powołany, zatrudnił tylu nowych pracowników, że Beard musiał co tydzień

tłumaczyć kilkunastu nieznanym, kim jest. Tylko nieliczni z nich nie uczestniczyli bezpośrednio w pracach nad WUDU i słuchając raportów, coraz bardziej podupadał na duchu. Bo mimo tych wszystkich wysiłków na razie nie było co testować w Farnborough, nikt tak naprawdę nie zajął się problemem turbulencji i nikt nie zastanawiał się specjalnie, co może się stać, jeśli wiatr przestanie wiać, ponieważ nikt nie miał pojęcia, jak tanio i efektywnie magazynować energię. Projekt nowej potężnej baterii jako domowego źródła energii stanowiłby przełom, ale było już za późno, żeby podnieść tę sprawę teraz, gdy wszyscy już pracowali nad WUDU, a poza tym rozpoczęcie badań nad taką baterią sugerował Tom Aldous. Znacznie lepiej było zbudować mały reaktor jądrowy na Jurassic Coast w Dorset, niż narazić miliony dachów na zniszczenie wskutek wstrząsów i wibracji, siły oporu, rotacji i momentu obrotowego jakiegoś bezwartościowego gadżetu, który nie mógł generować dostatecznej ilości energii użytkowej ze względu na to, że wiatr rzadko bywał dość silny.

Jak to możliwe - zastanawiał się Beard w przyływie żalości, gdy wyszedł z jednego gabinetu i ciężkim krokiem ruszył do następnego - że pod wpływem jakiejś jednej, rzuconej od niechcienia uwagi tyle osób zabrało się do tych bezsensownych badań? Odpowiedź była prosta. W reakcji na jego inicjatywę powstały notatki służbowe, szczegółowe propozycje, liczące razem sto dziewięćdziesiąt siedem stron, plany budżetowe i arkusze kalkulacyjne, które bez czytania zaakceptował. A dlaczego? Bo Patrice nawiązała romans z Tarpinem i nie był w stanie myśleć o niczym innym.

Wracał już korytarzem, mijając po drodze gabinet Braby'ego, żeby porozmawiać ze specjalistą od materiałów, gdy zobaczył samego Jocka, który czekał za drzwiami i z podnieceniem zaprosił go do środka. Za nim stał jeden z kucyków o imieniu Mike, który przypinał do białej tablicy jakiś szkic.

- Myślę, że wreszcie coś mamy - oświadczył Braby, zamykając za Beardem drzwi. - Mike właśnie z tym przyszedł.

- Proszę nie wyciągać fałszywych wniosków, profesorze Beard - włączył się Mike. - To nie mój schemat. Ja go tylko znalazłem.

Braby chwycił Bearda za rękaw i pociągnął w stronę tablicy.

- Sam popatrz. Chcę znać twoje zdanie.

Na dużej kartce widniał fachowo wykreślony rysunek otoczony kilkoma szkicami - były to bazgroły narysowane ciąglą, choć niepewną kreską, jakie można zobaczyć w notatnikach Leonarda. Obserwowany z napięciem przez tamtych dwóch Beard przyjrzał się centralnemu rysunkowi, grubej kolumnie z płataniną linii, które przechodziły w poczwórną spiralę, wykonującą pełny obrót, i widniejący u dołu, już mniej szczegółowy, pudełkowaty

schemat generatora. Jeden ze szkiców przedstawiał linię dachu, z anteną telewizyjną i spiralą na krótkim pionowym słupie przytwierdzonym z boku do komina - co stanowiło kiepskie umocowanie. Przez dwie minuty patrzył na to w milczeniu.

- No i? - zapytał Braby.

- Hm - mruknął Beard. - To już coś.

Braby się zaśmiał.

- Ja myślę! Nie wiem, jak to działa, ale od razu zorientowałem się, że to jest to.

- To wariant turbiny Darrieusa, starego poczciwego miksera. - W dawnych czasach, kiedy był szczęśliwym małżonkiem, a przynajmniej nieogarniętym taką obsesją, Beard przez całe popołudnie czytał o historii turbin wiatrowych. Wtedy jeszcze wydawało mu się, że fizyka jest stosunkowo prosta. - Ale różni się od niej łopatkami, które tworzą spirale skrócone pod kątem sześćdziesięciu stopni. I ich liczbą, bo są cztery, żeby zwiększyć moment obrotowy i być może wspomóc rozruch. Prawdopodobnie dobrze sobie radzi we wznoszącym się prądzie powietrza. Może sprawdzi się i na dachu. Kto to wymyślił?

Znał już odpowiedź i poczuł się jeszcze bardziej zmęczony. Nie miał ochoty słuchać i patrzeć, jak Łabędź ze Swaffham świętuje przełom, początek nowej epoki w projektowaniu turbin, to było ponad jego siły tego dnia. Może w przyszłym tygodniu, bo w tej chwili pragnął tylko usiąść gdzieś na uboczu i pomyśleć o Patrice, podniecić się trochę bez sensu. Do tego już doszło.

Mike podrapał się po karku, u nasady kucyka, w którym pojawiały się ślady zdradzieckiej siwizny przypominające szwy na kocu.

- Leżało na biurku Toma. Chyba specjalnie zostawił tam te rysunki, żebyśmy je zauważyli. Wpadliśmy w podniecenie, szukaliśmy go, ale nie mogliśmy nigdzie znaleźć. Zrobiliśmy kopie dla inżynierów... od razu im się spodobało.

Jock Braby z ożywieniem zrobił kółko po gabinecie, podszedł do swojego biurka i zdjął marynarkę z oparcia fotela. Tkwiący w Beardzie snob nakazywał mu wziąć go na bok i zwrócić uwagę, że nie robi się tego już od czasów Bletchley, a przynajmniej od jego własnych czasów studenckich, nie nosi się w kieszeni na piersi kilku długopisów. Ale myśl o udzieleniu tej rady tylko przemknęła mu przez głowę, potem o niej zapomniał.

Braby tymczasem, w stanie powściąganego podniecenia, nabrał powagi i pochylając się ku kolegom, przemówił wyważonym, uroczystym głosem, jak pasowany na rycerza, który podnosił się z kolan.

- Porozmawiam z Aldousem, a potem zabiorę go z sobą do działu projektowania. Musimy mieć odpowiednie rysunki. Chłopcy usiądą z nim i zabiorą się do pracy. A w tym

czasie ty, Mike, i reszta zajmiecie się obliczeniami matematycznymi, no wiesz, prawem Brechta i tak dalej.

- Prawem Betza.

- No właśnie. - I już go nie było.

Po zakończeniu obchodu Beard usadowił się samotnie z kilkoma ciastkami czekoladowymi na talerzu i kubkiem gorącej kawy z termosu w pustej świetlicy za bufetem, od dłuższego czasu jedynym wygodnym miejscu w całym ośrodku, i wrócił myślami do obiektu swojej obsesji, skupiając się z niemal przyjemną fizyczną ociążałością na pewnych szczegółach, którym ostatnio nie poświęcił dostatecznej uwagi. Najpierw jednak wstał z fotela i przeszedł przez pokój, żeby wyłączyć szmerzący telewizor, nieodmiennie nastawiony na kanał informacyjny. Bush kontra Gore, przykuwający cenną uwagę większości światowej populacji pozbawionej praw do głosowania. Usiadł ponownie i wziął do ręki talerz.

Patrice była zdecydowanie najładniejszą ze wszystkich jego żon, ze swoją drobną budową i jasnymi włosami, i teraz miał wrażenie, że tylko ona jedna jest naprawdę piękna. Pozostałym czterem do miana piękności brakowało niewiele - a to za cienki nos, a to za szerokie usta, drobne niedoskonałości, lekko cofnięte broda czy czoło - i oczywiście mogły się podobać, te brzydsze żony, ale z pewnej perspektywy, przy pewnym wysiłku woli czy wyobraźni, czy pod wpływem zwodniczego pożądania. Na przykład, ta jej mała pupa. Można ją było ująć jedną ręką. Kremowa napięta skóra między wystającymi kośćmi miednicy. Zaskakujący polimorfizm miękkich włosów łonowych o słomianej barwie. Czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy te cuda? Teraz zaś musiał też zastanowić się - chłodno - nad jej podbitym okiem. Pewnie nigdy nie dowie się prawdy, bo nie będzie chciała z nim o tym rozmawiać. Zdany był więc tylko na domysły. Przypuśćmy, że jego plan zadziałał, że obecność w jego pokoju kobiety, której kroki udawał tak zmyślnie, uderzając dłońmi o schody, nie tyle wprawiła Patrice we wściekłość, ile uświadomiła, jak jest jej bliski, wywołała w niej lęk, że może coś tracić, i Patrice powiedziała Tarpinowi, że z nim zrywa, że wraca do męża - a on wpadł w szal? W takim razie podbite oko świadczyłoby, że on, Beard, może ją jeszcze odzyskać. Ale za dużo w tym było myślenia życzeniowego. Co wobec tego?

Jak automat brał do ust herbatniki. Może cała ta pogmatwana sprawa przybrała jednak zły obrót. Dużo było w niej rzeczy mało prawdopodobnych. Przecież wiele upokarzanych, bitych kobiet nie potrafiło odejść od swoich brutalnych partnerów. Organizacje kobiece ubolewają nad tym aspektem ludzkiej natury. Jeśli Patrice nie będzie potrafiła się przeciwstawić losowi, jeszcze nieraz dostanie w twarz. Jego piękna Patrice. To nie do zniesienia. Nie do pomyślenia. No i co? Jego współczucie może jednak wywołać u niej taką

samą odrazę jak brutalność Rodneya i będzie miała dość ich obu. A może zdarzyć się i tak, że któregoś wieczora po powrocie do swojego pokoju zastanie ją czekającą na niego - będzie leżała naga w małżeńskim łóżu, na plecach jak dawniej, z rozłożonymi nogami, a on podejdzie do niej, szepcząc jej imię - także już rozebrany. Potem wszystko pójdzie jak z płatka: zbliży się do niej i ujmie jej lewą... Zorientował się, że nie jest już sam, i nie musiał unosić wzroku, aby wiedzieć, kto stanął w drzwiach.

Rezygnując z kawy - nie pozwalał sobie bowiem na żadne środki pobudzające i uważał, że Beard też powinien się ich wystrzegać - Aldous usiadł obok szefa i zaczął bez wstępów:

- Bardzo namawiam pana do przeczytania artykułu o cienkowarstwowym solarze w następnym numerze „Nature”.

Część krwi, która powinna zasilać mózg Bearda, wypełniała jeszcze naczynia włosowate jego penisa - choć odpływała szybko - bo inaczej wpadłby na pomysł, żeby pozbyć się Aldousa.

Zamiast tego powiedział:

- Braby cię szuka.

- Tak, słyszałem. Podobno widzieliście wszyscy szkice mojej turbiny.

- Pewnie zastaniesz go w gabinecie.

Profesjonalnie demonstrując zmęczenie, Aldous zdjął czapkę bejsbolówkę, odchylił się na krześle i zamknął oczy.

- Powinienem był je zniszczyć.

- Projekt jest dość obiecujący - zauważył Beard wbrew woli. Nie ufał nikomu, kto poza boiskiem do bejsbolu nosił bejsbolówkę, niezależnie od tego, czy obróconą daszkami do tyłu, czy nie.

- O to chodzi. Właściwie nawet rewolucyjny. Płynny moment obrotowy! Optymalny kąt ataku, niezależnie od kierunku wiatru. Problem turbulencji rozwiązany! Proszę mnie źle nie zrozumieć, profesorze Beard, to genialne! Ale wie pan, jeśli ośrodek podejmie nad tym badania, stracimy trzy lata, odwalając robotę, którą mogłaby wykonać komercyjna firma, mając na uwadze przyszłe zyski. Poza tym to przedsięwzięcie nie ma wielkiego znaczenia, mikroturbina wiatrowa nie rozwiąże problemu, panie profesorze. W większości miast siła wiatru jest za słaba. Potrzebujemy nowego źródła energii dla całej cywilizacji. A nie zostało tak wiele czasu. Powinniśmy przystąpić do prac nad solarem, zanim wyprzedzą nas Niemcy i Japończycy, zanim obudzą się Amerykanie. Mam parę pomysłów. Nawet w naszym fatalnym klimacie jest podczerwień. Ale po co mówię o tym panu, właśnie panu? Przede wszystkim

musimy znowu przyjrzeć się fotosyntezie, sprawdzić, czego możemy się z niej nauczyć. W tej kwestii też mam parę koncepcji. Przygotowuję dla pana konspekt. A przed chwilą widziałem, że pan Braby idzie już do działu projektowania z moim głupim rysunkiem w ręce. O Boże!

Kolejnym teatralnym gestem położył dłoń na przymkniętych oczach - tym razem odgrywając niezasłużone cierpienia, które znosi po stoicku.

- Jestem prostym facetem, profesorze Beard. Chcę tylko służyć naszej planecie.

- Rozumiem - odparł Beard. Nagle stwierdził, że nie może patrzeć na ostatniego herbatnika, który pojawił się w jego dłoni. Odłożył go więc na talerz i z pewnym wysiłkiem podniósł się z fotela. - Muszę wracać. Odwieź mnie na stację.

- Nie ma po co - odrzekł Aldous.

Zerwał się z krzesła, trzema susami przeciął świetlicę i podszedł do telewizora. Zmienił kanał i zatrzymał się, czekając na kolejny punkt programu, a następnie pogłośnił dźwięk. Można by odnieść wrażenie, że wymyślił tę historię na własny użytek, sam doprowadził parę starszych ludzi do nędzy i rozpacz, a następnie przekonał ich, żeby ujęci za ręce rzucili się razem pod pociąg relacji Londyn - Oxford. W materiale lokalnej stacji informacyjnej ukazały się kolejki sfrustrowanych pasażerów na stacji w Reading, odprawianych od kasy biletowej, a także pozostałych, czekających na specjalne autobusy, które jakoś nie przyjeżdżały.

Młody człowiek odprowadził Bearda do drzwi, tak jak się odprowadza nienormalnego pacjenta do łazienki.

- Mieszkam niedaleko Belsize Park i jadę do domu. Nie mam wprawdzie priusa, ale odstawię pana pod same drzwi.

Nie miał pojęcia, skąd Aldous wie, gdzie on mieszka, ale nie było sensu o to pytać. A ponieważ chciał wrócić do domu, do swoich nieszczęść, nie miał już interesu w tym, żeby odsyłać chłopaka do Jocka Braby'ego.

Kilka minut później szef usiadł na przednim fotelu porzewiałego forda escorta i udawał, że słucha relacji osoby wtajemniczonej o tym, co będzie mógł znaleźć w przyszłorocznym raporcie International Panel on Climate Change. Teraz kierowca, żeby spojrzeć na pasażera, musiał obracać wzrok od linii drogi o całe dziewięćdziesiąt stopni, co czasami trwało nawet kilka sekund, podczas których, według obliczeń Bearda, pokonywali kilkaset jardów. Nie patrz na mnie, gdy do mnie mówisz, to niekonieczne, miał ochotę powiedzieć, gdy tak obserwował ruch przed sobą, usiłując przewidzieć moment, w którym będzie musiał chwycić za kierownicę. Ale nawet jemu trudno było zwrócić uwagę człowiekowi, który go podwoził, wyświadczał mu uprzejmość. Doszedł do wniosku, że woli

umrzeć albo spędzić resztę życia z porażeniem czterokończynowym, niż zachować się niegrzecznie.

Zreferowawszy, co będzie do przeczytania w przyszłorocznym, trzecim raporcie IPCC, Aldous poinformował Bearda - jako piętnasty w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy - że miniona dekada dwudziestego wieku należała do dziesięciu, no, może dziewięciu, najcieplejszych lat, jakie odnotowano. Potem snuł rozważania o czułości klimatycznej, wzroście temperatur wiązanych z podwojeniem się ilości dwutlenku węgla w stosunku do poziomów przedindustrialnych. Gdy wjechali na teren właściwego Londynu, perorował o zmianie bilansu energetycznego, a następnie, co było do przewidzenia, o kurczeniu się terenów lodowcowych, rozszerzaniu pustynnych, zanikaniu raf koralowych, zmianie prądów oceanicznych, podnoszeniu się poziomu morza, znikaniu tego i tamtego i tak dalej, i dalej, podczas gdy Beard, mimo że nie słuchał, popadał w coraz większą melancholię, nie dlatego, że „planeta” była w niebezpieczeństwie - co za durne słowo - ale dlatego, że ktoś opowiadał mu o tym z takim przejęciem. Tego właśnie nie lubił u polityków - przejawy niesprawiedliwości i krzywdy tylko ich podniecały, stanowiły dla nich pożywkę, w gruncie rzeczy sprawiały im zadowolenie.

Zmiana klimatu podobnie działała na Toma Aldousa. Czy facet nie znał innych tematów? Wkrótce okazało się, że tak. Przejmował się emisją spalin swojego samochodu i znalazł w Dagenham konstruktora, który miał mu pomóc przerobić go tak, żeby jeździł na prąd. Układ przeniesienia napędu był w porządku, problem stanowiła bateria - musiałby ją ładować co trzydzieści mil. Ale da radę, jeśli nie będzie przekraczał osiemnastu mil na godzinę. W końcu Beardowi udało się zmienić temat na bardziej ludzki - zapytał Aldousa, gdzie mieszka. W kawalerce za ogrodem wuja w Hampstead. W weekendy jeździł do Swaffham, żeby odwiedzić ojca, który chorował na płuca. Matka nie żyła od dawna.

Właśnie miał zacząć opowieść o matce, gdy zajechali pod dom. Beard przerwał mu, żeby podziękować, pożegnać się i zakończyć to spotkanie, ale Aldous pospiesznie wysiadł i pobiegł na drugą stronę, żeby otworzyć mu drzwi i pomóc wysiąść.

- Dam sobie radę, dam radę - rzucił Beard cierpko, ale ponieważ ostatnio przytył, wygramolił się z trudem, ten parszywy samochód miał takie niskie zawieszenie.

Aldous odprowadził go ścieżką, znowu jak pielęgniarz z zakładu psychiatrycznego, a kiedy dotarli do drzwi frontowych i Beard sięgał po klucz, zapytał, czy mógłby skorzystać z toalety. Jak tu odmówić? Gdy wchodzili do domu, przypomniał sobie, że Patrice miała wolne popołudnie, i oto ona sama pojawiła się u szczytu schodów, z zawadiacko podbitym okiem, w obcisłych dżinsach, jasnozielonym kaszmirowym swetrze i tureckich pantoflach, zeszła z

miłym uśmiechem, żeby się przywitać, i gdy mąż dokonał prezentacji, zaproponowała kawę.

Przez dwadzieścia minut, gdy siedzieli przy stole kuchennym, była miła, przekrzywiała uroczo głowę, słuchając opowieści o matce Toma Aldousa, i zadawała pełne współczucia pytania, a potem sama opowiedziała o swojej matce, która również młodo umarła. Później rozmowa zesłała na lżejsze tematy, Patrice spoglądała mu w oczy za każdym razem, gdy się śmiała, zauważała jego obecność, słuchała z półuśmiechem, gdy coś mówił, sprawiała wrażenie rozbawionej, gdy rzucał jakiś żart, a w pewnym momencie nawet dotknęła jego ręki, żeby mu przerwać. Tom Aldous nagle stał się wymowny i dowcipny, rozśmieszył ich opowiadaniem o ojcu, fantastycznym nauczycielu historii, teraz niestety zrzędlwym kalece, który oddawał swój lunch żarłocznej rudej kani. Tom wciąż kręcił głową, szczyrzył zęby w uśmiechu i nieświadomie unosił rękę do szyi, żeby dotknąć swojego kucyka. I zupełnie zapomniał, że planecie grozi niebezpieczeństwo.

Małżonkowie w harmonii zabawiali wesołego młodego człowieka i gdy ten wstał, żeby się pożegnać, nie było już wątpliwości, że nastąpił cud, w zachowaniu Patrice do męża zaszła fundamentalna zmiana. Odprowadziwszy Aldousa do samochodu, Beard, który nie śmiał wierzyć, że jego plan zadziałał, że udawanie kroków kobiety zrobiło swoje, pospiesznie wrócił, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Ale w kuchni było pusto, filiżanki z fusami stały wciąż na stole, a w domu znowu panowała cisza. Patrice wycofała się do swojego pokoju, a kiedy udał się pod drzwi i zapukał, powiedziała mu wprost, żeby sobie poszedł. Chciała tylko go podręczyć, przypomnieć dawne dobre czasy. Żeby tym dotkliwiej odczuł jej nieobecność.

Nie widział jej aż do następnego wieczora, gdy wychodziła z domu, zostawiając za sobą smużkę nieznanego mu zapachu.

*

Minęły tygodnie i niewiele się zmieniło. W szkołach zaczął się jesienny semestr, Patrice późnym popołudniem poprawiała klasówki i przygotowywała się do lekcji, a trzy, cztery razy w tygodniu wychodziła z domu o siódmej albo o ósmej i jechała do Tarpina. W październiku, gdy trzeba było cofnąć wskazówki zegarów, szła już ścieżką pogrążoną w mroku, a jej nieobecność była jeszcze bardziej odczuwalna. Nie udało jej się ściągnąć kochanka na kolację, a przynajmniej nie wtedy, gdy Beard był w domu. Od czasu do czasu wyjeżdżał z miasteczka na jakieś wieczorne spotkania, ale kiedy wracał, nie dostrzegał nic, co by świadczyło o obecności Tarpina, chyba żeby za dowód uznać wypolerowany na wysoki połysk dębowy stół w jadalni czy nieskazitelny porządek w kuchni, gdzie każde naczynie i garnek znajdowały się - nietypowo - na swoim miejscu.

Jednakże na początku listopada poszedł do spiżarni w głębi domu, przy tylnych drzwiach, po żarówkę. Było to chłodne, pozbawione okien pomieszczenie o ceglano-kamiennych półkach, na których zamiast żywności spoczywały różne sprzęty domowe, graty i nietrafione prezenty. Na przeciwległej do drzwi ścianie znajdowała się szczelina wentylacyjna, przez którą do środka wpadało światło słoneczne, a tuż pod nią, na podłodze, stała brudna płócienna torba. Stanął nad nią, czując, że narasta w nim oburzenie, a potem, zauważywszy, że nie jest zamknięta, odchylił ją stopą. Zobaczył narzędzia - różnej wielkości młotki, wałki, potężne śrubokręty, a na samej górze paperek po czekoladowym batonie, szerniały ogryzek jabłka, grzebień i - co obudziło jego szczególnie niesmak - zmiętą zużytą chusteczkę higieniczną. Ta torba nie mogła tu leżeć od remontu, bo od tego czasu minęło wiele miesięcy i Beard pamiętałby, gdyby ją tu widział. Sprawa była jasna. Któregoś razu, gdy wyjechał do Paryża czy Edynburga, Tarpin po pracy przyszedł do Patrice, następnego rana zapomniał narzędzi albo ich nie potrzebował, a ona schowała je tutaj. Beard chciał natychmiast wyrzucić torbę, ale jej rączki były brudne i zatłuszczone, i zrobiło mu się niedobrze na myśl, że miałyby dotknąć czegoś, co należało do Tarpina. Znalazł żarówkę i poszedł do kuchni, żeby nalać sobie szkockiej. Była trzecia po południu.

Nazajutrz z samego rana odszukał adres Tarpina na fakturze i postanowiwszy się nie golić, wypił trzy filiżanki mocnej kawy, wciągnął stare skórzane buty, w których był o cal wyższy, i włożył grubą wełnianą koszulę poszerzającą go w ramionach, a następnie pojechał do Cricklewood. W radiu mówili tylko o Ameryce. Komentatorzy wciąż wracali do sprawy zbombardowania USS „Cole” przez grupę o nazwie al Kaida w poprzednim miesiącu, lecz główny temat nie uległ zmianie - walcowano go przez całe lato i jesień, co zaczęło już mu działać na nerwy. Bush kontra Gore. Beard nie był obywatelem amerykańskim, nie miał prawa głosu pozwalającego włączyć się do tej walki, ale był zmuszany, przez radiofonie, za którą płacił abonament, śledzić każdy jej krok, ważny czy nieważny. Był wojowniczo apolityczny - aż po czubki palców, jak mawiał z upodobaniem. Nie znosił gorących kłótni niekłótni, raziły go wysiłki obu stron zmierzające do tego, żeby wzajemnie przeinaczać i wypaczać swoje intencje, nagła amnezja wobec różnych wynikających po drodze kwestii. Uważał Stany Zjednoczone za fascynujący organizm, który patronuje trzem czwartym światowych badań naukowych. Reszta była biciem piany, a w tym wypadku walką w łonie elity - uprzywilejowany syn poprzedniego prezydenta siłował się z wysoko urodzonym synem senatora. Po zamknięciu lokali wyborczych Gore, zdaje się, zatelefonował do Busha, odwołując swoją rezygnację z dalszej walki; Floryda to zbyt dyskusyjna sprawa, trzeba będzie od nowa przeliczyć głosy - „od mojego pierwszego telefonu do pana okoliczności się

zmieniły”, pobrzmiewało w podtekście wypowiedzi Ala Gore'a.

Jako prezydent każdy z nich musiałby się liczyć z tymi samymi ograniczeniami, stawiać czoło tym samym faktom, słuchać doradców z tych samych uczelni wyznających podobne poglądy i wychowanych według podobnych norm - Bearda nie interesowały szczegóły. Generalnie dla świata nie będzie wielkiej różnicy, doszedł do wniosku, przejeżdżając przez Swiss Cottage, czy to Bush, czy Gore, Tweedledum czy Tweededee, zostanie pierwszym prezydentem w nowym stuleciu na następne cztery lata albo osiem.

Poprzedniego popołudnia i wieczora, które spędził przy szkockiej, osiągnął zuchwałą jasność umysłu, a także przyjemne poczucie, że nic nie jest w stanie go pokonać. Teraz sądził, że zbyt poważnie podchodzi do sprawy. Niewierna żona? To trzeba znaleźć sobie następną! Criklewood robiło wrażenie skacowanego, wyciszonego, z niewieloma przechodniami na ulicach, i ten spokój niedzielnego poranka przypomniał mu, że przyjechał tu po to, żeby zaspokoić ciekawość. Miał prawo wiedzieć, gdzie Patrice spędza pół tygodnia i jak mieszka jego rywal. Milę dalej, po serii zakrętów, okazało się, że ulica, przy której stoi dom Tarpina, to jednomyślowy odcinek drogi łączącej dwie autostrady - było to jakby zagubione w czasie, skazane na niebyt miejsce z przedwojennymi bliźniakami, które sprawiały wrażenie smaganych przez wiatr warowni. Zaparkował samochód w zatoczce tuż przy podjeździe i ogarnął spojrzeniem dom, który już widział na zdjęciu: przybite od frontu deski z ciemnego sosnowego drewna, nadające mu szesnastowieczny wygląd, motorówkę spoczywającą niezgrabnie na przyczepie - pod porozrywana przez wiatr plastikową płachtą mogła kryć się łódź wiosłowa - lampę od powozu, w stylu georgiańskim, stojącą na czarnym słupku przy drzwiach frontowych, i ostatni nabytek - leżącą na wylewce z betonu, w otoczeniu dokładnie wypielonych rabat czerwoną budkę telefoniczną. Dom stojący wśród prawie czarnych drzew pomalowany został białą, aż świecącą farbą, a kwieciste zasłony za ołowianymi ramami okiennymi były odsunięte i starannie spięte.

Beard nie znał się szczególnie na architekturze ani wystroju wnętrz, nie miał żadnych uprzedzeń do lamp od powozów ani tym podobnych, więc próby nadania temu podmiejskiemu domkowi z lat trzydziestych dwudziestego wieku charakteru rezydencji elżbietańskiej wydały mu się wyrazem niewinnego patriotyzmu. Gdyby tak nie gardził Rodneyem Tarpinem, pomyślałby nawet, że to miejsce świadczy o przyzwoitości, ciężkiej pracy i prostolinijnym optymizmie. Wiedział z dawnych rozmów z nim, że pani Tarpin odeszła przed rokiem z trójką dzieci i związała się z walijskim rzeczoznawcą na Costa Brava, więc to, że Rodney wciąż dbał o dom, było nawet w pewnym stopniu wzruszające. Ale to tu regularnie pieprzyła się Patrice i każdy szczegół, nawet mała studnia i kilku krasnali

ogrodowych stojących przy uchwycie do pompowania, sprawiał wrażenie nieprzyjaznych. Zresztą odwzajemniał to uczucie. Czy Tarpin zamierzał postawić tę budkę telefoniczną na cześć swojej kochanki? Już słyszał Patrice, jak udaje, że jest zachwycona. „Najdroższy, to takie oryginalne, takie pomysłowe...”. Dość! Wysiadł z wozu.

Ponieważ jego żona była tu tyle razy przed nim, a sam kiedyś zatrudniał Tarpina, Beard czuł, że ma prawo tu być, i swobodnie pokonał podjazd. Z czarnej emaliowanej rynny dobiegał szmer wody i z otworu odpływowego u dołu wydobywała się w listopadowym chłodzie para. Pan domu najwyraźniej dokonywał właśnie ablucji, spłukując ze swojego ciała DNA pani Beard. Drzwi frontowe z palladiańskim portykiem wyglądały tak, jakby rzadko z nich korzystano, więc Beard ruszył wąską betonową ścieżką prowadzącą między domem a drewnianym ogrodzeniem do bocznego wejścia i przeszedł przez otwartą bramkę do tylnego ogródka. Tarpin chwalił mu się, że ma w nim okrągłą wannę, więc Beard chciał ją zobaczyć. Czy Patrice korzystała z niej, czy nie, był w bojowym nastroju i pragnął znać całą prawdę.

Nieskoszony trawnik odgradzała od sąsiadów z trzech stron siatka, za którą, na terenie między domami, stał słup wysokiego napięcia i Beard usłyszał znajome trzaski linii elektroenergetycznej. Elektrony - wciąż te niezastąpione elektrony. Rozmyślał o nich przez większość młodości. W wieku dwudziestu jeden lat przeczytał z zachwytem równanie Diraca z 1928 roku w jego pełnej formie, uwzględniające spin elektronu. To było piękno w czystej postaci, jedno z największych intelektualnych osiągnięć w dziejach ludzkości, słusznie postulowało istnienie w przyrodzie antycząstek i roztaczało przed młodym czytelnikiem rozległe horyzonty „morza Diraca”. Wtedy jeszcze Beard był naukowcem, a nie biurokratą, który dawno temu przestał rozmyślać o elektronach. W połowie lat dziewięćdziesiątych stał z małą grupą ludzi w Westminster Abbey, podczas gdy Stephen Hawking wygłaszał mowę przed pomnikiem wykutym w kamieniu z cudownie zwięzłą formą tego równania - $i\gamma.\partial\psi m\psi$ - i wówczas po raz ostatni poczuł to dawne podniecenie. Ale to wszystko należało już do przeszłości.

Bliżej domu znajdował się kwadrat betonu, na którym stał porzewiały wieszak na ubrania, rozłożona na elementy lodówka i białe plastikowe meble ogrodowe, i tuż obok - wreszcie - duża drewniana balia o wymiarach osiem na osiem stóp z zamykaną na kłódkę pokrywą, na której leżał zwinięty wąż ogrodowy. Beard z ulgą stwierdził, że ta wanna nie ma nic wspólnego z kalifornijską scenerią, jaką podsuwała mu wyobraźnia - żadnych sekwoi, cykad, nic, co by przypominało Sierra Nevada. Ale kiedy podchodził do bocznych drzwi, popadł w przygnębienie, bo utwierdził się w swoich obawach - Patrice musiało chodzić tylko o seks. Bo co innego sprowadzałoby ją do tej brudnej nory? Ale czy będąc w takim stanie, nie

chciał właśnie poczuć się jeszcze bardziej nieszczęśliwy?

Gdy się nad tym zastanawiał, usłyszał w górze jakiś dźwięk. Uniósł więc głowę i zobaczył, że zaparowane okno na pierwszym piętrze się otwiera, ukazując różową, wilgotną twarz Tarpina.

- Oj!

Twarz pospiesznie zniknęła, choć okno pozostało otwarte i wydobywała się z niego para spod prysznic, a z wnętrza domu dobiegł stłumiony odgłos bosych stóp zbiegających po wyłożonych dywanem schodach. Czekał pod domem, z rękami założonymi na piersi, Beard nie miał żadnego planu działania, nie wiedział też, co powie. Za dużo czasu zastanawiał się nad tym wszystkim, za długo czekał, i teraz pragnął tylko, żeby wreszcie coś się wydarzyło.

Szczęknięty dwie zasuwki, aluminiowa gałka się obróciła i na progu stanął kochanek jego żony, otwierając do środka drzwi.

Beard pomyślał, że powinien zacząć pierwszy.

- Panie Tarpin. Dzień dobry.

- Czego pan tu chce, do cholery? - Zadając to pytanie, położył nacisk na słowo „pan”. Miał na sobie tylko niewielki czerwony ręcznik, którym opasał swoją potężną pierś. Z włosów na ramiona kapłała mu woda, która spływała wśród włosów na torsie zygzakowatym ruchem, jak kulka we flipperze.

- Pomyślałem, że przyjadę i się rozejrzę.

- Tak? Więc wpadł pan z wizytą.

- Jak moja żona.

Tarpin sprawiał wrażenie wytraconego z równowagi tym bezpośrednim nawiązaniem, jakby uważał, że to zagranie nie fair albo zbytnia poufałość. Rozgrzany, parujący, wyszedł na ścieżkę, nie zważając na zimno - było zaledwie dwa stopnie, według elektronicznego termometru w samochodzie. Beard, który miał w butach pięć stóp sześć cali wzrostu, wciąż stał z założonymi rękami w odległości siedmiu, ośmiu stóp i nie cofnął się, gdy Tarpin do niego podszedł. Nawet boso był wysokim facetem o szerokich barach, choć już o znacznie szczuplejszych nogach i udach - jak to budowlańcy - ale miał lekko zwiotczałą skórę na piersi, warstwę tłuszczu pokrywającą mięśnie oraz brzuch od piwa i niezdrowego jedzenia, i to znacznie bardziej wydatny niż Beard. I wyglądało na to, że zaraz spadnie mu ręcznik. Co Patrice robiła z takim mężczyzną, jeśli nie szukała w nim perfekcji, ideału, sobowtóra męża? Twarz Tarpin też miał dziwną. Było w niej coś szczurzego, nie brakowało jej uroku, ale sprawiała wrażenie za małej w stosunku do głowy. Jakby rysy drobniejszego mężczyzny, zarośniętego, ciekawskiego, wtłoczono w przestrzeń, której nie mogły wypełnić. Tarpin

wyłaniał się z własnej czaszki, jakby miał na sobie za duży czador. Od czasu gdy Beard widział go ostatnio, stracił ząb, górny siekacz. Beard poczuł się też zawiedziony, że nie widzi żadnego tatuażu: węża ani motocykla, ani też hymnu na cześć mamusi. Ale przecież, uświadomił sobie przelotnie, jest podstarzałym burzujem, który nie potrafi wyzwolić się od stereotypów. Tarpin był też za stary na piercing, natomiast na linii prawego ramienia miał wystającą na dobre pół cala narośl, znamię przypominające miniaturowe ludzkie ucho albo małą papugę noszoną kiedyś przez marynarzy. Kilka obrotów mocno związanej nitki dentystycznej załatwiłoby sprawę w tydzień, ale być może kobiety rozczulała taka skaza, czuły punkt u silnego mężczyzny, prowadzącego własną firmę, z trzema pracownikami. Patrice na pewno zbadalaby językiem jej chropawą powierzchnię.

- Co robię z pańską żoną, to moja sprawa - odparł Tarpin i zaśmiał się z własnego dowcipu. - Panu nic do tego.

Beard osłupiał na chwilę, bo była to całkiem zręczna riposta, i w tym samym momencie dotarło do niego, że ma ochotę, więcej, zamierza, i to zaraz, z całej siły kopnąć Tarpina w nagą goleń, tak żeby mu ją złamać. Ta wizja go podnieciła i serce zaczęło bić szybciej. Nie pamiętał, czy to te buty, czy jakieś inne, które dawno temu wyrzucił, miały stalowe okucia na czubkach. Ale to nie grało roli. Dziwne, że człowiek, którego kiedyś irracjonalnie lekceważył, traktował jako intruza zakłócającego mu spokój domowy, tym swoim wierceniem, niemelodyjnym pogwizdywaniem i nieustannym pyleniem, z radjkiem, z którego przez całe popołudnia płynęły infantylne teksty, ten najemny robotnik stał się jego przeciwnikiem, i to równym. Choć tylko on mógł uznać go za równego sobie. Jego koledzy zauważyli bowiem z upływem lat i czasami nad tym ubolewali, że podczas konfrontacji - zapewne pod wpływem fizyki teoretycznej - Beard wykazywał się zupełnym brakiem instynktu samozachowawczego, co było darem albo przekleństwem.

- Uderzył pan moją żonę - powiedział zduszonym z powodu przyspieszonego pulsu głosem.

Zdażył zerknąć już w dół na nieco odchylone od pionu golenie Tarpina, białe, porośnięte rzadkimi czarnymi włosami jak skóra źle oskubanego indyka. I teraz Beard, w młodości mimo nikczemnego wzrostu nawet niezły sportowiec, przeniósł ciężar ciała na lewą nogę. Pamiętał o tym, żeby podnieść dla równowagi ręce, i pomyślał, że gdyby miał czas, mógłby wykonać półobrót i zmiażdżyć przeciwnikowi obcasem palec u stopy.

Nie przyszło mu jednak do głowy, że wygląda na kogoś, kto przygotowuje się do ataku. Okrągła pierś falowała mu ciężko, szczupłe ramiona miał uniesione i napięte, a twarz ściągniętą, skupioną na podniecającym solipsystycznym rozumowaniu. Tarpin

prawdopodobnie nieraz jako dorosły brał udział w bójkach. Zamachnął się więc i zanim Beard zdążył się uchylić, otwartą dłonią uderzył go w prawy policzek i ucho. Rzeczywistość przestała istnieć i świat na chwilę zamienił się w brzęczącą połąć bieli. Potem wszystko wróciło do normy - Tarpin stał tam, gdzie poprzednio, ściskając ręcznik pod pachami, który widocznie obsunął się pod wpływem ruchu ręki.

- Następnym razem zabolę - zapowiedział.

Tak postępowali dawni bohaterowie filmowi wobec ukochanych kobiet, żeby je otrzeźwić. Budowlaniec potraktował Bearda jak kogoś, kto nawet nie zasługuje na porządną cios. I chyba jeszcze nie skończył. Ale, na szczęście, w tym momencie ze ścieżki z sąsiedztwa dobiegły dziecięce głosy, a potem ściszone okrzyki i tłumione chichoty wywołane widokiem na wpół nagiego przysadzistego sąsiada. Zza ogrodzenia na różnej wysokości wychynęły trzy niepewne buzie, które spjrzały na nich szeroko otwartymi oczami. Tarpin pospiesznie umknął do domu. Być może poszedł po większy ręcznik albo po płaszcz, ale Beard uznał, że pora się wycofać. Miał jednak swoją dumę i starał się nie robić tego w pośpiechu. Idąc podjazdem, obok motorówki spoczywającej w swojej kołysce i leżącej na boku budki telefonicznej, poczuł, że mimo zimna piecze go twarz - to uderzenie naprawdę bolało; w uszach słyszał niemilkący szum, elektroniczne bzyczenie, a kiedy dochodził do samochodu, zakręciło mu się w głowie i częściowo stracił słuch. Gdy uruchamiał silnik, spjrzał na dom i oczywiście zobaczył Tarpina, który w dresie i adidasach z powiewającymi sznurowadłami szedł ku niemu ciężkim krokiem. Beard nie widział jednak powodu, żeby zostać dłużej w Cricklewood.

*

W ciągu ostatnich trzech tygodni roku wszystko zaczęło się zmieniać. Przyszło zaproszenie na biegun północny - a przynajmniej tak przedstawił to samemu sobie i wszystkim innym. Tak naprawdę cel podróży leżał jednak znacznie poniżej osiemdziesiątego równoleżnika i Beard miał zamieszkać w „wygodnie urządzonej, ogrzewanej jednostce pływającej, z dywanami, dębową boazerią i kinkietami na korytarzach”, jak zapowiadał prospekt, czyli na statku, który stał sobie spokojnie w zamrzniętym fiordzie na Spitsbergenie, parę godzin jazdy skuterem śnieżnym na północ od Longyearbyen. Minusem był rozmiar kabiny, ograniczone możliwości korzystania z poczty elektronicznej i karta win, na której widniały jedynie północnoafrykańskie *vin de pays*. Do zespołu miało wejść dwudziestu artystów i naukowców zajmujących się zmianą klimatu, bo w odległości zaledwie dziesięciu mil znajdował się dramatycznie topniejący lodowiec, którego intensywnie niebieski

klif regularnie osuwał się w wody fiordu wielkimi jak dom blokami lodu. Do prowadzenia restauracji zatrudniono włoskiego szefa kuchni „o światowej renomie”, a przed niebezpiecznymi niedźwiedziami polarnymi w razie potrzeby miał bronić uczestników przewodnik ze strzelbą dużego kalibru. Beard nie musiał prowadzić żadnych wykładów - wystarczyła sama jego obecność - wszelkie koszty ponosiła fundacja, a nieunikniona emisja dwutlenku węgla podczas dwudziestu lotów tam i z powrotem, przejazdów skuterami śnieżnymi i przyrządzania sześćdziesięciu gorących posiłków dziennie, podawanych w warunkach polarnych, zostałaaby zneutralizowana przez posadzenie trzech tysięcy drzew w Wenezueli, gdy tylko znajdzie się odpowiedni teren i przekupi lokalnych urzędników.

Wkrótce po ośrodku rozeszła się wieść, że Beard wyjeżdża na biegun północny, aby „osobiście zobaczyć skutki globalnego ocieplenia”; jedni mówili, że będzie podróżował psimi zaprzęgami, drudzy, że sam będzie ciągnął sanie. Nawet on sam był tym zakłopotany i rozgłaszał, że jest „mało prawdopodobne”, aby dotarł do bieguna, i że większość czasu pewnie będzie przebywał „w obozie”. Jock Braby był zaskoczony jego oddaniem sprawie i zaoferował się, że urządzi przyjęcie pożegnalne w świetlicy.

W tym samym tygodniu, w którym nadeszło zaproszenie na biegun północy, wdał się w romans z niemłoda już księżową, którą poznał w pociągu i zaprosił na kolację. Była sympatycznie nudna, pracowała w firmie produkującej nawozy, i po trzech tygodniach miał ją z głowy. Najważniejsze jednak, że obsesja na punkcie żony zaczęła mu przechodzić - wprawdzie powoli i nie w sposób stały, ale wiedział już, że odbił się od dna. Smuciła go tylko świadomość, że wkrótce w ogóle przestanie pragnąć Patrice, bo zdał sobie sprawę z oczywistego faktu, że jest już po wszystkim, że trzeba będzie podzielić ten wygodny dom i cały majątek, i że po roku czy dwóch może już nigdy jej nie zobaczyć. Jednakże wizyta u Tarpina pomogła mu wzbudzić w sobie samym rozczerowanie. Jak mógł kochać kobietę, która pragnęła takiego mężczyzny? Dlaczego tak karała samą siebie? Żeby upokorzyć męża?

Czego jeszcze o niej nie wiedział? Jedną z odpowiedzi na to pytanie otrzymał tuż przed Bożym Narodzeniem, podczas długo odwołanej rozmowy, która zamieniła się w powściągliwą zimną kłótnię o ostatecznym charakterze. Otóż Patrice wiedziała od półtora roku, że matematyczka z Uniwersytetu Humboldta to zaledwie jedna z wielu jego kochanek. Znała prawie całą prawdę i krążąc po pokoju w szpilkach i robiąc dziury w podłodze, wyliczyła krótko nazwiska, miejsca i przybliżone daty, całe dossier, świadczące o obsesji porównywalnej z jego własną. Jak twierdziła, pogoda ducha, którą demonstrowała w domu, miała zamaskować jej rozpacz, a romans z Tarpinem - pomóc znieść upokorzenie. Chciała wiedzieć, czym Beard wytłumaczy jednaście romansów w ciągu pięciu lat. Już miał

przypomnieć jej własną matkę, która pobiła ten wynik, ale Patrice wyszła z pokoju. Nie chciała słuchać, tylko mówić. No to się doczekał - konfrontacji, na którą liczył od miesięcy. Teraz już nawet nie pamiętał dlaczego. Położył się na kanapie, z nogami na szklanym blacie stolika do kawy, zamknął oczy i poczuł tęsknotę za zimnym czystym powietrzem pozbawionej drzew Arktyki.

Załatwił to tak, żeby pojechać na Heathrow wprost z ośrodka, więc gdy w świetlicy odbywało się przyjęcie pożegnalne, pod budynkiem czekała na niego taksówka, a torba ze starymi ubraniami narciarskimi stała przy drzwiach. W tym czasie w ośrodku pracowało już sześćdziesiąt jeden osób i większość z nich tłoczyła się wokół Jocka Braby'ego, aby wysłuchać jego mowy, bo było to coś więcej niż pożegnanie, była to feta na cześć błyszczącego stalowego urządzenia, które stało na dwóch skrzyniach pośrodku pokoju - prototypu zaprojektowanego i skonstruowanego w rekordowym czasie, gotowego do testów w tunelach powietrznych w Farnborough, turbiny wiatrowej Aldousa o poczwórnej spirali. Wielu zauważyło, że kształtem bardzo przypomina helisę Cricka i Watsona, tylko bez szczebli, a niektórzy usiłowali sobie przypomnieć i zastosować słynną uwagę Rosalind Franklin, że to jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe albo mogło działać. Braby w swoim przemówieniu zwrócił zespołowi uwagę, że jest za wcześnie na gratulacje, że trzeba jeszcze dużo zrobić, ale chciał pokazać wszystkim, jak daleko zaszły już prace nad projektem i jaki może się okazać rewolucyjny. Z nietypowym dla niego liryzmem przywołał obraz miasteczka widzianego z pobliskiego wzgórza, jego pięciu tysięcy dachów błyszczących w zachodzącym słońcu, z obracającymi się srebrnymi turbinami, znacznie efektowniejszymi, jego zdaniem, od anten telewizyjnych, które tak zmieniły panoramę miast w latach pięćdziesiątych minionego wieku.

Przez cały ten czas Tom Aldous stał pod ścianą na końcu pomieszczenia i jakby unikał Bearda, któremu to wcale nie przeszkadzało, bo obaj wiedzieli, że projekt jest skazany na niepowodzenie i ujawnienie tego faktu byłoby nietaktem, gdy wszyscy tak się cieszyli. Braby zwrócił się następnie do Bearda i życzył mu wszystkiego najlepszego podczas ośmiodobowej podróży, z którą, jak wiedział, wiązały się niebezpieczeństwa i niewygody. Przypomniawszy pracownikom, że według prognoz klimatycznych najwcześniejsze i najbardziej wyraźne oznaki globalnego ocieplenia będzie można zaobserwować na Arktyce, i oświadczył, że jest dumny, iż to właśnie szef ośrodka - tu wielu zaśmiało się z sympatią - narazi się na trudy, żeby osobiście to zobaczyć.

Potem Beard wystąpił naprzód, żeby powiedzieć kilka słów. Nie miał pojęcia, skąd wzięła się informacja, że nie będzie go przez osiem tygodni. Miał wyjechać na zaledwie sześć

dni, lecz przecież nie mógł przeczyć koledze, i to publicznie. Nie wspominał też o ogrzewanym statku ani o kinkietach, ale za to przyznał, że jest dumny i podniecony myślą o udziale w przedsięwzięciu, które musi przynieść „coś wielkiego” - wolał nie wypowiadać się konkretniej - i zapowiedział, że pewnego dnia ich ośrodek prześcignie swojego amerykańskiego rywala w Golden w Kolorado. Jeszcze tylko toast, długo niemilknące oklaski, krótkie uściski dłoni, klepnięcia po plecach i Beard szedł już do taksówki z Jockiem Brabym, który niósł jego torbę. A gdy samochód odjeżdżał, kucyki - wśród których nie było Aldousa - zaczęły pokrzykiwać i walić w dach.

*

Mimo że spędzał w podróżach dużo czasu, nie lubił podróżować, nie dlatego że był nieorganizowany czy się bał; długie podróże zawsze wywoływały w nim pewną mentalną apatię, poczucie pustki, pełne niepokoju znudzenie, które, jak pomyślał, zapinając pas bezpieczeństwa na swoim siedzeniu, odzwierciedlały jego prawdziwy stan, przeważnie maskowany codzienną rutyną czy snem. Nie potrafił czytać w samolocie niczego poważnego. Nawet na stałym lądzie nigdy nie czytał książek w drodze. Był jednym z tych podróżników, którzy patrzą przez okno, niezależnie od tego, jaki rozciąga się za nim widok, albo na siedzenie przed sobą, albo przeglądają od końca czasopisma linii lotniczych. W najlepszym razie czytał popularne magazyny naukowe, jak „Scientific American”, który miał teraz z sobą, żeby orientować się ogólnie w tym, co działo się w fizyce. Ale nawet wtedy nie umiał się skoncentrować, bo, niestety, z nawyku stale szukał w nich własnego nazwiska. Widział je jakby wybite tłustym drukiem. Rzucało mu się w oczy na kolumnach drobnego druku, których wcale nie czytał, a czasami wręcz wyczuwał, że natknie się na nie po przewróceniu kartki. Rozpraszała go również nadmiernie rozwinięta świadomość dokładnej lokalizacji wózka z napojami w przejściu, cichego brzęku szkła i jego asymptotycznego zbliżania się. I, przy alkoholu czy bez, miał skłonność do oddawania się fantazjom seksualnym albo wspomnieniom, albo też jednemu i drugiemu.

Choć w uszach dźwięczały mu jeszcze radosne okrzyki kolegów, Beard robił, co mógł, gdy samolot obierał kurs na północ, aby się skupić i zagłębić w bogato ilustrowany artykuł poświęcony fotonom i antimaterii, ale oczywiście po pięciu minutach poczuł znajome przyspieszone bicie serca, dostrzegł bowiem w nawiasach całe wyrażenie: połączona teoria Bearda-Einsteina. Nie kondensacja Bosego-Einsteina, nie paradoks Einsteina-Podolsky'ego-Rosena, nie sam Einstein, ale autentycznie cała fraza, i w tej swojej radości jeszcze bardziej zamarzył o wózku, od którego dzieliło go dobre siedem i pół stopy. Dobrze zdawał sobie

sprawę, że miał szczęście - ze swoim niewielkim talentem podczepił się niczym dziecięcy rowerek na trzech kółkach do wielkiej ciężarówki, jaką był tamten światowy geniusz. Einstein przewrócił do góry nogami dotychczasowe koncepcje światła, grawitacji, przestrzeni, czasu i energii, położył podwaliny pod współczesną kosmologię, wypowiadał się na temat demokracji, istnienia czy też nieistnienia Boga, był rzecznikiem bomby, a potem jej przeciwnikiem, grał na skrzypcach, żeglował, miał dzieci, przekazał pieniądze za Nobla pierwszej żonie, wynalazł lodówkę. Beard, oprócz swojej teorii czy też jej połówki, nie miał na koncie żadnych dokonań. Jak rozbitek kurczowo trzymał się tej jednej deski, a i tak uważał się za uprzywilejowanego. Jak do tego doszło? Może to prawda, że członkowie komitetu, rozdarcie między trzema faworytami, po prostu wybrali czwartego kandydata. Niezależnie od tego, jak wypłynęło nazwisko Bearda, wszyscy mieli wrażenie, że wreszcie w fizyce brytyjskiej nastąpił jakiś zwrot, chociaż w niektórych kręgach szeptano, że komitet, dążąc do kompromisu, pomylił Michaela Bearda z sir Michaelem Birdem, utalentowanym pianistą amatorem, który zajmował się spektroskopią neutronową.

Pomijając zawistne plotki, cóż to był za stan łaski, te błogosławione miesiące gorączkowych obliczeń i korekt w starym probostwie South Downs, okres, który kojarzył mi się z narzekaniami pierwszej żony Maisie i nieustającym płaczem nierozróżnialnych bliźniaków z sąsiedztwa. Ależ wtedy potrafił się skoncentrować! Upłynęło już tyle czasu od tamtej pory, że z trudem przypominał sobie nawiedzonego faceta, którym wtedy był, i atmosferę tamtych dni. Czasami miał wrażenie, że całe jego życie opierało się na tajemniczej pracy tamtego młodego człowieka, znacznie bystrzejszego i bardziej oddanego nauce fizyka, niż mógłby się spodziewać. Musiał przyznać - ów dwudziestojednoletni naukowiec był geniuszem. Ale co się z nim stało? Czy rzeczywiście był to ten sam Michael Beard, którego praca tak zachwyciła Richarda Feynmana, że przerwał konferencję w Solvay w 1972 roku? Czy ktoś jeszcze pamiętał tę słynną „magiczną chwilę” i w ogóle to go interesowało? A jeśli chodzi o te wrzeszczące bachory, ze zdumieniem zobaczył w minionym roku, na ślubie jednego czy drugiego z nich, że byli to już otyli faceci po trzydziestce, dentysta i menedżer funduszu hedgingowego, obaj tak samo nadęci. Mieli tyle lat co jego teoria.

Po kilku drinkach, lunchu i kolejnych drinkach zauważył, że czasopismo zsuwa mu się z kolan, i spojrzawszy na przycisk pozwalający opuszczać oparcie znajdującego się przed nim fotela - nie dostał miejsca przy oknie - pogrążył się w rozmyślaniach, uznając przy tym za oznakę powrotu do zdrowia psychicznego to, że Patrice nie była jedynym ich tematem. Przesłano mu bowiem notki biograficzne oraz zdjęcia innych gości zaproszonych na skutny lodem fiord i jego uwagę przykuł uśmiech pewnej artystki konceptualnej, której nazwisko,

Stella Polkinghorne, nawet jemu obilo się o uszy. Ostatnio zrobił się wokół niej szum medialny, bo została oskarżona o naruszenie praw autorskich, choć w końcu nie postawiono jej przed sądem. Skonstruowała bowiem dla Tate Modern na boisku piłkarskim w Catford gigantyczną planszę do gry w monopol, o bokach liczących po trzysta stóp długości, na którą można było wejść, i postawiła na niej prawie naturalnej wielkości domy z Park Lane i Old Kent Road, do których można było zajrzeć, żeby zobaczyć niesprawiedliwą dystrybucję dóbr. W przestronnych mieszkaniach Mayfair - zbytek, gobeliny, drzeworyty Durera i poniewierające się butelki szampana, a przy Old Kent Road, w środowisku biedoty na East Endzie, papierki po żarciu z fast foodów, walające się strzykawki, mydlane opery na ekranie telewizorów. Kostki miały sześć stóp wysokości, karty lokalnego funduszu zapomogowego kładziono na miejsce za pomocą żurawi, banknoty z oślimi uszami wykonane ze sklejki tworzyły na trawie chwiejące się sześćdziesięciostopowe wieże. Miał to być w sumie, jak się domyślano, protest przeciwko kultowi pieniądza. Wyciągnięcie „Nie przechodź przez start” było przyjmowane pełnymi podniecenia okrzykami, piętnowane, fotografowane z góry przez pasażerów samolotów podchodzących do lądowania na Heathrow. Dzieci gromadami radośnie biegały po planszy, włożyły pod żetony wielkości kapeluszy. Twórcy gry wnieśli oskarżenie do sądu, ale wkrótce je wycofali, bo zostali publicznie wyśmiani, a sprzedaż gry wzrosła. Lokalne stowarzyszenie przedsiębiorców z Old Kent Road także wystąpiło do sądu, a przynajmniej zapowiadało, że to zrobi, ale potem nastąpiła cisza.

Bezcielesny uśmiech Polkinghorne towarzyszył następnie melancholijnym refleksjom Bearda na temat schyłku jego małżeństwa. Ogarnęła go całkiem przyjemna mieszanina smutku, złości, nostalgii (tamte pierwsze miesiące były naprawdę wspaniałe) i kojącego, rozgrzeszającego poczucia porażki. I powtarzalności. Pięć razy i wystarczy. Nie będzie więcej przez to przechodził i z tą myślą przyszła świadomość odzyskanej wolności. Kiedy już wszystko załatwią, kupi sobie małe mieszkanie w Londynie, będzie odpowiadał tylko za siebie i bronił zażarcie swojej niezależności, wyleczy się z tego dziwnego zwyczaju zawierania małżeństw. Potrzebne mu były kochanki, nie żony.

Nie zauważył nawet, jak przeszedł przez odprawę w Oslo, a potem w Trondheim. Lot do Longyearbyen był opóźniony o dwie i pół godziny, spędził je na plastikowym wyprofilowanym krześle, czytając „Herald Tribune” w całkowitym skupieniu, bez żadnych refleksji. Była trzecia w nocy, gdy jego taksówka zatrzymała się przy wielkich zaspach śniegu przed hotelem. Nie jadł nic od wielu godzin. Położył się do łóżka w swetrze, anoraku i kalesonach, opatulony z trzech stron grubymi wełnianymi kocami, i zjadł wszystkie słone przekąski z minibaru, a potem także słodkie, a kiedy o ósmej rano obudziła go recepcja z

informacją, że wszyscy już czekają na niego na dole, wciąż ścisnął w dłoni opakowanie po marsie.

Przede wszystkim musiał zaspokoić pragnienie, ale woda z kranu w umywalce była tak lodowata, że zmroziła mu usta i przełyk, a na twarzy i skroniach czuł piekący ból, gdy wciąż ledwie przytomny z niewyspania schodził z bagażami do lobby, żeby poznać kolegów - już po śniadaniu, rozkrzyczanych i zasuwających zamki przy specjalnych kombinezonach do jazdy na skuterach. W ciemnym świetle z generatorów słonecznych i ścisną grubo ubranych ciał nie zauważył Stelli Polkinghorne. Tak, już zapomniawszy, jak nienaturalnie ożywieni potrafią być Anglicy, gdy znajdują się w większych grupach. Z różnych stron zatłoczonego pomieszczenia dochodziły pojedyncze wybuchy śmiechu i zbiorowe chichoty. A była dopiero ósma rano. Przywołując na twarz wymuszony uśmiech i dzielnie udając, że nie jest wcale zmęczony ani przytłoczony, uściśnął mnóstwo rąk, usłyszał wiele nazwisk i żadnego z nich nie zapamiętał, bo myślał tylko o kawie, na którą nie zdążył. Jak miał bez niej zacząć dzień? Termos był pusty, dziewczyna sprzątajaca już ze stołu po śniadaniu nie znała angielskiego, nie rozumiała nawet międzynarodowego słowa „kawa”, mimo że wymawiał je głośno i powoli. Jeden z organizatorów, wysoki zwałisty facet o imieniu Jan, powiedział mu, że jest już za późno na kawę, i zaprowadził go do jego własnej sterty ubrań wierzchnich, mówiąc, że musi się pospieszyć, za dwie godziny ma nadejść burza śnieżna i grupa powinna ruszać w drogę.

Wszyscy powoli wychodzili, a on wciąż nie był gotowy. Mamrocząc coś z niezadowoleniem, zjawił się jakiś starzec z zaśnieżoną brodą i wilgotnym niezapalonym papierosem w kąciку ust, chwycił torbę Bearda, rzucił ją na sanie doczepione do skutera śnieżnego i odjechał. Zarówno kelnerka, jak i Jan zniknęli i Beard został sam w lobby. Pamiętał to z czasów szkolnych, nie tylko świadomość, że się spóźnia, ale poczucie, że jest niezdarny, gapowaty, żalony, podczas gdy wszyscy inni są doskonale zorganizowani i sprzysięgli się przeciwko niemu. Beard, ten tłuścioch, zawsze ostatni, prawdziwa zawada podczas gier zespołowych. Chociaż był już ubrany na cebulkę w strój narciarski, miał naciągnąć na siebie jeszcze tę dodatkową skórę i włożyć drugą parę butów. Czekają też na niego rękawiczki wewnętrzne i wielkie rękawice zewnętrzne, gruba czapka kominiarka zrobiona z dywanu, którą miał nasadzić na swoją własną, a także gogle i kask motocyklowy.

Wbił się w kombinezon - który musiał ważyć ze dwadzieścia funtów - naciągnął czapkę kominiarkę, wcisnął kask na głowę, włożył obie pary rękawiczek, po czym uzmysłowił sobie, że nie da rady założyć w nich gogli, zdjął je więc, włożył gogle, a potem ponownie rękawice, a wtedy przypomniał sobie o własnych goglach i rękawicach, piersiówce

i ochronnej szmince do ust, które leżały na fotelu obok i musiał je gdzieś schować. Zdjął obie pary rękawic, wsadził te wszystkie rzeczy do kieszeni kurtki pod kombinezonem, wcześniej walcząc z suwakiem, włożył z powrotem jedne i drugie rękawice, i stwierdził, że w wilgotnym ciepłym powietrzu zaparowują mu gogle. Zgrzany i wykończony - co stanowiło nieprzyjemną kombinację - zatrzymał się ze zniecierpliwieniem, odwrócił gwałtownie i z głośnym trzaskiem wpadł na słup czy kolumnę; nie mógł się zorientować, co to było. Na szczęście noblista miał na głowie kask. Nic mu się nie stało, ale w lewej części gogli pojawiło się pionowe pęknięcie, szczelina, w której załamywało się i rozpraszało mętne żółte światło lobby. Żeby zdjąć kask, kominiarkę i gogle, musiał ściągnąć wszystkie cztery rękawice, a ponieważ spocily już mu się ręce, okazało się to wcale nie takie łatwe. Zdjąwszy gogle, podszedł do znajdującego się na wprost stołu śniadaniowego, z którego już prawie wszystko zabrano, i wziął zmiętą papierową serwetkę, wprawdzie używaną, ale jeszcze nadającą się do użytku, żeby przetrzeć szkła. Czy było to masło, czy owsianka, czy może marmolada - w każdym razie rozsmarowało się na i tak już porysowanym plastiku, ale przynajmniej stał parę i po naciągnięciu kominiarki już bez większych trudności nałożył gogle na kask, a następnie je opuścił, a potem włożył wszystkie cztery rękawice i rozejrzał się wokół gotowy stawić czoło żywiołom.

Pole widzenia znacznie ograniczała mu nowa warstwa resztek ze śniadania, bo inaczej na pewno wcześniej zauważyłby leżące po obu stronach fotela śniegowce. Zdjąwszy rękawice - nie zamierzał tracić panowania nad sobą - i stoczywszy walkę ze sznurowadłami, uznał, że lepiej będzie widział bez gogli. Kiedy wreszcie odzyskał możliwość widzenia, stwierdził, że śniegowce są dla niego o wiele za małe, przynajmniej o trzy numery, ale pewną ulgę przyniosła mu świadomość, że wobec tego nie on jeden jest niekompetentny. Nie chcąc jednak dać za wygraną, postanowił, że da im jeszcze jedną szansę, i Jan, który wszedł do lobby z podmuchem lodowatego powietrza, zastał go, gdy próbował wcisnąć stopę w butcie turystycznym do futrzanego śniegowca.

- Mój Boże, zwariowałaś czy co?

Potężny mężczyzna przykląkł przed nim, niecierpliwymi ruchami ściągnął mu buty turystyczne, zawiązał razem sznurowadła i zarzucił mu połączoną parę na szyję.

- Spróbuj teraz.

Beard wsunął stopę do śniegowca, Jan szybko zawiązał sznurówki i wstał.

- No, chodź, człowieku. Idziemy!

Znowu zaparowały mu gogle, może z powodu zakłopotania, ale miał jako takie pojęcie, gdzie są drzwi, a poza tym widział zarys ramion Jana, które wyznaczały kierunek.

- Jeździłeś już kiedyś skuterem śnieżnym?
- Oczywiście - skłamał.
- Świetnie. Musimy dogonić resztę.
- Jak daleko do statku?
- Siedemdziesiąt dwie mile.

Gdy wyszli na zewnątrz, wiatr uderzył go w twarz, i to równie mocno jak Tarpin, co wywołało podobne pieczenie. Para wodna na goglach natychmiast zamarzła, tak że w warstwie marmolady pozostała tylko mała dziurka, przez którą dojrzał sylwetkę Jana oddalającego się ścieżką w głębokim śniegu między zarysami budynków. Po dziesięciu minutach dotarli do osiedla na skraju wielkiej białej równiny niknącej dalej we mgle. Mogło to być lądowisko, ponieważ w pobliżu trzepotał pomarańczowy rękaw lotniskowy unoszący się w niemal poziomej pozycji. Przy rowie stały dwa skutery śnieżne, które z rykiem emitowały własną czarno-niebieską mgiełkę.

- Jadę za tobą - rzucił Jan. - Minimalnie trzydzieści mil na godzinę, jeśli chcemy zdążyć przed burzą. Okay?

- Okay.

Ale nie było okay. Wiatr okazał się bardzo silny, a oni mieli jechać w kierunku, z którego wiał. Beard już tracił czucie w opuszkach uszu głęboko pod kaskiem - tak samo jak w czubku nosa i palcach u stóp. Żeby cokolwiek widzieć, musiał zadzierać głowę i spoglądać pod kątem przez coraz mniejszą dziurkę o jako takiej przejrzystości, unikając jednocześnie patrzenia przez przepuszczające światło pęknięcie przed lewym okiem. Jednakże wszystko to były drobiazgi, ze ślepotą i bólem mógł jeszcze jako tako funkcjonować. Kiedy odwrócił się do swojego skutera, zaniepokoił go inny, bardziej palący problem. W pośpiechu i zamroczeniu darował sobie tego rana wszystkie codzienne czynności. Nie ogolił się, nie umył, do łazienki wszedł tylko po to, żeby napić się zimnej wody. Potem wybiegł z torbą z pokoju. Na dworze było minus dwadzieścia sześć stopni, wiał wiatr o sile pięciu stopni, czas uciekał, bo zbliżała się burza śnieżna, Jan już siedział okrakiem na swoim skuterze i grzał silnik, a Beard, spowity wieloma warstwami rozmaicie zapinanych ciuchów, poczuł, że musi się wysikać.

Uważnie rozejrzał się wokół. Najbliższe zabudowania znajdowały się w odległości czterystu jardów; na wielkich białych ścianach dostrzegł jedno czy dwa małe okienka - to na pewno były toalety. Och, znaleźć się tam, w wyłożonym kafelkami ogrzewanym pomieszczeniu, w piżamie, na bosaka, i wysikać spokojnie, a potem wskoczyć z powrotem pod kołdrę jeszcze na godzinę. Mógł tam pójść, rowem, z wiatrem wiejącym w plecy, zdejść

rękawice, gołymi palcami rozpiąć zamrażnięty, oporny suwak kombinezonu, wsadzić rękę pod kurtkę, wymacać sprzączki na ramieniu i jakoś zsunąć spodnie narciarskie, sięgnąć pod sweter, koszulę, długi jedwabny podkoszulek, długie kalessy, majtki, żeby wreszcie poczuć ulgę, o której nie śmiał nawet marzyć. Nie, to zbyt skomplikowane, będzie musiał wytrzymać, a poza tym, gdy usiadł na siodełku skutera, już go tak nie piliło.

Był to skuter o małej mocy silnika, na płozach, łatwy do prowadzenia. Jeden obrót dźwignią gazu przy prawej ręczce kierownicy i maszyna ruszyła przed siebie z rykiem przeciążonego silnika, w obłoku śmierzących czarnych spalin. W ciągu kilku sekund mknął już równiną, podskakując na wybojach, po widocznych przez szparę w goglach śladach pozostawionych przez resztę grupy, które na szczęście oświetlał z boku blask wschodzącego słońca. Wiatr, który nagle zaczął wiać z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę, przedarł się przez kolejne warstwy jego ubrania, włosy w nozdrzach zamieniły się w stalowe igły, zęby, wszystkie zęby, stały się źródłem straszliwego bólu, a twarz zaczęła piec tak, jakby została odarta ze skóry. Przedziwnym skutkiem osmozy wydychane przez niego powietrze dostawało się pod gogle i zamarzało, i po dziesięciu minutach przed oczami miał już tylko rozmazane kryształki, więc musiał się zatrzymać. Jan zrobił to samo. O dziwo, wykazał zrozumienie.

- Zrób tak.

Podniósł klapę w cienkiej blaszanej obudowie skutera i położył gogle na rozgrzanym silniku. Znajdowali się na grobli o szerokości trzystu jardów, pomiędzy dwoma jeziorami, a możliwe, że to była zatoka i do morza pozostało już niewiele drogi. Beard zbyt przemarzł, żeby o to zapytać. Bezkresna połać śniegu wydawała się pomarańczowa w porannym słońcu, widoczne przed nimi ślady prowadziły prosto ku niskim górcom wiele mil dalej, nad którymi - albo za którymi - wisiała podłużna czarna chmura. Chętnie, gdy tak stali, odszedłby na bok, żeby sobie ulżyć, ale wiatr nasilił się jeszcze bardziej, a może potrzeba nie była już taka nagląca. To niewiarygodne, pomyślał, wprost skandaliczne, że mieszkańcy Spitsbergenu, w takim klimacie, jeżdżą na czymś w rodzaju motocykli, podczas gdy jakiś przyzwoity, zamknięty pojazd z ogrzewaniem, przednią szybą i wygodnym siedziskiem - czyli po prostu samochód! - mógłby uratować życie niejednemu z nich. Ale to tylko na krótko wywołało w nim oburzenie, bo gdy znowu zajął miejsce na siodełku, wkładając odlodzone gogle i ponownie ruszając w ryczący wiatr, zdał sobie sprawę, że dotarł do punktu, w którym musi natychmiast dokonać wyboru: albo zatrzyma się i wysika, albo pęknie mu pęcherz, powodując śmierć na skutek zakażenia wewnętrznego, albo odleje się i zamarźnie. Jechał jednak dalej. Z jego kalkulacji wynikało, że pozostało im do przebycia jeszcze mniej więcej

sześćdziesiąt mil, bo jechali jakieś dwadzieścia pięć mil na godzinę. Dwie i pół godziny. Nie da rady.

Ale się nie zatrzymywał. Żeby się na czymś skupić, usiłował sobie przypomnieć, kiedy sikał ostatni raz. Pewnie jeszcze na lotnisku w Longyearbyen, gdy czekał na bagaż, w środku nocy, przedwczoraj. Trzydzieści pięć godzin bez opróżniania pęcherza. Czyżby po prostu o tym zapomniał? Był aż tak zajęty?

W chwili gdy zrozumiał, że z zimna stracił orientację i dodał jeden dzień, z przejścia zahamował i spadł ze skutera w śnieg. Usłyszał, że pojazd Jana wpada na jego skuter, ale się nie oglądał, tylko pospiesznie odszedł na bok. Ukształtowanie terenu uległo zmianie. Jechali teraz jakby płytkim rowem o kształcie litery S otoczonym z obu stron ścianami skał i lodu wysokości trzydziestu stóp. Kierując się resztkami poczucia przyzwoitości, podszedł pod lodową ścianę, jakby był tam pisuar, i zębami ściągnął wierzchnią rękawicę z prawej dłoni. Usłyszał, że Jan coś do niego woła, ale nie chciał wiedzieć co. Zdjął wewnętrzną rękawiczkę, przygryzając kolejno jej palce, ale wyswobodzona dłoń w jednej chwili skostniała, tak że nie mógł nią sprawnie poruszać. Rozpięcie suwaka przy kombinezonie zajęło mu ponad dwie minuty, potem jednak okazało się, że potrzebuje obu rąk, żeby sięgnąć pod kurtkę, do sprzączek od szelek przytrzymujących na ramionach spodnie narciarskie, więc prawą, nieporadną dłonią ściągnął rękawicę z lewej. Znowu na jego goglach pojawiła się para, która zaczęła zamarzać. Z podziwem jednak odnotował własny spokój, kiedy przedzierał się przez kolejne warstwy ubrania, podczas gdy cenne ciepło uchodziło na zewnątrz i łączyło się z przejmującym zimnem, a wiatr chłostał mu plecy i twarz, uderzając we wznoszący się przed nim klif. Dopiero w ostatnich sekundach pomyślał, że może stracić panowanie nad sobą, gdy jego zdrętwiała różowawa ręka, zimna, jakby należała do kogoś innego, wsuwała się do majtek. W końcu jednak, z okrzykiem radości, który poniósł wiatr, trysnął moczem w lodową ścianę.

Popełnił jednak ten błąd, że na końcu odczekał kilka sekund, jak to mężczyźni w jego wieku, licząc, że jeszcze może coś z siebie wycisnąć. Powinien był skrócić głowę i posłuchać, co krzyczy Jan. Ale być może uniknąłby swojego losu tylko wtedy, gdyby przyjął jakieś inne zaproszenie, na Seszele, do Johannesburga czy San Diego, albo - gdy później zastanawiał się nad tym z pewną goryczą - gdyby zmiany klimatyczne, rzekome gwałtowne ocieplenie odnotowane nad kręgiem polarnym, były faktem, a nie wytworem wyobraźni aktywistów. Kiedy zrobił swoje, stwierdził, że jego penis przywarł do suwaka przy kombinezonie, przymarzył do niego na całej długości, tak jak tylko żywe ciało może przywrzeć do metalu w temperaturze poniżej zera. Kolejne cenne sekundy stracił, gapiąc się na to z przerażeniem.

Kiedy wreszcie ostrożnie pociągnął za siusiaka, poczuł silny ból. A z zimna bolało go już właściwie wszystko.

Wciąż stał na rozstawionych nogach przed skalną ścianą. Bał się uwolnić jednym szybkim ruchem, jak przy odrywaniu plastra. Czytał historię pewnego Amerykanina, wędrującego samotnie przez dzikie tereny, któremu między skałami uwiązał łokieć, więc odciął go sobie scyzorykiem. Beard nie należał do takich twardzieli, a w dodatku łokieć, przedramię, dłoń występowały w parach i można je było poświęcić. Gdy wiatr smagał ścianę klifu i miotał jego drżącym ciałem, zauważył z przerażeniem, że penis wciąż się kurczy i coraz bardziej przymarza do suwaka. I nie tylko zmniejszał się na jego oczach, ale też stawał się coraz bielszy. Nie biały jak czysta kartka, ale jak lśniąca bombka choinkowa.

Był bliski paniki, ale nie mógł się zmusić, żeby zawołać o pomoc. Trudno zresztą było nie wpaść w panikę pod tłumiającą wszystkie dźwięki grubą jak dywan kominiarką, ciężkim kaskiem i goglami coraz bardziej ograniczającymi widoczność. Ponieważ nie wiedział, co innego mógłby zrobić, nakrył członek dłonią... dłonią przypominającą blok lodu. Nagle poczuł, że robi się ospały, nawet senny, jak to się dzieje z ludźmi na dużym mrozie, i jego myśli jakby zwolniły bieg. Ujrzał przed oczami Jocka Braby'ego, który z łagodnym uśmiechem zawiadamia w telewizji o jego śmierci. „Pragnął osobiście zobaczyć skutki globalnego ocieplenia”. Bzdury, oczywiście, że przeżyje. Ale co to za życie - bez członka. Ależ ubawią się jego byłe żony, zwłaszcza Patrice. Choć przecież nikomu by nie powiedział. Żyłby sobie spokojnie ze swoją tajemnicą. Może poszedłby do klasztoru, zajął się działalnością dobroczynną, odwiedzał biednych. Gdy tak stał niezdecydowany, po raz pierwszy w swoim życiu zaczął się zastanawiać, czy ludzkie życie ma sens i czy kierują nim jakieś wyższe istoty, jak greccy bogowie, które bawią się nim, szukają zemsty, wymierzają według swoich surowych zasad sprawiedliwość.

Jednakże tkwiący w Michaelu Beardzie racjonalista nie chciał się tak łatwo poddać. Miał przed sobą problem i powinien przynajmniej spróbować go rozwiązać. Smętnie wsadził rękę do kieszeni. Po studiach przez jakiś czas zajmował się kriofizyką, a nawet jeszcze w szkole, jako grubas Beard, ofiara na zajęciach sportowych, ale za to kujon, znał jej podstawy. Czysty etanol zamarza, jak wszyscy wiedzą, w temperaturze minus sto czternaście stopni. Czterdzieści procent zawartości alkoholu w brandy stanowi etanol, więc punkt zamarzania wynosi... minus czterdzieści pięć i sześć dziesiątych. W końcu ujął w ręce piersiówkę, odkręcił ją po krótkiej szamotaninie, ulał obficie alkoholu na libację i po kilku sekundach był już wolny.

Jego nieszczęsny fiut, gdy wkładał go do majtek, był zimny i twardy jak lód, ale już

nie taki biały. Zaczął go też palić, był to przenikliwy kłujący ból, jakby powodowany przez gorące igły, który utrudniał mu ruchy, gdy się ubierał. Po dziesięciu minutach Beard, w końcu znowu opatulony, odwrócił się i powłókł z powrotem na szlak. Przewodnik czekał na niego niecierpliwie.

- Przepraszam. Zew natury.

Jan chwycił go za łokieć.

- Jesteś w kiepskiej formie, stary. Patrz, buty spadły ci z szyi. Pojedziemy obaj na moim skuterze. Po twój wrócimy później.

Podszedł za Janem do jego skutera i wtedy nastąpiło prawdziwe nieszczęście. Gdy podniósł nogę, żeby usadowić się za przewodnikiem, poczuł, a nawet odniósł wrażenie, że słyszy, straszliwy rozdzierający ból w kroczu, jak podczas porodu czy pęknięcia lodowca. Wrzasnął i Jan się odwrócił, żeby pomóc mu usiąść.

- Jeszcze tylko godzina, najwyżej. Nic ci nie będzie - powiedział uspokajająco.

Wtedy Beard poczuł, że od jego genitaliów odpadło coś zimnego i twardego, co osunęło się w nogawkę kalesonów i zatrzymało tuż nad rzepką w kolanie. Wsunął rękę między nogi, ale nic nie wymacał. Położył więc dłoń na kolanie i tajemniczym przedmiocie, długości niespełna dwóch cali, sztywnym jak kość. Nie przypominał, a przynajmniej już nie przypominał, należącej do niego części ciała. Jan uruchomił silnik i ruszyli z szaloną prędkością przed siebie, przechylając się nad lodowymi, twardymi jak beton zaspami, skręcając ostro wokół prawie pionowych ścian jak beztroscy mistrzowie na welodromie. Dlaczego nie był w swoim domu, w łóżku? Beard kulił się przed wiatrem za szerokimi plecami Jana. Ból w kroczu się rozprzestrzenił, fiut się przesunął i spoczywał teraz pod kolaniem, w jego zgięciu, a oni mknęli w złym kierunku, pędzili w stronę bieguna, jeszcze dalej w dzicz, w lodowaty mrok, podczas gdy powinni jechać jak najszybciej na pogotowie w Longyearbyen, do jaskrawo oświetlonej sali operacyjnej. Na pewno zimno działało na jego korzyść, utrzymywało organ przy życiu. Tylko co z mikrochirurgią? W Longyearbyen, liczącym zaledwie tysiąc pięciuset mieszkańców? Beard pomyślał, że zaraz zwymiotuje, ale wsadził ręce za pas przy kurtce Jana, oparł głowę na jego plecach i przysnął. Obudziło go nagle wyłączenie silnika i zobaczył przed sobą, majaczący na tle lodu, ciemny kadłub statku, w którym miał spędzić nadchodzący tydzień.

*

Okazało się, że Beard jest jedynym naukowcem w grupie artystów zaangażowanych. Cały świat, ze wszystkimi swoimi szaleństwami, które między innymi doprowadziły do

ocieplenia się klimatu na tej planecie, znajdował się na południu, czyli, jak się wydawało, wszędzie indziej, tylko nie tu. Wieczorem, przed kolacją w mesie, organizator Barry Pickett, sympatyczny, pomarszczony facet, który samotnie przepłynął Atlantyk, a potem poświęcił się nagrywaniu dźwięków natury (szelestu liści, szumu fal), zwrócił się do uczestników Seminarium Osiemdziesiątego Równoleżnika.

- Jesteśmy gatunkiem towarzyskim - zaczął w języku biologicznym, który zawsze budził w Beardzie nieufność - i nie przeżyjemy, jeśli nie będziemy przestrzegać pewnych podstawowych zasad. Tu, w tych warunkach, są one tym ważniejsze. Pierwszy z nich dotyczy szatni.

Sprawa była dość prosta. Pod sterownią znajdowała się ciasna, słabo oświetlona przebieralnia. Każdy, kto wchodził na pokład, musiał zatrzymać się tam i zdjąć ubranie wierzchnie. Pod żadnym pozorem nie wolno było wносить do części mieszkalnej mokrych, zaśnieżonych ani oszronionych części garderoby. Należały do nich także kaski, gogle, kominiarki, rękawice, buty, przemoczone skarpety i kombinezony do jazdy na skuterach. Mokre, zaśnieżone, oblodzone czy suche miały pozostać w przebieralni. Karą za złamanie tej zasady była pewna śmierć. Ze strony pocziwych artystów, praktycznych ludzi o różowych twarzach, w grubych swetrach i koszulach roboczych, rozległ się wyrozumiwały śmiech. Beard, który wcisnął się w kąt z piątym już kieliszkiem libańskiego *vin de pays* i przysypiał na skutek leków przeciwbólowych, zawsze nieprzychylnie nastawiony do wszelkich grup zorganizowanych, uśmiechnął się sztucznie. Nie lubił należeć do żadnej grupy, ale nie chciał, aby grupa to wyczuła. Potem zaczęto omawiać dalsze zasady i procedury dotyczące współżycia i jego uwaga skupiła się na czymś innym. Zza pleców Picketta, z kambuza za wyłożoną dębowym fornirem ścianą doszły zapachy smażonego mięsa i czosnku, a także szczepek łyżek uderzających o garnki i nieznoszące sprzeciwu pokrzykiwania międzynarodowego szefa kuchni, który poganiał jakiegoś podwładnego. Trudno było ignorować kuchnię o ósmej dwadzieścia, kiedy od wielu godzin nie miało się nic w ustach. Możliwość jedzenia wtedy, gdy naszła mu ochota, należała do tych wolności, które Beard zostawił za sobą na głupim południu.

Słońce w ciągu całego dnia wzniosło się zaledwie pięć stopni na horyzoncie i o wpół do trzeciej, jakby rezygnując z tego niewdzięcznego obowiązku, zaczęło zachodzić. Beard zaobserwował ten moment przez luk przy swojej koi, gdy leżał w agonii. Zauważył, że pokryta śniegiem połać fiordu staje się niebieska, a potem czarna. Jak mógł sobie wyobrażać, że pobyt przez osiemnaście godzin dziennie z dwudziestoma innymi ludźmi w ograniczonej przestrzeni przyniesie mu jakąkolwiek wolność? Po przyjeździe, gdy przechodził przez mesę

w drodze do swojej kabiny, pierwszą rzeczą, jaką zauważył, była stojąca w kącie gitara, która z pewnością czekała na kogoś, kto na niej zagra, wzywając innych do śpiewu. Zauważył też spory regał z książkami, gry planszowe i stare karty. Równie dobrze mógłby przenieść się do domu starców. Wśród gier na pewno nie brakowało monopolu, który stanowił kolejną przyczynę jego żalości. Jan pomógł mu zsiąść ze skutera śnieżnego, prawie przeniósł go przez trap i zaprowadził do przebieralni. Poruszając się ślamazarnie, wśród jęków i postękiwań, Beard przystąpił do zdejmowania wierzchnich warstw ubrania; rozpiął suwak kombinezonu, przerażony tym, co zaraz zobaczy. Po chwili znalazł w mroku wolny wieszak, który mógłby zająć - z numerem dwadzieścia osiem - a gdy to wreszcie zrobił, usłyszał miły, niski kobiecy głos:

- Coś wypadło panu z nogawki spodni.

Odwrócił się. Była to Stella Polkinghorne, która podała mu coś cienkiego i szarego. Trzymała to między kciukiem a palcem wskazującym.

- To chyba szminka ochronna.

Przedstawiła mu się, on przedstawił się jej i podali sobie ręce. Powiedziała, że jest zaszczycona, mogąc poznać tak wielkiego naukowca, a on odparł, że od dawna podziwia jej działalność artystyczną. Dopiero wtedy puścili swoje dłonie. Nie była to piękna twarz, ale szeroka i sympatyczna, z jasnymi włosami, które wysuwały się spod wełnianej czapki. Spodobało mu się zaciekawione spojrzenie. Ułamany przedni ząb przydawał jej bez troski, figlarności. Stella dodała, że nie mogła się doczekać, kiedy go pozna, więc odwzajemnił się zapewnieniem, że też bardzo chciał ją poznać, a wtedy się zawahała, jakby nie chciała odejść i nie mogła wymyślić, co by tu jeszcze powiedzieć - podobnie zresztą jak on, bo rozpraszał go ból. Rzuciła więc:

- No, to do zobaczenia - i przeszła przez przebieralnię, wkraczając na statek.

Przez całe popołudnie leżał na koi, snuł głupie wizje i użalał się nad sobą; raz po raz oglądał uszkodzenia ciała, planował natychmiastowy wyjazd i odtwarzał w myślach niedawne spotkanie. Mógł wysłać do siebie e-mail, w którym wzywano by go pilnie do Anglii, ale nie był w stanie znieść myśli o powrotnej jeździe skuterem na lotnisko. Z Longyearbyen musiałby przylecieć po niego helikopter. Ile to by kosztowało? Może i z tysiąc funtów za godzinę. A więc trzy godziny warte każdego pensa, byle tylko uniknąć śpiewania *Ten Green Bottles*. I tych ludzi, którzy nie mogli się już doczekać, żeby go poznać. To przecież nic nie znaczyło. Nie, znaczyło jedno. I co za szczęście - z informacji na tablicy ogłoszeń wynikało, że tylko on miał własną kabinę. Ale nie nadawał się do niczego, wypadł z gry pewnie na całe tygodnie. Sprawdził jeszcze raz. Jego obrażenia przypominały oparzenie, był w tym miejscu

opuchnięty i różowy, chciał być sam, pragnął wrócić do domu, wieczorem powinien spróbować usiąść obok Stelli przy kolacji. Ale przecież już go tu nie będzie. Przyleci po niego helikopter. Jednakże nie wyruszy w drogę po nocy. Mogliby uprawiać seks inaczej czy raczej ona mogłaby uprawiać. Tylko jaki w tym sens? A może już mu się poprawia. Zajrzał znowu.

W końcu głód i pragnienie wyгнаły go z kabiny. Po przemówieniu Picketta Beard nie zdążył wygramolić się w porę ze swojego kąta, żeby zająć miejsce przy Stelli Polkinghorne, znalazł się natomiast między grodzią a sławnym rzeźbiarzem tworzącym w lodzie, który pochodził z Majorki i miał na imię Jesus; był to starszy mężczyzna o smutnej twarzy i z żółtawosiwym wąsem, zalatujący cygarami, z głosem o chrapliwym brzmieniu przypominającym pomruk niedźwiedzia. Gdy przedstawili się sobie, Beard uprzejmie zagaiał, że chyba trudno zajmować się czymś takim na Balearach. Jesus wyjaśnił, że w dawnych czasach w górach stały chaty z lodem, z których latem handlarze ryb brali wielkie bryły - w ten sposób jego dziadek nauczył się ciąć lód i przekazał tę umiejętność swojemu synowi, który następnie przekazał ją jemu. Jesus wygrał wiele konkursów na rzeźby w lodzie w różnych miastach na świecie - ostatni w Rijadzie - a jego specjalnością były pingwiny. Kiedy nie zajmował się rzeźbiarstwem, importował whisky. Miał czterech synów i pięć córek, i przed dwudziestoma laty założył pod Andratksem szkołę dla niewidomych dzieci. Żona z dwoma synami prowadziła gaj oliwny i winnicę w Tramuntanie, wysoko na klifie morskim dziewięć mil na południe od Pollensy, niedaleko tej słynnej Cova de ses Bruixes, czyli Jaskini Czarownic. Beard miał wrażenie, że czuje się lepiej, środki przeciwbólowe działały również euforycznie. Dawno nic nie smakowało mu tak bardzo jak stek z frytkami i zieloną sałata oraz czerwone wino, które przed nim postawiono. A Jesus - nie znał nikogo o takim imieniu, choć wiedział, że jest dość popularne w Hiszpanii - wydawał mu się najciekawszym człowiekiem, jakiego spotkał w ostatnich latach.

W odpowiedzi na pytanie, czym on z kolei się zajmuje, Beard wyjaśnił, że fizyką teoretyczną. To zawsze brzmiało jak kłamstwo. Rzeźbiarz zamilkł na chwilę, być może, aby przygotować sobie kolejne pytanie po angielsku, a następnie je zadał. Było dość zaskakujące. Señor Beard wybaczy niewykształconemu człowiekowi naiwność i ignorancję, ale czy dziwna rzeczywistość opisywana przez mechanikę kwantową to prawdziwy świat, czy jest to po prostu opis, który przypadkiem działa? Przejmując od Hiszpana kwiecisty styl, Beard skomplementował go za to pytanie. Sam lepiej by tego nie wyraził, bo nie ma trafniejszego pytania, jeśli chodzi o teorię kwantową. To kwestia, która przez wiele lat niepokoiła Einsteina, skłaniając go w końcu do przyjęcia wersji, że teoria jest prawdziwa, ale niekompletna. Intuicyjnie nie mógł się zgodzić, że nie ma rzeczywistości bez obserwatora lub

że ta rzeczywistość jest zdefiniowana przez obserwatora, jak twierdzili Bohr i cała reszta. Zgodnie z jego pamiętnym stwierdzeniem, że istnieje „faktyczna rzeczywistość”. „Czy jeśli obserwatorem byłaby mysz - zapytał kiedyś - to zmieniałoby postać wszechświata?”. Mechanika kwantowa zakłada, że pomiar stanu jednej cząstki może momentalnie określić bezpośrednio stan innej, nawet jeśli znajduje się ona w dużej odległości. Ale ma to charakter „duchowy” w opinii Einsteina, jest to „upiorne oddziaływanie na odległość”, bo nic przecież nie porusza się szybciej od światła. Beard jako realista współczuł Einsteinowi z powodu tej długiej, zakończonej porażką batalii z błyskotliwą koterią pionierów fizyki kwantowej, ale należało spojrzeć prawdzie w oczy: eksperymenty dowiodły, że mogą zachodzić niepokojące korelacje o dużym zasięgu i że struktura rzeczywistości w małej i dużej skali tak naprawdę nie przeczy zdrowemu rozsądkowi. Einstein był również przekonany, że opis matematyczny wszechświata okaże się w końcu zadziwiająco prosty. Ale jeszcze za jego życia odkryto dwie nowe podstawowe siły i od tej pory sprawę komplikuje całe mnóstwo nowych cząstek i antycząstek, a także różne wymyślone wymiary i wszelkiego rodzaju niedopracowane teorie. Beard jednak wciąż żywi nadzieję, że gdy nastąpią kolejne odkrycia, jakiś geniusz zaproponuje nadrzędną teorię, która połączy to wszystko w jakąś zaskakująco piękną całość. Po wielu latach pracy - był to żarcik, na który sobie pozwolił, kładąc poufale rękę na drobnym ramieniu Jesusa - przestał jednak liczyć, że to on będzie tym śmiertelnikiem.

Powiedział to wszystko przy wtórze coraz głośniejszego hałasu, jaki robiło dwudziestu artystów oddanych sprawie zmian klimatycznych, którzy, gdy wyniesiono talerze po kolacji, zabrali się do wina. Jesus nie dostrzegł albo nie chciał dostrzec autoironii zawartej w tych słowach i oświadczył poważnie, zwracając smutną twarz w stronę biesiadujących kolegów, że nie wolno porzucać nadziei na żadnym etapie życia. Najdoskonalsze pingwiny, te najbardziej realistyczne, stanowiące najwyższy wyraz czystej formy, wyrzeźbił w ostatnich dwóch latach, a niedawno zajął się niedźwiedziami polarnymi, gatunkiem zagrożonym z powodu podnoszących się temperatur i kiedyś poza zasięgiem jego możliwości artystycznych. Jego skromnym zdaniem nie powinno się tracić wiary w możliwość głębokiej wewnętrznej przemiany. Oczywiście taki naukowiec jak señor Beard powinien podjąć prace nad tą teorią, nad tym wcieleniem piękna, bo czymże jest życie bez ambicji?

Jak jednak mógł Beard wyznać Jesusowi, że od lat nie prowadzi żadnych poważnych badań i że nie wierzy w głęboką wewnętrzną przemianę? Tylko w powolną i zewnętrzną degrengoladę. Próbował skierować rozmowę na bezpieczniejszy temat, jakim w porównaniu z rzeźbieniem w lodzie polarnych niedźwiedzi były pingwiny, ale w jej trakcie poczuł, że opadają mu skrzydła. Tabletki przeciwbólowe przestawały działać, wino, to samo wino,

zaczęło mu się wydawać cienkie i kwaśne, a panująca wokół wesołość przypominała mu, że jego małżeństwo się rozpadło. Poczuł się znużony i zbyt cyniczny w porównaniu z towarzystwem, które go otaczało. Ożywienie, z jakim do tej pory rozmawiał, okazało się fałszem, efektem szoku, leków i alkoholu.

Zakończył rozmowę, pożegnał się z Jesusem i mamrocząc przeprosiny, przycisnął się między rzędami krzeseł do przejścia. Wszystkie rozmowy, jakie postyszał, dotyczyły sztuki i zmiany klimatu. Siedząca przy sąsiednim stole choreografka, której nigdy wcześniej nie widział, opisywała z francuskim akcentem geometryczny układ taneczny, jaki zamierzała zaprezentować na lodzie. Nie mógł tego słuchać, ten optymizm go dobijał. Wszyscy oprócz niego martwili się globalnym ociepleniem, a nawet przejawiali wesołość, podczas gdy on jeden miał ponury nastrój. Tęsknił za ciemnością i ciszą.

Przez dłuższy czas leżał na koi w dusznej kabinie, bo nie mógł zasnąć z powodu pulsującego bólu w kroczu - jakby przemieściło mu się tam serce - słuchał głosów i śmiechów, i zastanawiał się, czy będzie trwał w tej mizantropii przez cały tydzień. Pomysł z helikopterem wydał mu się teraz absurdalny. Ucieczka od życia w odległym Belsize Park do tej martwej dziczy uświadomiła mu idiotyzm własnej egzystencji. Patrice, Tarpin, ośrodek i cała ta rzekoma praca, jaką wykonywał, żeby zamaskować własną marność. Cóż to za życie bez ambicji? Odpowiedzią była właśnie ta kolejna niczym się niewyróżniająca bezsenna noc.

Dwie godziny później już prawie zasypiał, gdy dobiegły do niego dźwięki strojonej gitary, jęknął więc i gniewnie przewrócił się na drugi bok. Usłyszał jednak nie grę na gitarze, której towarzyszył śpiew, ale czułe tony melodii, jakby hiszpańskiej, refleksyjnej, lekkiej i precyzyjnej jak któryś z utworów Mozarta. Rano dowiedział się, że była to etiuda Fernanda Sora. Leżąc w całkowitej ciemności na wąskim łóżku, nie miał wątpliwości, że to gra Jesus, jak gdyby specjalnie dla niego, i w tej melancholijnej atmosferze wreszcie zasnął.

*

Był późny ranek, słońce już wzeszło i z ukosa heroicznie oświetlało lśniący fiord, gdy Beard, miotając się w mrocznej przebieralni, próbował znaleźć swoje rzeczy. Stał naprzeciwko kołka numer osiemnaście, na którym dzień wcześniej, wiedział to na pewno, powiesił swój kombinezon. Tuż pod kołkiem znajdował się druciany koszyk, do którego wrzucił gogle, kask i mniejsze przedmioty, a niżej, pod drewnianą ławką, przegródka, do której wstawił buty. Nawet tutaj, bezpośrednio pod sterownią, słyszał warkot skuterów śnieżnych - uruchomienie ich rano było najwyraźniej dużym wyzwaniem. Sześciuosobowa grupa z Janem uzbrojonym w strzelbę wyruszała na drugą stronę fiordu, żeby obejrzeć

lodowiec. Pięcioro z nich i przewodnik czekali już na lodzie, tupiąc nogami i rozcierając ramiona, żeby nie zmarznąć, a Beard jak zwykle się spóźniał. Ktoś wziął jego ciuchy, a przynajmniej część. Kombinezon zniknął z kołka, koszyk znajdował się pod numerem dziewiętnaście, tylko buty - jeśli to były jego buty - stały na swoim miejscu. Pęknięte gogle, na które nikt się nie połączył, leżały na podłodze.

Na kołku numer dziewiętnaście wisiał jakiś kombinezon - pewnie jego - więc go wziął. Okazało się jednak, że jest co najmniej dwa rozmiary za duży, ale Beardowi nie chciało się go już zdejmować. Buty natomiast były o rozmiar za małe. Wśród drobniejszych przedmiotów w koszyku brakowało jednej wewnętrznej rękawiczki, ale uzupełnił ten brak, biorąc nadmiarową spod numeru dwadzieścia trzy i obiecując sobie, że ją zwróci. Pęknięcie w goglach już mu nie przeszkadzało. Wszedł na pokład, co wzbudziło ironiczny aplauz czekającej już na dole grupy, więc żeby się do niej dostosować, pochylił się w ukłon. Mimo że się spieszył, objął spojrzeniem z ostatniego stopnia trapu rozciągający się przed nim widok. Na lodzie wokół statku dostrzegł rozproszone postaci. W kaskach ich głowy wyglądały nieproporcjonalnie, tyłki w kombinezonach wydawały się większe, tak że z daleka przypominały dzieci na przedszkolnym placu zabaw. Choreografka i jej trzej przyjaciele ćwiczyli geometryczny układ taneczny; dwoje ludzi lepiło bałwana czy jakiś pomnik; jeden, pewnie Pickett, samotnie mocował mikrofon między dwoma stożkami z lodu; ktoś z piłą łańcuchową, pewnie Jesus, pomagał innemu ładować bloki lodowe na sanie; ktoś klęczący trzy stopy dalej czyścił lodem gogle. A jeszcze ktoś biegał w koło z czerwoną flagą i gwizdał na użytek kamery ustawionej na statywie.

Zadziwił samego siebie, że tak od razu zgłosił się na kolejną przejażdżkę skuterem. Do wyjścia skłoniło go klaustrofobiczne wnętrze i złotawe światło po drugiej stronie fiordu, które dostrzegł przez luk mesy, a także to, że nie wolno było wychodzić nigdzie bez przewodnika i jego strzelby. Wsiadł na ostatni pojazd i grupa ruszyła sznurem po lodzie na wschód, w głąb fiordu. Powinna to być świetna zabawa - sunąć szerokim lodowo-śnieżnym korytarzem, z górami wznoszącymi się po obu stronach. Ale wiatr znowu przenikał przez wszystkie warstwy ubrania, pęknięte gogle zaszyły mgłą, zamarzającą w ciągu kilku minut, i Beard widział tylko szarawy zarys jadącego przed nim skutera. Posuwał się naprzód w chmurze spalin sześciu skuterów. Przez sześć mil Jan narzucał szaloną prędkość. Tam gdzie wiatr zawiewał śnieg, powierzchnia fiordu przypominała pofałdowane żelazo i skutery zarzucały na wszystkie strony.

Dwadzieścia minut później stanęli w dziwnej ciszy sto jardów przed końcem lodowca, jakby zarwaną niebieską ścianą, która ciągnęła się przez dziewięć mil w głąb doliny. Robiło

to wrażenie zrujnowanego miasta, brudnego i zdegenerowanego, z walącymi się wieżami i gigantycznymi szczelinami w ziemi. Przy dwudziestu ośmiu stopniach mrozu, jak wyjaśnił Jan, trudno było zaobserwować osuwanie się lodu na skutek globalnego ocieplenia. Spędzili w tym miejscu godzinę; robili zdjęcia i przechadzali się tam i z powrotem. Potem ktoś zauważył ślad odcisnięty na śniegu. Stłoczyli się wokół niego, a następnie rozstąpili, przepuszczając przewodnika ze strzelbą na ramieniu - widomą oznaką znajomości rzeczy. Ślad niedźwiedzia polarnego, oczywiście, i to świeży. Tam gdzie stali, warstwa śniegu była cienka i z trudem znaleźli kolejny ślad. Jan zdjął lornetkę, żeby zlustrować horyzont.

- Ach - mruknął cicho. - Chyba powinniśmy już wracać.

Wskazał coś, ale początkowo nic nie dostrzegli. Kiedy jednak to coś się poruszyło, nie było wątpliwości. Jakąś milę dalej znajdował się niedźwiedź, który zmierzał w ich stronę.

- Jest głodny - zauważył wyrozumiale Jan. - Do skuterów!

Poczucie godności przeważyło nad lękiem, że mogą zostać żywcem pożarci, i ruszyli do pojazdów tylko półbiegiem. Znalazłszy się przy swoim skuterze, Beard już wiedział, na co się zanosi. Wszystko podczas tej wyprawy sprzysięgło się przeciwko niemu. Dlaczego więc teraz szczęście miałoby się do niego uśmiechnąć? Wcisnął guzik akceleratora. Nic. Dobra. Pozrywa sobie ścięgna. Spróbował jeszcze raz, i jeszcze. Wokół niego wzniosły się obłoki niebieskawego dymu i przenikliwe warkoty będące wreszcie wyrazem autentycznej paniki. Połowa grupy już pędziła w kierunku statku, w myśl zasady „ratuj się, kto może”. Beard nie tracił energii na przekleństwa. Włączył ssanie, chociaż wiedział, że to błąd, bo silnik był jeszcze ciepły. Ponowił próbę. I znowu bez rezultatu. Poczł zapach benzyny. Zalał silnik, więc zasłużył na śmierć. Wszyscy pozostali już odjechali, łącznie z przewodnikiem; Beard postanowił donieść Pickettowi albo królowi Norwegii o tym rażącym zaniedbaniu obowiązków. Z powodu zdenerwowania znowu zaparowały mu gogle i jak zwykle się oszroniły. Nie było sensu się oglądać, ale mimo wszystko to zrobił; zobaczył szron, a za nim zarysy skutego lodem fiordu. Należało liczyć się z tym, że niedźwiedź nie zrezygnował z pościgu, ale Beard widocznie nie docenił prędkości, z jaką poruszało się zwierzę, bo w tej chwili poczuł silne uderzenie w ramię.

Zamiast się odwrócić i wystawić twarz na zmasakrowanie, skulił się w oczekiwaniu na najgorsze. Jego ostatnia myśl - że nie poczynił zmian w testamencie i zostawił wszystko Patrice, czyli Tarpinowi - byłaby naprawdę żalosna, gdyby nie to, że usłyszał głos przewodnika.

- Daj, ja to zrobię.

Noblista do tej pory wciskał włącznik reflektorów. Pod dotknięciem przewodnika

pojazd natychmiast ożył.

- Ruszaj! - nakazał Jan. - Pojadę za tobą.

Mimo że zagrożenie nie minęło, Beard znowu się obejrzał, licząc - na użytek przyszłych dramatycznych opowieści - że zobaczy zwierzę, które właśnie zostawiał w tyle. W wąskich prześwitach na obrzeżach pola widzenia, które w dużej mierze przesłaniała mu zamarznięta para, dostrzegł jakiś ruch, ale mogła to być równie dobrze ręka przewodnika albo brzeg jego własnej kominiarki. Jednakże w opowieści, którą bawił znajomych do końca życia i która przekształciła się w autentyczne wspomnienie, dwadzieścia jardów za sobą, gdy jego skuter wyrwał do przodu, zobaczył nadbiegającego z otwartą paszczą niedźwiedzia polarnego - nie żeby był konfabulantem, tylko intuicyjnie wiedział, że grzechem byłoby psuć dobrą anegdotę.

Pędząc po trzeszczącym lodzie, wydał okrzyk radości, który zagłuszyła lodowa wichura wiejąca mu w twarz. Jakież to było upajające - odkryć we współczesnym świecie, że on, mieszcuch, człowiek, który głównie przebywał w zamkniętych pomieszczeniach, żyjąc z pracy przy klawiaturze i ekranie, mógł stać się ofiarą góry mięsa, która z kolei stanowiła pożywienie dla innych.

Była to chyba najbardziej ekscytująca chwila tego tygodnia. Po kilku minutach, tak przynajmniej się zdawało, byli z powrotem w bazie. O tej porze, za piętnaście druga, powietrze zrobiło się wyraźnie zimniejsze, a nielicznych artystów, którzy jeszcze nie wrócili na statek, oświetlało pomarańczowe wieczorne słońce. Beard miał krocze tak obolałe, że odczekał, aż wszyscy inni wejdą na pokład i wtedy tyłem wspiał się po trapie. Dzięki temu ból był mniejszy. Przystanął w progu przebieralni, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do mroku, i wkrótce stanął wobec niebudzącego wątpliwości faktu - ktoś powiesił swoje rzeczy na jego miejscu. Ponieważ był konstruktywnie nastawiony, przeniósł je wszystkie, buty i całą resztę, na wolne miejsce w kącie. Zdjął kominiarkę, która upadła mu na podłogę i teraz patrzyła na niego z rozdziawionymi niedowierzająco ustami. Co on tu robi? Następnie powiesił swoje rzeczy, poszedł do mesy, powiedział „cześć” kilku obecnym tam osobom, zabrał gorący napój do kabiny i położył się na koi.

Było sprawą umowną, że biegun północny widniał na mapach nad południowym, Beard jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest niemal na szczycie świata, a wszyscy inni, razem z Patrice, znajdują się poniżej. Dzięki temu zyskał perspektywę i ów tydzień w Arktyce naznaczyły właśnie te popołudnia o zmierzchu, kiedy, popijając kakao, uzmysławiał sobie, że jego życie jest puste i że musi zacząć od nowa, wziąć się w garść, schudnąć, wrócić do formy, a w przyszłości żyć prościej, w sposób bardziej zorganizowany. I wreszcie poważnie wziąć

się do pracy, choć nie przychodziło mu do głowy żadne zajęcie, które nie wiązałoby się z jego dotychczasową, szczególną pozycją noblisty. Czy już zawsze będzie musiał wygłaszać te same wykłady, na temat swojego niewielkiego wkładu do nauki, zasiadać w komitetach, być osobistością? Nie znajdował odpowiedzi, ale te rozważania były całkiem przyjemne i często o trzeciej zasypiał w ciemnościach, a potem budził się głodny, z nową ochotą na *vin de pays*.

Po dramatycznej przygodzie z niedźwiedziem polarnym przez cały tydzień unikał wszelkich niebezpiecznych eskapad. Co odważniejsi koledzy wyruszali z przewodnikiem na wycieczki po górach, zwiedzali jaskinie albo zapuszczali się na skuterach w głęboką dolinę w skalistym wypiętrzeniu po drugiej stronie fiordu. On codziennie przebywał dwie - trzy godziny na dworze, bawiąc się z innymi wokół statku. Pełnił funkcję ich pomocnika, trzymał koniec sznurka, ciął bloki lodu dla Jesusa, pomagał Pickettowi przy mikrofonach, brał udział w tańcach. W ramach tych zajęć występował też przed kamerą: miarowym krokiem szedł gęsiego za innymi, przebywając dwieście jardów w prostej linii, robił zwrot w prawo i przechodził tę samą odległość, a potem wykonywał następny zwrot. Działo to na niego kojąco, odpowiadało mu, że nie musi o niczym myśleć i że inni mówią mu, co ma robić. W cieplejszym klimacie, i gdyby był w lepszej formie, spróbowałby szczęścia z choreografką, smukłą Elodie z Montpellier, zwłaszcza że przyjechała tu bez męża, fotografa o okrągłej głowie, który kiedyś grał w rugby w reprezentacji Francji. Stella Polkinghorne też miała męża - był nim organizator Barry Pickett.

Życie Bearda stało się prostsze. Nie obchodziła go ani sztuka, ani zmiana klimatu, ani tym bardziej sztuka poświęcona zmianie klimatu, ale zachowywał te myśli dla siebie i starał się być sympatyczny. W efekcie ze zdziwieniem zauważył, że stał się nawet popularny. Gdy pomagał innym na lodzie, czuł, że jego umysł odpoczywa. W porze lunchu przynosił ze statku kubki z zupą pomidorową, która zamarzała, gdy schodził z trapu. Kubki te miały być częścią rzeźby. Nastrój mu się poprawił, a przynajmniej nie popadał już w stany skrajnego przygnębienia. Zaczął znowu myśleć o sporcie. Jeszcze dziesięć czy dwanaście lat wcześniej nieźle grał w tenisa, nadrabiając braki wynikające z niskiego wzrostu podstępny zabójczy wolejem z forhendu. I kiedyś naprawdę dobrze jeździł na nartach. Przed ośmioma laty potrafił dotknąć rękami palców stóp. Przecież nie musi tyć z każdym miesiącem aż do śmierci? Zaczął więc codziennie chodzić na spacer po fiordzie dwumilową trasą wokół statku, pod opieką Jana, który zabierał z sobą broń. Po drugiej takiej wycieczce, leżąc po południu na koi z obolałymi stopami, sporządził w myśli listę produktów spożywczych, których więcej nie tknie. Miał piętnaście funtów nadwagi. Albo teraz coś z tym zrobi, albo przedwcześnie umrze. Obiecał sobie, że zrezygnuje z tego co zwykle - przetworów mlecznych, czerwonego mięsa,

smażonych potraw, ciast, solonych orzeszków. I czipsów, do których miał wyjątkową słabość. Przychodziły mu do głowy jeszcze inne trujące świństwa, ale zasnął, zanim zamknął listę. I podczas ostatnich dni pobytu na statku przestrzegał tej diety.

Od drugiego dnia w przebieralni dał się zauważyć nieporządek. Nie uszedł on nawet uwagi Bearda, który zaczął podejrzewać, że codziennie wkłada inne buty. Chociaż trzeciego dnia przezornie owinął gogle - te niepęknięte - kominiarką, to czwartego już zniknęły, kominiarka zaś leżała na podłodze, nasiąkając wodą. Tego dnia po podłodze walało się też kilka kombinezonów. Wyglądały, jakby ktoś po nich chodził, więc Beard uznał, nie przyglądając się im zbyt uważnie, że żaden nie należy do niego. Pickett przyznał mu się, gdy nagrywali świst wiatru w takielunku, że od dwóch dni nosi oba lewe buty. Ale należał do tych, którym takie rzeczy nie przeszkadzają. Beardowi natomiast przeszkadzały. Nie miewał społecznych odruchów, uważał jednak, że istnieją pewne zasady przyzwoitości, obowiązujące zarówno jego, jak i innych. Sam zawsze składał swoje rzeczy pod tym samym kołkiem, numer siedemnaście, ale z przykrością zauważył, że innym taka prosta czynność sprawia trudności. Szczególny problem stwarzały rękawice, bo nie można było wyjść bez nich na zewnątrz. Na wszelki wypadek jednego razu wetknął je do butów razem z wewnętrznymi rękawiczkami. Ale następnego dnia buty zniknęły.

Lubił wieczory. Gdy wszyscy zaczynali zbierać się w mesie przed kolacją, na zewnątrz od pięciu godzin panowała już ciemność. Przez dwie godziny, zanim podano pierwsze danie, popijali zwykle drinki. Wino pochodziło z niedocenianego regionu Libii. Beard przeważnie zaczynał od białego, czerwone pił, dopóki nie zrobiło mu się niedobrze, wtedy wracał do białego i zazwyczaj miał jeszcze czas przerzucić się ponownie na czerwone. Po kolacji oczywiście rozmawiano na jeden temat. Beard zwykle tylko się przysłuchiwał. Nigdy wcześniej nie widział tylu idealistów w jednym miejscu i był na zmianę zaintrygowany, skrępowany i onieśmielony. Kiedy trzeciego wieczora Pickett zagadnął go o jego pracę, wstał, żeby odpowiedzieć. Opisał prace ośrodka nad turbiną wiatrową o czterech spiralach, dając do zrozumienia, że to on je zainicjował. Zdradził zgromadzonym, że to rewolucyjny projekt, i wykonał szkic, który puścił obiegiem po pokoju. Turbina pozwoliłaby zmniejszyć wydatki na prąd o osiemdziesiąt pięć procent, dzięki niej można by zaoszczędzić na budowie aż - jeszcze nie całkiem zamroczony, przypomniał sobie liczbę - dwudziestu trzech średnich elektrowni. Nastąpiły pełne szacunku pytania, na które odpowiadał z namysłem, przystępnie. Otaczali go analfabeci w dziedzinie nauki i mógł powiedzieć wszystko. W sukurs przyszła mu Stella Polkinghorne, która żarliwie oświadczyła, że Beard jako jedyny robi coś „prawdziwego”, co wszyscy obecni przyjęli z uznaniem i zaczęli głośno

klaskać. Beard nigdy szczególnie nie przejmował się tym, co myślą o nim inni, teraz jednak - o zgrozo - poczuł się wzruszony, czego nie potrafił ukryć, bo stał się beniaminkiem tego szacownego zgromadzenia, choćby i na parę minut.

Z wyjątkiem tego jednego epizodu tylko słuchał i pił. Po dwóch czy trzech kieliszkach białego wina czerwone wchodziło już bezboleśnie jak woda, a przynajmniej na początku. W rozmowach przewijały się różne motywy - niektóre kanoniczne, następujące jedno po drugim, inne fugowe, rozwijane równoległe, gdy do rozczarowania dochodziła gorycz: stulecie dobiega końca, a zmiana klimatu wciąż stanowi marginalny problem, Bush odrzucił nieśmiało propozycje Clintona, Stany Zjednoczone odpuszczają sobie protokół z Kioto, Blair nie ogarnia zagadnienia, dawne nadzieje z Rio przepadły. Przewidywania wynikające z kanonicznych rozważań były alarmujące. Gólsztrom zaniknie, Europejczycy zamarną na śmierć w łózkach, na miejscu Amazonki powstanie pustynia, niektóre kontynenty spłoną, inne zostaną zalane, a w roku 2085 po lodach Arktyki i po niedźwiedziach polarnych nie będzie śladu. Beard słyszał już te przepowiednie i w żadną z nich nie wierzył. Bezdzienny mężczyzna w pewnym wieku, u schyłku piątego małżeństwa, mógł pozwolić sobie na odrobinę nihilizmu. Ziemia jakoś przeżyje bez Patrice i Michaela Beardów. A gdyby zniknęły z niej i inne istoty ludzkie, biosfera tylko by odżyła i już za milion lat pojawiłyby się na niej nowe stworzenia, być może niemające inteligencji człękoksztalnych. Kto by wtedy żałował, że zaginęła pamięć o Szekspirze, Bachu, Einsteinie czy teorii Bearda-Einsteina?

W miarę jak statek w samotnym zamarniętym fiordzie spowijały coraz większe ciemności i dziarskie żółte światełka jego luków stanowiły jedyne jasne punkty, wyłączną oznakę życia na przestrzeni setek mil skutego lodem pustkowia, które ogarniał coraz większy mróz, pojawiały się i inne głosy: co należy wobec tego zrobić, jakie zawrzeć traktaty, aby zjednoczyć kłócące się narody, na jakie ustępstwa powinny pójść we własnym interesie kraje bogate i co zaoferować tym biednym? Siedzącym w ciepłej przytulnej mesie, przy winie, z pełnymi żołądkami po kolacji, wydawało się, że nad doraźnymi interesami i chciwością może przeważać tylko jedno: stworzona przez racjonalny umysł, jako ostrzeżenie, wizja niepewnej przyszłości, w której wszyscy muszą szejnać spaleni słońcem, zamarnięci albo zatopieni.

Dywagacje o traktatach i roli poszczególnych państw nabrały znaczenia wręcz światowego w porównaniu z innym lejtmotywem, który przywoływał trzeźwy ton ascetycznego *cantus planus*, purytańskiego ducha z dawnych surowych czasów, z jego nieufnością wobec nowych wynalazków, przekonaniem, że wystarczy tylko żyć inaczej, zadbać o cenne elementy ekosystemów, niemal religijne spojrzenie na nowe sposoby realizowania się ludzkości, aby osiągnąć prosperity poza supermarketami, lotniskami,

betonem, ruchem ulicznym, nawet elektrowniami - pogląd mniejszości, którego z poczuciem winy i respektem słuchali wszyscy ci, co po tej dziewiczej ziemi jeździli smrodliwymi skuterami.

Przysłuchując się temu, jak zwykle, z kąta mesy, w towarzystwie Jesusa, Beard zabrał głos tylko raz, ostatniego wieczora, gdy tyczkowaty pisarz o imieniu Meredith, jakby zapominając, że jest wśród nich fizyk, powiedział, że zasada nieoznaczoności Heisenberga, która głosi, że im więcej wiadomo o położeniu cząstki, tym mniej o tym, z jaką porusza się prędkością, i vice versa, odzwierciedla brak „kompasu moralnego” w naszych czasach, trudności w ocenie uniemożliwiającej wydawanie sądów kategorycznych. Beard przerwał mu z irytacją. „Może bądźmy precyzyjni - powiedział koledze o płowych włosach, w okularach bez oprawek. - W zasadzie Heisenberga nie chodzi o prędkość, tylko o pęd, czyli innymi słowy, iloczyn masy i prędkości”. Taka dosłowność wzbudziła stłumione pomruki dezaprobaty. Ta zasada, ciągnął jednak Beard, nie ma zastosowania w sferze moralnej. Wręcz przeciwnie, mechanika kwantowa doskonale określa statystyczne prawdopodobieństwa stanów fizycznych. Powieściopisarz się zaczerwienił, ale nie dał za wygraną. Czy Beard wie, do kogo mówi? - zapytał. Dobrze, w porządku, niech będzie, statystyczne prawdopodobieństwo, owszem, ale to nie to samo co pewność. I Beard, który właśnie dopijał ósmy kieliszek wina i czuł, że mimowolnie krzywi się pogardliwie na słowa ignoranta wkraczającego beztrąsko na jego teren, oświadczył dobitnie, że zasada nie jest niezgodna z dokładną znajomością stanu, powiedzmy, fotonu, dopóki zachodzi możliwość wielokrotnej jego obserwacji. Analogicznie w sferze moralnej należałoby zbadać problem kilka razy, zanim wyciągnie się wniosek. Zasada Heisenberga miałaby tu zastosowanie, gdyby suma zła plus dobro podzielona przez pierwiastek kwadratowy z dwóch coś znaczyła.

Cisza, jaka zapadła w mesie, była wyrazem nie tyle zdumienia, ile zakłopotania. Meredith patrzył bezradnie na Bearda, który uderzył pięścią w stół.

- No, dalej. Słucham. Dowiedzmy się, jak zastosuje pan zasadę Heisenberga w etyce. Dobro plus zło przez pierwiastek kwadratowy z dwóch. Co to, do cholery, znaczy? Nic!

Na to włączył się Barry Pickett, który próbował skierować rozmowę na inne tory.

To był jedyny zgrzyt. Zaskakujące i godne zapamiętania okazało się co innego, coś, co objawiało mu się każdego wieczora, zazwyczaj już o późnej porze, w wesołych dźwiękach marszów orkiestr dętych czy głosach, które tworzyły unisono w poczuciu wspólnego celu, zapominając na jakiś czas o całym tym rozczarowaniu, całej tej goryczy. Beard nie uwierzyłby, gdyby mu powiedziano, że kiedykolwiek będzie pił w jednym pomieszczeniu z wyznawcami tej samej dziwacznej idei, iż to sztuka w najwyższej formie, poezja, rzeźba,

taniec, muzyka abstrakcyjna, sztuka konceptualna, wyniesie zmianę klimatu do rangi zagadnienia, ozłoci go, przeniknie, ujawni wszystkie okropności, utracone piękno i straszliwe zagrożenie, i w ten sposób zainspiruje innych, aby się zastanowili, przedsięwzięli kroki albo wymogli to na innych. Siedział w milczeniu zdumiony. Idealizm był tak obcy jego naturze, że nawet nie mógł zgłosić sprzeciwu. Znalazł się na nowym terytorium, wśród członków przyjaznego plemienia oryginałów. Te bałwany pełniące straż u stóp trapu, nagrane świsty wiatru pośród takielunku, dyski wypolerowanego lodu, w których załamywało się zachodzące po całym dniu słońce, pingwiny Jesusa, cała trzydziestka, i trzy niedźwiedzie polarne maszerujące po lodzie za statkiem, niezrozumiały fragment mocnej powieści usianej wykrzyknikami, który przeczytał - czy raczej wykrzyczał - pewnego wieczora Meredith... te wszystkie prezentacje, jak modlitwy, jak tańce wokół słupa totemicznego, miały odwrócić bieg rzeczy, zapobiec katastrofie.

Taka była muzyka i magia rozmów o zmianie klimatu na pokładzie statku. Tymczasem po drugiej stronie ściany, którą zaczął nazywać grodzia, w przebieralni, sytuacja wyglądała coraz gorzej. W połowie tygodnia brakowało czterech kasków, trzech grubych kombinezonów do jazdy na skuterach i wielu drobniejszych części garderoby. Już tylko dwie trzecie uczestników seminarium mogły przebywać jednocześnie na zewnątrz. Wyjście oznaczało kradzież. Stan przebieralni, ściśle mówiąc postępująca entropia, stał się tematem wieczornych apeli Barry'ego Picketta. I Beard, nieświadom własnej kluczowej roli w tym procesie, tego, że sam stworzył warunki początkowe, nie mógł nie ubolewać głęboko nad tym upadkiem kondycji ludzkiej. Jeszcze przed czterema dniami w szatni panował porządek, wszystkie rzeczy wisiały na oznaczonych numerami kołkach albo stały pod nimi. Ograniczone środki rozdzielone po równo, w złotym wieku, nie tak odległym. A teraz ruina. W tym stanie jeszcze trudniej było zaprowadzić porządek, bo na podłodze walały się plecaki, worki i plastikowe reklamówki z supermarketów wypchane dodatkowymi rękawicami, szalikami i batonami czekoladowymi. Nikt jednak, pomyślał, podziwiając własną wyrozumiałość, nie robił nic złego, wszyscy, przynaglani, chcąc już wyjść na dwór, po prostu „odkrywali” własne zgubione kominiarki czy rękawiczki w nieoczekiwanych miejscach. To, że ta myśl sprawiała mu przyjemność, było z jego strony przewrotnością albo cynizmem, ale nie mógł się powstrzymać. Jak mieli ocalić ziemię - zakładając, że zachodziła taka potrzeba, w co wątpił - jeśli nie radzili sobie w tak małym pomieszczeniu jak szatnia?

Ostatniego rana jedli śniadanie przy dźwiękach warczących skuterów, które uruchomiono, żeby rozgrzać silniki. Potem wyszli na lód, wielu bez niezbędnych części garderoby. Beard nie miał kasku. Czekał na znak do drogi, ogrzał gogle na silniku i owinął

sobie głowę szalikiem. Pomarańczowe słońce stało nisko na bezchmurnym niebie i mimo wiatru podróż powrotna do Longyearbyen mogłaby być nawet przyjemna, gdyby było się kompletnie ubranym. Z pokładu statku dobiegł krzyk. Barry Pickett i jeden z członków załogi znieśli po trapie wielki plastikowy wór, z rodzaju tych, w których budowlańcy przechowują piasek. Odnaleziony skarb. Wszyscy zebrali się wokół niego i zaczęli w nim grzebać. Beard znalazł pasujący kask i stwierdził, że musiał należeć do niego. Nikt jednak nie był zawstydzony ani nawet trochę zakłopotany. To ich rzeczy. Tylko gdzie się podziewały?

Pożegnali się z załogą i ruszyli kolejno, jeden za drugim, w hałasie i smrodzie spalin przez fiord do Longyearbyen, nie przekraczając piętnastu mil na godzinę z powodu przenikliwego wiejącego z naprzeciwka wiatru. Pochylny nisko nad pojazdem, usiłując choć trochę osłonić twarz, Beard poczuł błogość - nietypowy dla niego stan umysłu jak na wczesną porę dnia. Nie miał nawet kaca. Na zamrzniętym brzegu fiordu zwolnili, bo musieli manewrować w koleinach i rowach po lodzie. Nie przypominał sobie tego z podróży w przeciwną stronę. Ale przecież zasnął za plecami Jana. Potem wyjechali na długą prostą zaśnieżoną drogę, mijając chatę, w której, jak powiedzieli im przewodnicy, niegdyś żył samotnie pewien ekscentryk.

Gdyby kiedyś miał polecieć statkiem kosmicznym na inną galaktykę, pomyślał rzewnie, wkrótce zatęskniłby za nimi, tymi braćmi i siostrami, którzy znajdowali się przed nim, nie wyłączając jego byłych żon. Przepeliło go przyjemne uczucie, że lubi ludzi. Każdy z nich zasługuje na wybaczenie. Może trochę egoistyczni, ale też skłonni do współpracy, czasami okrutni, lecz przede wszystkim zabawni. Skutery przejeżdżały teraz przez wąski wysoki rów, miejsce jego kompromitacji, o której chciał zapomnieć. Wolał pamiętać brawurową ucieczkę przed rozwścieczonym niedźwiedziem. Rzeczywiście, był wyjątkowo dobrze nastawiony do rodzaju ludzkiego. Pomyślał nawet, że być może spotka się ze wzajemnością. Wszystkich, każdego z nas, czeka w końcu nicość i nikt specjalnie się nie skarży. Nie jesteśmy najlepszym z gatunków, jaki można by sobie wyobrazić, ale najlepszym z istniejących albo najciekawszym. A co z blamażem w przebieralni? Najwyraźniej taka właśnie jest natura ludzka. Ale czy kiedykolwiek staniemy się tego świadomi? Mamy oczywiście naukę i kto wie, sztukę może też, ale chyba nigdy nie poznamy samych siebie. We wszelkiego rodzaju przebieralniach powinien istnieć regulamin, który by mówił błędzącym istotom, jak z nich korzystać.

Te refleksje, pełne wyrozumiałości w stosunku do innych i do siebie, towarzyszyły mu aż do hotelu, gdzie zatrzymali się na lunch. Ileż to czasu minęło, gdy tu był. Oddali kombinezony i całą resztę, pożegnali się z Janem i godzinę później siedzieli już w samolocie

do Trondheim. Potem Beard miał polecieć inną linią do Oslo. Pozostali musieli czekać na swój samolot cztery godziny. Zamknięci na małej przestrzeni lotniska wyglądali tak, jakby nie mieli ochoty się rozstać. Ale ruszyli do baru i wkrótce, przy lunchu, piwie i hot dogach, zaczęli starą śpiewkę, swoje lamente nad groźbą powszechnej katastrofy. Tam odnalazł ich Beard, żeby się pożegnać. Przez dwadzieścia minut ścisnął się z nimi i wymieniał adresy e-mailowe. Stella Polkinghorne pocałowała go w usta, Jesus dał mu swoją wizytówkę. Gdy Beard wychodził z baru, rozległo się głośne: „Niech żyje!”. Mimo wszystko - uświadomił sobie - przez to, że wyświadczał im drobne przysługi na lodzie i udawał oddanego sprawie turbin wiatrowych, zdobył sporą popularność. Nawet patykowaty powieściopisarz przycisnął go do swojej cherlawej piersi. I Beard jeszcze pół godziny później uśmiechał się do siebie, gdy dwusilnikowy samolot, w którym siedział, podskakiwał na marznącym pasie startowym i kierował się na południe, żeby odstawić go z powrotem do domu, do tego bajzlu, o którym prawie udało mu się zapomnieć.

*

Noc spędził w Oslo, zmienił rezerwację, żeby wylecieć o szóstej rano i znalazł się na Heathrow trzy godziny wcześniej. Gdy maszyna podchodziła do lądowania nad Windsor Park, lał deszcz, niebo o wschodzie miało zielonkawoczną barwę, a po drogach dojazdowych sunęły sznury samochodów z włączonymi reflektorami. Po wyjściu z terminalu, stanąwszy w kolejce do taksówki, dowiedział się, że na M4 nastąpił karambol i zrobił się dziesięciomilowy korek, wrócił więc do budynku, zjechał na dół i wsiadł do pociągu do Paddington, a stamtąd wziął taksówkę. Gdy przyjechał do domu, deszcz przestał już padać i z pociemniałych gałęzi jarzębin rosnących przy chodniku kapłała woda. Po odjeździe taksówki stanął z bagażem przy bramie ogrodu i rozejrzał się wokół zdumiony, że w tak gęsto zabudowanej okolicy, o dziesiątej rano w powszedni dzień, nie widać żywej duszy, nie słychać żadnych głosów ani nawet radia. Belsize Park wydawał się równie opustoszały jak Arktyka. A oto jego dom, jego własna puszka Pandory, schludny, wczesnowiktorjański, z szarej londyńskiej cegły, z kamiennymi filarkami w oknach na parterze, otoczony zimowym ogrodem z jedną łysą brzozą i - z boku - starą jabłonią. Niewiele domów w Londynie miało stustopowy ogród od frontu, ścieżkę z cegieł ułożonych w jodełkę, płytką wnękę przed drzwiami frontowymi i omszały ceglany mur otaczający teren. Pod względem architektonicznym przewyższał wszystkie poprzednie jego domy, a teraz miał zostać sprzedany, sprzęty rozdzielone, tak jak rozdzielali się właściciele - nie dlatego, że się nie lubili, choć Patrice może go znieawdziła, ale dlatego, że w ciągu pięciu lat miał jedenaście

romansów, a ona tylko jeden. Z powodu tego zakłócenia równowagi, w ramach milczącej umowy, musieli teraz żyć i cierpieć.

Brama, gdy ją otwierał, zaskrzypiała jak zwykle, choć zabrzmiało to jak pożegnalne kwaknięcie. Beard był smutny, ale już nie cierpiał. Ta miła kobieta w pociągu, której imienia już nie pamiętał, wizyta u Tarpina, wreszcie oczyszczający przerywnik przy osiemdziesiątym równoleżniku - gdzie został prawie uleczony - były jak kolejne warstwy opatrunku. Może minimalnie, ale stał się innym człowiekiem. Przepełniał go żal, było mu przykro, że nie znał żadnej sztuczki, dzięki której Patrice mogłaby go dalej kochać, ale pogodził się z tym. Wracał do domu, żeby przystąpić do rozmontowywania scenografii swojego małżeństwa. Zamierzał zacząć pakowanie jeszcze tego samego dnia. Podczas mrocznych popołudni na unieruchomionym w porcie statku miał czas na refleksje i postanowił zabrać z sobą tylko rzeczy osobiste. Niech Patrice weźmie resztę, kanapy, dywany, obrazy, noże i widelce - a jeśli udałoby się jej przekonać ojca, wysokiego urzędnika w banku kupieckim, żeby go spłacił, mogłaby także zatrzymać dom. Beard zamierzał rozstać się z nią szybko i w sposób jak najmniej bolesny. Jeżeli o niego chodzi, mogła zamieszkać tu z Tarpinem. Na trawniku od frontu jest dość miejsca na łódkę, latarnię i budkę telefoniczną.

Kółka walizki zaturkotały żalobnie na ścieżce. Jego ostatni powrót do domu. Był zadowolony, że jest tak wcześnie, Patrice nie będzie w domu, nie zignoruje jego przyjazdu, nie zostanie w swoim pokoju, zamiast wyjść mu na powitanie, bo był piątek, dzień nauki, kiedy dzieci siedzące w szeregu ze skrzyżowanymi nogami śpiewają fałszywie przy akompaniamencie jej gry na pianinie. O takich szczegółach życia wkrótce zapomni - a może nie będzie mu to dane.

Gdy znalazł się przed drzwiami i pochylił, szukając kluczy w teczce, co wymagało pewnego wysiłku, bo przytył w pasie, zauważył, że coś się zmieniło. Kremowy druciany koszyk na mleko, z tarczą i czerwoną strzałką stanowiącą informację dla mleczarza o porze i rodzaju dostawy, stał gdzie indziej. Został przeniesiony albo kopnięty w prawo, a na jego dawnym miejscu, w piasku na kamiennym progu, widniał niewyraźny prostokątny ślad. Poza tym koszyk stał teraz krzywo, informacjami ku ścianie. Beard nie przesunął go z powrotem. Po co miałby to robić? Niebawem i tak się stąd wyprowadzi - wyobraził sobie małe mieszkanie o białych ścianach, niezagracone, swój własny Spitsbergen, gdzie zacznie nowe życie, schudnie, odzyska sprawność i wigor, żeby podjąć nowe wyzwania, których natury jeszcze nie znał.

Znalazł wreszcie klucz, otworzył drzwi i gdy wciągnął walizkę do przedpokoju, uświadomił sobie, że w domu jakoś inaczej pachnie. Wilgocią, a może ciepłem, a może

jednym i drugim, w każdym razie w sposób mu nieznanym. Potem zauważył bardziej oczywiste poszlaki - wodę na parkiecie, skandaliczne ślady mokrych stóp czy też kałuże wielkości stopy, które biegły w kierunku schodów prowadzących do salonu. Ktoś - pewnie Tarpin, facet najwyraźniej stale siedział w łazience - beztrząsco wyszedł spod prysznicy, czując się jak u siebie w domu.

Postanowiwszy wyrzucić intruza za drzwi, Beard śmiało ruszył śladem stóp i wszedł do pokoju. Nie mogło być mowy o pomyłce, bo facet siedział na kanapie, z ociekającymi włosami, w szlafroku, czarnym jedwabnym szlafroku Bearda w turecki wzór, prezencie od Patrice na walentynki, wyprostowany, zaskoczony, z rozłożoną na kolanach gazetą - była to spora niespodzianka i Beard potrzebował kilku sekund, żeby ochłonąć. Na kanapie bowiem zobaczył Aldousa, Toma Aldousa, tego z ośrodka, Łabędzia ze Swaffham; z kucyka kapnęła mu kropla, która spadła na poduszkę, gdy dwaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu.

Proces akomodacji zakłóciły Beardowi absurdalne pytania i odpowiedzi. Czy kiedykolwiek jeszcze będzie w stanie włożyć ten szlafrok? Chyba nie. Jakie było prawdopodobieństwo, że zostanie obu kochanków Patrice jeszcze mokrych po wyjściu spod prysznicy? Bardzo małe. Oczywiście wydawało się, że cisza trwa znacznie dłużej niż w rzeczywistości, i w końcu przerwał ją Aldous, parszcząc śmiechem - był to nerwowy piskliwy chichot, który usiłował stłumić, przykładając rękę do ust. Spełniły się jego najgorsze obawy. Przez krótki moment miał wrażenie, że postać Bearda w progu to złudzenie, paranoiczny efekt przepracowania. Teraz już wiedział, że tak nie jest. W tej chwili milczenia, zanim któryś z nich się odezwał, stanęła mu przed oczami inna, bardziej wiarygodna wizja - własnej kariery, która legnie w gruzach. Świat fizyki teoretycznej był jak wieś, w której Beard, stojący przy pompie na centralnym placu, wciąż miał wpływy. Czy Aldous, domorosły geniusz, naprawdę sądził, że ujdzie mu to na sucho? Ręką, którą przed chwilą przyłożył do ust, żeby powstrzymać śmiech, sięgnął do niskiego szklanego stolika przed kanapą. Obok stosu czasopism stała filiżanka do kawy - smukła, z cienkiej białej porcelany, należąca do serwisu na sześć osób, który Beard kupił Patrice u Henri Bendela w Nowym Jorku. Aldous podniósł ją do ust. Jeśli chciał w ten sposób pokazać, że nie czuje się zmieszany ani winny, to gest ten udaremniła gazeta, która zsunęła mu się z kolan na podłogę i upadła pierwszą stroną do dołu. Nie odrywając wzroku od pana domu, znowu bezczelnie podniósł filiżankę do ust.

- Postaw ją, chłopcze. I wstań.

Aldous na szczęście posłuchał, bo Beard, siedem czy osiem cali od niego niższy, trzydzieści lat starszy i słaby w ramionach, nie miał dość siły fizycznej, aby go do tego zmusić. Miał tylko przewagę moralną, autorytet, o ile rogiacz może go mieć, i energię, jaką

dawało mu oburzenie. Z rękami na biodrach, wyprostowany jak struna, żeby uzyskać swoje pięć stóp i pięć cali wzrostu, patrzył, jak Aldous wstaje niezgrabnie i wiąże z pośpiechem pasek szlafroka, pod którym - co było przez chwilę dobrze widać - nie miał nic.

- Więc, panie Aldous.

- Proszę posłuchać - zaczął ten, uspokajająco opuszczając dłonie - możemy o tym porozmawiać. Profesorze Beard, mogę mówić do pana po imieniu?

- Nie.

- Widzi pan, nie powinniśmy na siłę wchodzić w role, które napisali dla nas inni, gdy tymczasem...

Beard zrobił drugi krok do przodu. Ani przez chwilę nie wierzył, że dopuści się przemocy, ale dlaczego nie sprawiać wrażenia, że coś takiego chodzi mu po głowie?

- Co pan robi w moim domu?

Jak się okazało, prowincjonalny akcent rodem z Norfolku świetnie nadawał się do szczególnego rodzaju błagań. Jego właściciel mógłby niegdyś, w ciężkich czasach, uzyskać od miejscowego pana zmniejszenie podatku.

- Zamierzałem dopić kawę, rozumie pan, ubrać się, posprzątać i wyjść. Potem zamknąć drzwi od zewnątrz, tak jak mi kazano, i wrzucić klucz do skrzynki pocztowej. Gdyby nie wrócił pan wcześniej, nie byłoby...

- Pytałem, co robi pan w moim domu.

Rozkładając ręce w geście szczerości, Aldous wyjaśnił:

- Byłem u Patrice na kolacji i zostałem na noc. Profesorze Beard, mogę być z panem szczery?

Przerwał, jakby naprawdę spodziewał się odpowiedzi. Ponieważ jej nie uzyskał, mówił dalej:

- Obaj jesteśmy racjonalistami. Dlatego zajmujemy się tym, czym się zajmujemy. Więc nie wdawajmy się w rozmowę, która nie ma sensu. Obaj wiemy, że pańskie małżeństwo się skończyło. Technicznie pan i Patrice wciąż jesteście mężem i żoną, ale już z sobą nie rozmawiacie, zresztą od dawna nie rozmawialiście, a pan tu stoi i zaczyna odgrywać rolę skrzywdzonego, wściekłego męża, który przyłapał kochankę żony na gorącym uczynku, choć tak naprawdę pewnie myśli pan o wyprowadzce. Takie w każdym razie wrażenie odnosi Patrice, której byłoby to na rękę.

Beard czekał na dalszy ciąg.

- Chcę powiedzieć, profesorze Beard... wolałbym mówić do pana Michael... że możemy sobie darować te dramatyczne sceny, możemy podejść do tego spokojnie, a nawet

się zaprzyjaźnić.

- Rozumiem. - Pytanie, które następnie zadał Aldousowi, przyszło mu do głowy niespodziewanie i gdy je wypowiadał, pomyślał, że może zachowuje się jak intrygant, ale przynajmniej zyska chwilę na zastanowienie. - A co z Rodneyem Tarpinem? Co się z nim stało?

Aldous całkiem nieźle udał niezbitego z tropu. Powoli jeszcze raz zawiązał pasek przy szlafroku Bearda.

- Nie boję się Tarpina. Nagrałem dwa jego telefony, kartka, którą do mnie napisał, jest już na policji. Ten facet to szaleniec, ale przynajmniej nie kryje się z tym.

Beard powiedział:

- Uderzył Patrice.

- To było groteskowe! - zawołał młody człowiek, dostrzegając okazję, żeby sprzymierzyć się z profesorem i odwrócić jego uwagę od siebie. - Jak facet może tak potraktować piękną kobietę?

- Mnie też zaatakował. Walnął mnie w twarz.

- Powinien trafić do więzienia.

- Teraz przynajmniej pan będzie miał go na głowie, nie ja. Czy policja dała panu ochronę?

- Hm, powiedzieli, że w tej chwili mają dużo innych spraw.

Beard poczuł przyjemną żądzę zemsty, niemal bliską uczuciu miłości.

- Przypuszczam, że będzie próbował pana zabić. Na pana miejscu nosiłbym przy sobie nóż, choć oczywiście nie obchodzi mnie, co się z panem stanie.

Mimo jego wysiłków Aldous nie wydawał się przestraszony. Odparł po prostu:

- Nie boję się go, profesorze Beard.

- A jeśli Patrice zdradzi mu, gdzie pan pracuje...? To znaczy, gdzie pan pracował.

Młody człowiek natychmiast zbladł. Znowu zamienił się w petenta, który za wszelką cenę chce zachować pracę.

- Och, proszę posłuchać, profesorze Beard. Niech pan nie popada w przesadę. Wróćmy do zasadniczej sprawy. Racjonalnie rzecz biorąc...

- Bardzo nieracjonalnie - zauważył Beard - jest wdawać się w romans z żoną szefa.

- Szczerze mówiąc, to poważniejsza sprawa. Byłem głupi, wiem, że muszę się jeszcze wiele nauczyć. Ale mówię o... mówię o substracie niepodważalnej logiki...

Beard roześmiał się głośno. Substrat! Czuł się tak, jakby obserwował szachistę, który usiłuje uniknąć mata. Nie pamiętał kiedy i gdzie, ale kiedyś sam znalazł się w podobnej

sytuacji, pewnie podczas konfrontacji z którąś wściekłą żoną, gdy zdemaskowała jego ostatnią wymówkę - wtedy nagle wykazał się niezwykłą przytomnością umysłu, wykonał ruch skoczkiem w jedenasty wymiar, błyskotliwy wyskok poza płaski świat konwencjonalnej rozgrywki szachowej. Tak, podobał mu się substrat niepodważalnej logiki. Słuchał dalej.

Aldous ciągnął bez tchu:

- Tydzień temu usłyszałem przypadkiem, jak mówi pan jednej z grup, że pańskim zdaniem, obok teorii względności, równanie Diraca to najpiękniejsze dzieło, jakie kiedykolwiek stworzyła nasza cywilizacja. Nie zgadzam się z tym. Nie docenia pan samego siebie. Bo nic nie dorówna pańskiej teorii, tej kwintesencji fotowoltaiki... nie ma nic bardziej urzekającego, nic bliższego prawdzie, profesorze Beard. Wszyscy wszędzie się nią zachwycają. Ale nikt dotąd nie pomyślał, żeby wykorzystać ją w naukach stosowanych wobec kryzysu wywołanego zmianą klimatu. A ja tak, ja dostrzegłem potencjał pańskiego dokonania w odniesieniu do fotosyntezy. To prawda, że nikt nie wie dokładnie, jak funkcjonują rośliny, choć wielu udaje, że wie. Nikt tak naprawdę nie rozumie, jak fotony są przekształcane w energię chemiczną, i to tak wydajnie. Klasyczna fizyka nie jest w stanie tego wyjaśnić. Teoria o przekazie elektronu to bzdury, nie trzyma się kupy. To, jak zwykły liść przekazuje energię z jednego układu molekularnego do drugiego, jest niemalże cudem. W tym sedno sprawy... i tu pojawia się pańska teoria. Rozumie pan, w wypadku układu wypróbowującego równocześnie wszystkie przejścia energetyczne kluczem do wydajności jest koherencja kwantowa. A przy takim rozwoju nanotechnologii, stosując odpowiednie materiały, moglibyśmy to odtworzyć, a potem tanim sposobem rozszczepiać wodę i uzyskiwać wodór, czy na domowy, czy przemysłowy użytek. To byłoby piękne! Ale ja jestem nikim. Chcę przedstawić panu moje pomysły, bo kiedy zapozna się pan z nimi, na pewno pójdzie pan na to, jestem przekonany. A ludzie pana wysłuchają. Koherencja kwantowa w fotosyntezie to żadna nowość, ale teraz wiemy, gdzie szukać i czego szukać. Mógłby pan pokierować tymi badaniami, zdobyć fundusze na prototyp. To zbyt ważna sprawa, żeby ją lekceważyć, to nasza przyszłość, przyszłość całego świata, dlatego nie możemy stać się wrogami.

Beard za dużo ostatnio słuchał podobnych wywodów o losie świata. Nigdy nie był zbyt dobrze nastawiony do biologii, która próbuje wykorzystać do swoich celów mechanikę kwantową. Żywił też irracjonalne uprzedzenia do fizyków, którzy porzucili fizykę dla biologii, jak Schrödinger, Crick i ludzie do nich podobni, którzy uważali, że ich błyskotliwy redukcjonizm wszystko załatwi. I w ogóle zielenina - ogrodnictwo, wiejskie spacerki, protesty ekologów, fotosynteza, sałatki - nie była w jego guście.

- Od kiedy pieprzysz się z moją żoną?

Aldous westchnął i chciał zaprotestować. Ale potem opuścił ramiona i się poddał.

- Zaczęło się miesiąc po tym, gdy ją poznałem.

- Jak ja was sobie przedstawiłem.

- Zgadza się, panie profesorze. Wyjechał pan na jeden dzień do Birmingham albo do Manchesteru. Po drodze do domu zadzwoniłem, żeby zapytać Patrice, czy czegoś nie potrzebuje...

- No i stało się.

Wtedy Aldous znowu uderzył w błagalny ton wieśniaka:

- Mówię szczerze, profesorze Beard. Nie miałem żadnych zamiarów wobec pańskiej żony. Ona jest spoza mojej ligi. Nawet nie mam ligi. Zaprosiła mnie do środka, potem zapytała, czy zostanę na kolację... no i tak to się zaczęło. Później powiedziała mi, że między wami wszystko skończone, więc wmówiłem sobie, że panu to... eee...

- Nie będzie przeszkadzało?

Nie była to dla niego nowość, ale zezłościło go, albo gorzej, zabolowało, że już drugi raz słyszy - teraz od Aldousa - iż według Patrice ich małżeństwo jest skończone. Od końca lata spotykała się z Aldousem, już nie z Tarpinem. A może nawet z jednym i drugim. Któregoś sierpniowego wieczora na progu jej domu pojawił się durnowaty studencina, a ona od razu skorzystała z okazji, żeby znowu ukarać męża.

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś bardzo naiwny, Aldous?

Młody człowiek ochoczo to podchwycił.

- Sam wiem, że jestem naiwny, profesorze Beard! Nie mam pojęcia o niczym poza fizyką. Jestem naiwny, bo mam mało kontaktu z ludźmi, prawie nigdzie nie bywam. Wracam do domu i pracuję w kawalerce, w ogrodzie wuja, i to często aż do rana. Zawsze taki byłem. Ale jestem do pańskiej dyspozycji. Przygotowuję dla pana materiały. Tylko dla pana i nikogo innego. Proszę powiedzieć, że pan je przeczyta. To bardzo ważne.

Aż do tej pory obaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie w odległości kilku stóp, Aldous tuż przy kanapie, ze splecionymi przed sobą ramionami, jakby chciał bronić się przed czymś albo przytrzymać szlafrok Bearda. Beard zaczął się wycofywać. Zmęczyło go słuchanie Aldousa, chciał zostać sam.

Powiedział więc:

- Niech pan już idzie. Będę jutro w ośrodku, zobaczymy się w gabinecie Jocka Braby'ego o jedenastej.

Gdy przechodził przez pokój, Aldous zaczął błagać, niemal krzyknąć:

- Nikt mnie już nie zatrudni! Wie pan o tym, prawda? To zbyt poważna sprawa, żeby

ją zaprzepaścić dla prywatnej zemsty.

Beard zatrzymał się przed drzwiami do salonu.

- Zanim pan wyjdzie, proszę posprzątać po sobie w przedpokoju - powiedział.

- Profesorze Beard?

Aldous podbiegł do niego z wyciągniętymi rękami, kręcąc głową, jakby nie chciał się z czymś pogodzić, i odsłaniając przy tym swoje wielkie zęby; pewnie zamierzał paść Beardowi do nóg i błagać go o litość. I raczej by ją uzyskał, bo Beard nie chciał wtajemniczać Braby'ego ani tym bardziej całego ośrodka w swoje domowe wstydlive sprawy. Szef zdradzany i kto przyprawił mu rogi? Jeden z kucyków! Ale Aldous nie zdążył rzucić się na ziemię, pokonał zaledwie sześć stóp. Na wyfroterowanej podłodze czekał już na niego dywanik ze skóry polarnego niedźwiedzia. Który ożył. Gdy prawa stopa młodzieńca wylądowała na jego grzbiecie, skoczył przed siebie z otwartą paszczą i żółtymi zębami. Aldous poślizgnął się, na krótką chwilę zawisł nad podłogą w pozycji horyzontalnej, potem jego nogi znalazły się jeszcze wyżej, i choć ręce instynktownie szukały oparcia, żeby złagodzić upadek, tyłem głowy uderzył nie o podłogę, nie o krawędź szklanego stolika, ale w jego róg, który wbił mu się w kark.

W pokoju na kilka sekund zapanowała głucha, przytłaczająca cisza.

- O nie, nie, proszę, nie - wymamrotał Beard, przebiegając przez pokój.

Aldous spoczywał rozciągnięty na podłodze, jakby ułożył go tam przedsiębiorca pogrzebowy, z ramionami równoległe do torsu, szeroko otwartymi oczami i uchylonymi ustami, okryty przyzwoicie szlafrokiem. Beard ukląkł przy nim. Brak oddechu, brak pulsu. Pod głową Aldousa pojawiła się kałuża krwi o średnicy około dziewięciu cali, która z jakiegoś powodu się nie powiększała. Potem Beard zauważył, że krew wsiąka, nie, spływa między szpary w klepce. Już sama jej utrata doprowadziłaby Aldousa do śmierci.

- O cholera... o cholera... - cały czas szeptał do siebie Beard.

Stało się coś niemożliwego i chciał to cofnąć, wymazać, usunąć, ponieważ po prostu nie miało prawa się stać. Było zbyt nieprawdopodobne. Ale powoli docierała do niego rzeczywistość. Zrezygnował więc z dalszych wysiłków i zaczął się z nią godzić: to działa się naprawdę. Jednocześnie zastanawiał się gorączkowo, co jeszcze może zrobić: masaż serca, usta-usta? Jak wszyscy pracownicy laboratorium musiał nauczyć się udzielania pierwszej pomocy. Ale coś spokojnego, autorytatywnego i przekonującego, nie tyle głos, ile jakaś istota nieporuszona całą sytuacją, jakby patrząca na nią z boku, podpowiadała mu, żeby nie dotykał ciała.

Wstał i podszedł do telefonu. Drżał cały. Gdy jego ręka zawisła niepewnie nad

słuchawką, spokój panujący w Belsize Park jeszcze się zintensyfikował. Ta sama trzeźwo myśląca istota podpowiedziała mu, żeby dobrze się zastanowił, zanim wybierze numer. Nie był z natury człowiekiem niezdecydowanym. Co się z nim działo? Miał wrażenie, że stracił czucie w dłoni. Dopiero po kilku sekundach odzyskał przytomność umysłu i ujrzał tę sytuację tak, jak ujrzeliby ją inni. Tak to wyglądało: mąż wraca do domu i zastaje w nim kochanka żony. Dochodzi do konfrontacji. Dwadzieścia minut później kochanek leży martwy - przyczyną śmierci jest uderzenie w tył głowy. Poślizgnął się, mówię wam, poślizgnął się na dywaniku, gdy do mnie podbiegał. Czyżby? A po co tak biegł, panie Beard? Chciał rzucić się na kolana i błagać mnie, żebym nie wylewał go z roboty, tylko razem z nim ratował świat przed zmianami klimatu. Tu na pewno pojawiłby się sceptycyzm. Niech pan odpowie po raz ostatni, panie Beard. Nie usmarował pan rogu stolika krwią? A co się stało z narzędziem zbrodni, panie Beard? Nie tak łatwo będzie mu dowieść swojej niewinności. Będzie musiał przekonywać, walczyć. Media go zniszczą. Seks, zdrada, przemoc, piękna kobieta, wybitny naukowiec, martwy kochanek - idealnie. Główną oskarżycielką stanie się Patrice - czy to z przekonania, czy z zemsty. Przez dwa lata nie będzie mógł myśleć o niczym innym. Laureat Nobla, łysiejący autorytet, namaszczony przez rząd, na ławie oskarżonych, walczący o to, żeby nie skończyć w więzieniu.

Na tę myśl poczuł, że uginają się pod nim nogi, ale nie usiadł. Sprawa była jasna. Uwierzyliby mu tylko ci, którzy go kochają. A nikt go nie kocha. Gdyby miał dzieci, dorosłe już córki, to może oburzone oskarżeniem ojca wystąpiłyby w jego obronie. Przeszedł przez salon w stronę przedpokoju i zawrócił. Nie wiedział, co robić. A potem już zrozumiał. Przeciął pokój, ominął uważnie ślady wody w przedpokoju i skierował się do kuchni, do szuflady, gdzie znajdowały się cynfolia, folia samoprzylegająca i pergamin. Był tam też karton przezroczystych rękawiczek jednorazowego użytku.

Wciągnął na ręce jedną parę. Nie robił nic złego, ale w rękawiczkach natychmiast poczuł się niewidzialny, niezwyciężony, opancerzony od stóp do głów. Był to oczywiście stan umysłu, ale do czego innego mógł się odwołać? Nie miał planu, po prostu działał. To jego ciało miało plan. I prowadziło go z początku jakby na próbę; na każdym jego etapie wierzył, że może się jeszcze wycofać, wrócić do punktu wyjścia, nic nie tracąc ani na nic się nie narażając. Wszystko, co robił, miało stanowić tylko zabezpieczenie. Mógł wrócić do telefonu, wezwać pomoc. Ale zwlekał, wolał się przygotować. Mimo pozornej niefrasobliwości myślał trzeźwo. Przeszedł przez kuchnię do tylnych drzwi i wkroczył do pozbawionej okien komórki, w której znajdowały się żarówki i stare graty. Była tam, gdzie poprzednio, leżała po ścianą - brudna płócienna torba na narzędzia. Przejrzał jej zawartość i znalazł młotek, jeden z

kilku, z odpowiednio wąskim obuchem. Zauważył też inne rekwizyty, które mogły mu się przydać. Grzebień, zużyta chusteczka higieniczna, zeschnięty ogryzek jabłka. Ułożył torbę tak, żeby wyglądała na nietkniętą, zabrał kilka rzeczy do kuchni i włożył je do plastikowej torebki. Urwał kilka kawałków ręcznika papierowego, kilka zwilżył wodą i już miał pójść do salonu, gdy zmienił zamiar. Wrócił do komórki, wziął torbę z narzędziami, zaniósł ją do przedpokoju i postawił przy wyjściu.

Tom Aldous wyglądał tak samo jak poprzednio; gdy Beard klękał przy jego ciele, wydało mu się, że niedźwiedź patrzy na niego ze złowrogim uśmiechem. Wypukłe szklane oczy zwierzęcia, w których widać było zniekształcone odbicia okien, miały morderczy wyraz. Beard wyjął z torebki cztery przedmioty i spojrzał na kawałek zeschniętego ogryzka, zastanawiając się, jak go wykorzystać. Ale nic nie wymyślił, więc wsadził go z powrotem do torby. Ujmując w ręce młotek, zdał sobie sprawę, że nie ma się co łudzić: to nie żadna asekuracja, nie będzie mógł się wycofać, wrócić do telefonu. Od tego, co zamierzał zrobić, nie było odwrotu. Już nie będzie niewinny. Zamoczył obuch młotka w kałuży krwi, posmarował nią rączkę i odłożył narzędzie na bok, żeby wyschło. Potem wziął zużytą chusteczkę i ją także umoczył we krwi, a następnie wsadził pod kanapę, głęboko, żeby nie było jej widać. Z grzebieniem sprawa była bardziej skomplikowana, niż przewidywał. Wyjął spomiędzy jego zębów kilka włosów i z pewnym trudem wetknął je Aldousowi w dłoń. Parę z nich przykleiło się do rękawic, ale Beard się tym nie przejmował. Krew na młotku jeszcze nie wyschła i łatwo było przykleić do niej włosy, zarówno na obuchu, jak i na rączce. Jeden umieścił także na oparciu fotela. Potem ręcznikiem kuchennym wytarł do sucha brzeg i róg szklanego stolika, choć nie widać było na nich śladu krwi.

W końcu wstał, ale zatrzymał się jeszcze, żeby pomyśleć, czy nie popełnił gdzieś błędu. Jak dotąd nie. Włożył młotek, grzebień i ręcznik kuchenny do torby i podszedł do drzwi. Wciąż w rękawiczkach, ruszył bez pośpiechu ścieżką ogrodową, przystanął przy bramie i rozejrzał się uważnie. W pobliżu nie było żywej duszy. Wyjął młotek i rzucił go w zarośla przed murem otaczającym ogród, po czym wrócił do domu, ściągnął rękawiczki i wsadził je do torby z ogryzkiem, grzebieniem i ręcznikiem kuchennym, a następnie złożył torbę starannie, żeby nie było widać zakrwawionych uchwytów, i wepchnął do zewnętrznej kieszeni swojej walizki.

Z tego, co widział, nie miał na sobie śladów krwi... ani na ubraniu, ani na butach. Wziął walizkę oraz torbę z narzędziami i wyszedł z domu, zamykając drzwi stopą. Ponieważ prestiż Belsize Park stałe wzrastał, Beard wiedział, że w odległości kilkuset jardów znajduje kontener na gruz. Wrzucił do niego torbę z narzędziami. Po kilku minutach był już na

Hevestock Hill, gdzie złapał taksówkę do Portand Place.

Przypuszczał, że zimne opanowanie, z jakim działał, jest efektem szoku i że wkrótce go opuści. Miał nadzieję, że zanim to nastąpi, wpadnie na kogoś, kto go rozpozna. Taksówka zajechała przed Institute of Physics - kiedyś był jego wiceszefem, tu, przed wejściem do budynku, znalazł kosz na śmieci i pozbył się plastikowej torby. W instytucie wszystko przebiegło mniej więcej tak, jak się spodziewał. Miał do załatwienia drobną sprawę i wdał się w rozmowę z jednym z urzędników, który go znał. Beard wspomniał mimochodem, że właśnie był na Spitsbergenie, że przyjechał taksówką wprost z Heathrow, po drodze utknąwszy w korku. Urzędnik wyraził współczucie. Zgodził się popilnować walizki, gdy Beard pojedzie do British Library.

W taksówce, w drodze na Euston Road, zaczęły trząść mu się nogi, zupełnie niezależnie od reszty ciała. Ale przeszedł przez dziedziniec biblioteki jak wszyscy inni, wkroczył do budynku i znalazł miejsce w czytelni. Poprosił o pewne teksty - materiał historyczny odnoszący się do wykładu, który miał wygłosić - i studiował go przez kilka godzin, czekając - mniej więcej do czwartej piętnaście - aż odezwie się telefon komórkowy w jego kieszeni.

Pochylony nad tekstami nie był w stanie czytać, ale zmusił się do robienia notatek. Był oszołomiony tym, co się stało. Za każdym razem gdy wracał do tego myślni, miał wrażenie, że robi to pierwszy raz. Zdumiewał go własny postępek, a także spokój i zdecydowanie, jakie wykazał; zachował się jak morderca zacierający po sobie ślady, wymazał prawdę, która mogła go ocalić. Teraz tkwił w tym po uszy, nie było nic, co mogłoby poświadczyć jego niewinność. W efekcie wpadł w panikę, choć nie stracił bynajmniej jasności myślenia. Co on wiedział o procedurach dochodzeniowych, ekspertyzach? Możliwe przecież, że świeże odciski palców, z tego dnia, jego odciski, różnią się od tych, które zostawił w domu przed tygodniem czy miesiącem. W takim wypadku policja będzie wiedziała, że był rano w domu, i stanie się jednym z podejrzanych.

A jakie inne błędy jeszcze popełnił, ilu sąsiadów, których nie zauważył, widziało, jak przyjechał i odjeżdżał? Albo to, że wrzucił coś do kontenera na gruz? Czy dobrze zrobił, że zabrał z sobą torbę z narzędziami? Gdy klęczał nad Aldousem, mógł zostawić na ciele chłopaka, na szlafroku, własne włosy, płatki skóry i inne mikroskopijne ślady. Ale szlafrok należał do niego, był już na nim niejeden organiczny dowód jego istnienia. Na szczęście. Był kryty. Pod warunkiem, że nie da się określić, kiedy pozostawiono odciski palców. Gdzieś w tym budynku, wśród tych zbiorów, znajdowało się mnóstwo książek, w których mógł to sprawdzić, ale bał się o nie poprosić. Zresztą w tej chwili niczego by to już nie zmieniło.

Za dziesięć czwarta, z zeszywniałymi kolanami wstał od stołu i poszedł do biblioteczonej kafejki, wciąż czekając na telefon, który musiał się odezwać. W tym czasie przygotował się do rozmowy, uzmysławiając sobie, czego nie powinien wiedzieć; że Aldous przebywał w jego domu, że był kochankiem Patrice, że nie żyje. Miał wrażenie, iż jest jeszcze jakiś czwarty fakt, którego nie uwzględnił, ale był zbyt zdenerwowany, żeby go sobie przypomnieć. A może jest ich pięć? Trudno mu było się skupić, bo w czcigodnej bibliotece i otaczających ją pomieszczeniach nie obowiązywała już taka cisza i powaga jak kiedyś. W kafejce było mnóstwo dzieci, studentów. Pomiedzy stolikami piętrzyły się ich kurtki i plecaki, a oni sami szwendali się po korytarzach, szerokich schodach, śmiejąc się i rozmawiając bez skrępowania normalnym, nieprzyciszonym głosem. Może był to dzień otwarty dla szkół. Panowała tu atmosfera klubu studenckiego na jakimś nowoczesnym uniwersytecie - bar, flippery, automaty do gry w piłkarzyki byłyby tu całkiem na miejscu. Beard czuł się wśród tych tłumów anonimowo, i to mu odpowiadało, ale prawie przeoczył dzwonek telefonu godzinę później, niż wynikało to z jego obliczeń, a on wciąż nie przypomniiał sobie czwartego i piątego faktu, którego nie powinien znać. Musiał zaufać sobie i założyć, że nic takiego nie istnieje. Patrice zapytała:

- Gdzie jesteś?

Jej głos brzmiał pusto i wbrew wszystkiemu poczuł przypływ głupiej nadziei; przynajmniej obchodziło ją, gdzie był.

Odpowiedział, a potem spytał:

- Co się stało?

- Jest tu policja. Musisz przyjechać.

- Patrice, co się dzieje? - powtórzył.

Zasłoniła dłonią słuchawkę. Usłyszał szmer męskich głosów, a potem Patrice powiedziała:

- Po prostu przyjedź.

- Ktoś się do nas włamał?

W tle dały się słyszeć jeszcze inne głosy. W domu było z kilkunastu ludzi. Patrice cały czas powtarzała to samo bezbarwnym tonem, aż końcu, jakby ktoś dźgnął ją w ramię, wyrwał jej się pół krzyk, pół jęk:

- To Rodney, zabił kogoś... - Rozległ się męski głos: - Pani Beard... - a potem połączenie zostało przerwane.

Beard wrócił do czytelnicy, zebrał notatki, które z takim wysiłkiem sporządził, a potem pospiesznie przeciął dziedziniec, minął pomnik Newtona i dopiero gdy uniósł na ulicy rękę,

żeby wezwać taksówkę, przypomniał sobie, do jakiego wniosku doszedł przed godziną: że lepiej by było, gdyby przyjechał do domu z walizką. Kazał taksówkarzowi poczekać przy Portland Place, a sam wpadł do instytutu, żeby podziękować urzędnikowi. W drodze do Belsize Park zaczął się zastanawiać, czy to, że postanowił odebrać walizkę przed powrotem do domu, nie jest jedną z tych dwóch rzeczy, czwartą lub piątą, o których miał pamiętać. Nie potrafił jednak tego ocenić.

*

Był przesłuchiwany cztery razy i jego ostatnie zeznania nie różniły się od pierwszych. Szczerść pod niesłabnącą presją policji jest sprawą zasadniczą, a Beard, jako naukowiec, z natury rzeczy przykładął wagę do wewnętrznej spójności. Prawda była niepodważalna. Nie musiał pamiętać, co mówił ostatnim razem, bo wystarczyło, żeby odwołał się do źródeł. A więc tak, przyleciał z Oslo na Heathrow o ósmej. Poszedł od razu na postój taksówek i - to było jego jedyne kłamstwo, reszta stanowiła tylko przemilczenie - stał długo w korku na M4, tak że dojechał na Portland Place późnym przedpołudniem. Jednakże jeździł z Heathrow już tyloma taksówkami i stał w tylu korkach, a pamięć jest tak zawodna, że to kłamstwo przybrało formę wspomnienia, zamglonego, ale jednocześnie niebudzącego wątpliwości. Naprawdę miał poczucie, że stracił godzinę w korku. Co robił podczas tej długiej jazdy? Czytał pracę, którą miał zrecenzować. Był tak skupiony, że nie patrzył przez okno i nie widział karambolu na środkowym czy szybkim pasie, czy gdzie się tam wydarzył. Dalej następowała już sama prawda - o sprawie w instytucie, pracy w bibliotece i wreszcie telefonie od Patrice, kiedy akurat zrobił sobie przerwę. Z przykrością musiał przyznać, że wiedział o romansie żony z panem Tarpinem i że było to dla niego bolesne. Ale sam miał w przeszłości wiele romansów i cóż, niestety, tak wyglądało ich małżeństwo, które prawdopodobnie się rozpadnie. Nie minął się też z prawdą, opisując powrót Patrice z podbitym okiem, swoją własną niedzielną wizytę w Cricklewood, starcie z Tarpinem i uderzenie w twarz, a także to, że nienawykły do takiego załatwiania spraw uciekł, ratując skórę. Chociaż było to dla niego krępujące, dokładnie opisał komisarzowi przebieg tamtego popołudnia, kiedy to przedstawił żonie Toma Aldousa: nie, nie zauważył, żeby coś między nimi zaszło, nie, zupełnie nie podejrzewał, że podczas pobytu w Arktyce, a kto wie, może już miesiąc wcześniej, Patrice nawiązała z Aldousem romans. A tak, oczywiście, że znał tego chłopaka, młodego zdolnego naukowca, który często odbierał go ze stacji w Reading. Nie, niezbyt sympatyczny. Za bardzo skupiony na sobie, monotematyczny, trochę dziwak. Jak wielu w tym środowisku.

Mimo że mówił prawdę, śledczy byli denerwujący i na początku go przerażali, bo nie

miął pewności, czy ktoś nie widział jego przyjazdu do domu o dziesiątej i odjazdu czterdzieści pięć minut później. Ale ten strach można było przypisać zrozumiałym emocjom. Podczas trzech następnych przesłuchań, które odbyły się po aresztowaniu Tarpina, stres był już mniejszy, ale zeznania w dalszym ciągu wymagały od Bearda pewnego skupienia. Tydzień po wybuchu afery przeczytał w gazecie - zgodnie z jego przewidywaniami rozpięta się burza, pod bramą przez cały dzień i większość nocy tkwili fotoreporterzy - że nikt nie widział Tarpina tego rana, gdy zginął Aldous. Budowlaniec w powodu ulewnego deszczu został w domu, sam, więc nie miał żadnego alibi. To przynajmniej było uspokajające. Podobnie jak przecieki z posterunku policji, że Tarpin pisał do Aldousa kartki z pogrózkami, dwa razy do niego dzwonił i młody człowiek przezornie nagrał te rozmowy. Ostatnie dwa przesłuchania miały już charakter formalny, ich celem było tylko powiązanie pewnych wątków, jak go z uśmiechem zapewniono. Sprawa wydawała się jasna, policja znalazła winowajcę. Beard zamasztywym ruchem podpisał zeznanie.

W ośrodku jednak Jock Braby nie był równie zadowolony. Ósmego dnia Beard pojechał do niego na rozmowę zaraz po wizycie na policji, gdzie po raz trzeci składał zeznania. Postanowił wybrać się samochodem, bo nie chciał, żeby reporterzy wsiedli za nim do pociągu. Był bowiem obiektem wielkiego zainteresowania, przedstawiano go jako bezradną ofiarę, rzadko spotykanego głupca i marzyciela, który nie miał pojęcia, co wyczyniała jego niemoralna żona. Przy wjeździe do ośrodka stała grupa fotoreporterów i dziennikarzy; wartownicy w szpiczastych czapkach, głęboko przejęci i pełni współczucia, ustawili się w szeregu, salutując gorliwie Beardowi, gdy przejeżdżał przez bramę.

Dwaj panowie napili się herbaty w gabinecie Braby'ego i Beard opowiedział całą historię, z najdrobniejszymi szczegółami, tak jak policji.

Braby coraz bardziej marszczył czoło, aż w końcu wskazał za ścianę, mniej więcej w kierunku bramy wjazdowej.

- Kiepsko to wygląda - oświadczył kilka razy, po czym wygłosił długą mętłą mowę, w trakcie której zaciął się i plątał, nawiązywał do „funduszy”, „reputacji”, „wycofania się” i „ewentualnej pomocy”, tak że po dziesięciu minutach stało się jasne - a w każdym razie mniej niejasne - iż chciałby, aby Beard złożył rezygnację; po dwóch wzmiankach o „froncie wewnętrznym” nie było wątpliwości, że głos w sprawie zabrała pani Braby i że chodzi o tytuł lordowski, a także w pewnym stopniu o święty spokój. Ten facet, niższy od niego rangą, śmiał go prosić o ustąpienie?! Dlatego że jeden kochanek żony zabił drugiego? Nie zdradził się jednak ze swoim oburzeniem i udawał, że nie rozumie, o co Braby'emu chodzi.

- Jock, cokolwiek szepczą po kątach w ministerstwie, byłbyś głupcem, gdybyś

zrezygnował. Wstawię się za tobą. Przyczaj się na miesiąc czy dwa i sprawa przycichnie, zobaczysz.

W tych okolicznościach Braby'emu nie pozostało nic innego, jak zmienić temat. Zaczęli rozmawiać o Aldousie i znaleźli porozumienie, bo obaj za nim nie przepadali, choć oczywiście zdawali sobie sprawę, jaką stratę poniósł ośrodek. Policja przeszukała jego mieszkanie i nie znalazła nic, co by odnosiło się do sprawy. Kilka przedmiotów osobistych przesłano zrozpaczonemu ojcu do Norfolku.

- Michaelu - zaczął Braby - została po nim teczka przeznaczona wyłącznie dla ciebie. Zajrzałem do niej. Dużo chemii nieorganicznej, trochę matematyki, moim zdaniem wszystko nie bardzo trzyma się kupy, chyba pisał to na boku. - Podał mu grubą teczkę. Beard zerknął do środka, a potem wstał, aby dać do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną. W końcu to on był tu szefem.

Braby odprowadził go na korytarz.

- Moglibyśmy uczcić jego pamięć, realizując dalej projekt turbiny wiatrowej. Bardzo się w to zaangażowaliśmy.

- O tak, rzeczywiście - odparł Beard. - Jasne. To będzie jego pomnik.

Podali sobie ręce i się rozstali.

A co z jego małżeństwem? Gdy zabrano zwłoki, gdy zespół dochodzeniowy odjechał i uznano, że dom nie jest już miejscem zbrodni, gdy reporterzy wynieśli się spod bramy, przynajmniej do procesu Tarpina, a wynajęci przez Bearda ludzie usunęli ślady krwi, która wniknęła głęboko między klepki podłogowe w salonie, Michael i Patrice wrócili do domu ze swoich tymczasowych kwater, żeby spakować rzeczy, wystawić je na sprzedaż i rozejść się każde w swoją stronę. Działo się to w słoneczne dni marca; wiał tak silny wiatr, że niekoszona trawa w ogrodzie kładła się srebrnymi spodami źdźbeł do góry, a pod omszałymi murami ogrodu zbierały się stosy niezamiecionych zeszłorocznych liści. Była to rześka, oczyszczająca pogoda, przynajmniej w odczuciu Bearda.

Zgodnie ze swoim zamierzeniem, ku zadowoleniu Patrice, zrzekł się praw do wyposażenia domu - lista sprzętów była przytłaczająco długa - zabrał jedynie swoje książki, ubrania i trochę rzeczy osobistych. Zamierzał nie tylko zrzucić kilka funtów, odzyskać kondycję i sylwetkę, ale także ograniczyć koszty życia w skromnym mieszkaniu, które musiał znaleźć. Sprawę ułatwiało to, że jego miłość do żony - czy raczej obsesja na jej punkcie - wyraźnie słabła. Podczas jednej z nielicznych rozmów, jakie odbyli, oświadczył jej, że swoimi romansami wywołała tylko nieszczęścia, w ich efekcie niepełnosprawny ojciec w Swaffham stracił syna, a kraj - jednego z najbardziej obiecujących naukowców. Nie mógł się

przy tym nadziei, jak szybko sam uwierzył w przyjętą przez wszystkich wersję wydarzeń i jak łatwo mu było przywołać stosowne wspomnienia i emocje. Czyż to nieprawda, że Patrice miała romans z Tomem Aldousem i że Tarpin życzył mu śmierci? Beard zresztą wcale nie udawał, naprawdę bolał nad tym, co zrobił Tarpin, i miał prawo obciążać Patrice odpowiedzialnością. Winna była mężowi co najmniej przeprosiny.

Naturalnie ona, w sposób dla siebie typowy, widziała to inaczej. Pogrzeżyła się w głębokiej żałobie po mężczyźnie, którego uważała teraz za miłość swojego życia. Jeśli komuś winna była przeprosiny, to człowiekowi, który już nie mógł ich przyjąć. Gnębiły ją wyrzuty sumienia, że to przez nią Tarpin wtargnął w życie Aldousa, że nie zdołała ochronić tego młodego mężczyzny, że nie traktowała gróźb pod jego adresem poważnie. W dodatku cały ciężar pakowania i wywożenia rzeczy spoczął na niej, bo chciała zachować je wszystkie, między innymi także dywan z niedźwiedziej skóry i stół do kawy, które spowodowały śmierć jej kochanka. Smutna i milcząca chodziła po domu, z tępą sprawnością wykreślając kolejne pozycje z listy. Mąż stał się dla niej kimś nieistotnym, choć podejrzewał, że go nienawidziła z jakichś niewiadomych powodów, w każdym razie nieuzasadnionych. Ale z dwojga złego wolał już to jej milczenie niż raniącą wesołość, którą chciała go zniszczyć podczas romansu z Tarpinem.

Nie miał ochoty pomagać jej w sortowaniu rzeczy, które teraz należały do niej, ale starał się być użyteczny w innych sprawach. Ponieważ nie było między nimi konfliktu stwarzającego problem prawny, zaproponował, żeby wspólnie wynajęli adwokata. Znał kogoś odpowiedniego. Znał także dobrego agenta, który mógłby zająć się sprzedażą domu. Miał już praktykę w przeprowadzaniu takich rzeczy. Wyprowadził się pierwszy do wynajętego mieszkania w suterenie, przy Dorset Square, po północnej stronie Marylebone Road, i właśnie tam trzy miesiące później, wygodnie wyciągnięty na poplamionej kanapie w kwiaty, która cuchnęła psem, zajrzał do teczki opatrzonej informacją: „Tylko do wglądu prof. M. Bearda”. Znajdował się w niej mętny wywód z zakresu chemii organicznej i nieorganicznej wykorzystujący pewne pojęcia informatyki kwantowej i dość niejasne elementy jego własnej teorii. Stanowił próbę opisu wymiany energii w fotosyntezie. Prawdopodobnie istotą pracy było odtworzenie tego procesu i wykorzystanie go do jakichś celów, ale Beard zaczął tracić cierpliwość, dlatego że po pierwsze, niewiele z tego tekstu rozumiał, po drugie zaś, musiał kupić mieszkanie. A później, pięć miesięcy po śmierci Toma Aldousa, zaczął się proces Rodneya Tarpina.

Facet nie miał szans i chyba o tym wiedział. Oskarżenie niemal z żalem przedstawiło sprawę: oczywisty motyw Tarpina, jego telefoniczne i pisemne pogróżki, dowiedziona

skłonność do przemocy, włos na narzędziu zbrodni rzuconym w krzaki i drugi w dłoni zamordowanego, chusteczka jednorazowa z zaschniętym śluzem, pochodzącym z jego nosa, i śladami krwi Aldousa, brak alibi. Kiedy przysłała pora na Bearda, zeznawał rzeczowo. Czyż nie był praworządnym obywatelem? Zrelacjonował szczegółowo, co robił tamtego feralnego przedpołudnia, potem opowiedział o podbitym oku żony, o swojej wizycie w domu oskarżonego i ciosie w twarz. Właściwie wszystko przemawiało przeciwko Tarpinowi, ale ostatecznie pogrążyła go Patrice, która występowała jako świadek oskarżenia. Prasa pisała, że pięknie wyglądała w sądzie, była zimna i pełna pogardy dla mężczyzny, który zabił jej kochanka. Jako świadek Beard nie mógł przebywać w sali sądowej, gdy zeznawała, i tylko czytał doniesienia prasowe. Nie wiedział, że potrafiła tak dobrze mówić, wyrażać się tak jasno i klarownie. Jej opowieść o Tarpinie, o tym, że nieraz przejawiał zaborczość i brutalność, że miewał ataki zazdrości, zrobiła wielkie wrażenie na sądzie i opinii publicznej. To maniak, twierdziła, obłąkany fantasta, który żądał, żeby zabiła Aldousa we śnie, jeśli będzie miała możliwość. Nie chciał pozwolić jej odejść i to, co dla niej miało być krótkim, przelotnym romansem, zamieniło się w koszmar, który ciągnął się miesiącami. Przerazała ją jego brutalność, ale nie śmiała go odtrącić. Uderzył ją, gdy się kochali.

- Nie podobało się to pani? - zapytał ją podczas przesłuchania wymuskany adwokat Tarpina.

- Nie - odpowiedziała sucho. - A panu by się podobało? - Z galerii dla publiczności dobiegły śmiechy.

Najczęściej cytowaną, błyskotliwą uwagę musiała wcześniej przećwiczyć przed lustrem.

- Wraz ze śmiercią mojego Tommy'ego naród stracił geniusza - oświadczyła. - A ja jedyne go mężczyznę, którego kiedykolwiek kochałam.

Przysięgli naradzali się tylko trzy godziny i nikt, nawet Tarpin, nie był zdziwiony ich werdyktem.

W ciągu sześciodniowej przerwy między orzeczeniem przewodniczącego a ogłoszeniem przez sędziego wyroku Beard wrócił do teczki Aldousa. Tylko tyle mógł dla niego zrobić, żeby uczcić jego pamięć, poza tym był poruszony i musiał się czymś zająć. Za drugim razem zrozumiał już więcej i poczuł zaciekawienie, a nawet podniecenie. Aldous chciał odkryć, a potem odtworzyć mechanizmy funkcjonowania roślin, udoskonalane miliardy lat w procesie ewolucji. Przy zastosowaniu techniki i materiałów, o których dopiero zaczęto mówić w nanotechnologii, zamierzał za pomocą energii słonecznej rozszczepiać wodę na wodór i tlen, wykorzystując do tego celu specjalne światłoczułe barwniki, które miałyby

zastąpić chlorofil, i katalizatory zawierające mangan i wapń. Z uzyskanych gazów, za pośrednictwem ogniw paliwowych, można by wytwarzać elektryczność. Kolejny pomysł, również zaczerpnięty ze świata roślin, przewidywał wykorzystanie dwutlenku węgla pochodzącego z atmosfery, światła słonecznego i wody do produkcji uniwersalnego paliwa płynnego. Czy była to błyskotliwa, czy szalona koncepcja - nie wiedział. Opatrując kolejne zapiski datami minionego roku, zaczął robić własne notatki, które przerwał, bo następnego dnia, we wtorek, zbierał się na ostatnie posiedzenie sądu. Oskarżony wstał, żeby poznać wyrok. Słuchał sędziego z taką samą pełną skupienia obojętnością, jaką okazywał podczas całego procesu, i powtarzał, nieprzekonująco, że jest niewinny. Według relacji prasy ciągle spoglądał w stronę Patrice (Beard wyobrażał sobie to przenikliwe szczurze spojrzenie), ale ona odwracała od niego twarz.

Po wyjściu z budynku sądu powiedziała prasie i telewizji, że kara jest zbyt łagodna, biorąc pod uwagę krzywdę, jaką wyrządził Tarpin. W ciągu następnego tygodnia niektórzy z komentatorów przyznawali jej rację, podczas gdy inni byli przeciwnego zdania, uważali, że wyrok jest za surowy jak na zbrodnię z namiętności, bo tak nazwaliby ją Francuzi. Jednakże, leżąc w skarpetkach na śmierdzącej sofie w swoim nędznym kawalerskim mieszkaniu, z teczką Aldousa na kolanach, i oglądając wiadomości, Beard uważał, że szesnaście lat to w sam raz, ani za dużo, ani za mało.

Część druga
2005

Miał mało czasu. Jak zresztą wszyscy, takie jest życie, ale Michael Beard, ze wzdętym brzuchem po wmuszonym w siebie lunchu, wierząc się na fotelu z zapiętym pasem, myślał tylko o mijającym dniu i o tym, co tracił. Było wpół do trzeciej i samolot, już godzinę opóźniony, powoli przemieszczał się zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara w kolejce do lądowania nad południowym Londynem. Beard, zbyt niespokojny, żeby dalej czytać, ogryzał pod różnym kątem zadartą skórę przy paznokciu, co niechybnie musiało skończyć się zastrzałem, i spoglądał na przesuwany się w dole znajomy zakątek Anglii. Co innego mógł robić? To nie była pora na wzniosłe retrospekcje ani analizy; w tej chwili powinien spieszyć się przemierzać ulice i korytarze, tam spędził większość swojego życia i miał bieżące sprawy, dziewięć tysięcy stóp pod tym fotelem, za który jak zwykle zapłacił ktoś inny.

Był to typowy widok, choć pewnie zdumiałby Newtona albo Dickensa. Beard patrzył na wschód przez grubą warstwę rudego brudu - jak z niemytej wanny - który zawisł w powietrzu. Patrzył na City, na rozszerzającą się wezbraną Tamizę, zbiorniki ropy i gazu, na brązowe równiny Kentu i Esseksu, krainę swojego dzieciństwa, wielki szpital, w którym zmarła jego matka niedługo po tym, gdy zdradziła mu sekret swojego życia, i dalej, na otwarte ujście rzeki, i wreszcie na Morze Północne, gładkie jak stół, jasnoniebieskie w lutowym słońcu. Potem jego wzrok, przebijając srebrzystą mgiełkę nad Weald of Sussex, przesunął się ku południu i spoczął na miękkiej linii South Downs; wśród ich łagodnych stoków upłynęło mu hałaśliwe pierwsze małżeństwo, synestezja niefortunnej miłości, kup i płaczu bliźniąt za ścianą oraz podniecających obliczeń z zakresu fizyki kwantowej, które piętnaście lat później, po dwóch rozwodach, przyniosły mu Nobla. Nobla, który częściowo był błogosławieństwem, a częściowo zrujnował mu życie. Za tymi wzgórzami znajdował się kanał La Manche otoczony różowawymi chmurkami przesłaniającymi wybrzeże Francji.

Skrzydła samolotu znowu się przechyliły, tak że znalazł się w słońcu - przed sobą miał panoramę zachodniego Londynu, tuż pod wibrującym silnikiem umocowanym pod skrzydłem wciąż jeszcze daleki cel podróży, maleńkie lotnisko, a wokół niego drogi szybkiego ruchu przypominające arterie, którymi niczym krwinki przemieszczały się samochody - M4, M25,

M40, pozbawione jakiegokolwiek poezji symbole tych praktycznych czasów. Na szczęście blask zachodzącego słońca łagodził trochę industrialną brzydotę. Między Berkshire Downs a Chiltern Hills Beard dostrzegł Thames Valley, bladozieloną po zimie. Dalej leżał Oksford, teraz niewidoczny, pamiętający jego mozolne laboratoryjne prace w okresie po studiach i starannie przemyślane zaloty do pierwszej żony Maisie. I znowu, już po raz szósty, ukazał się wielki dysk samego Londynu, który obracał się jak złożony z wielu elementów statek kosmiczny, majestatyczny i samowystarczalny. Równie nierozplanowany jak wielki kopiec termitów, jak las deszczowy, coś pięknego, z wielkimi skupiskami ludzkimi pośrodku, wzdłuż odzyskanej rzeki między Westminsterem a Tower Bridge, z gęstą, pełną rozmachu wesołą zabudową, nowymi zabawkami. Przez chwilę Beard miał wrażenie, że zobaczył cień samolotu sunący jak wolny duch nad St. James i szczytami dachów, ale było to niemożliwe przy takiej wysokości. Wiedział co nieco o świetle. Cztery spośród tych milionów dachów dały schronienie jego drugiemu, trzeciemu, czwartemu i piątemu małżeństwu. Te związki wpłynęły na bieg jego życia i wszystkie, nie było sensu zaprzeczać, okazały się fiaskiem.

Zawsze ostatnio, gdy tylko znalazł się nad jakimś wielkim miastem, czuł podobny niepokój i fascynację. Te wielkie betonowe rany opatrzone stałą, te cewniki nieustannego ruchu z sunącymi aż po horyzont pojazdami - pozostałości naturalnego świata mogły tylko się przed nimi cofać. Presja liczb, napór wynalazków, ślepe siły pragnień i potrzeb - wydawały się niepowstrzymane i wytwarzały ciepło, współczesny rodzaj ciepła, które stało się dzięki kilku sprytnym posunięciom jego profesją. Gorący oddech cywilizacji. Czuł go tak jak wszyscy na karku, na twarzy. Beard, patrzący z tej niezwyklej, choć też niezwykle brudnej maszyny, wierzył w pewnych momentach, że zna rozwiązanie tego problemu. W końcu znalazł cel, miał misję i czuł, że brakuje mu czasu.

Gdy w zasięgu wzroku pojawiło się znowu jego rodzinne Essex - ależ był spóźniony! - mógł dostrzec trasę, którą powinien był w tej chwili podążać, miniaturowe uliczki tak wyraźne w zimowym słońcu jak obwód drukowany. Wydawało mu się, że widzi budynek na Strandzie, w którym powinien teraz być. Potem stracił go z oczu. Pomyślał o dwóch innych dachach, na północnym zachodzie, które przesunęły się pod nim niewidoczne. Pod jednym z nich znajdowało się jego lodowate, zapuszczone mieszkanie przy Marylebone. Przed oczami stanął mu pogrążony w mroku pokój i niedojedzony posiłek; porzucił to miejsce i na w pół zapomnianą przyjaciółkę przed trzema miesiącami, kiedy wyszedł po coś w nocy. Już nie wrócił i od tej pory jej nie widział. Ten budynek to była nora. Potem przypomniał sobie nieogrzewaną sypialnię za ścianą, zmysłowy bałagan na łóżku, porozrzucane na podłodze poduszki, pomarańczowe diody wieży stereo, walające się wszędzie książki i czasopisma,

które wtedy czytał (usiłował odtworzyć je w myślach), a także gazety, butelka szampana i dwa kieliszki ze śladami po alkoholu na wysokości cała albo dwóch, który wyparował, bo go w pośpiechu nie dopili. Na talerzach w jadalni, rondlach w kuchni, na śmieciach w kubie i desce do krojenia, nawet na papierowym filtrze z fusami po kawie musiała już wyrosnąć pleśń, w różnych odcieniach, kremowobiała, zielonkawa, rozplenić się bujnie na porzuconym serze, marchewkach, zastygłym sosie pieczeniowym. Przenoszone przez wiatr zarodniki, druga cywilizacja niewidoczna gołym okiem i niema, dobrze radzące sobie formy życia. O tak, długo będą miały na czym ucztować, a kiedy pożywka się skończy, wyschną na pył z węgla drzewnego.

Pod drugim dachem mieszkała Melissa Browne, jego nieco zaniedbywana kochanka, i pod nim zamierzał spędzić tę noc. Była taka ładna, taka dla niego dobra, taka wyrozumiała, jedyna miłość w jego życiu, która miała szanse na przetrwanie. Jak wiele kobiet uważała go za błyskotliwego naukowca, geniusza, którym trzeba się zaopiekować. Ale on był beztroskim, niewiernym, niezorganizowanym przyjacielem, stale wymykającym się z rąk i broniącym zażarcie swojej niezależności. Nie dzwonił. A ona właśnie gotowała dla niego kolację. Nie zasługiwał na nią. Mimowolnie jęknął pod wpływem poczucia winy i przyływu zniecierpliwienia - paskudnej mieszanki. Czy naprawdę słyszał go było przez warkot silnika? I oto znowu ukazały się South Downs, które przypomniały mu, że nie może ustąpić, nie może się złamać. Nie wytrzymałby fizycznie szóstego małżeństwa.

W którąkolwiek stronę zwracał wzrok, tam wszędzie był jego dom, jego miejsce na tej planecie. Pola i żywopłoty, przycinane przez średniowiecznych chłopów i osiemnastowiecznych robotników, które wciąż dzieliły ziemię na nieregularne czworoboki, a każdy strumyk, płot czy chlew, dosłownie każde drzewo, miały swoją nazwę w Domesday Book, otrzymały ją po tym, gdy niezwyciężony William w 1085 roku zwołał naradę, a następnie rozesłał swoich ludzi po całej Anglii. I od tamtej pory były przemianowywane z coraz większą finezją, zmieniały właścicieli, rosły w cenie, były sprzedawane, zastawiane; dojrzałe jak stilton z grubą skórką, tak bogato zaludnione jak wieża Babel, stare jak delta Nilu, pełne duchów jak kostnica, tak rozkrzyczane podczas debat publicznych jak hałaśliwe stado gawronów. Może pewnego dnia to aroganckie, wiekowe królestwo ustąpi pod naporem zbiorowego pragnienia, rozbuchanej żądzy wielkiej metropolii, takiego Mexico City, Sao Paulo i Los Angeles połączonych razem, żeby rozkwitnąć od Londynu po Medway, Southampton i Oksford, i z powrotem po Londyn, we współczesnej formie czworokąta, grzebiąc wszystkie poprzednie żywopłoty i drzewa. Kto wie, może będzie to triumf harmonii rasowej i błyskotliwej urbanistyki, miasto-świat, najbardziej podziwiane miasto-świat na

Ziemi.

Czy kiedykolwiek zaczniemy się ograniczać, pomyślał Beard, gdy samolot wreszcie wykonał nawrót i ustawił się w kolejce na północ od Tamizy, żeby rozpocząć schodzenie do lądowania. Z tej wysokości wyglądamy jak rozprzestrzeniający się porost, alga w rozkwicie, pleśń rozwijająca się na przejrzałym owocu - odnieśliśmy taki sukces jako gatunek. Jesteśmy jak spory!

*

Pół godziny później samolot z Berlina wreszcie wylądował i Beard wysiadł z niego jako czwarty, ciągnąc swój podręczny bagaż; szedł szybko sztywnym krokiem, co jakiś czas podskakiwał i drobił nie po męsku - jego kolana, całe ciało, a nawet umysł, nie pozwalały mu już zwyczajnie biec. Szczelnie pozamykane kapilary, wyłożone wykładziną stalowe kanały wreszcie doprowadziły go przez wnętrza lotniska do sali kontroli imigracyjnej. Dużo szybciej można by przebiec wzdłuż stumetrowego ruchomego chodnika, niż tłoczyć się na nim wśród zamysłonych nieruchomych pasażerów i ich bagaży blokujących przejście. Wyprzedziło go co najmniej dwunastu młodych ludzi z tego samego samolotu, którzy spieszyli się efektywniej - szczupli, krótko ostrzyżeni, w typie biznesmenów, z płaszczami przeciwdeszczowymi na rękach, nieuginający się pod ciężarem swoich toreb na ramionach, niosący je bez wysiłku, gdy przebiegali obok niego. Wszechobecne w niewentylowanych, jaskrawo oświetlonych korytarzach reklamy banków i rozmaitych biur, mało zabawne i nieciekawe - najwyraźniej reklama to domena niezbyt lotnych umysłów - spotęgowały jego irytację. Znał to aż za dobrze, to szczególne poczucie mentalnego duszenia się, wywołane kontaktem z agresywną i mierną inteligencją. Teraz światowa głupota zaczęła i jego dotyczyć. Sam już zachowywał się głupio, bo był spóźniony. W najlepszym razie będzie na miejscu siedemdziesiąt pięć minut po czasie. Spóźnianie się było rodzajem współczesnej choroby, powodowało wzrost ciśnienia, poczucie winy, uzalanie się nad sobą, mizantropie i tęsknotę za czymś niemożliwym poza fizyką teoretyczną - cofnięciem czasu. A próby narzucenia sobie stoickiej postawy nie pomagały przemieszczać się szybciej.

Za nienormalnie wysokie honorarium miał wystąpić na konferencji energetycznej, z wykładem dla inwestorów instytucjonalnych, ludzi zarządzających funduszami emerytalnymi, twardych typów, których niełatwo przekonać, że świat, ich świat, jest zagrożony i że powinni do tego dostosować plany inwestycyjne. Bezwolnie, ślepo przestrzegając zasad swojego fachu, polegali na tym, co znali: ropie, gazie, węglu, drewnie. Jego zadaniem było przekonać ich, że to, co obecnie przynosiło im zyski, pewnego dnia miało ich zniszczyć. Przy takich

okazjach oczywiście można było jedynie mówić ogólnie, ale jeśli Beard, właściciel kilkunastu patentów, zdołałby ich przekonać do zmiany sposobu myślenia, choćby nawet odrobinę, jego firma musiała mieć z tego jakiś zysk. Czekali na niego w Savoyu, w dwóch połączonych apartamentach z widokiem na rzekę, i chociaż już przeprosił ich za spóźnienie, było pewne, że wkrótce zaczną się powoli rozchodzić na następne spotkania i ulotne poczucie świetnej koordynacji terminów cztery miesiące naprzód ustąpi jeszcze większemu sceptycyzmowi i wreszcie fatalnej w skutkach rezygnacji. Drugim powodem jego obecności w Londynie było podpisanie nazajutrz w ambasadzie amerykańskiej opcji na kupno czterystuakrowej działki w południowo-zachodniej części terenów pustynnych w Nowym Meksyku, zaledwie ziarenka piasku na tej wypalanej polaci. A kiedy wreszcie inwestorzy poczują się zadowoleni, wpłyną fundusze i ustali się warunki czasowych zwolnień podatkowych, będzie można rozpocząć budowę prototypu w powiększonej skali. Już sama myśl o tym sprawiała, że z niecierpliwości zaczynał czuć uderzenia krwi do głowy.

Dziesięć minut pośpiechu i Beard, bez tchu, ociekający potem pod płaszczem, utknął przed kontrolą imigracyjną, w kolejce o szerokości dziesięciu ludzi, a długości całych setek, i posuwał się ledwie o cal do przodu wśród innych patentów, którzy czekali, żeby uzyskać pozwolenie na wjazd do własnego kraju. Wolno mijały minuty i czuł, że traci opanowanie. Nawiedziła go wizja jakiegoś cennego płynu - krwi, mleka, wina - który wycieka ze zbiornika. Nie mógł powstrzymać rosnącego poczucia, że gwałcono jego prawa; ktoś powinien zaprowadzić go na początek, przed ten pospolity tłum, szybko załatwić za niego formalności, zabrać do limuzyny. Czy nikt nie wiedział, kim jest? Czy nie był w końcu VIP-em? Był, jak wszyscy inni. W takich chwilach budził się w nim mizantrop, otaczający go ludzie przestawali być współpasażerami, a stawali się przeciwnikami, rywalami w tym ślimaczym wyścigu. I nie mógł się powstrzymać - zaczął wypatrywać tych, którzy kombinują, którzy próbują przesunąć się na obrzeżach jego pola widzenia, jak gdyby nigdy nic, niewiniątka udające, że wcale tego nie robią, wpychają się nieznacznie, małymi kroczkami, delikatnym ruchem ramienia. Kradną innym czas.

Dotarł do punktu, w którym dziesięć amorficznych, rozlewających się kolejek przechodziło w trzy prowadzące już bezpośrednio do stanowisk kontroli paszportowej. I oto pojawił się on, chudy facet o pergaminowej twarzy, w płaszczu z lodenu - Beard nie znosił takich typów - i zaczął wciskać się z lewej strony; próbował w tym celu wykorzystać swój wzrost, unosząc wielką walizkę na wysokość kolan i używając jej jako klina. Beard, wiedziony bezwstydnym poczuciem słuszności, szybko zrobił krok do przodu, stanął mu na drodze i poczuł, że walizka uderza go w kolano. Wtedy się odwrócił, spojrzał facetowi w

oczy i powiedział grzecznie, choć serce zabiło mu mocniej: „Bardzo przepraszam”.

Była to reprimenda w formie przeprosin, pozór uprzejmości wobec kogoś, kto w tej chwili pałał żądzą mordy. Dobrze było wrócić do Anglii.

Ale spojrzawszy w twarz kombinatora, zobaczył, że jest już mocno wiekowy. Co najmniej osiemdziesięcioletni, z brązowymi plamami wątrobianymi od pergaminowego czoła po pomarszczoną szyję, miał uchylone usta i drżącą lekko, obślinioną dolną wargę. Oczywiście starzy muszą być pierwsi. Mają mniej czasu. Są już jedną nogą w grobie. Bardziej im się spieszy niż jemu, dlatego należy im wybaczyć, nawet ich przeprosić. Ale starszy pan się ulotnił, został gdzieś w tyle, zniknął z pola widzenia zawstydzony. Za późno, żeby zaoferować mu lepsze miejsce w kolejce.

I Beard, bezlitosny pogromca słabszych, doszedł w końcu do stanowiska kontroli paszportowej z lekkim poczuciem winy i pewną niechęcią do samego siebie, dlatego wcale się nie zdziwił, gdy jego zdjęcie, a może wzrost, data urodzin czy któryś z krewnych wzbudziły podejrzenia i spowodowały zmarszczkę na czole urzędniczki, która szybko przerzuciła kartki jego paszportu, spojrzała mu w twarz, znowu przejrzała paszport, a potem, po chwili wahania, położyła dokument na skanerze przodem do dołu. Miała pod trzydziestkę, być może była dwa razy młodsza od niego. Jej rodzice pewnie pochodzili z Etiopii. Gdyby wstała z wysokiego stołka, zesza ze stanowiska i zrzuciła pantofle na obcasach, wciąż byłaby o sześć cali od niego wyższa.

Był gruby, nieporadny, zaczerwionny z gorąca - i spóźniony. Kobieta sprawnie weszła w swoją rolę - strażniczki bram państwa, pilnującej, żeby na jego teren nie dostał się nikt niepowołany. Obserwował ją, jak studiuje jego dane na ekranie, prawą ręką o różowawym wnętrzu lekko przebiega po klawiaturze, sprawdzając pod jeszcze innym kątem, głębiej - pomyślał z nadzieją. Z wysokiego rusztowania w sali jakby spłynęła cisza, niczym gęstniejący śnieg, cudowny chłód, i przestał się niecierpliwić. Ta gładka, błyszcząca, kochająca światło skóra, te wysokie kości policzkowe - widział tylko jedną - o delikatnym zagłębieniu i rzeźbionym łuku, te ciemne oczy spoczywające z powagą na jego profilu, to szczęśliwe połączenie - bo tak to widział - inteligencji i wdzięku. Przed milionami lat, w cieniu jakiejś tajemnej pustynnej reduty, do puli DNA pewnego lokalnego plemienia dołączyły geny gazeli. Taka wizja krzyżówki ras mogła być formą rasizmu albo po prostu adoracji - tak czy siak, nie miał ochoty się z niej otrząsnąć. Miał ją przed oczami, gdy patrzył na czarną lewą dłoń i nadgarstek, smukły i wąski jak u onanistki, spoczywające na wyblakłej okładce jego paszportu.

W tych sprawach pozostał sobą, bezczelnym głupcem - całe życie tak się zachowywał,

nie był ani odrobinę mądrzejszy niż wtedy, gdy miał dwadzieścia pięć lat, nieuleczalny przypadek, jak zgodnie twierdziły wszystkie jego byłe żony - i zanim urzędniczka się odezwała, przyszło mu do głowy, żeby zapytać ją, czy nie poszłaby z nim na kolację. Pytał o to wiele kobiet, zupełnie nieznanomych, i jeszcze żadna nie odpowiedziała „nie”. Jego związek z Patrice zaczął się właśnie od takiej kolacji, a ponieważ miała ona straszliwe następstwa, pamiętał nawet teraz, po dziesięciu latach, co wtedy zamówił. Stanowiło zapowiedź tego, co nastąpiło później, katastrofy: płaszczka z kaparami na przypalonym maśle, przesolona sałatka z dzikiej rokiety, spienione pinot grigio, oczywiście trącające korkiem, ale był zbyt urzeczony, żeby wezwać sommeliera.

Młoda kobieta spojrzała mu w oczy i zauważyła:

- Dużo pan podróżował po Środkowym Wschodzie.

Owo „dużo” zabrzmiało, jakby wydobyło się z krtani, było to stwierdzenie w formie pytania. Intonacja wznosząca w terminologii lingwistycznej, jak się niedawno dowiedział. Stał się ostatnio snobem językowym, snobem snobującym się na brak snobizmu, ale niestety, wiek i ograniczone kontakty nie pozwalały mu zrozumieć zbyt dobrze korelacji między akcentem i statusem społecznym we współczesnej Anglii. Rok wcześniej wdał się romans z londyńską kelnerką, którą uważał za pełną życia, dziką istotę z jakiegoś zapyziałego osiedla mieszkaniowego. A tymczasem okazało się, że dorastała w Surrey Hills w lutyensowskim domu wśród starych wawrzynów, a jej ojciec był matematykiem z tytułem szlacheckim i należał do Royal Society. Beard umknął w popłochu. I oto znowu podniecił się własnym wyobrażeniem plebejskości czy rasizmu.

Odpowiedział neutralnie:

- Tak. Rzeczywiście.

- Libia. Egipt, Sudan. I cała reszta. Interesy, tak?

Skinął głową.

- A czym się pan zajmuje?

Wiele razy pytano go o to przy takich okazjach.

- Jestem konsultantem do spraw energii - odparł.

- Czyli ropy?

I znowu ledwie słyszalna intonacja wznosząca z półkniętą głoską obudziła w nim niezdrawe ciągoty.

- Nie. Energii słonecznej.

- CSP*, tak?

Niecałkiem, ale kiwnął głową. Znała się na tym. W mglistym przebłyску niewinnej nadziei i zmysłowego zainteresowania przeskoczył wyobraźnią dalej, poza kolację, do etapu, gdy kobieta zwalnia się z pracy w urzędzie imigracyjnym i, sprawna, kompetentna, podróżuje z nim, pracuje z nim i dla niego, żyje z nim i dla niego, dla jego wizji świata, czystego, schłodzonego i napędzanego energią fotowoltaiczną, z CSP, a przede wszystkim z jego własnej sztucznej fotosyntezy, magazynowaną albo dystrybuowaną i przetwarzaną przez inwertery synchroniczne. Nauczyłby ją wszystkiego, co sam wie o strukturach cienkowarstwowych, hehostatach, systemach taryf gwarantowanych. W godzinach pracy byłaby dobrze zorganizowaną asystentką, poza nimi chętną, wygimnastykowaną kochanką o niewyrafinowanych upodobaniach.

Zaczął więc towarzysko:

- O, interesuje się pani... - Ale weszła mu w słowo i zakończyła:

- Dziękuję, panie Beard.

Prawą ręką zwróciła mu paszport, podając go nad lewą, która leżała nieruchomo na blacie. Oczywiście! Nienadająca się do użytku, niesprawna, uschnięta. Posunął się jeszcze dalej w swoich śmiesznych fantazjach, z powodu tej ułomnej ręki wezbrała w nim czułość i uczucia opiekuńcze. Przy kolacji trzymałaby widelec w prawej ręce; on też oczywiście by go przełożył.

Już miał zaproszenie na ustach, gdy jej wzrok ześlizgnął się z jego twarzy i powędrował dalej, ku stojącej za nim osobie.

- Następny, proszę! - zawołała.

To była jego ułomność, ułomność, z którą musiał żyć jak ona z uschniętą ręką - skłonność do snucia ulotnych scenariuszy, zdecydowanie infantylna, która właściwie prowadziła donikąd, od czasu do czasu tylko ściągająca na niego kłopoty, bardzo rzadko przynosiła radość. Ale właśnie podobne fantazje - chwile maniakalne, krótkie wybuchy euforii, intensywne, choć zamglone epizody, w których realne splatało się z nierealnym, niemożliwe z możliwym, logiczne z nielogicznym - dawno temu pomogły mu sformułować słynną teorię. Poezja, nauka, erotyka - dlaczego wyobraźnia miałaby służyć jednemu panu?

Pospieszenie przeszedł przez odbiór bagażu, minął skrzypiące karuzele w przejściach i znużone tłumy pod tablicami informacyjnymi, puste stanowiska celników, złowrogie szklane

* Concentrated Solar Power, technika wykorzystująca energię słoneczną skoncentrowaną przy użyciu luster albo soczewek.

drzwi prowadzące tylko w jedną stronę i blaty ze stali nierdzewnej przypominające stoły sekcyjne w kostnicach, a potem szeregi kierowców o szklanym wzroku, z tabliczkami: „Kuwait Balloon Adventures”, „Biskup Dolan”, „Ted od pana Kiplinga” - i przeciął halę odlotów w pełni świadomy, że nie idzie prosto do schodów na peron, ale zmierza w stronę lichego sklepiku na lotnisku, w którym sprzedawano gazety, paski do bagażu i tego rodzaju drobiazgi. Czy okaże się słaby i pójdzie tam jak zwykle? Miał nadzieję, że nie. Ale nogi same go tam niosły. Był typem intelektualisty, który interesuje się życiem publicznym, lubił być poinformowany, i to naturalne, że chciał kupić gazetę, mimo że nie miał czasu. W chwilach podejmowania ważnych decyzji umysł ludzki jest jak parlament, debatująca izba, w której walczą z sobą krótko- i długoterminowe interesy, przeciwne stronnictwa okopują się we wzajemnej niechęci. W której nie tylko zgłasza się wnioski i przeciwko nim protestuje, wysuwa pewne propozycje, żeby przeszły inne. A sesje mogą być jawnie burzliwe i pozornie spokojne.

Zbyt dobrze znał ten sklepik i teraz miał wrażenie, że kieruje się prosto do niego. Zamierzał tylko zerknąć, poddać próbie własną wolę, kupić gazetę i nic ponadto. Gdyby to tylko pornografii usiłował się oprzeć, porażka nie byłaby jeszcze dla niego taka szkodliwa. Ale zdjęcia dziewcząt, czy raczej części ciał dziewcząt, już go nie podniecały. Jego problem był bardziej banalny, nie dotyczył świerszczyków. Beard znalazł się przy kontuarze, właśnie oddzielał na dłoni monety funtowe od euro, trzymając pod pachą cztery gazety, nie tylko jedną, jakby nadmiar w jednej sferze miał go uodpornić na nadmiar w innej, i gdy je podawał, żeby sprzedawca mógł zeskanować kody kreskowe, dostrzegł kątem oka, za kasą, błysk tego, czego pragnął, tego, czego nie chciał pragnąć, aż kilkanaście z nich, więc bez chwili wahania wziął jedną - jaka lekka! - i dodał do pozostałych swoich zakupów, zasłaniając zdjęcie premiera machającego z progu kościoła.

Była to torebka z folii aluminiowej, w której znajdowały się cienko pokrojone plasterki ziemniaków, smażone na oleju, oproszone solą i wytwarzanymi na skalę przemysłową sproszkowanymi artykułami spożywczymi, konserwantami, polepszaczami, regulatorami kwasowości i barwnikami. Chipsy z solą o winnym smaku. Wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po lunchu, ale tego rodzaju chemicznych smakołyków nie było w Paryżu, Berlinie ani Tokio, a już się za nimi stęsknił, za aktywnym szczypaniem tych trzydziestu gramów - mówiąc językiem dealerów narkotykowych. Ostatnia działka i już nigdy więcej nie tknie tego świństwa. Pomyślał, że może się jeszcze powstrzymać, dopóki nie wsiądzie do pociągu. Wetknął torebkę do kieszeni marynarki, wziął plik gazet, ujął rączkę walizki i ruszył przez hol. Miał trzydzieści pięć funtów nadwagi. Żeby odzyskać szczupłą sylwetkę, powziął

już wiele postanowień i złożył sobie wiele obietnic, zwykle po kolacji z kieliszkiem w ręce, gdy wszyscy parlamentarzyści kiwnięciem głów wyrażali zgodę. Przegrywał z terażniejszością w momencie bezpośredniej konfrontacji ze smakołykiem, dodatkowym daniem, posiłkiem, nawet jeśli nie był głodny, gdy zwyciężał doraźny interes, ochota, przyjemność.

Podczas lotu z Berlina poniósł klęskę jak zwykle. Na początku, usadowiwszy swój duży tyłek w fotelu, zaledwie dwie godziny po solidnym tłustym niemieckim śniadaniu, powziął postanowienie: żadnych napojów oprócz wody, tylko zielona sałata, kawałek ryby, bez puddingu, ale jednocześnie, w miarę zbliżania się srebrnego wózka oraz przyciszonego, zachęcającego damskiego głosu, coraz mocniej zaciskał dłoń na kieliszku powitalnego szampana. Już pół godziny później rozrywał torebkę syntetycznej solonej przekąski o smaku wołowiny, którą dostał do wielkiego ginu z tonikiem. Potem rozłożono przed nim białą serwetkę, na której widok jakiś neuronowy przekaźnik spowodował wydzielanie się soków żołądkowych. Pod wpływem ginu stracił resztki silnej woli. Na zakąskę wybrał to, co początkowo stanowczo odrzucił: udka przepiórek na bekonie w sosie śmietanowo-czosnkowym. Potem, jako danie, kawałki wieprzowiny z ryżem w maśle. Słowo *pavé* znowu spowodowało wydzielanie się kwasów żołądkowych, więc porcja biszkoptu z masą czekoladową, polewą czekoladową w sosie czekoladowym; ser kozi, ser krowi z białymi winogronami, trzy bułeczki, czekoladka miętowa, trzy kieliszki burgunda. Na koniec, jakby to mogło go jeszcze rozgrzeszyć, ponownie przejrzał menu, żeby skonfrontować się ze skropioną oliwą sałata, która miała być podana do przepiórek. Kiedy zabierano jego tacę, pozostały na niej tylko winogrona.

*

Kupił bilet i zajął miejsce przy stoliku w pustawym pociągu. Naprzeciwko niego siedział mężczyzna po trzydziestce, z ogoloną głową, o okrągłej twarzy i wyćwiczonym na siłowni grubym karku, jeden z tych młodych ludzi, którzy według Bearda wyglądali identycznie. Ten jednak się wyróżniał, bo miał kolczyki w uszach. Przez krótką chwilę toczyli z sobą nieformalne negocjacje, odtańczyli uprzejmy balet o przestrzeń na nogi. Potem młody człowiek wrócił do pisania esemesa, a Beard, przejrzawszy pierwsze strony gazet, doznał znajomego wrażenia zawężenia się horyzontu, jakie powoduje powrót do domu. Te same gazety czytał przed wyjazdem, kilka tygodni wcześniej. Te same nagłówki, nad tymi samymi zdjęciami, zawierające te same pytania. Kiedy Blair odejdzie? Jutro? Zaraz po następnych wyborach, zakładając, że je wygra? Za rok, za dwa czy po całej czwartej kadencji? Czy w

Bagdadzie al Kaida nie wyróżnęła dokładnie tyle samo szytów, którzy stali w kolejce po chleb? Poza tym - Beard przerzucił plik gazet - tsunami pochłonęło ćwierć miliona istnień ludzkich, co znowu, tak jak w minionym miesiącu, obudziło w niektórych wątpliwości w kwestii istnienia Boga. Gdzie indziej, jak zwykle, stwierdzano, że kraj jest w ruinie, jego rząd, finanse, służba zdrowia, wymiar sprawiedliwości i system edukacji, wojsko, infrastruktura transportowa, a także moralność publiczna są w stanie upadku. Z przyzwyczajenia sprawdził, czy są jakieś artykuły poświęcone zmianie klimatu. Tego dnia nic. Energia słoneczna? Nic - na razie.

Odłożył gazety na sąsiednie miejsce i wyjął palmtop. Przejrzał piętnaście wiadomości, które dostał po wylocie z berlińskiego Tegla. Czternaście z nich dotyczyło projektu. Jego amerykański współpracownik Toby Hammer potwierdzał, że dokumenty są już na Grosvenor Square. Właściciel rancza chciał, żeby zaliczkę wpłacić na jego konto w El Paso, a nie w Alamogordo. Miejskowa izba handlowa uprzejmie prosiła o „bliższe” dane szacunkowe przyszłych miejsc pracy dla obywateli Lordsburga. Zawsze gdy widział nazwę tego małego miasteczka, poprawiał mu się nastrój. Chciał już tam być, na jego północnym skraju, patrzeć na oszalałającą przestrzeń przy prostej drodze do Silver City, gdzie miały rozpocząć się prace. Kierownictwo Holiday Inn w Lordsburgu potwierdzało jego rezerwację w nadchodzącym miesiącu: ten sam pokój co zwykle, ze zniżką dla stałych klientów. Po raz trzeci w tym miesiącu wiadomość od Jocka Braby'ego, który chciał się z nim spotkać. Pewnie usłyszał plotki, że dobrze im poszło w Imperialu, i miał zamiar podpiąć się pod ten sukces. Człowiek, który wykopał Bearda z ośrodka. Kolejna informacja od Toby'ego Hammera. Znalazł źródło tanich opiółków żelaza. Tylko jedna wiadomość osobista: „Nie zapomnij, że o ósmej kolacja. Głównym daniem będziesz Ty. Kocham Cię, Melissa”.

Kocham cię. Pisała to i mówiła wiele razy, a on nigdy jej się nie zrewanżował, nawet w chwilach zapomnienia. Nie dlatego, że jej nie kochał. Sądził, że nie kocha, choć nie był tego pewny. Dawno temu nauczył się nie składać takich deklaracji. Nikomu. W przypadku Melissy bał się, że te dwa magiczne słowa wywołają inną kwestię. Czy zechce być z nią do końca życia i zostać ojcem jej dziecka? Bo pragnęła dziecka, którego ze względu na okoliczności mieć nie mogła. Ale wiedział z doświadczenia, że jeśli się zgodzi, w końcu zawiedzie tę naiwną ładną młodą kobietę, młodszą od niego o osiemnaście lat. Była w wieku, w którym bezdzielnym kobietom zaczyna się spieszyć. Skoro więc nie zamierzał wziąć na siebie tego obowiązku, powinien się wycofać. Pewnie potrzebowałaby trochę czasu, żeby dojść do siebie i znaleźć kogoś, kto by go zastąpił. Ale nie chciała, żeby odszedł, a on nie mógł się do tego zmusić. Tylko co? Znowu, po raz szósty, w wieku sześćdziesięciu lat,

miałby zostać niespełniającym oczekiwań mężem i ojcem? Co za śmieszna regresja!

Rozmowa z nią o tym była męką. Ostatnim razem, w restauracji przy Piccadilly ze łzami w oczach powiedziała, że woli nie mieć dziecka, niż go stracić. Okropne. Jak teksty z rubryk porad osobistych w czasopismach dla kobiet. Nie wierzył jej. Gdyby naprawdę ją kochał, pomyślał, usunąłby się z jej życia. Ale tylko ją lubił i był słaby. Jak mógł odrzucić taki nieprawdopodobny dar od losu? Jaka inna kobieta w tym wieku obdarzyłaby uczuciem takiego beznadziejnego mężczyznę, niskiego, krępego, starzejącego się, zamieszanego w publiczny skandal, zepsutego, pochłoniętego zwariowanym romansem z promieniami słonecznymi?

Dokonał więc najgorszego wyboru. Nawet nie był to wybór, raczej akt tchórzostwa. Nie odszedł, ale trzymał ją na dystans - i tak przeważnie pracował za granicą. Spotykał się z innymi kobietami i przez cały czas niemal miał nadzieję, choć jednocześnie się lękał, że któregoś dnia zadzwoni do niego i opowie mu o jakimś napalonym, sprawnym byczku, który kręci się wokół niej i chce wkroczyć - a może już wkroczył - w jej życie. Wtedy może okazałby słabość i wrócił do niej, żeby bronić tego, co nagle uznał za swoją własność, a ona byłaby wdzięczna, z byczkiem nastąpiłby koniec - tu byczek znika ze sceny! - ale pasztet by pozostał, a on znalazłby się o krok bliżej złej decyzji.

Odłożył palmtop, opadł na oparcie i przymknął oczy. Przed nim na stoliku, widział je spod zmrużonych powiek, leżały chipsy z solą, a tuż za nimi stała plastikowa butelka wody należąca do młodego mężczyzny. Beard zastanawiał się, czy nie powinien przejrzeć notatek przed wykładem, ale zmęczenie wywołane podróżą i wypity podczas lunchu alkohol pozbawiły go energii, przynajmniej w tej chwili, poza tym uważał, że dość dobrze zna materiał, a na kartce w górnej kieszeni marynarki miał różne użyteczne cytaty. Co do chipsów, nie miał już na nie takiej ochoty jak wcześniej, ale całkiem mu nie przeszła. A te sztuczne dodatki mogły poprawić mu metabolizm i nabrałby sił. To raczej jego podniebienie niż żołądek zapragnęło poczuć kwaskowaty smak przypraw, jakimi obsypany był każdy kruchy plasterek. Zresztą wykazał już dostateczną powściągliwość - pociąg ruszył przed kilkoma minutami - i nie było sensu dłużej się powstrzymywać.

Podciągnął się na swoim miejscu i pochylił do przodu, położył łokcie na stoliku i podparł rękami brodę, utkwił wzrok w krzykliwym, srebrno-czerwono-niebieskim opakowaniu z rysunkami zwierzątek hasających pod flagą brytyjską. Jakie to dziecinne z jego strony, mieć takie upodobanie, i jakie niezdrowe; przejaw słabości, mikrokosmos wszystkich błędów i wyskoków, niecierpliwości, z jaką zawsze dążył do zdobycia tego, czego pragnął. Ujął torebkę w obie ręce i rozerwał ją od góry, uwalniając duszący zapach spalonego tłuszczu

i octu. Był to sztuczny, laboratoryjny twór, próba odtworzenia woni zapyziałego baru, w którym sprzedaje się rybę z frytkami, przywołania sentymentalnych wspomnień, zachcianek i uczuć patriotycznych. Nie bez przyczyny na torebce widniała flaga. Wziął pojedynczego chipsa w palce, odstawił opakowanie na stół i odchylił się na oparciu. Był człowiekiem, który celebrował przyjemności. Cała sztuka polegała na tym, żeby umieścić kawałek chipsa na środku języka i po chwili, gdy aromat się rozejdzie, zgnieść go, przyciskając do podniebienia. Według jego teorii chropawa nieregularna powierzchnia powodowała w miękkim wnętrzu ust urazy, przez które wnikała sól i inne chemikalia, powodując lekki, ale wyraźny, przyjemny ból.

Przymknął powieki jak znawca wina podczas degustacji. Otworzywszy je, zobaczył szaroniebieskie oczy siedzącego naprzeciwko mężczyzny, który patrzył na niego. Lekko zmieszany Beard zrobił zniecierpliwiony gest i odwrócił wzrok. Wyobrażał sobie, jak musi wyglądać; otyły dureń w pewnym wieku, delektujący się świńskim żarciem. Zachowywał się, jakby był sam. No to co? Miał prawo, dopóki nikogo nie obrażał i nikomu nie robił krzywdy. Nie przejmował się już tym, co inni o nim myślą. Starość ma niewiele plusów, ale to właśnie był jeden z nich. Aby wzmocnić się w poczuciu pewności, wsadził rękę do torebki i wziął kolejnego chipsa, a wtedy znowu napotkał wzrok tamtego. Było to spojrzenie spod zmrużonych powiek, twarde, nieruchome, wyrażające niewiele poza nieprzyjazną ciekawością. Beard pomyślał, że być może ma naprzeciwko siebie psychopata. Niewykluczone. Sam zresztą też mógł nim być. W efekcie działania soli po zjedzeniu pierwszego chipsa miał wrażenie, że krwawia mu dziąsła. Zagłębił się w fotelu, otworzył usta i powtórzył całą procedurę, tym razem jednak nie przymykając oczu. Drugi chips, co było nieuniknione, okazał się mniej pikantny, mniej zaskakujący, mniej wyrazisty od pierwszego, i właśnie ten niedosyt, zmysłowy zawód, skłaniał, jak dobrze wiedzą narkomani, do zwiększenia dawki. Beard postanowił włożyć do ust dwa chipsy naraz.

W tym momencie, uniósłszy głowę, zobaczył, że współpasażer pochyła się do przodu i nie odrywając od niego wzroku, opiera łokcie na stoliku, jakby go parodiował. Potem opuścił rękę, niczym żuraw zagłębił ją w torebce i wyciągnął chipsa, być może największego ze wszystkich; trzymał go w palcach przez sekundę czy dwie, po czym zjadł, nie w takim skupieniu jak Beard, za to chrupiąc bezczelnie, z otwartymi ustami, tak że można było zobaczyć, jak chips zamienia się w papkę na jego języku. Mężczyzna nie mrugnął nawet okiem, patrzył z takim natężeniem. I to jego zachowanie było tak wykraczające poza konwencje, tak rażące, że Beard, który był zdolny do niekonwencjonalnego myślenia, zastygł z godnością w bezruchu i starał się zachować kamienną minę, aby nie zdradzić swojego

oburzenia.

Dwaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy i Beard postanowił, że tym razem nie odwróci wzroku. Nie miał wątpliwości, facet zachował się agresywnie, to, co zrobił, było jawną kradzieżą, choćby jej przedmiot wydawał się bezwartościowy. I gdyby przyszło do walki, to on, Beard, w ciągu kilku sekund znalazłby się na podłodze ze złamaną ręką albo rozbitą głową. Ale w grę być może wchodziło jeszcze co innego, niewykluczone, że za szyderczą powagą, z jaką ten młody człowiek go przedrzeźniał, parodiował jego śmieszny rozkosz wywołaną przez świńskie żarcie, krył się żart. Albo prowokacja w dobrym starym stylu, mająca na celu ośmieszenie zatwardziałego w swoich nawykach burżuja. Albo jeszcze gorzej, facet uznał Bearda za geja, i to była zaczepka, rodzaj współczesnego zagajenia obowiązującego w pewnych środowiskach czy subkulturach, w których jego purpurowy jedwabny krawat - powiedzmy - przypadkiem stanowił sygnał, znak, jawną zachętę. Czy kolczyk w którymś uchu - nie pamiętał już którym - nie był oznaką orientacji seksualnej? Ten facet miał w jednym aż dwa. Fizyk może i wiedział sporo o świetle, ale nie miał pojęcia o formach ekspresji w kulturze współczesnej. W końcu, wracając do swojej pierwszej hipotezy, zaczął się zastanawiać, czy współpasażer nie jest aby psychopata, który samowolnie odstawił lit, bo jeśli tak, może lepiej przestać patrzeć mu w oczy. W tym punkcie Beard umknął spojrzeniem w bok i zrobił jedyną rzecz, jaka przychodziła mu do głowy - sięgnął po kolejnego chipsa.

Czego się spodziewał? Gdy tylko wsadził go do ust, facet ponownie opuścił rękę i tym razem wziął dwa chipsy, tak jak pierwotnie zamierzał Beard, po czym zjadł je równie arogancko, wulgarnie jak poprzednio. Zabranie torebki ze stolika na pewno nie byłoby dobrym posunięciem - mogłoby się okazać zbyt gwałtowne, zbyt fizyczne. Niebezpieczne - bo przeniosłoby konflikt na inny grunt, stanowiłoby zachętę do przepychanki. A gdyby do niej doszło, czy ktoś przyszedłby mu z pomocą? Beard rozejrzał się po przedziale. Inni pasażerowie czytali albo patrzyli z tępym wyrazem twarzy w przestrzeń, albo za okno, na zimne zachodnie przedmieścia Londynu, nieświadomi rozgrywającej się obok sceny. Co mogło być ciekawego w dwóch mężczyznach, którzy jedli chipsy z jednej torebki? To paradoks, ale jak ocenił Beard, lepiej już było kontynuować to, co się zaczęło. Nie przyszło mu do głowy, że aby uniknąć starcia z silniejszym mężczyzną, powinien zrezygnować z chipsów i oddać je wszystkie tamtemu. Co jak co, ale Beard nie należał do tchórzy. Może był niski i grubawy, lecz miał poczucie sprawiedliwości i potrafił bronić swego. Stać go było nawet na zuchwałość. Czasami miawało to fatalne skutki. Wziął kolejny plasterek smażonego ziemniaka. Przeciwnik, nie odrywając wzroku od Bearda, zrobił to samo. Powtórzyło się to

jeszcze dwa razy, ręce ich obu kolejno zanurzały się w torebce, spokojnymi, raczej niespiesznymi niż gwałtownymi ruchami, tak że nigdy się z sobą nie zetknęły. Gdy pozostały już tylko dwa chipsy, młody mężczyzna wziął torebkę i z przesadną uprzejmością podsunął ją Beardowi. Ten w odpowiedzi na ów gest - ostatnią zniewagę - odwrócił głowę.

To było oburzające. Pociąg tymczasem zwolnił, ludzie zaczęli sięgać po płaszcze, przetworzony komputerowo głos przypomniał pasażerom, żeby wysiadając, nie zapomnieli zabrać bagaży. Ruchem, który przypieczętował jego triumf, młody mężczyzna zgniótł w ręce plastikową torebkę i wrzucił ją do kosza pod stolikiem. Sumiennie zmiótł ręką z blatu okruszki i ziarenka soli. Poniżenie Bearda nie mogło być większe. Tak to jest, gdy człowiek się starzeje - młodzi przepychają go z kąta w kąt, nawet nie można się bronić. Poczuł z krzepiącym rozżaleniem, że w tej jednej chwili kumulują się wszystkie niesprawiedliwości, historyczne krzywdy, bezprawne napaści, akty samowoli ze strony watażków, naruszenia kodeksu przez tyranów i że jeśli ma zachować szacunek dla samego siebie, a także wypełnić obowiązek względem wszystkich innych słabych jednostek, musi stawić opór. Bo w przeciwnym razie nie będzie mógł spojrzeć do lustra. Rzucił się przed siebie, chwycił należąca do tamtego butelkę wody, odkręcił ją szybko i pociągnął z niej potężny haust - zresztą naprawdę miał pragnienie - a następnie opróżnił do dna, do ostatniej kropli z dwudziestu pięciu centylitrów. Potem cisnął na stolik z wyzywającym spojrzeniem, które mówiło: „no i co mi zrobisz?”. Niebieska zakrętka stoczyła się na podłogę.

Młody mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, potem podniósł się i stanął w przejściu, demonstrując w pełni swój wzrost - z sześć stóp i dwa cale. Beard, który zaczął żałować swojego buntu, pozostał na miejscu, starając się nie kulić. Tamten podniósł rękę i jednym płynnym ruchem umięśnionego ramienia zdjął jego walizkę i delikatnie postawił na podłodze obok niego. Jeśli miał to być akt skruchy, Beard pozostał niewzruszony i odpowiedział pogardliwym spojrzeniem. Adwersarz zawahał się przez moment, patrząc na starszego mężczyznę ze smutkiem i żalem, a następnie odwrócił się i szybko wyszedł z przedziału.

Beard pozwolił mu się oddalić, potem wstał. Nie miał ochoty dłużej oglądać tego typu. Minęła cała minuta, zanim wysiadł i stanął na peronie. Jeszcze w przedziale, drżąc lekko czy to ze złości, czy z oburzenia, a może trochę na skutek jednego i drugiego, z trudem włożył płaszcz - pasek zaplątał mu się wokół rękawa. Teraz zauważył, że ma rozwiązane sznurowadło. Gdy przykląkł, żeby je zawiązać stawiającymi opór palcami, przypomniał sobie o gazetach i uznał, że zostawi je w pociągu. W końcu, doszedłszy jako tako do siebie, ruszył peronem w stronę wyjścia. I wtedy nastąpiła chwila, którą miał zapamiętać i która stała się

symbolem wszelkich jego późniejszych obrachunków z przeszłością, każdego zrewidowanego czy zmienionego poglądu na własne życie, na własną głupotę czy motywy postępowania innych ludzi. Zatrzymał się dwadzieścia stóp przed barierką. Postawił bagaż na krótszym boku i wsadził rękę pod płaszcz do kieszeni marynarki, żeby wyjąć bilet. Trafił jednak na coś innego, coś plastikowego, szeleszczącego, wypukłego, lekkiego. Powróciło do niego niewyraźne wspomnienie z dzieciństwa, wspomnienie magicznej sztuczki podczas wioskowego kermasu, kiedy jakiś sztukmistrz wyciągnął z ucha dziesięcioletniego Michaela jajko, zajaca czy kurczę, w każdym razie coś, czego nie powinno tam być, tak jak teraz te chipsy, które przecież zjadł. Wyjął paczkę i ogłupiały wbił w nią wzrok, we flagę, w baraszkuje zwierzątka z kreskówek, pragnąc, żeby zniknęły. A tamta torebka? Nagle zobaczył wszystko w innym świetle, każdą chwilę, każdy impuls, każdy gest człowieka, którego nie chciał już nigdy oglądać, i swoje własne zachowanie - niebezpiecznego szaleńca, na jakiego musiał wyjść.

Tak się pomylił, że w pierwszej chwili, o dziwo, poczuł aż ulgę, coś w rodzaju radości. Nie miał nic na swoją obronę, żadnego wytłumaczenia. Choć nie było mu wesoło, zachciało mu się śmiać. Jego pomyłka była tak oczywista, tak ewidentna, zrobił z siebie tak beznadziejnego głupca, że teraz, gdy to sobie uświadomił, poczuł się wręcz oczyszczony i rozgrzeszony, jak pokutnik, jak średniowieczny biczownik z krwawiącymi ranami na plecach. Ten biedny facet, któremu zżarł chipsy i wypił wodę, który oddał mu ostatnie plasterki, a potem zdjął bagaż z półki, był przyjacielem. Nie, nie, nie pora na to teraz, trzeba odłożyć tę bolesną retrospekcję na później.

Mimo że musiał się spieszyć na wykład, jeszcze przez dłuższą chwilę stał na peronie, pod wysokim szklanym dachem, od którego odbijało się echo; mijali go inni pasażerowie, a on stał, przyciskając torebkę chipsów do piersi, i czuł się, zupełnie bez uzasadnienia, jakby nagle przejrzał na oczy.

*

W taksówce, podczas jazdy z Paddington do Savoyu, doszedł do wniosku, że musi uważać, bo wydawał się sobie rozkojarzony, a miał przemawiać publicznie, później zaś, w przerwie konferencji, jeszcze rozmawiać z gośćmi; niewykluczone też, że będzie musiał wystąpić przed dziennikarzami, którzy pod pozorną życzliwością i ciekawością skrywali bezwzględność i krwiożercze instynkty. Wiedzieli z doświadczenia, że mogą pociągnąć go za język, sprowokować, żeby coś zdradził, ujawnił nawet całą hipotezę - czyż swoboda myślenia nie była jego obowiązkiem? - która potem, w druku, wydawała się szalona albo głupia, gdy

pozbawiono ją wszystkich „Jeśli” i „gdyby”, tych wszystkich obejść, zastrzeżeń, żartobliwego tonu. Za pewne zdawkowe przypuszczenie zapłacił kiedyś nagłówkiem: „Noblista mówi: koniec jest bliski”.

Jego własny koniec - w każdym razie tak się wtedy wydawało - nastąpił w minionym roku, a najdziwniejsze, że zaczęto już o tym zapominać. Jakby uzyskał przebaczenie. Wszyscy wiedzieli, że była afera, że wokół Michaela Bearda znowu zrobił się szum, ale nie znali szczegółów. Dowiedziono mu, że mylił się w związku z czymś czy że od początku miał rację? Zaatakował kogoś, czy sam stał się ofiarą? I czy ten ktoś został aresztowany? Wtedy, gdy rozpętała się burza, kolega, wybitny specjalista w dziedzinie symulacji komputerowych, powiedział mu, że zdjęcie noblisty prowadzonego w kajdankach wśród szydzącego tłumu ukazało się w czterystu osiemdziesięciu trzech gazetach. Beard nie mógł o tym zapomnieć, jego poniżenie miało światowy zasięg, ale najwyraźniej wszyscy już o tym zapomnieli. Nowe doniesienia, świeże skandale, wydarzenia sportowe, wyznania, wojny, tsunami i plotki o celebrytach zatarły wspomnienie o jego kompromitacji. Wzbierający powoli, dwunastomiesięczny potok wydarzeń zniósł go na stały grunt.

Te wydarzenia, ich emocjonalny wydźwięk, zaczęły zacierać się nawet w jego pamięci. To, że stanowi obiekt zainteresowania prasy, zdumiewało go i przyprawiało o zawrót głowy. Na szczęście ta plama w jego życiorysie bladła i zamieniała się w ledwie widoczny znak wodny także w jego świadomości. Pewne szczegóły pozostały jednak wyraźne, żywe, bo często do nich powracał. Choć uważał, że anegdoty o sobie zabijają rozmowę, opowiadał je w dalszym ciągu. Wciąż powtarzał, że kajdanki na rękach wcale nie wydają się takie zimne, jak opisuje się to w kryminałach. Te, w które go zakuto, zdążyły ogrzać się przez całe przedpołudnie w gabardynowej kamizelce aresztującej go policjantki. Niepokojąca była raczej ich ciasnota wokół nadgarstków, świadomość, że przejmuje się za ich pośrednictwem czyjeś ciepło. Mówi się także, że gdy człowiek czyta w prasie o czymś, co zna z autopsji, zawsze stwierdza, że jakiś istotny fakt został przeinaczony. W jego wypadku wcale tak nie było. Wręcz nie mógł się nadziwić, że tyle z zamieszczanych o nim informacji odpowiada prawdzie. Zniekształcenia powodowało jedynie zestawienie faktów, ich nowa interpretacja nieprzekraczająca jednak granicy zniesławienia. Był też pod wrażeniem dziennikarskiej skrupulatności w zbieraniu materiału, tego, jak głęboko te niestrudzone pismaki, w zaledwie dzień czy dwa, wniknęły w ciemne zakamarki, przeludnione slumsy jego życia osobistego, wyciągając smakowite informacje nawet od wrednego starszego brata jego trzeciej żony, prawie niemego odludka, który zawsze nienawidził Bearda, nie miał w domu telefonu i mieszkał przy bitej drodze w wyludnionej północno-zachodniej części Bruny Island za

Tasmanią.

Dziennikarze wywrócili życie Bearda jak kubel ze śmieciami. Wystarczyło potrząsnąć, żeby ukazały się rozmaite, na wpół już zapomniane skrawki. W innych okolicznościach może byłaby to usługa, za którą warto zapłacić. Niezależnie od siebie jego ekszony, poczciwa Maisie, Ruth, Eleanor, Karen i Patrice, odmawiały wypowiedzi dla prasy. To go głęboko wzruszyło. Jeśli chodzi o byłe kochanki, większość z nich zachowała się lojalnie wobec niego i tylko nieliczne puściły parę z ust: pewna asystentka laboratoryjna, jedna urzędniczka. No, i dwie pracownice naukowe, obie do niczego, zera. Co intrygujące, pojawiły się też oszustki. Zabrzmiała ostatnia trąba i z grobów oraz katakumb wyszedł na światło dzienne tłumek dawnych kochanek i pretendentek, żeby stanąć przed ich bożkiem, dziennikarzem z książeczką czekową, i oświadczyć, że Beard jest mizoginem, krętaczem, łajdakiem.

Ale ani milczenie, ani lojalność byłych partnerek nie załatwiały sprawy. Prasa potrafiła dogrzebać się do wszystkiego. Dopóki uwagi dziennikarzy nie przyciągnął skandal związany z futbolem, był ich ulubieńcem. Na pierwszej stronie jednej z gazet widniała jego karykatura jako lubieżnego satyra z podpisem: „Czytajcie w środku: kobiety Bearda”. Gdy z zamierającym sercem rozkładał gazetę i przesuwiał wzrokiem po galerii twarzy należących do jego koleżanek, starych przyjaciółek, żon, Melissy, coś się w nim budziło i jakiś wewnętrzny twardy głos, odporny na próby poniżenia go, że wcale nie był taki beznadziejny w ciągu tych ostatnich trzydziestu, czterdziestu lat, że wszystkie jego kobiety miały klasę, były kimś i teraz też umiały się zachować. A co do oszustek, cwaniaczek, okazało się, że są tylko trzy, i to niezbyt ładne. Ale pochlebiało mu, że chciały pójść z nim do łóżka. Dlaczego miałyby więc nie czytać o rzekomych nocach, które z nimi spędził?

Jednakże w sumie był to trudny okres. Zaczęło się niewinnie, od kliknięcia myszą, którym przyjął funkcję tytularnego szefa programu rządowego, mającego na celu promowanie fizyki w szkołach i na uczelniach, żeby w większym stopniu zainteresować nią studentów i nauczycieli, podkreślać dotychczasowe osiągnięcia fizyków i prezentować ich jako idoli. Kiedy przyszła ta propozycja, był zajęty, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, i mógł ją bez żalu odrzucić. Kierował badaniami nad sztuczną fotosyntezą w Imperial College, miał pod sobą piętnastoosobowy zespół. W dalszym ciągu pracował w ośrodku, choć głównie po to, żeby pobierać pensję. I przystępował do realizacji swojego nowego projektu poza Jockiem Brabym. Założył bowiem własną firmę, uzyskiwał patenty na katalizatory i inne technologie, gdy trafił na Toby'ego Hammera, żyłastego byłego alkoholika, czarodzieja i pośrednika, który zręcznie poruszał się w uczelnianych rektoratach, urzędach stanowych i sferach kapitału wysokiego ryzyka. Razem zaczęli szukać nasłonecznionego terenu, najpierw na Saharze

libijskiej, potem w Egipcie, następnie w Arizonie i Nevadzie, i wreszcie, w efekcie godziwego kompromisu, w Nowym Meksyku. Mając nowy cel przed sobą, Beard powoli pozbywał się starych synekur. Ale jego prośba musiała przejść przez Institute of Physics, więc nie mógł odmówić.

I w ten sposób znalazł się na pierwszym posiedzeniu komitetu w pokoju seminaryjnym w Imperial College. Należał do niego wraz z trzema wykładowcami fizyki z Newcastle, Manchesteru i Cambridge, dwoma nauczycielami szkoły średniej z Edynburga i Londynu, dwoma dyrektorami szkół z Belfastu i Cardiff i panią profesor naukoznawstwa z Oksfordu. Beard poprosił ich, żeby przedstawili się po kolei i opowiedzieli pokrótce o swojej drodze życiowej oraz pracy. To był błąd. Profesorowie mówili zbyt długo. Chcieli pochwalić się swoimi dokonaniem i instynktownie z sobą rywalizowali. Jeśli jeden rozwodził się nad szczegółami, drugi i trzeci też nie zamierzali się ograniczać.

Beard ze zniecierpliwieniem czekał na prezentację profesor naukoznawstwa, tym bardziej że przedmiot jej specjalizacji był mu nieznany. Przedstawiła się jako Nancy Temple. Miała okrągłą twarz, może niezbyt ładną, ale sympatyczną, z wyraźnymi dziecięcymi rumieńcami od kości policzkowych aż po linię żuchwy. Pomyślał, że mógłby zaprosić ją na kolację. Na początek zauważyła, że jest jedyną kobietą wśród zebranych i że skład komitetu odzwierciedla jeden z problemów, którym także należałoby się zająć. Zebrani mruknięciem wyrazili zgodę, łącznie z Beardem, który zaprosił każdego z nich do komitetu oprócz Nancy Temple. Kobieta mówiła hipnotycznie melodyjnym głosem z ulsterskim akcentem. Nie ukrywała, że wychowała się na zamieszkałych przez klasę średnią przedmieściach Belfastu i ukończyła Queen's University, gdzie studiowała także antropologię.

Powiedziała, że najlepiej scharakteryzuje swoją dziedzinę, przedstawiając ostatni projekt, nad którym pracuje, trwające już cztery miesiące badania w laboratorium genetycznym w Glasgow. Ich celem jest wyizolowanie i opisanie lwięgo genu Trim-5 wraz z jego funkcją. Zamierzała wykazać, że gen ten, jak każdy inny, jest tworem społecznym w dosłownym znaczeniu. Bez narzędzi, którymi „wypreparowali” go naukowcy - luminometru jednofotonowego, cytometru przepływowego, immunofluorescencji i tak dalej - by nie istniał. Te narzędzia są drogie, nauka posługiwania się nimi też jest kosztowna, sprawa ma więc społeczny kontekst. Gen nie jest niezależnie istniejącym tworem, który czeka, żeby odkryli go naukowcy. Stworzyły go wyłącznie ich hipotezy, ich twórcze umysły i instrumentarium, bez którego nie zostałby wykryty. A kiedy wreszcie opisano go w kategoriach tak zwanych par zasad i określono jego prawdopodobną rolę, okazało się, że ten opis ma znaczenie - i w ogóle jest czymś realnym - tylko dla garstki genetyków, którzy są w stanie go przeczytać. Poza nimi

Trim-5 nie istnieje.

Beard i jego koledzy fizycy słuchali tej prezentacji z rosnącym zakłopotaniem. Z uprzejmości nie wymieniali znaczących spojrzeń. Byli bowiem zwolennikami tradycyjnego poglądu, że świat to niezależny byt, owszem, zagadkowy, który wciąż czeka na opis i wyjaśnienie, ale to nie znaczy, że jego obserwator nie zostawia odcisków palców na obszarze swoich obserwacji. Beard słyszał pogłoski, że na wydziałach humanistycznych powstają dziwaczne idee. Podobno programowo uczono tam studentów, że nauka to po prostu jeszcze jeden system wierzeń, nie bardziej wiarygodny niż religia czy astrologia. Zawsze sądził, że to jakiś atak ze strony humanistów na niego i kolegów. Przecież efekty mówią same za siebie. Kto chciałby przyjąć szczepionkę wynalezioną przez księdza?

Kiedy Nancy Temple zakończyła swoje wystąpienie, jednocześnie głos zabrali wykładowcy z Newcastle i Cambridge, obaj bardziej zdziwieni niż rozszłoszczeni.

- A co wobec tego z płasawicą? - zapytał jeden, a drugi rzucił: - Naprawdę pani uważa, że to, o czym pani nie wie, nie istnieje?

Beard, jak zawsze rycerski, uznał za swój obowiązek wystąpić w jej obronie i już miał się odezwać, gdy pani profesor odpowiedziała pobłażliwie:

- Płasawica również jest wpisana w kontekst społeczny. Kiedyś uważano ją za karę boską czy objaw nawiedzenia przez demony. Obecnie jej etiologię przypisuje się wadliwemu genowi, ale w przyszłości pewnie powstanie jeszcze inna teoria. Cóż, oczywiście o genach, o których nic nie wiemy, mam niewiele do powiedzenia. Natomiast jeśli chodzi o te, które zostały opisane, to nasza wiedza o nich podlega wpływom kulturowym.

Ten jej spokój wywołał poruszenie i przewodniczący musiał interweniować - miał w tym doświadczenie; przypomniał członkom komitetu, że czas zebrania jest ograniczony, i skupił ich uwagę na następnym punkcie programu. Regulamin przewidywał, że spotkają się dwanaście razy w ciągu trzynastu miesięcy i będą udzielać rekomendacji. Należało więc ustalić wstępnie kilka dat.

Później, po południu, komitet zasiadł za długim stołem w sali Royal Society, żeby w imieniu Physics UK, jak nazwali komitet rządowi specjaliści od PR-u, wygłosić oświadczenie dla prasy. Na sztaludze stała plansza z ich logo - wymyślny monogram złożony z liter E, M i C^2 na tle znaku równości, co przypominało kształtem nieregularny krzew ogrodowy. Beard przedstawił kolegów, powiedział kilka słów tytułem wstępu i poprosił o pytania dziennikarzy, którzy pochyleni nad magnetofonami i notebookami sprawiali wrażenie przygnębionych powagą swojego zadania, skandalicznym brakiem jakichkolwiek kontrowersji. Kto ośmieliłby się zakwestionować potrzebę propagowania fizyki? Pytania były nieciekawe, odpowiedzi

obszerne. Całe przedsięwzięcie było żałośnie uzasadnione. Po co jeszcze wyświadczać rządowi przysługę i przedstawiać je szczegółowo?

Dziennikarka ze średnionakładowego tabloidu zadała pytanie stare jak świat i Beard odpowiedział konwencjonalnie, jak mu się wydawało. To prawda, kobiety są w fizyce reprezentowane nielicznie i zawsze tak było. Często dyskutuje się o tym problemie i komitet - gdy to mówił, myślał o profesor Temple - z pewnością zastanowi się nad nowymi sposobami zachęcania dziewcząt, aby zainteresowały się tą dziedziną nauki. Jego zdaniem nie było już barier instytucjonalnych czy przesądów, które by to utrudniały. Ale przecież są sfery nauki, w których kobiety są licznie reprezentowane albo wręcz dominują. A potem, ponieważ sam był już znudzony, dodał, że być może pewnego dnia trzeba będzie pogodzić się z myślą, że osiągnięto już maksymalny poziom, jeśli o to chodzi. Chociaż jest wiele zdolnych kobiet fizyków, niewykluczone, że zawsze pozostaną na tym polu w mniejszości, choćby i znaczącej. Możliwe, że zawsze więcej mężczyzn będzie interesować się zawodowo fizyką. W psychologii poznawczej bazującej na szeroko zakrojonych eksperymentach panuje zgodna opinia, że statystycznie mózgi kobiet i mężczyzn znacznie różnią się od siebie. Należy podkreślić, że nie jest to kwestia wyższości płciowej ani też uwarunkowań społecznych, choć oczywiście odegrały one swoją rolę. Zaobserwowano mianowicie wrodzone różnice w zdolnościach poznawczych. W wyniku studiów i metastudiów ustalono, że kobiety wykazują przeciętnie większe zdolności językowe, lepszą pamięć wizualną, trafniejszą ocenę emocjonalną, a także są zdecydowanie lepsze w arytmetyce. Mężczyźni radzą sobie lepiej w rozwiązywaniu problemów z zakresu matematyki i myślenia abstrakcyjnego, mają także lepszą orientację w przestrzeni. Każdą z płci charakteryzują inne priorytety życiowe, inny stosunek do ryzyka, do pozycji społecznej, hierarchii. Przede wszystkim jednak, i to jest naprawdę uderzająca różnica, rzędu jednego odchylenia standardowego - od wczesnego dzieciństwa dziewczynki bardziej interesują się ludźmi, a chłopcy - przedmiotami i światem abstrakcji. I to znajduje odzwierciedlenie w obszarach naukowych, jakie wybierają; kobiety wolą dziedziny nauki związane z życiem i społeczeństwem, mężczyźni - z inżynierią i fizyką.

Beard zauważył, że zebrani na sali przestają go słuchać. Takie wyrażenia jak „odchylenie standardowe” zwykle robiły wrażenie na dziennikarzach. Kilka osób z tyłu rozmawiało między sobą. Dziennikarz siedzący w pierwszym rzędzie, nobliwy starszy pan, zamknął oczy. Beard zaczął więc zmierzać ku konkluzji. Na pewno da się jeszcze wiele zrobić, żeby zainteresować kobiety fizyką i żeby czuły się one mile widziane w tej dziedzinie. Ale niewykluczone, że w przyszłości walka o parytet może okazać się stratą czasu, bo istnieją inne sfery badań naukowych, które bardziej odpowiadają kobietom.

Dziennikarka, która zadała pytanie, tępo kiwała głową. Ktoś siedzący za nią chciał spytać o coś zupełnie innego. Przedpołudnie przeszłoby w niepamięć, jak każde inne tego rodzaju, gdyby w tym momencie nie wstała nagle pani profesor, która, cała zaróżowiona, z głośnym klapnięciem rzuciła swoje papiery na stół i oświadczyła:

- Zanim wyjdę, żeby zwymiotować, bo naprawdę zrobiło mi się niedobrze z powodu tego, co właśnie usłyszałam, chciałabym wycofać się z komitetu profesora Bearda.

Ruszyła do drzwi wśród szmeru głosów i szurania odsuwanych po parkiecie krzeseł, dziennikarze zaś zerwali się na nogi. Wreszcie ożywieni, uradowani i gotowi do rywalizacji rzucili się za nią z pośpiechem.

Gdy sala opustoszała, profesor Jack Pollard, specjalista w dziedzinie grawitacji kwantowej z Newcastle, który niedawno występował z wykładami w Reith Lectures i zachowywał się tak, jakby wszystko wiedział, szepnął Beardowi do ucha:

- Wbił pan kij w mrowisko. To zwolenniczka postmodernizmu, koncepcji *tabula rasa*, a już zwłaszcza konstruktoryzmu społecznego. Jak one wszystkie, rozumie pan. Pójdziemy na kawę?

Wtedy te pojęcia niewiele Beardowi mówiły. Przyszła mu do głowy tylko jedna myśl. Tak się nie składa rezygnacji. Potem druga, prostsza. Sam powinien jak najszybciej wyjść, chociaż wiedział, że Pollard ma ochotę poplotkować. W innych okolicznościach Beard chętnie poszedłby z nim na kawę i pogawędził godzinę. Istniała bowiem pewna społeczność, o nieco zmieniającym się na skutek śmierci i rejterad składzie, międzynarodowe środowisko ludzi, którzy byli wobec siebie nawzajem zazdrośni, serdeczni i zaborczy i którzy przemierzali wspólnie drogę od dawnych, heroicznych czasów klasycznej już teorii strun, szukając swojego Graala, unifikacji oddziaływań fundamentalnych z grawitacją. Ponieważ w końcu dostrzegli ograniczenia strun, zajęli się superstrunami i teorią strun heterotycznych, aby po tych nitkach dotrzeć do kłębka... przepastnej Teorii Wszystkiego - teorii M. Każdy kolejny przełom stwarzał jednak nowe problemy, sprzeczności, fizyczne nieprawdopodobieństwa. Dziesięć wymiarów, a potem, gdy obejrzano się na specjalistów od supergravitacji - jedenaście! Sześć wymiarów zwiniętych w okręgi, ponowne odkrycie teorii Kaluzy-Kleina z lat dwudziestych, cudowne różności Calabi-Yau, orbifoldy! I dramat osobliwości wszechświata w pierwszej jednej setnej sekundy! Beard w tym nie uczestniczył, nie miał też dostatecznego przygotowania matematycznego, ale słyszał plotki. No, i dowcipy - wyznawca teorii sznura zostaje przyłapany w łóżku z inną kobietą, która wykrzykuje do jego żony: „Kochanie, wszystko ci mogę wyjaśnić!”. Co to była za długa, ciężka droga, i tak pozostało - granice intelektualnych możliwości człowieka i aż nazbyt ludzkie historie. Tamten fizyk,

który opuścił umierającą żonę i mimo to nie zdołał przeformułować zagadnienia. Tajemniczy student, który w chwili olśnienia pogodził z sobą sprzeczności, ale zapłacił za to zdrowiem. Sławny kongres, na który, o wstydzie, nie zaproszono dawnej znakomitości. Podlizujące się komu trzeba przeciętniaki, które zdobyły supergrant. Walka dwóch gigantów, którzy kiedyś pracowali ramię w ramię w laboratorium.

Owszem, z przyjemnością by pogawędził, ale wyczuł, że robi się wokół niego pusto, jakby narastała ciemność albo jej emocjonalny ekwiwalent. Narobił sobie kłopotów i powinien zniknąć, zanim sprawy zajdą za daleko. Przeprósł czym prędzej Pollarda i pozostałych, wziął teczkę i wyszedł z sali, przecinając hol i kierując się w lewo, do głównego wyjścia. Blask słońca na zewnątrz i miejski zgiełk jakby stłumiły jego niepokój. Widok gór mógł wyrzucić podobny efekt. Być może to tylko burza w szklance wody. Przechodząc, usłyszał strzępy prowizorycznego oświadczenia dla prasy, jakie Nancy Temple wygłaszała na chodniku swoim melodyjnym głosem: odradzająca się eugenika... złowrogie teorie na temat natury ludzkiej... neoliberalny atak na zbiorowość... Gładkie ostre sformułowania, w sam raz dla tabloidów. Niektórzy z tłoczących się wokół niej dziennikarzy wykorzystali dachy samochodów, żeby notować jej słowa, inni już przez telefon relacjonowali aferę. Być może pani profesor nie wiedziała, że to całe podniecenie miało podłoże polityczne. Jeden z powołanych przez rząd komitetów miał kłopoty. Kolejne spotkanie Blaira.

Beard zignorował wołających go po imieniu reporterów i przeszedł na drugą stronę ulicy. Nie należy dostarczać dziennikarzom pożywki. Ale następnego dnia nie był pewien, czy nie powinien był się odwrócić, gdy w relacji pod tytułem *Noblista mówi: nie ma w laboratorium miejsca dla pańienek* przeczytał, że „zawstydzony wymknął się chyłkiem” z konferencji.

Początkowo wydawało się, że sprawa umrze śmiercią naturalną, że nie ma potencjału. Po małej erupcji w porannych wydaniach gazet przez dwa dni panowała cisza. Beard już myślał, że mu się udało. Ale w tym czasie jeden z tabloidów po prostu prowadził śledztwo. W sobotę na swoich łamach opisał „życie miłosne” Bearda, zręcznie nawiązując do afery z „uprzedzeniami wobec laborantek”. W niedzielę temat podjęły i rozdmuchały inne gazety, tak że Beard został okrzyknięty „specem od bzykania”, „noblistą kochasiem”, kimś w rodzaju satyra intelektualisty - „profesorem ogierem”. Przy okazji przypomniano sprawę zabójstwa Aldousa, celowo zapominając o poprzednim wcieleniu Bearda jako nieszkodliwego jajogłowego, niewinnego idioty, naiwniaka mającego niewyżytą żonę. Teraz stał się odrażającym typem, który uwodzi kobiety, a odmawia im miejsca w świecie nauki. W poważniejszych pismach przedstawiano go jako fizyka, który stał się „deterministą

genetycznym”, fanatycznego socjobiologa, wyznawcę teorii różnic płciowych wywodzącej się bezpośrednio od społecznego darwinizmu, z którego z kolei wyrosły teorie rasistowskie Trzeciej Rzeszy. Potem autor artykułu, w tonie, który bardziej przypominał złośliwości rubryki towarzyskiej, niż wynikał z przekonania, wysunął śmiałą tezę, że Beard jest neonazistą. Przez krótki czas nikt nie brał poważnie tego zarzutu, ale istniała możliwość, że pozostałe gazety podchwycą to określenie, nawet gdyby miały odnieść się do niego krytycznie, przezornie opatrując je cudzysłowami i w ten sposób legalizując jego użycie. Beard stał się „neonazistowskim uczonym”.

W artykule gazety centrolewicowej dowodząco z kolei, że najważniejsze różnice między mężczyznami a kobietami są konstruktami kulturowymi. Beard w odpowiedzi na to napisał lekko sarkastyczny list, zaledwie sześć linijek, który kosztował go cztery godziny pracy i mnóstwo poprawek, protestując przeciwko temu, że mężczyźni nie mogą zająć w ciężką i obarczającą za to winą społeczeństwo. List został opublikowany, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Tydzień później ta sama gazeta zamieściła relację z debaty między Beardem a Temple i innymi pod hasłem „Kobiety i fizyka”; dyskusja toczyła się w Institute of Contemporary Arts. Na tym etapie Beard postanowił przedstawić światu swoje poglądy. Razem z nim na podwyższeniu zasiadło kilku pracowników naukowych z wydziałów humanistycznych, w większości mężczyzn, generalnie wojowniczo nastawionych. Z niewyjaśnionych powodów profesor Temple nie mogła przybyć, ale przysłała w zastępstwie koleżankę. A gdzie się podzieli reprezentanci innych dziedzin nauki? - Beard pytał organizatorów przed spotkaniem. Ale nikt nie wiedział.

Na widowni nie było ani jednego wolnego miejsca. Zebrani w innej sali oglądali przebieg debaty na monitorach. Prasa zrobiła swoje i zainteresowanie było wielkie. Ludzie chcieli zobaczyć na własne oczy tego potwora i poczuć strach. Z emocji wciągali nawet powietrze, gdy wstawał. Przy nasilających się pogardliwych pomrukach Beard powtórzył swoją tezę, odwołał się znowu do badań z zakresu psychologii poznawczej, ale tym razem zadbał o precyzję. Kiedy wspominał o metastudiach, według których zdolności językowe dziewcząt przewyższały przeciętne zdolności chłopców, rozległy się szydercze śmiechy. Prowadzący debatę wstał pospiesznie i zarzucił mu „prymitywny obiektywizm, za pomocą którego usiłuje się podtrzymać i rozszerzać społeczną dominację białej męskiej elity”. Gdy facet usiadł, został nagrodzony entuzjastyczną owacją, godną przemówień nawołujących do rewolucji. Beard, zaskoczony, nie rozumiał związku. Zagubił się zupełnie. Kiedy później zapytał z irytacją zebranych, czy ich zdaniem grawitacja jest konstruktem społecznym, został

wygwizdany, a jakaś kobieta na widowni wstała i zapytała surowym tonem dyrektorki szkoły, czy zdaje sobie sprawę z „hegemonistycznej bezczelności” swojego pytania. Co daje mu prawo? Jakież to niewidoczny układ sił we współczesnym społeczeństwie uprawnia go do zadawania takich pytań? To znowu zbiło go z tropu, nie umiał odpowiedzieć. Określenie „hegemonistyczny” miało obraźliwy wydźwięk. Podobnie jak „redukcjonista”. Zniecierpliwiony Beard oświadczył, że bez redukcjonizmu nie istniałaby nauka. Nastąpiły śmiechy, a ktoś z widowni krzyknął: „No, właśnie!”.

W zastępstwie Nancy Temple przybyła Susan Applebaum, wizytująca wykładowczyni z Tel Awiwu, która zajmowała się psychologią poznawczą i wyglądała jak ptaszek w czerwono-niebieskiej sukience, a do tego miała szczebiotliwy głos. Wyraźnie denerwowała się, przemawiając publicznie, i zaczęła niezręcznie. Z punktu widzenia publiczności, która sprawiała wrażenie jednomyślniej w każdym punkcie, robiła i złe, i dobre wrażenie. Jako kobieta była kiepskim hegemonem, a jako osoba niepewna siebie - jeszcze gorszym (Beard pomyślał, że zaczyna rozumieć znaczenie tego słowa). Po kilku minutach stało się jasne, że występuje przeciwko Beardowi. Jednakże była Żydówką, Izraelką, a więc prześladowczynią Palestyńczyków. Może nawet syjonistką, niewykluczone, że służyła w armii izraelskiej. I w miarę jak kobieta przemawiała, w sali zaczęła narastać wrogość. Była to postmodernistyczna widownia wyczulona na wszelkie odchylenia od słusznej linii. Zimna, jeśli nie przekonało jej właściwe słowo z właściwych ust. Ta pani z Tel Awiwu nie ukrywała swoich reakcyjnych poglądów, co sugerowało, że podziela pewne opinie Bearda. Była obiektywistką, to znaczy, uważała, że świat istnieje niezależnie od języka, w którym się go opisuje, wypowiadała się pozytywnie o analizie redukcjonistycznej, należała do empiryków i jak sama z dumą przyznała, do „racjonalistów oświeceniowych”, co - Beard zorientował się na podstawie niechętnych pomruków publiczności - stanowiło przejaw pewnego wstecznictwa, a nawet hegemonizmu. Rzeczywiście, przyznała, istnieje w przyrodzie coś takiego jak biologiczne różnice między płciami, ale tylko doświadczenie kształtuje nasze poglądy. Istnieje natura ludzka i ma historię ewolucyjną. Nie rodzimy się jako *tabula rasa*. Kończąc prezentację swojej osoby, prawie nie była w stanie utrzymać uwagi publiczności.

Słuchało jej już niewiele osób, gdy przystąpiła do zbijania argumentów Bearda. Znała te wszystkie badania, na które się powoływał, i jeszcze inne. Niektóre sama przeprowadziła. Jeśli chodzi o literaturę, sprawa jest jasna - nie ma znaczących różnic poznawczych, które by dawały płci męskiej przewagę w dziedzinie matematyki czy fizyki. Rozbieżności między chłopcami a dziewczynkami, mężczyznami a kobietami ujawniają się tylko w złożonych testach, w których poddawane im osoby mogły wybrać więcej niż jedno rozwiązanie; każda z

płci wybierała inne. Rozróżnienie „ludzie versus przedmioty” to mitologia, która zniekształca wątpliwe, choć często cytowane eksperymenty. Co do czynników społecznych, wyniki badań są bardzo wymowne - wyobrażenia i oczekiwania poszczególnych płci ujawniły się znacznie silniej niż mierzalne różnice między mężczyznami a kobietami. To powinno przypaść do gustu jej zwolennikom na widowni, ale uszło ich uwagi, bo nie słuchali, gdy opisywała doświadczenia, podczas których dzieciom przypisano losowo imiona żeńskie albo męskie, niezależnie od ich płci, a dorosłych poproszono o ocenę ich zachowań i reakcji. I inne testy, w których rodzice mieli określić zdolności swojego potomstwa w danej dziedzinie. A naukowcy ocenili fikcyjnych kandydatów, mężczyzn i kobiety, o identycznych kwalifikacjach. I na ich podstawie, oświadczyła, uzyskano zasadnicze dane statystyczne, które wykazały, że informacja o płci wpływa w decydującym stopniu na ocenę danej osoby. Stwierdzono też istnienie niezależnych prawidłowości - studenci ubiegali się o przyjęcie na wydziały, na których pracowali ludzie do nich podobni i w związku z tym mieli większe szanse na przyjęcie.

Gdy Applebaum dotarła do konkluzji, Beard zauważył, że słucha jej już chyba tylko on. Postmodernistów najwyraźniej nie interesowały statystyki, a już na pewno nie historyczne anegdoty. Mówczyni powołała się tymczasem na Fanny Mendelssohn, uchodzącą niegdyś za zdolną pianistkę, równie wielką jak jej brat Felix. Jak powszechnie wiadomo, ojciec wytłumaczył jej w liście, że muzyką może zajmować się zawodowo brat, a dla niej musi ona pozostać tylko niedzielną rozrywką. Przed stu laty przedstawiano wiele „naukowych” argumentów, które miały świadczyć, że kobieta nie może być lekarzem. Dziś żyją one w podświadomości, niezależnie od udziału woli, bo szeroko dyskutowane różnice między chłopcami a dziewczętami, kobietami a mężczyznami zostały zbadane i opisane. Dowiedziono na podstawie badań naukowych, że te czynniki kulturowe odgrywają znacznie większą rolę niż biologia, począwszy od kolebki, przez pierwsze podanie o pracę i dalej, na zasadzie zamkniętego koła. Nie ma wątpliwości, dlaczego fizyką zajmuje się tak niewiele kobiet.

Usiadła, ale nie było oklasków. Dało się natomiast wyczuć wyraźną ulgę, że wreszcie skończyła. Dziesięć minut później było już po debacie. Beard od razu ruszył do wyjścia z poczuciem, że ledwie uniknął linczu. Choć niektórzy mogliby powiedzieć, że dostał tylko trochę w tyłek, a inni, że odniósł zwycięstwo. Ale co on sam wiedział? Był przecież fizykiem, a nie psychologiem poznawczym. Jednak, o dziwo, gdy wychodził stamtąd, z ICA, nie był wcale bardziej znienawidzoną osobą niż na początku. Ci ludzie nie zamierzali brać amunicji od Izraelki. To nie fair, ale co mógł poradzić? Najważniejsze, że sam był w porządku i uszedł

cało. Kiedy kroczył korytarzem, ludzie schodzili mu z drogi, niewątpliwie z niesmakiem, więc znalazł się przy drzwiach prowadzących na Mall w kilka sekund, a gdy wyszedł na światło dzienne, czekał już na niego komitet powitalny złożony z trzydziestu skandujących pracowników naukowych z transparentami - „Nie dla eugeniki!”, „Precz z naukowcem neonazistą!” - oraz kilkunastu przedstawicieli mediów, głównie kamerzystów, i czterech policjantów.

Może nie skończyłoby się tak źle, gdyby Beard nie był po tej debacie tak zadziornie nastawiony. Wśród demonstrantów było kilkanaście starszych pań. Jedna z nich wychyliła się zza policjanta, wyjęła pomidora z brązowej papierowej torby i rzuciła nim w Bearda. Stała w odległości kilku stóp, więc nie zdążył się uchylić. Zgniły pomidor należy do miejskiej legendy. Ten konkretny, chociaż miękki, wydawał się całkiem jadalny. Pacnął mu na klapę marynarki i przywarł do niej na chwilę. Potem odpadł i Beard chwycił go w otwartą dłoń, a następnie, pod wpływem impulsu, odrzucił żartobliwym gestem, jak później usiłował tłumaczyć - wcale nie w gniewie ani nie złośliwie. Bo inaczej po co miałby rzucać od dołu? Pomidor, już z pękniętą skórką, uderzył kobietę prosto w twarz, trochę na prawo od nosa. Ta, mniej więcej w wieku Bearda i niemal tak samo okrągła, z dziwnym odgłosem, przeciągłym melodyjnym jękiem uniosła ręce do twarzy i niechętnie rozsmarowała na niej czerwoną papkę, osuwając się jednocześnie na kolana.

Na zdjęciu w kolorze wyglądało to fatalnie. Zrobiono je zza Bearda, który pochylał się nad leżącą, skuloną kobietą, ofiarą brutalnego ataku. W Niemczech ukazało się na okładce czasopisma pod nagłówkiem: *Demonstrantka obalona na ziemię przez neonazistowskiego naukowca*. W tle, całkiem dobrze widoczny, znajdował się transparent ze stosownym hasłem. Inne zdjęcie, też cieszące się dużą popularnością, wykonane nad głową kłęczącej kobiety, ukazywało sadystyczny uśmiech na twarzy Bearda. Nie mógł się powstrzymać, naprawdę chciało mu się wtedy śmiać. Pomidor był miękki, uderzenie lekkie, a reakcja kobiety komicznie przesadna; w dodatku policjant pochylał się nad biedaczką z taką troską, przejęty swoją rolą, gdy wzywał pilnie pogotowie. To było przedstawienie uliczne. Wtedy jednak któraś z policjantek położyła Beardowi dłoń na ramieniu i poinformowała, że aresztuje go za napaść. Natychmiast nadeszła druga i napała na niego ramieniem, aby dać mu do zrozumienia, że nie ma sensu stawiać oporu. Ogrzane ciałem młodej kobiety kajdanki zamknęły się z kliknięciem na jego nadgarstkach, czemu towarzyszyły wiwaty zadowolonych demonstrantów. Gdy prowadzono go do wozu policyjnego przy Mall, kilkunastu fotoreporterów szło przed nim tyłem, pstrykając zdjęcia. Potem, biegnąc i głośno tupiąc nogami, przez chwilę towarzyszyli samochodowi, aby jeszcze sfotografować siedzącego z

tyłu aresztowanego, który miał zaciętą minę kryminalisty.

Wóz policyjny minął National Portrait Gallery, przejechał Charing Cross Road i zatrzymał się przed Foyles. Policjantka, która aresztowała Bearda i siedziała obok niego, zdjęła mu kajdanki, a jej koleżanka odwróciła się na przednim siedzeniu i powiedziała:

- Może pan sobie iść.

- Myślałem, że oskarżacie mnie o napaść.

- Tylko zabraliśmy pana stamtąd, żeby nie zakłócać porządku publicznego. Dla pana własnego bezpieczeństwa.

- Jakie to uprzejme z waszej strony, że zakuliście mnie w kajdanki przy dziennikarzach.

- Wykonujemy tylko swoją pracę. Ale dziękujemy za uznanie. To miłe.

Otworzono przed nim drzwi samochodu i został sam na chodniku, zastanawiając się, czy znajdzie w księgarni książkę, której potrzebował. Nie znalazł. Wrócił więc do mieszkania i zaległ w wannie z obwódką brudu, patrząc poprzez obłoki pary na archipelag swojego rozczłonkowanego ciała - wierzchołek wystającego brzucha, czubek penisa, niesforne palce u stóp... rozsiane w jednej linii na szarym morzu mydlin. Mówił sobie, że zwykle nie jest wcale tak źle, jak się wydaje. To była prawda. Ale bywa i gorzej, niż się wydaje, historia stara jak świat.

W następnym tygodniu zdjęcia zakutego w kajdanki naukowca, nieszczęsnej ofiary kłęczącej przed uśmiechającym się okrutnie prześladowcą, z wielokrotnością się cyfrowo po całym świecie jak retrowirusy. Jock Braby skorzystał z okazji i zmusił Bearda do rezygnacji z pracy w ośrodku. W atmosferze skandalu odwołano serię wykładów, które miał wygłosić, i uznano w różnych gremiach, że jego dalsza w nich obecność mogłaby zagrozić dobremu imieniu instytucji, rzucić cień na wizytującego uczonego albo, w najlepszym razie, wywołać kłopoty ze strony studentów i młodszych pracowników naukowych. Uprzejma urzędniczka zadzwoniła z pytaniem, czy wolałby sam zrezygnować z członkostwa Physics UK, czy otrzymać wymówienie. Pewien ośrodek badawczy zadał sobie trud i poinformował go, że jego nazwisko jako splamione zostanie usunięte z nagłówek. W świetlicy jednego z oksfordzkich kolegów, gdzie udał się na kawę i po pociechę, troje nauczycieli akademickich z wydziału literatury angielskiej wyszło na jego widok z uniesionymi wysoko głowami, podczas gdy ich kawy stygły demonstracyjnie przy opuszczonych krzesłach. Jego telefon prawie przestał dzwonić - koledzy milczeli, jak byłe żony nabrali wody w usta albo byli skonsternowani. Otrzymał jednak wsparcie Imperial College, zachwyconego, że jego laboratorium zdobyło taki rozgłos i wzbudziło zainteresowanie fundatorów. I dostał życliwy,

koleżeński list ze stemplem austriackiego więzienia od neonazisty, który odsiadywał karę za zabójstwo żydowskiego dziennikarza.

Przez dwa tygodnie Beard nie myślał o niczym innym. Nie potrafił powstrzymać się od czytania gazet, co życzliwie doradzała mu Melissa. Gdy nie znajdował nic nowego w czterofuntowej paczce z poranną prasą, ogarniało go dziwne, przewrotne rozczarowanie, wrażenie, że stoi w obliczu pustki, że przez cały dzień nie będzie miał pożywki. Odkrył, że czuje kompulsywną potrzebę czytania o tym obcym, awatarze noszącym jego imię, satyrze-potworze-uwodzicielu, eugeniku, który odmawia kobietom prawa do kariery w dziedzinie nauk ścisłych. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że przyklejono mu tę ostatnią etykietkę. Ale po kilku spacerach w porywistym wietrze, pomiędzy wózkami dziecięcymi a malcami puszczającymi latawce, zaczął dochodzić do pewnego wniosku. Trzecia Rzesza rzucała cień na rozwój genetyki przez całe pół wieku, na te jej dziedziny związane z życiem społecznym - przynajmniej w umysłach ludzi spoza środowiska. Dla niektórych sugestia, że istnieją uwarunkowania genetyczne, różnice genetyczne, że ewolucja wywarła w pewnym stopniu wpływ na poznanie, na mężczyzn i kobiety, na kulturę, była jak zgłoszenie do pracy w obozie koncentracyjnym u doktora Mengele.

Kiedy podzielił się tym wrażeniem z zaprzyjaźnionymi biologami, byli rozbawieni. To już przebrzmiała sprawa, pogląd z lat siedemdziesiątych, teraz osiągnięto konsensus, nie tylko w genetyce, ale w życiu akademickim w ogóle. Jest zbyt zgorzkniały. Powinien się jeszcze napić! Ale co oni mogli wiedzieć o dziennikarzach czy postmodernistach? Z tego, co widział Beard, wyjście było proste. Należało trzymać się fotonów - żadnej masy spoczynkowej, żadnej odpowiedzialności, żadnych kontrowersji w skali ludzkiej. Jego prace nad sztuczną fotosyntezą szły dobrze, laboratoryjny prototyp skutecznie rozszczepiał już za pomocą światła wodę na wodór i tlen. Cywilizacja potrzebowała nowego, bezpiecznego źródła energii i tu mógł się na coś przydać. Uzyska odkupienie. Niech stanie się światłość!

Mimo tego postanowienia bał się, że ta afera napiętnuje go na wiele lat. I co zdarzyło się później? Nic. Jego awatar zniknął. W ciągu jednej nocy został wymazany z druku, jego miejsce zajął skandal z ustawionym meczem piłkarskim i rozpoczęła się powolna, uzdrawiająca amnezja. Przez jakiś czas Beard był bez pracy, po czterech miesiącach wygłosił cztery krótkie pogadanki o Einsteinie dla BBC World Service. Pewna grupa badawcza z Niemiec nakłoniła go, żeby udzielił jej swojego patronatu. Korzystając z okazji, Cambridge podkraść go Imperialowi, a potem Imperial przebił Cambridge, dał mu jeszcze dwóch pracowników i większe pieniądze. UCL także chciał jego częśćkę, zaoferował mu honorowy tytuł naukowy, potem przypomniało sobie o nim w Caltechu i kilku dawnych kolegów z

MIT-u postanowiło ściągnąć go do siebie.

Opinia publiczna była wielkoduszna, a blask otaczający noblistę opromieniał także uczelnie i pomagał uzyskiwać granty!

*

Gdy taksówka objechała Trafalgar Square i utknęła w korku na Strandzie, był już ponad półtorej godziny spóźniony. Pięć minut później tkwił w tym samym miejscu. Przez ostatnie cztery godziny myślał tylko o tym, że się spóźni, i coraz bardziej się niecierpliwił, i teraz, zamknięty w unieruchomionej taksówce, poczuł, że nie wytrzyma tego dłużej. Przez szparę w szybie oddzielającej go od kierowcy wsunął dwudziestofuntowy banknot, wysiadł z walizką i zaczął iść w kierunku Savoyu. Groziło mu, że spóźni się jeszcze bardziej, ale działanie w pośpiechu zamiast myślenia o pośpiechu przyniosło mu ulgę. A szybki marsz z walizką na kółkach, wyprzedzanie przechodniów i lawirowanie między nimi stanowiły ćwiczenia fizyczne, których mu brakowało i które zamierzał wykonywać od lat. Mocno rozczochrany, z przekrzywionym krawatem, w wełnianym garniturze proszącym się już o wyprasowanie, w zbyt ciepłym na obecną angielską zimę płaszczu, pędzący nierównym krokiem, jedną nogą wykonując duże kroki, a drugą drepcząc sztywno, podskakiwał na Strandzie jak gruby chłopczyk na sprężynie. W ciągu minuty poczuł kłujący ból, gdzieś głęboko w zapomnianym dolnym rejonie lewej piersi, wśród mniej eksploatowanych pęcherzyków płucnych, więc zwolnił. Dla żadnego spotkania nie warto umierać. Samochody w korku znowu ruszyły, jego taksówka, wolna, przemknęła obok, gdy włókł się w stronę hotelu.

W lobby czekało dwóch organizatorów konferencji. Młodszy z nich wziął od niego walizkę, drugi, starszy, w sportowej marynarce, wsparty ciężko na lasce, z plamami wątrobianymi na twarzy, która przypominała maskę, wskazał na zegarek i ruszył z Beardem po schodach.

- Wszystko w porządku - wychrypiał z wysiłku, jaki kosztowała go walka z polem grawitacyjnym w tym luksusowym miejscu. - Zmieniliśmy kolejność wystąpień. Wchodzi pan za pięć minut.

Beard przyjął to z zadowoleniem, zwłaszcza że w porównaniu ze starszym panem poczuł się młody i silny; kroki po grubym dywanie sprawiały mu przyjemność, a ból w piersi ustąpił zupełnie.

W otwartych na oścież dwuskrzydłowych wysokich drzwiach, zza których dochodził gwar rozmów podczas przerwy na herbatę, przywitał go kolejny pracownik, młodszy, ale

wyżej postawiony, pochodzenia hinduskiego. Po krótkim wstępie - to wielki zaszczyt, tysiącokrotne dzięki, wreszcie się doczekaliśmy, o spóźnienie proszę się nie martwić - ów młody człowiek, którego nazwisko, Saleed, jak przypomniał sobie Beard, widniało w e-mailach, krótko scharakteryzował audytorium: przedstawiciele władz, mężczyźni i kobiety, kilku urzędników służby cywilnej, paru pracowników naukowych, żadnych dziennikarzy.

Beard jednak słuchał nieuważnie, bo przeniósł wzrok z twarzy Saleeda na rozgadany tłumek w sali za jego obieczonym w ciemny garnitur ramieniem. Na stołach przykrytych białymi obrusami, w obramowaniu wysokich okien z widokiem na ciemniejącą Tamizę, stały kwadratowe porcelanowe półmiski, na których piętrzyły się grube kanapki z pieczywa bez skórek. Nawet z miejsca, w którym stał, dostrzegł w nich tłuste różowe płaty wędzonego łososia. Na stole leżały artystycznie porozrzucane plasterki cytryny, bezcielesne kuszące uśmiechy, na które nikt nie zwracał uwagi. Nie był w tej chwili tak naprawdę głodny, ale odczuwał, według swojego określenia, zapowiedź głodu. To znaczy, że potrafił docenić, jakie to będzie przyjemne, za niespełna godzinę, położyć kilka z tych smakowitości na talerz i zjeść, spoglądając na Tamizę. Równie łatwo mógł sobie wyobrazić żal, jaki odczuje, jeśli te półmiski zostaną przedwcześnie zabrane, gdy popołudniowa przerwa na herbatę dobiegnie końca, co musi nastąpić, kiedy przyjdzie pora na jego wykład. Lepiej byłoby wziąć się do jedzenia teraz.

Saleed właśnie mówił:

- Konserwatywne towarzystwo, inwestorzy państwowi, oczywiście nie naukowcy, więc mile widziany byłby przystępny język, niezbyt specjalistyczny.

Zwróciwszy się ramieniem w stronę sali, Beard próbował zasugerować, o co mu chodzi, i gospodarz, najwyraźniej inteligentny i rozgarnięty człowiek, natychmiast wykrzyknął, wręczając mu białą kopertę:

- Ależ oczywiście, musi się pan wzmocnić! A tu, proszę, pańskie wynagrodzenie.

Minutę później Beard trzymał już w ręku talerz, na którym między kromkami białego pieczywa spoczywał wędzony łosoś z koperkiem i świeżo mielonym czarnym pieprzem, dziewięć grubych ćwiartek tuszy - na wszelki wypadek, bo przecież nie musiał tego wszystkiego zjeść. Ale zrobił to, bardzo szybko, bez specjalnej przyjemności, nawet nie patrząc na rzekę, ponieważ jakiś zacinający się facet, mówiący cichym głosem, chciał mu koniecznie opowiedzieć o egzaminie z fizyki swojego syna, a potem wysoki zgarbiony mężczyzna ze sterczącą rudą brodą i dużymi, dziwnie szeroko rozstawionymi oczami, o surowym spojrzeniu koniecznie chciał mu się przedstawić. Nazywał się Jeremy Mellon, był wykładowcą na wydziale urbanistyki i etnografii. Beard, który właśnie konsumował szóstą

ćwiartkę, poczuł się w obowiązku zapytać, co go sprowadza na konferencję.

- Hm, interesują mnie formy narracji, jakie stworzyła nauka o klimacie. To oczywiście epopeja licząca miliony autorów.

Beard odniósł się do tego podejrzliwie. Przypomniała mu się Nancy Temple. Ludzie, którzy mówili o narracji, mieli zakłócony obraz rzeczywistości, uważali wszystkie jej wersje za równie prawdziwe. Nie musiał jednak nawet mówić: „To bardzo interesujące”, bo zebrani zaczęli odstawiać filiżanki i spodki, i pospiesznie zajmowali miejsca, a starszy pan z łaską spojrział na niego, krzywiąc usta, i znowu wskazał na zegarek, tak że Beard ledwie zdążył przełknąć ostatnie trzy kawałki wędzonego łososa.

Wprowadzono go na specjalnie wzniesione podium, gdzie za wielkim wazonem tulipanów w kolorze żółci stało wyprofilowane pomarańczowe krzesło. Starał się nie patrzeć na kwiaty. Całe to zgromadzenie wydało mu się nierealne. Przed nim, w rzędach tworzących niewielki wachlarz siedziało kilkuset ludzi. Tyle różowych twarzy zebranych w jednym miejscu sprawiało absurdalne wrażenie. Gwar rozmów niósł się echem po sali. Savoy falował, huśtał się delikatnie pod jego stopami, jakby zsunął się na rzekę i unosił na jej falach. Zebrało mu się na ziewanie, które stłumił, rozdymając nozdrza. Musiał przyznać, było mu niedobrze i sprawy nie poprawiał sapiący technik z plamami na twarzy i cuchnącym oddechem, który pochylił się nad nim, żeby umocować mikrofon.

Założywszy nogę na nogę, udawał z przyklejonym jak zwykle do twarzy półuśmiechem, że słucha przydługiego i zbyt ugrzecznionego wprowadzenia, a potem, gdy wreszcie wstał przy słabych oklaskach i zajął miejsce na mównicy, ujmując krawędzie blatu obiema dłońmi, poczuł przyływ mdłości od czegoś pochodzącego z morza, ohydneho i zepsutego, co osiadło na mieliźnie przy ujściu stojącej rzeki; to coś zaczęło rozkładać się w jego żołądku, wydzielając gaz, który przesycał oddech, słowa i - nagle - także myśli.

- Planeta - powiedział, zaskakując samego siebie - jest chora.

Ze strony widowni rozległ się pomruk, a potem szmer niechęci. Menedżerowie funduszy emerytalnych woleli bardziej wyważone określenia. Ale gdy wypowiedział słowo „chora”, poczuł się lepiej.

- Leczenie pacjenta trzeba zacząć szybko i będzie ono kosztowne... może wynieść aż dwa procent globalnego PKB albo i więcej, jeśli będziemy zwlekać. Jestem przekonany... i spotykam się z państwem, aby o tym powiedzieć... że każdy, kto pragnie wspomóc kurację, przyłączyć się do niej i zainwestować w nią, zarobi na tym ogromne sumy, wręcz oszałamiające. Trzeba bowiem przeprowadzić kolejną rewolucję przemysłową. I tu wyłania się dla was wielka szansa. Nasza cywilizacja wyrosła na węglu, a następnie na ropie. Były to

wspaniałe surowce naturalne, które pozwoliły milionom z nas wyjść z mentalnego więzienia, jakim było życie na wsi. Wyzwolenie od codziennego kleratu w połączeniu z wrodzoną nam ciekawością spowodowały, że w ciągu zaledwie dwustu lat gwałtownie poszerzyliśmy podstawy naszej wiedzy. Proces ten zaczął się w Europie i Stanach Zjednoczonych, za naszego życia rozprzestrzenił się na Azję, na Indie i Chiny, Amerykę Południową, a w końcu obejmie także Afrykę. Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jaki odnieśliśmy sukces, bo ten fakt przesłaniają inne nasze problemy i konflikty. Powinniśmy oczywiście doceniać własną inwencję i pomysłowość. Jesteśmy bardzo inteligentnymi małpami. Ale paliwem rewolucji przemysłowej była tania, łatwo dostępna energia. Daleko byśmy bez niej nie zaszli. Tylko spójrzcie państwo, jaka jest fantastyczna. Z kilograma benzyny otrzymuje się w przybliżeniu trzynaście tysięcy watogodzin energii. Trudno to przebić. Ale my chcemy benzynę czymś zastąpić. Co dalej? Najwydajniejsze baterie elektryczne, jakimi dysponujemy, magazynują około trzystu watogodzin energii na kilogram. I to pokazuje skalę problemu: trzynaście tysięcy w porównaniu z trzystoma. Nie ma porównania! Niestety, jednak nie mamy wyboru. Musimy szybko zastąpić czymś benzynę z trzech ważnych powodów. Po pierwsze, co najbardziej oczywiste, ropa musi się skończyć. Nikt nie wie dokładnie, kiedy to nastąpi, ale wszyscy zgadzają się, że szczyt jej wydobycia osiągniemy w okresie od pięciu do piętnastu najbliższych lat. Później zacznie ono spadać, a zapotrzebowanie na energię w miarę wzrostu populacji i podnoszenia się standardu życia będzie rosnąć. Po drugie, rejon, w których wydobywa się ropę, są w większości niestabilne politycznie i nie możemy dłużej być od nich zależni, bo stanowi to zbyt duże ryzyko. Po trzecie, i najważniejsze, spalanie paliw kopalnych, emisja dwutlenku węgla i innych gazów do atmosfery powodują stałe ocieplenie się klimatu na naszej planecie, czego konsekwencje zaczynamy dopiero sobie uświadamiać. Wiemy jednak wystarczająco dużo. Albo zwolnimy i się zatrzymamy, albo staniemy w obliczu katastrofy gospodarczej i ludzkiej na olbrzymią skalę, i to już za życia naszych wnuków. I tu dochodzimy do zasadniczego, palącego pytania. Jak mamy zwolnić i się zatrzymać, a jednocześnie rozwijać naszą cywilizację i wydobywać z biedy miliony ludzi? Na pewno nie przez ograniczanie się, segregację odpadów, przykręcanie termostatów czy kupowanie mniejszych samochodów. To tylko opóźni katastrofę o rok czy dwa. Nie tędy droga. Sprawa wykracza poza ograniczanie się, poza zasady. Zakładają one bierność, powściągliwość. Mogą motywować poszczególne jednostki, ale dla grup, społeczności, całej cywilizacji to za słaby czynnik. Narody nie są skłonne do ograniczania się, chociaż czasami wydaje im się, że tak jest. Jeśli chodzi o ludzkość *en masse*, etykę zawsze przebija chciwość. Musimy więc w naszych poszukiwaniach uwzględnić zwykłą świadomość własnej korzyści, a

także pragnienie czegoś nowego, podniecenie, jakie wywołuje nowy wynalazek, satysfakcję z własnej pomysłowości i współpracy z innymi, zadowolenie z zysku. Ropa i węgiel to źródła energii, a zatem także, w formie abstrakcyjnej, pieniędzy. Odpowiedź na to palące pytanie jest tożsama z odpowiedzią, na co należy przeznaczyć te pieniądze, wasze pieniądze. Powiem państwu: na tanią czystą energię. Wyobraźcie sobie, że stałbym przed wami - grupą panów i pań ze wsi - dwieście pięćdziesiąt lat temu i zapowiadałbym nadejście pierwszej rewolucji przemysłowej, zachęcałbym was do inwestowania w węgiel i żelazo, silniki parowe, przędzalnie bawełny, a potem w kolej. Albo mniej więcej sto lat później, po wynalezieniu silnika o spalaniu wewnętrznym, przepowiadałbym wzrost znaczenia ropy i nakłaniałbym was, abyście w nią inwestowali. Albo jeszcze sto lat później, z nadejściem epoki mikroprocesorów, w komputery osobiste, Internet i inne obszary z tym związane. Więc, panie i panowie, to jest właśnie taka chwila. Nie ulegajcie złudzeniu, że gospodarka światowa i giełda papierów wartościowych są niezależne od środowiska naturalnego planety. Nasza Ziemia jest jednością i dysponuje ograniczonymi zasobami. Macie przed sobą dane liczbowe, macie wybór... cywilizacja ludzka musi być napędzana czystym bezpiecznym paliwem, bo inaczej grozi jej zagłada, koniec. Wy, czyli rynek, albo dostrzeżecie szansę i się wzbogaciecie, albo zginiecie wraz z resztą. Jedziemy na jednym wózku i nie mamy dokąd z niego zeskoczyć...

Dochodziły do niego lekceważące szeptki z różnych części sali, które zaczęły się od chwili, gdy powiedział „ocieplanie się klimatu”. Było mu coraz bardziej niedobrze, wzdęte zwłoki w jego własnym ciele zaczęły się obrzydliwie poruszać. Słuchając wprowadzenia Saleeda, zauważył, że pośrodku znajdującej się za nim aksamitnej zasłony jest szpara - droga ewakuacyjna w razie potrzeby. Przestał przemawiać, wciągnął głęboko powietrze, wyprostował się i rozejrzał po sali, próbując zidentyfikować ognisko opozycji. Wieloletnie doświadczenie publicznego mówcy nauczyło go doceniać naturalne, pozbawione skrepowania pauzy. Wiedział, że twarde instytucje City stworzyły żywotną kulturę nieracjonalnego sceptycyzmu w obliczu podstawowych zasad fizyki i zbieranych przez lata danych. Ci sceptycy jednak, jak wszyscy ludzie, chcieli zarabiać. Bali się o swoje kapitały, podejrzewali, że naukowcy od klimatu stanowią zorganizowaną grupę mającą na względzie tylko własne interesy, podobnie jak oni sami. Beard żywił wobec nich wszystkich pogardę neofity.

Gdy zaczerpnął powietrza, żeby kontynuować, poczuł refluks w przełyku o smaku anchois z dodatkiem żółci. Przymknął oczy, przełknął ślinę i zmienił taktykę.

- Czytałem we wczorajszej gazecie, że już za cztery lata będziemy obchodzić dwóchsetlecie urodzin Karola Darwina i sto pięćdziesiątą rocznicę pierwszego wydania jego

dzieła *O powstawaniu gatunków*. Te uroczystości przesłonią postać innego wielkiego uczonego epoki wiktoriańskiej, Irlandczyka Johna Tyndalla, który rozpoczął poważne studia nad atmosferą w tym samym roku, tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym. Interesował się między innymi światłem, dlatego czuję z nim szczególne powinowactwo. Jako pierwszy zasugerował, że to na skutek rozproszenia światła w atmosferze niebo jest błękitne, i jako pierwszy opisał efekt cieplarniany, a następnie wyjaśnił, na czym polega. Zbudował urządzenie, które pokazywało, jak para wodna, dwutlenek węgla i inne gazy zapobiegają oddawaniu przez Ziemię ciepła słonecznego, dzięki czemu mogło rozwinąć się na niej życie. Jeśli się usunie koc, jakim jest para wodna i gazy, to, jak napisał Tyndall - Beard wyjął kartkę z górnej kieszeni marynarki i zaczął czytać - „z pewnością zniszczona zostanie każda roślina, jaką niszczy niska temperatura. Ciepło naszych pól i ogrodów uleci w przestrzeń, a słońce wszędzie nad wyspą w żelaznych okowach mrozu”. Na początku dwudziestego wieku niektórzy już wiedzieli, że przemysł emituje dwutlenek węgla do atmosfery. W następnych latach zrozumiano, na jakiej zasadzie cząsteczka tego gazu absorbuje i zatrzymuje dłuższe fale promieniowania optycznego, czyli światła, a także ciepło. Że im więcej dwutlenku węgla, tym cieplejsza staje się planeta. W latach sześćdziesiątych ekspedycja bezzałogowego satelity wykazała, że nasza sąsiadka Wenus ma atmosferę złożoną w dziewięćdziesięciu pięciu procentach z dwutlenku węgla. A na jej powierzchni panuje temperatura przekraczająca czterysta sześćdziesiąt stopni, wystarczająca, żeby stopić cynk. Gdyby nie efekt cieplarniany, wynosiłaby ona tyle samo co na Ziemi. Już pięćdziesiąt lat temu emitowaliśmy do atmosfery trzysta miliardów ton dwutlenku węgla rocznie. Ta liczba obecnie niemal się podwoiła. Ponad dwadzieścia pięć lat temu naukowcy po raz pierwszy ostrzegli rząd USA przed antropogeniczną zmianą klimatu. W ciągu piętnastu lat IPCC przedstawił trzy coraz bardziej alarmujące raporty. W zeszłym roku podczas przeglądu prawie tysiąca recenzowanych prac naukowych z tej dziedziny okazało się, że wszystkie wyrażają tę samą opinię. Zapomnijmy o plamach na Słońcu, zapomnijmy o meteorycie tunguskim w tysiąc dziewięćset ósmym roku, wszystkich lobby naftowo-przemysłowych, zespołach ich doradców i klientów z mediów, którzy udawali, jak lobby tytoniowe, że istnieją dwie strony medalu, że naukowcy są podzieleni. Badania naukowe, stosunkowo proste, pokrywają się i nie budzą wątpliwości. Panie i panowie, sprawa jest dyskutowana i badana od stu pięćdziesięciu lat, od kiedy ukazała się drukiem praca *O powstawaniu gatunków* Darwina, i równie niepodważalna jak podstawy doboru naturalnego. Zaobserwowaliśmy i poznaliśmy mechanizmy, dokonaliśmy pomiarów, które mówią same za siebie - klimat na Ziemi się ociepla i wiemy, dlaczego tak się dzieje. Nie ma tu mowy o sporach naukowych, stoimy w obliczu faktu. Może to was smucić albo

przerząść, ale powinno wam także uświadomić prawdę, żebyście mogli zaplanować swój następny ruch.

Poczuł kolejną falę mdłości, które groziły kompromitacją. Spływał zimnym potem, był cały obolały i ledwo stał. Musiał mówić dalej, żeby się na czymś skupić. I to mówić prędko. Nie miał czasu, musiał się spieszyć.

- A więc - wydusił przez ściśnięte gardło powleczone czymś lepkim. - Pozwólcie, że przedstawię wam pewne propozycje. Według moich szacunków wasze firmy reprezentują razem mniej więcej czterysta miliardów dolarów w inwestycjach. To złote czasy dla rynków globalnych i wydawałoby się, że tak będzie wiecznie. Ale być może pominęliście jeden sektor, który prosperuje lepiej niż reszta, podwajając swoje obroty co dwa lata. Albo zauważyliście go, lecz odwróciliście wzrok. Uznaliście, że sprawa nie jest dość poważna, ot, moda, która przeminie, za dużo tam tych posthipisowskich plutokratów ze Stanfordu. Ale weszły w to już BP, General Electric, Sharp, Mitsubishi. Chodzi o energię odnawialną. Rewolucja już się zaczęła. Ten rynek okaże się jeszcze bardziej lukratywny niż węgiel czy ropa, bo gospodarka światowa znacznie się rozwinęła i podlega o wiele szybszym zmianom. Można zbić wielką fortunę, i to niejedną. W tym sektorze tętni życie, kwitnie wynalazczość, a on sam się rozrasta. Dobijają się do niego tysiące nienotowanych na giełdzie firm ze swoimi wynalazkami. Napływają naukowcy, inżynierowie, projektanci. W biurach patentowych powstają zatory, tworzą się łańcuchy dostawców. To ocean marzeń, realistycznych marzeń o wytwarzaniu wodoru z alg, paliwa samolotowego z genetycznie zmodyfikowanych mikrobów, energii elektrycznej ze światła słonecznego, wiatru, przyływu, fal morskich, celulozy, odpadów domowych, o dwutlenku węgla uzyskiwanym z powietrza i przekształcanym w paliwo, o odtwarzaniu tajemniczych procesów życia roślinnego. Kosmita, który by wylądował na naszej planecie, byłby zdumiony, gdyby się dowiedział, że mamy problemy energetyczne, że trujemy się produktami spalania paliw kopalnych czy otrzymywanym sztucznie plutonem. Wyobraźcie sobie, że spotykamy człowieka na skraju lasu podczas ulewy. Umiera on z pragnienia. Ma w dłoni siekierę i ścina drzewa, żeby wypijać ich soki. Z każdego uzyskuje trzy łyki. Wokół niego zniszczenie, powalone drzewa, nie słychać śpiewu ptaków. I on zdaje sobie sprawę, że las się kurczy. Dlaczego więc nie zdrze głowy i nie napije się deszczu? Bo umie wycinać drzewa, bo zawsze tak robił, bo ludzie, którzy doradzają picie deszczu, to dla niego podejrzane typy. Tym deszczem jest w naszym wypadku światło słoneczne. To źródło energii, która zasila naszą planetę, decyduje o jej klimacie i życiu. Spływa na nas nieustającym strumieniem, słodkim deszczem fotonów. Pojedynczy foton, który uderza w półprzewodnik, uwalnia elektron i tak powstaje energia

elektryczna, z promieni słonecznych, nic prostszego. Jest to zjawisko fotowoltaiczne. Opisał je Einstein i zdobył Nagrodę Nobla. Gdybym wierzył w Boga, powiedziałbym, że to jego największy dar. A ponieważ nie wierzę, powiem, że prawa fizyki są dla nas takie łaskawe! Światło słoneczne padające na Ziemię przez niespełną godzinę mogłoby zaspokoić jej potrzeby przez cały rok. Załedwie ułamek powierzchni pustynnych byłby w stanie dostarczyć energii dla całej naszej cywilizacji. Nie da się zawładnąć światłem słonecznym, nie można go więc sprywatyzować ani znacjonalizować. Niebawem każdy będzie mógł z niego korzystać... pobierać je z dachów, żagli, dziecięcych plecaków. Na początku wspomniałem o biedzie... niektóre z najbiedniejszych krajów świata mają dużo słońca. Moglibyśmy im pomóc, kupując od nich megawaty. A krajowi konsumenci będą mogli samodzielnie wytwarzać energię elektryczną ze światła słonecznego i sprzedawać ją sieciom energetycznym. To jest najważniejsze. Istnieje kilkanaście zbadanych sposobów wytwarzania elektryczności ze światła słonecznego, ale nie osiągnęliśmy jeszcze ostatecznego celu. To sprawa bliska mojemu sercu. Mówię o sztucznej fotosyntezie, o odtworzeniu mechanizmów przyrody doskonalonych przez trzy miliardy lat. Wykorzystamy światło, żeby uzyskiwać z wody tlen i wodór, a następnie zasilać nimi ogniwa paliwowe dzień i noc, wyprodukujemy paliwo z wody, światła słonecznego i dwutlenku węgla albo zbudujemy zakłady odsalania, które oprócz słodkiej wody będą wytwarzać prąd. Uwierzcie mi, tak się stanie. Powstanie cały przemysł solarny, który będzie się rozwijać dzięki waszej pomocy, a wy i wasi klienci wzbogaciecie się na tym. To nasza przyszłość, przesądzą o tym badania podstawowe, rynek i poważna sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy... imperatyw logiki, nie idealizm.

Pomyślał, że zaraz zwymiotuje. Poczul pustkę w głowie i żeby powiedzieć cokolwiek, bo bał się przerwać, zaczął opowiadać anegdotę o sobie. Początkowo niepewnie, jak ktoś, kto testuje mikrofon, wyliczając, co jadł na śniadanie, zrelacjonował słuchaczom swoją podróż z lotniska. Niebawem zorientował się, że nie był to wcale taki zły pomysł. Musiał nawiązać kontakt z audytorium, jak dotąd nie powiedział nic śmiesznego, a był w Anglii, gdzie ludzie lubią, gdy mówca podczas publicznych wystąpień ich zabawia, choćby trochę. Gdy opowiadał o kupnie gazet w kiosku na lotnisku, przeszły mu mdłości. Kiedy zaś przyznał się, że ma słabość do pewnego rodzaju chipsów, w szeregach sztywnych garniturowców można było zauważyć oznaki rozbawienia. A może nawet współczucia.

Ciągnął z coraz większą werwą, licząc, że w trakcie relacji wymyśli jakąś konkluzję. Opowiedział o wszystkim po kolei, o pociągu, butelce wody na stoliku i o stojącej obok niej kuszącej torebce, którą otworzył, i o denerwującym spojrzeniu potężnego młodego człowieka. Rozległy się życzliwe chichoty, gdy opisał, jak ten pożarł chipsa. Nie ubarwiał, ale

udramatyzował moment, gdy w rewanżu chwycił butelkę wody i opróżnił ją duszkiem, a następnie rzucił na stół. Zatrzymał się przy tym, jak mężczyzna zdjął mu walizkę z półki i jak sam z furią oświadczył, że nie chce mieć już z nim nic wspólnego. Przeciągał te sekundy na peronie, zanim dokonał żenującego odkrycia, o którym opowiedział już z przyspieszonym pulsem i rumieńcem dumy. Publiczność chichotała, nawet zaczęła śmiać się głośno, gdy ośmielony, z werwą pokazał, jak wyciągnął drugą paczkę chipsów niczym Hamlet czaszkę Yoricka. Tak, chyba w końcu zdobył ich sympatię.

Potem pospiesznie dotarł do konkluzji, do uzasadnienia, dlaczego opowiedział tę historię. Czy puenta była trochę naciągana, czy rzeczywiście przypadkiem odkrył dwie ważne prawdy? Nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

- Co zrozumiałem na stacji Paddington? Po pierwsze, że w trudnej sytuacji, podczas jakiegoś kryzysu, czasami zdajemy sobie sprawę, nieraz za późno, że winni są nie inni ludzie, system czy natura rzeczy, ale my sami, nasza głupota i niesprawdzone założenia. I po drugie, że są takie chwile, kiedy uzyskanie nowych danych zmusza nas do całkowitego zrewidowania oceny. Cywilizacja przemysłowa znalazła się właśnie w takim punkcie. Przechodzimy na drugą stronę lustra, wszystko się zmienia, stary paradygmat ustępuje miejsca nowemu.

Ale te ostatnie zdania wypowiedziane retorycznie miały w sobie coś desperackiego, jego głos brzmiał słabo, a konkluzje były w gruncie rzeczy banalne. Dokąd teraz? Podpowiedziało mu ciało. Opuścił ręce, którymi ścisnął blat, odwrócił się i krokiem somnambulika przeszedł przez szparę w zasłonie. Znalazł się w ciemnej przestrzeni z majaczącymi kolumnami ustawionych na sobie krzeseł. Pochylił się przy dźwiękach pełnych szacunku oklasków i bezgłośnie pozbył się zawartości żołądka - obficie powleczonej rybim olejem. Trwał w tej pozycji przez chwilę, czekając na dalszy ciąg. Który nie nastąpił. Wrócił więc na podwyższenie, uroczyście ocierając usta chusteczką, podczas gdy Saleed składał mu podziękowania.

*

Zarządcy funduszy emerytalnych i reszta podryfowali z powrotem do dużej sali bankietowej, w której kelnerzy roznosili wino. Warunki umowy zobowiązywały Bearda do co najmniej półgodzinnego udziału w części nieoficjalnej. Stał więc z kieliszkiem kojącego chablis, a przed nim przesuwali się twarze nad krawatami. Wszyscy byli do niego życzliwie nastawieni i mili, mówili, że jego wykład był „interesujący”, nawet „fascynujący”, ale nie ulegało wątpliwości, że strategia żadnego z inwestorów nie ulegnie zmianie. Jak dowiedział się Beard, wcześniej analityk do spraw ropy naftowej przekonywał ich, że uwzględniając

piaski smoliste i odwierty głębokomorskie, pozostały jeszcze pięćdziesięcioletnie rezerwy energetyczne.

Młody człowiek o trupio bladej cerze i brązowym wąsiku przypominającym szczoteczkę do zębów ciągnął:

- A na dodatek te wyspy są praktycznie zbudowane z węgla. Jeśli, jak pan mówi, ograniczanie się nic nie da, to dlaczego mielibyśmy ryzykować pieniądze klientów, inwestując w niepewne źródła energii, które nie mają charakteru stałego?

Stojąca obok niego kobieta, która trzymała stronę Bearda, zauważyła:

- Epoka kamienna nie skończyła się dlatego, że zabrakło kamieni.

Zbyt wiele razy słyszał tę kiepską kontrę szejka Yamaniego, żeby zaśmiać się razem z resztą.

Ktoś inny dorzucił:

- W Wielkiej Brytanii jest za mało słońca i wiatru, żeby można było napędzić gospodarkę ich energią.

A jeszcze inny, który stał za nim, tak że Beard go nie widział, zapytał:

- Więc mielibyśmy kupować energię słoneczną w Afryce Północnej? I to ma być bezpieczne?

Odnosząc się do tych argumentów, wziął drugi kieliszek wina, chociaż wiedział, że pora na szkocką, gdy nagle pojawił się Mellon, który czekał niecierpliwie, z trzęsącą się brodą, na przerwę w rozmowie, bo najwyraźniej chciał się wtrącić.

Kiedy wreszcie nadarzyła się okazja, zapytał:

- Skąd pan wziął tę historię, jeśli mogę wiedzieć?

- Jaką historię?

- No, wie pan. Tę o facecie z pociągu.

- Tak jak mówiłem. Zdarzyła mi się dziś po południu.

- Och, niech pan da spokój, profesorze Beard. Jesteśmy dorosłymi ludźmi.

Zarządcy kapitałów emerytalnych, czując, że zanosi się na pojedynek, podeszli bliżej, żeby lepiej słyszeć w gwarze głosów.

- Nie rozumiem. Proszę wyjaśnić, o co panu chodzi.

- Świetnie ją pan opowiedział i pasowała do pańskiego wykładu.

- Myśli pan, że ją zmyśliłem?

- Wręcz przeciwnie. To dobrze znana przypowieść, o wielu wariantach, przedmiot badań w mojej dziedzinie. Ma nawet tytuł: *Złodziej mimo woli*.

- Naprawdę? - zapytał lodowato Beard. - Ciekawe.

- O tak. Mimo pewnych rozbieżności występują w niej stałe elementy. Na przykład osobą źle osądzoną jest zwykle ktoś mało ważny, często stanowiący zagrożenie: Cygan, imigrant, punk, nawet człowiek upośledzony. Pański dobrze zbudowany młody człowiek z kolczykami świetnie pasuje do schematu. Pomówiony zwykle wyświadcza uprzejmość mimowolnemu złodziejowi i przez to odkrycie prawdy staje się jeszcze boleśniesz. W tym przypadku facet zdejmuje panu walizkę z półki. Według jednej teorii opowieść o mimowolnym złodzieju... znana u nas jako ZMW... wyraża lęk, a także poczucie winy z powodu niechęci, jaką odczuwamy wobec mniejszości. Być może odgrywa w kulturze rolę podświadomej korektury.

- Na pewno przyszło panu do głowy - odparł Beard, zmuszając się do uśmiechu - że od czasu do czasu coś podobnego zdarza się w rzeczywistości, że takie historie są prawdziwe. No wie pan, w epoce masowego transportu czasami trafiają na siebie ludzie mający przy sobie jedzenie w identycznych opakowaniach.

- Najbardziej interesuje nas to, jak ta opowieść wychodzi z obiegu i wraca, przechodzi z ust do ust, znika i pojawia się po kilku latach w zmienionej formie na skutek procesu, który nazywamy rekonstrukcją społeczną. ZMW był powszechnie znany w Stanach na początku dwudziestego wieku. U nas pojawił się dopiero w latach pięćdziesiątych, a na początku lat siedemdziesiątych występował już wszędzie. W połowie lat osiemdziesiątych pisarz Douglas Adams przedstawił jedną z jej wersji w powieści. Twierdził, że taka historia przydarzyła mu się w pociągu... to też jedna z cech wspólnych. Przekonani, że znają ją z doświadczenia, ludzie uwierzytelniają tę opowieść... przecież zdarzyła się im samym, ich znajomym... i zaczyna funkcjonować niezależnie od archetypu. Staje się oryginalna, podlega prawu autorskiemu. ZMW występuje w opowiadaniach Jeffreya Archera i chyba Roalda Dahla, relacjonowano ją jako autentyczną historię w BBC i „Guardianie”. Stanowił podstawę scenariusza co najmniej dwóch filmów: *The Lunch Date* i *Boeuf Bourignon*, no i...

- Przykro mi, że pana rozczaruję - przerwał mu Beard - ale moje przeżycia należą do mnie, nie są, do cholery, wytworem żadnej społecznej podświadomości.

Etnograf wykazał lekki autystyczny upór.

- Owszem, nowym elementem są w pańskiej wersji chipsy. Słyszałem już o herbatnikach, jabłkach, papierosach, całych lunchach w bufecie, ale jeszcze nigdy o chipsach. Mógłbym o tym napisać do „Contemporary Legend Quarterly”, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Oczywiście zmienię pańskie nazwisko.

Beard jednak już się odwrócił, żeby zatrzymać kelnera.

Błady menedżer z wąsikami zapytał:

- Więc te opowieści krążą jak świńskie dowcipy?

- Właśnie.

- Słyszał pan pewnie tę historyjkę o bristolskim zoo i parkingowym. Widzi pan, od dwudziestu czterech lat...

Beard tymczasem powiedział do kelnera:

- Szkocką, wszystko jedno jaką, byle nie była za słaba. Potrójną, czystą, z jedną kostką lodu, i jak najszybciej.

Była szósta czterdzieści pięć. Pozostało mu już tylko trzynaście minut do końca imprezy. Myśl, że jeszcze chwila i będzie miał w dłoni pierwszego w tym dniu normalnego drinka, podziałała na niego krzepiąco. To, a także perspektywa spotkania z Melissą. Spokojny, że kelner w takim przybytku zada sobie trud, aby go odnaleźć, opuścił Mellona, który kontynuował wykład o podtypach opowieści o niewinnym złodzieju, i przeszedł przez salę, żeby porozmawiać z dobrodusznym facetem z grona finansistów.

*

Była piękna, interesująca, dobra - uważał ją za naprawdę dobrego człowieka - więc co mu w Melissie Browne nie odpowiadało? Odkrył to dopiero po roku. Miała skazę, coś jak pęcherzyk powietrza w szybie okiennej, co sprawiało, że w jej oczach Michael Beard nadawał się na męża i ojca. Nie potrafił zrozumieć, skąd się bierze ta jej błędna ocena ani nawet podejść do tego wyrozumiale. Znała historię jego życia, dysponowała różnymi dowodami, reszty mogła się domyślić, mimo to wciąż się łudziła, że może go nawrócić, zrobić z niego dobrego, uczciwego, kochającego, a przede wszystkim lojalnego człowieka. Pragnęła, jak podejrzewał, nie tyle zmienić go, blisko już siedemdziesięcioletniego mężczyznę, ile sprawić, żeby powrócił do swojej naturalnej, pierwotnej postaci, do swojego prawdziwego ja, o którym dawno zapomniał. To było jej cichą ambicją. Uważała na przykład, że pomoże mu schudnąć, nie wymówkami ani zakazami, ale pichcąc z miłością zdrowe, smaczne posiłki, dzięki którym wróci do formy sprzed trzydziestu lat - formy idealnej, platonicznej. A jeśli się nie uda, zaakceptuje go takim, jakim jest.

Godziła się na jego wyjazdy, zносиła to, że nie dzwonił do niej, gdy był za granicą, ponieważ wierzyła, że w końcu jej ulegnie, zobaczy sprawy w takim świetle, w jakim ona je widziała. Poza tym sama była dość zajęta. Ta jej cierpliwość i wiara budziły wzruszenie i Beard, który nie był aż takim draniem, czuł się wobec niej nie w porządku. W okresie ataków prasowych oglądała go w najgorszym stanie i wcale to jej do niego nie zraziło. Można by odnieść wrażenie, że pokochała go jeszcze bardziej. Z całą pasją racjonalistki przeprowadziła

go przez tę nieracjonalną burzę. Jednakże jeśli chodzi o swoją miłość, nie dopuszczała do głosu rozsądku. Gdyby to zrobiła, ich romans skończyłby się od razu. Beard z niepokojem odkrył, że należała do kobiet, które potrafią kochać tylko mężczyznę potrzebującego ratunku. I wolała ratować tych znacznie starszych od siebie. Miał więc wejść do żalosego grona jej byłych kochanków i jednego eksmęża, starych durniów, wygodnickich, nieudaczników, nieczułych prymitywów - pasożytów - których nie udało jej się wyprowadzić na prostą i przez których straciła szansę na dziecko? Nie znali się i pewnie by się nie polubili, ale byli w pewnym sensie pobratymcami. Ulec Melissie i dać się jej zresocjalizować byłoby dla niego nobilitacją, ale bał się, że jednak nie sprosta zadaniu. I że też nie da jej dziecka.

- Dlaczego ja? - zapytał kiedyś, leżąc w łóżku na wznak po stosunku. To pytanie wisiało w powietrzu i prowokowało do pochlebstwa wobec sugestii, że nie jest jej wart.

- Bo tak - odparła, po czym usiadła na nim okrakiem, na swoim okrągłym nieruchawym Michaelu, który już myślał, że bis po zaledwie półgodzinie od lat przekracza jego możliwości.

Była właścicielką sieci sklepów - jeśli można to nazwać siecią - w północnym Londynie, w których sprzedawano stroje do tańca. Jej klientami byli zawodowi tancerze z zespołów londyńskich, a także wszelkiego typu amatorzy, wliczając w to młode matki znudzone już jogą, a nawet starszych od Bearda mężczyzn, którzy myśleli, że poczują się młodzi, jeśli zaczną chodzić na lekcje stepowania albo tanga. Ale ten ledwie przynoszący zyski interes opierał się przede wszystkim na grupie nieletnich marzycielek, niestrudzonych baletnic, które występują nieodmiennie w każdym pokoleniu - dziewczynek żywiących staromodne pragnienie, aby włożyć tutu, rajstopy, legginsy i baletki, a następnie kręcić piruety przed lustrem, przy poręczy, pod okiem surowej eksprimabelleriny o złotym sercu. Wizja ciężkiej pracy na zdartym parkiecie, pierwszego występu w światłach rampy, pierwszego zapierającego dech w piersiach skoku na scenie przed zachwyconą widownią przetrwała epokę elektroniki, girlsbandów i telewizyjnych oper mydlanych. To marzenie, z jego nieprzemijalnością, wydawało się wręcz uwarunkowane genetycznie. Melissa miała na składzie tutu nawet dla dwunastomiesięcznego bobasa. Matki tych dziewczynek pamiętały własne marzenia i były gotowe dużo wydać, aby spełniły je ich córki.

Ale taniec był w obecnych czasach niepewnym interesem. Przypominał rynek kontraktów terminowych, na którym występują zwyczajki i spadki, i Melissa musiała szybko reagować na nowe trendy. Wystarczył jeden film dokumentalny w telewizji, a w ciągu tygodnia w jej sklepach zjawiało się czterystu mężczyzn, którzy pytali o najnowszy model koszuli do tanga. Jeden film, musical, teledysk w MTV i rodziło się nienasycone,

przemijające zapotrzebowanie. Jedna reklama papieru toaletowego z tematem muzycznym z *Jeziora łabędziego* i przybywało jeszcze więcej dziewczynek niż kiedykolwiek, które tym razem domagały się tęczy rajstop albo legginsów z fabrycznymi „oczkami” czy też porwanego artystycznie trykotu jak ten z filmu. A potem przychodziły cienkie lata, kiedy nikt oprócz zawodowych tancerzy i żelaznej grupki małych marzycielek nie interesował się tańcem, nikt nawet nie chciał wyglądać jak tancerz czy tancerka, i Melissa mogła tylko czekać. I nawet nie warto było przewidywać, jak mówiła, co będzie dalej.

Żeby zabezpieczyć się przed tymi fluktuacjami, dbała o wygląd swoich sklepów. Ośmiolatki, które pragnęły zostać baletnicami, stanowiły wprawdzie niewielki ułamek swojej grupy wiekowej, ale jak rzesze ich koleżanek przejawiały niewytłumaczalną słabość do różowego koloru. Nie jakiegoś tam różowego, ale jego konkretnego odcienia, jasnego, niemowłęcego, cukierkowatego. Na wystawach wszystkich trzech jej sklepów umieszczano więc ten subtelny wabik. Któregoś sobotniego przedpołudnia Beard odwiedził Melisę w pracy i stanąwszy w rozszczebiotanym tłumie, miał okazję zaobserwować niezwykłą moc tego wąskiego paska spektrum elektromagnetycznego. Kto instruował te dziewczynki, skąd wiedziały, jak się zachować, jak reagować na różowy ołówek czy temperówkę, różowe tenisówki, pościel, spinki do włosów, tornister, bloczek do notowania? Wyszukał później publikację cenionego neurologa z Newcastle, który twierdził, że między obiema płciami występują różnice wrażliwości siatkówkowej: kobiety wybierają czerwony zakres spektrum. Ale to nie tłumaczyło sobotniego ataku na sklep ani radykalnej redukcji zadłużenia, jaką Melissa zdołała wynegocjować w banku w ciągu roku. W miesiącach królowania różu! Potem nagle popyt na ten kolor spadł i magia się skończyła. W ciągu jednej nocy dziewczynki straciły zainteresowanie różowymi rzeczami. Nadwyżki towaru nie dało się upłynnić nawet na wyprzedaży. To było niewytłumaczalne. Powinno pojawić się następne, młodsze pokolenie, siostrzyczki podatne na urok różu, ale nic z tego, róż już nie działał. Choć jego miejsca nie zajął inny kolor. Jako bodziec różowy stracił siłę oddziaływania. Zszedł z tapety i kiedy znowu powróci, Melissa będzie gotowa.

Mimo pewnej niestabilności i codziennych kłopotów z towarem i dostawcami Dance Studio wydawało się Beardowi oazą niewinnych aspiracji i przyjemności. Pewnego razu, gdy przyjechał do sklepu w Primrose Hill, żeby zabrać Melisę na lunch, i czekał na nią na zapleczu, odnotował wszystko - Lenołkę, asystentkę z nastroszonymi krótkimi włosami ufarbowanymi na czarno, która mówiła cockneyem z lekko wyczuwalnym rosyjskim akcentem, sepleniąc z powodu kolczyka w języku, sączącą się z głośników muzykę Czajkowskiego, zapach drewna sandałowego, atmosferę autentycznej niewymuszonej

sympatii do dzieci i dorosłych zajmujących się tańcem. Siedząc w mroku, wśród na wpół rozpakowanych kartonowych pudeł, oddał się fantazjom - pozbawione okien pomieszczenia czasami tak na niego działały - wręcz erotycznym, że wycofuje się z życia naukowego, z tym całym jego zamętem, i podejmuje pracę tutaj, jako partner Melissy prywatnie i zawodowo, krząta się w zaciszu magazynu, może doskonali oprogramowanie, planuje akcje promocyjne, omawia je i demonstruje, spokojnie pędząc tak kolejne lata w zmysłowej monotonii, aż któregoś wieczora pod wpływem nalegań Melissy - nieziszczalne prymitywne marzenie - udaje mu się namówić Lenocho, żeby przyłączyła się do nich na szerokim łóżku w starannie urządzonym mieszkanku przy Fitzroy Street, i podczas zabawy we troje przekonuje się, jak to jest - być pieszczonym językiem z klejnotem pośrodku. Zaskoczył sam siebie. Mógłby spędzić tu życie, snując marzenia wśród nieposortowanych legginsów.

To była jedna oaza. Drugą stanowiło mieszkanie Melissy, dwie minuty piechotą od sklepu w Primrose Hill, niemal naprzeciwko budynku, w którym Sylvia Plath niegdyś wsadziła głowę do piecyka, zostawiwszy chleb i mleko dla śpiących dzieci. Ta poetka, córa lat pięćdziesiątych, przykładna żona, która przejawiała całkiem prozaiczną troskę o otoczenie, tak jak Melissa. Beard natomiast był w domu flejtuchem; dbającym wprawdzie o higienę i próżnym, jeśli chodzi o stroje, ale bałaganiarzem, dla którego podniesienie ręcznika z podłogi, zamknięcie szuflady czy wyrzucenie opakowania po czymś, czy choćby ogryzka po jabłku jest przedsięwzięciem jak wiosenne porządki. Dama, która kiedyś sprzątała w jego mieszkaniu przy Marylebone, pewnego razu opuściła je bez słowa wyjaśnienia, ale on wiedział, dlaczego to zrobiła, i nie szukał zastępstwa. Jego trzecia żona Eleanor znalazła kiedyś między kartami cennego pierwszego wydania pewnej książki - w charakterze zakładki - zaschnięty plasterek bekonu, który jadł na śniadanie.

Jak wielu flejtuchów Beard doceniał porządek, który inni utrzymywali bez trudu, a także każdy inny ład, jeśli tylko go zauważył. W mieszkaniu Melissy, które zajmowało dwa piętra, czuł się szczególnie dobrze. W porównaniu z jej sklepami wydawało się wręcz ascetyczne. Były w nim niezastawione meblami, otwarte przestrzenie. Klepki podłogowe z zamku w Gaskonii, szerokie na stopę, pokryte pszczelim woskiem, aż lśniły. Nie było bibelotów, wszystkie książki stały na półkach we właściwym porządku, w każdym razie dopóki on się nie zjawił, a na ścianach wisiały jedynie litografie, i to nieliczne, głównie przedstawiające tancerzy. Rzeźba była tylko jedna, Henry'ego Moore'a. Inne powierzchnie uzasadniały swoją obecność nieskazitelnym połyskiem. W sypialni nie poniewierały się żadne ubrania, a łóżko, dorównujące rozmiarem łożu, jakie widział kiedyś w amerykańskim hotelu, było gładkie jak tafla jeziora. Mieszkanie Melissy stanowiło miejsce, którego harmonię Beard

mógł zakłócić w ciągu dwóch minut, gdy tylko usiadł, zrzucił płaszcz, otworzył walizkę i zdjął buty. Bo w butach na nogach nigdzie nie czuł się jak w domu. Ale był pod wrażeniem jej mieszkania, wydawało mu się ucieleśnieniem wolności, starał się więc w nim nie bałaganić i częściowo nawet mu się to udawało.

Włamywacz, który wtargnąłby tutaj i po wyłączeniu alarmu rozejrzał się wokół, nie dowiedziałby się niczego o charakterze ani nawet płci właściciela. Wnętrze było stonowane, chłodne, męskie, jeśli chodzi o kolory: jasne brązy i szarości z odcieniem niebieskiego. Tymczasem w swoich sklepach, a czasami i w łóżku, Melissa była spontaniczna, wesoła, żywiołowa. Wyższa od swojego Michaela tylko o cal i pulchna, o rozłożystych biodrach, jak jedna z kąpiących się Renoira, w najmniejszym stopniu nie należała do jego ligi. Miała ciemne włosy, naturalnie albo sztucznie kręcone - nigdy nie śmiał o to zapytać - ciemne oczy i śniadą karnację... orzechową, z odcieniem czerwieni na kościach policzkowych, która pogłębiała się w chwilach złości albo zadowolenia. Twierdziła, że ma w żyłach, po prababce, krew tobagańsko-wenezuelską, jak angostura. Niezależnie od tego, jaka była prawda, rozkwitała w cieple, nie znosiła zimna, to znaczy temperatur poniżej piętnastu stopni, i uważała, że powinna mieszkać w jakimś południowym kraju, ale było już za późno, żeby się przenieść.

Być może zdecydowała się na taki wystrój mieszkania przy Fitzroy Street, żeby wyeksponować swoją garderobę. Nosiła śmiało wzory - dziedzictwo Tobago - jedwabie w intensywnych kolorach, miała mnóstwo szpilek, czerwonych, zielonych i czarnych, a także pastelowe pantofle do tańca, które nigdy na nią nie pasowały. W domu, leżąc na ciemnej kanapie pod ścianą neutralnej barwy, mieniła się kolorami, przynajmniej w oczach Bearda, jak jakiś nowy Gauguin z okresu pobytu na Markizach.

Kiedy przychodził z wizytą, gotowała tropikalną burzę. Jej zbilansowane posiłki były pikantne i bardzo mu smakowały. Jednakże ich dobroczynny wpływ na zdrowie niweczyły dokładki. Sama jadła niewiele z tego, co przyrządziła, ale z niesłabnącym zadowoleniem patrzyła z drugiej strony stołu, jak on je; mówiła, że ostre przyprawy pomagają spalić tłuszcz i działają jak afrodyzjak albo że go utuczy, aby nie mógł od niej uciec. To drugie było bliższe prawdy. Po kolejnej z jej obfitych kolacji, nie czując się ani szczuplejszy, ani odrobinę podniecony, siedział w fotelu prawie w zupełnym milczeniu i pocił się przez pół godziny, zanim doszedł do siebie.

Czym sobie na nią zasłużył? W zimowe wieczory przygotowywała mu kąpiele, zapalała świece w łazience i wciskała się do zamykanej od góry wanny obok niego. Kupowała mu koszule, jedwabne krawaty, wody kolońskie, wina, szkocką - sama nie piła - bieliznę i

skarpetki. Kiedy musiał wyjechać, rezerwowała mu bilet na samolot. Żeby się jakoś zrewanżować, przywoził jej drogie upominki ze sklepów bezcłowych na lotniskach, co było współczesnym przejawem skąpstwa pod pozorem wygody i oszczędności na podatkach, ale jej to nie przeszkadzało. Uwielbiała fizykę, jego „robaczki”, czyli nieczytelne arkusze obliczeń z zakresu fotowoltaiki, które często poniewierały się po dębowym parkiecie, i prosiła, żeby jej objaśnił - kolejny raz - poszczególne symbole, notację nawiasową Diraca, iloczyny tensorowe, diagramy Younga. Ale sama też mogłaby być matematyczką. Widział, jak kończyła sudoku w porannym wydaniu gazety; robiła to z taką szybkością, jak inni wypełniają formularze, bo chciała zdążyć przed wyjściem do pracy. Pochwalała jego działalność i lojalnie czytała wszystkie artykuły prasowe poświęcone zmianom klimatycznym. Ale któregoś razu powiedziała mu, że jeśli chce się podejść do sprawy poważnie, należałoby poświęcić jej cały swój czas. Inaczej nic to nie da. A skoro tak, to w jej sytuacji, jak wszystkich innych osób, które знаła, było to niemożliwe. Ze względu na realia codziennego życia. Czasami powoływał się na tę uwagę w rozmowach.

Opowiadała o swoich poprzednich kochankach ze swobodą, której jemu brakowało. Nigdy poważnie nie interesowali jej rówieśnicy. Wszyscy mężczyźni, o których mówiła, byli piętnaście, dwadzieścia lat od niej starsi. Wyjątek stanowił jeden z jej pierwszych mężczyzn, który był jeszcze starszy. W wieku dwudziestu lat miała bowiem romans z żonatym, pięćdziesięciosześcioletnim zawodowym golfistą. Teraz facet skończył siedemdziesiąt siedem lat i wciąż utrzymywali z sobą kontakt. Jej upodobanie to starszych partnerów nie wzięło się znikąd. Dorastała przy Clapham Common, w południowym Londynie, była jedynym dzieckiem swoich rodziców, którzy rozwiedli się, gdy miała jedenaście lat. Kochała ojca, ale zamieszkała z matką, z którą często się kłóciła. Kiedy ta wyszła za mąż za ostatniego ze swoich „wstrętnych” facetów, Melissa przeprowadziła się do ojca, który doznał wylewu. Opiekowała się nim - a był zupełnie sparalizowany - od czternastego roku życia aż do jego śmierci, cztery lata później. I wyznała Beardowi to, co dawno temu powiedział jej zaprzyjaźniony terapeuta. Ponieważ zajmowała się ukochanym ojcem w kluczowym okresie dojrzewania seksualnego i nie zdołała go utrzymać przy życiu, w kolejnych mężczyznach szukała dla niego zastępstwa, próbowała go jakby przywołać z grobu, uratować przed śmiercią i odkupić swoją winę.

Beard z równym przekonaniem uważał to za bzdury, przed którymi powinna chronić ludzi nauka. Ale nic nie mówił. Tyle w tym było niesprawdzonych hipotez, tyle niczym niepopartych założeń! Podświadomość, która pisze przebiegle własne zagmatwane historie, przygotowane nieporadnym symbolizmem? Żadnego neurologicznego dowodu. Wyparcie?

Nie dowiedziono empirycznie, że taki mechanizm w ogóle istnieje. Wręcz przeciwnie, przykre wspomnienia trudno zapomnieć. Sublimacja? To samo, bajka, której nie potwierdzają żadne poważne badania naukowe. To, że Melissa musiała zmieniać ojcu pampersy, mogło równie dobrze zniechęcić ją do starszych mężczyzn na całe życie, co zresztą też byłoby freudowską konfabulacją. Wiele kobiet, które nigdy nie opiekowały się umierającym ojcem ani nie miały żadnych analogicznych doświadczeń, również wolało starszych mężczyzn. Dlaczego kochankowie Melissy byli - z jednym wyjątkiem - tylko piętnaście czy dwadzieścia lat od niej starsi, podczas gdy ojciec miał trzydzieści siedem, gdy się urodziła? Czy jej podświadomość, tak skrupulatna pod innym względem, nie była w stanie przeprowadzić równie prostego rachunku?

Prawda była prostsza. Kobiety w głębi serca ją znają. Ponieważ był zbyt taktowny, żeby uświadomić ją Melissie, musiał samotnie się z nią zmierzyć. Powtarzanie pomagało. Starsi mężczyźni byli lepszymi kompanami, bardziej doświadczonymi kochankami, znali świat, znali siebie. W przeciwieństwie do tych młodszych byli zrównoważeni emocjonalnie. Więcej przeczytali, więcej widzieli, byli serdeczniejsi, czulsi, mniej pyszałkowaci, bardziej tolerancyjni, mniej gwałtowni. Ciekawsi, znali się na winach. Mieli więcej pieniędzy. Poza tym Bearda drażniła myśl, że mogłaby widzieć w nim nie jego samego, tylko jakiś symbol starości, ucieleśnienie pewnych jej cech. Jeszcze bardziej zirytował się, gdy usłyszał, że kiedy poznała swoją pierwszą poważniejszą miłość, wiarołomnego golfistę, był on w tym samym wieku co jej ojciec w chwili śmierci.

*

Ze Strandu na Primrose Hill pojechał taksówką, znalazł się przy Fitzroy Street dwadzieścia minut przed czasem i nacisnął dzwonek do jej mieszkania. Nie miał klucza - była to granica, której nie chciał przekroczyć. Kiedy stanęła w drzwiach, w tej krótkiej chwili, zanim się objęli, wyczuł, że coś jest nie tak, a przynajmniej inaczej niż zwykle. A może ona była jakaś inna. Odniosł wrażenie, że dostrzegł to w jej twarzy, zanim się uśmiechnęła na powitanie. Potem uścisnęli się i zapomniał o tym. Poczul na zimnym kamiennym progu ciepło, które przyniosła z sobą, a także woń wosku do podłóg i zapach przypraw zmieszany z zapachem jej perfum. Przywiózł je dla niej z jakiegoś kolorowego piekła na lotnisku. Wykrzyknęli radośnie na swój widok, pocałowali się i odsunęli od siebie, żeby przyjrzeć się sobie nawzajem, a potem objęli się jeszcze raz.

Przytulając ją, poczuł przez czerwoną jedwabną bluzkę jej gorące ciało. Jakże zamglona i monochromatyczna jest pamięć w zestawieniu z teraźniejszością. Kiedy

wyjeżdżał, potrafił ją sobie przypomnieć tylko jako postać w teatrze cieni... albo w ogóle był zbyt zajęty, żeby o niej myśleć... z jej żywiołowością, zwyczajną i jednocześnie bardzo charakterystyczną aurą. Zapomniał, jakie uczucie wywołuje dotyk jej ust i języka, jej ciała, to, jaką postawę przyjmuje, żeby zniwelować różnicę wzrostu między nimi, gdy się całują, jak splata palce z jego palcami, ich sprężysty opór w stawach, chłodną gładkość, smukłość, wypukły pieprzyk pod knykciem lewego małego palca i nacisk jej piersi, gdy się obejmowali. A była to zaledwie jedna sfera doznań. Jak wyglądała, jakie wydawała dźwięki, jak smakowała - oczywiście wszystko to było znajome, ale dopiero gdy znajdowała się przy nim, w jego ramionach. Pamięć - jego pamięć - była w tym przypadku niewiele warta. Kiedy myślał o niej w Berlinie albo Rzymie, to tylko w kategoriach ich wzajemnej relacji i ogólnego pożądanego, jak o osobowości, w oderwaniu od niej samej, i o własnych przyjemnościach; nie pamiętał o ciepłym miodowym zapachu jej głowy, zaskakującej sile i sprężystości ramion, o wysokich rejestrach głosu, gdy wypowiadała jego imię.

- Michaelu Beardzie. Natychmiast do domu!

Był to stary żart w stylu zrzędlivego rodzica starej daty. Sam nigdy nie miał okazji, aby jej się odwzajemnić - jego żalosne mieszkanie nie było miejscem, do którego można by zaprosić taką kobietę jak Melissa Browne. Nie czułaby się w nim dobrze, jeśli nie mogłaby uwić w nim gniazdko dla niego, a to stanowiło kolejną granicę, której nie chciał przekroczyć. Wzięła od niego walizkę, a on ruszył za nią. Gdy drzwi się zamknęły i stanęli na środku przestronnego salonu, zarzuciła mu rękę na szyję, on przyciągnął ją do siebie mocno i pocałowali się znowu. Wydawało się, że daruje sobie obowiązkową konwersację o tym, co nowego, odłożą kolację i pójdą od razu do sypialni. Ale wtedy dobiegł ich dziwny syk i trzask, jakby z bata, naglące wezwanie z kuchni. Melissa oddaliła się pospiesznie i sama syknąwszy, rzuciła staccato „niech to szlag”, a on skierował się na kanapę. Nie był już napalonym młodym facetem. Potrafił czekać cierpliwie.

Gdy wróciła po pięciu minutach, leżał na kanapie, ze szkoocką w rękę, i przeglądał raport swojego zespołu z Imperialu dla „Nature”. Na podłodze panował bałagan - byle jak porozkładane rzeczy: buty, płaszcz, marynarka, krawat, otwarta teczka, papiery, walizka z wysypującymi się ubraniami i plastikowy worek. Przeniósłszy się po energetyzującym powitaniu w świat życia roślin na poziomie molekularnym i świadomy, że mniej więcej za godzinę pójdzie z Melissą do łóżka, a wcześniej zje kolację, odczuł rzadkie, spokojne zadowolenie.

Stanęła nad nim z ręką na biodrze.

- Niech się pan posunie, panie profesorze.

Lubił ten jej cierpki wyrozumiały krzywy uśmiezek. Podciągnął się z jękiem, klepinięciem wskazał miejsce obok siebie i wziął od niej szklanę. Gdy usadowiła się przy nim, odłożył na bok artykuł i powiedział:

- Pomyśl tylko, najmarniejszy chwast wyrastający między płytami chodnikowymi ma sekret, który kilkanaście najlepszych laboratoriów na świecie dopiero zaczyna poznawać.

Pociągnął łyk szkockiej, a Melissa położyła dłoń między jego nogami. Zaczęła pieścić go z roztargnieniem.

- Stęskniłam się za tobą, Michaelu. Co z tym chwastem?

- Już ci chyba mówiłem. Liść to coś w rodzaju panelu słonecznego do rozszczepiania wody i wiązania dwutlenku węgla. Mogliśmy go odtworzyć w warunkach laboratoryjnych i produkować wodór. Ja też się za tobą stęskniłem.

Czyżby? Teraz, gdy się całowali, pomyślał, że tak powinno być, bo czuł się podekscytowany i szczęśliwy. Ale tak naprawdę za nikim nie tęsknił od czasu tamtego ponurego lata 2000 roku, kiedy był jak pies za swoją ostatnią, definitywnie, żonę. Czasami miał ochotę się z kimś zobaczyć, ale od tamtej pory nie odczuwał dotkliwie niczyjej nieobecności. W ostatnich czasach, gdy był sam, czytał, pił, jadł, rozmawiał przez telefon, surfował po Internecie, oglądał telewizję, jechał na spotkanie - albo spał. Był samowystarczalny, zajmował się sobą, żył w świecie swoich upodobań i marzycielskich rozmyślań. Jak wielu inteligentnych ludzi ceniących obiektywizm był z natury solipsystą, a serce miał jak z lodu, co Melissa wyczuwała i zamierzała zmienić.

Oczywiście zanim poszli do łóżka, musieli porozmawiać o tym, co wydarzyło się w ich życiu w ostatnich tygodniach, o swoich odczuciach, dniu powszednim. Jego wina, bo nie dzwonił, jej, bo nie informowała go na bieżąco. Opowiedziała mu więc, co nowego. Musical o chłopcu z klasy robotniczej, który chce zostać tancerzem, spowodował wzrost obrotów w porównaniu ze średnią o tej porze roku. Ale przychodziło niewielu chłopców. To zasługa dziewczynek, które marzyły o takim chłopcu. Opowiedziała też o niedawnej śmierci cenionego choreografa, który wciąż miał niedosyt sławy. Podczas nabożeństwa pogrzebowego w wąskiej nawie kościoła w Soho wystąpiło pięciu tancerzy, płakali nawet wrogowie staruszka.

Beard otoczył ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego i mówiła z ustami przy jego piersi. Sama troszczyła się o swoje sklepy, o klientów, pracowników, kochankę i pragnęła, żeby ktoś zatroszczył się o nią. Słuchając jej, rozejrzał się wokół - obrzucił spojrzeniem brązowy szezlong pod ścianą, rzeźbę, miedzioryt przedstawiający tancerzy na ulicach Utrechtu, miedziany talerz z gładkimi kamieniami - bo miał nadzieję, że odkryje, co się

zmieniło, co uszło jego uwagi. Bo coś było nie tak. Na pewno nie on ani żadna z jego rzeczy. Sama atmosfera była jakby inna, jak po wyjściu palacza, gdy dym się już rozwiął.

- Kocham cię. - Przerwała swoją relację z pogrzebu i żartobliwie ugryzła go w ramię.

Poczuł przypływ czułości, być może tak jak zwykle, ale miał świadomość, że pewnego dnia od niej odejdzie, a jeśli teraz powie, że też ją kocha, obojgu im będzie ciężiej. Ale nie wiedział jeszcze, kiedy i jak to nastąpi, więc przyciągnął ją bliżej do siebie. To, co wyszeptał w odpowiedzi, było namiastką, ale musiało wystarczyć.

- Jesteś piękna, Melisso.

Dokończyła swoją opowieść, a on głaskał ją po głowie i po raz pierwszy, odkąd wymknął się za aksamitną zasłonę, pomyślał, że chyba robi się głodny, może za pół godziny całkiem zgłodnieje. Próbował zidentyfikować przyprawy, których zapach unosił się w powietrzu. Czyżby czuł owoc tamaryndowca, czosnek, limonkę, imbir, kurczaka? Jej głos brzmiał cicho, melodyjnie, może nawet, pomyślał, jest w nim lekki smutek. Co jakiś czas przyciągała jego głowę do siebie, żeby go pocałować. Znowu mówiła o swoich sklepach, potem o czymś innym, o dziurze w suficie czy podłodze, przez którą coś wpadło, i źle ułożonym jamniku, którego zostawiła po sobie stara primabalerina, chora na alzheimera. Nie słuchał jej zbyt uważnie. Myślał o sobie, o tym, że jest całkiem przeciętny, ani okrutniejszy, ani lepszy, ani gorszy od większości ludzi. Jeśli bywał czasami chciwy, skupiony na sobie, wyrachowany, zakłamaný, to tylko w sytuacjach, które go do tego zmuszały, bo inaczej czułby się zakłopotany, czyli wtedy gdy wszyscy inni. Ludzkie słabości to temat rzeka. Choćby różne ułomności. Kręgosłup w kształcie litery S, łatwo ulegający zniekształceniu, niebezpieczny wspólny odcinek układu oddechowego i pokarmowego, jakim jest przełyk, grożąca infekcjami bliskość układu rozrodczego i wydalniczego, bolesny poród, niewydolne i delikatne jądra, generalnie kiepski wzrok, system immunologiczny, który może się zwrócić przeciwko właścicielowi. A to tylko sprawy cielesne. Spośród wszystkich argumentów przemawiających za istnieniem boskiego stwórcy ten z zakresu budowy człowieka upadł wraz z pojawieniem się *Homo sapiens*. Żaden bóg zasługujący na to miano nie mógł wykazać się takim niedbalstwem w swoim warsztacie. Beard był świadomy, że ucieleśnia te wszystkie ludzkie wady, i jako taki siedział tutaj, straszliwy hipokryta, czule tulący do siebie kobietę, którą zamierzał porzucić pewnego dnia, słuchał jej z przejętą miną, czekając, aż sam będzie mógł dojść do głosu, choć w gruncie rzeczy najchętniej poszedłby z nią do łóżka bez żadnych wstępów, zjadł to, co ugotowała, wypił butelkę wina i położył się spać - bez poczucia winy, bez wyrzutów.

Wzięła od niego pustą szklanekę i wstała.

- Kolacja - oznajmiła. - Ale najpierw zrobię ci jeszcze jednego drinka.

Nie mogła się jednak zmusić, żeby od niego odejść; pochyliła się nad nim i znowu go pocałowała. Pocałunek był długi i namiętny, potem przyciągnęła go do siebie i Beard, siedząc wciąż na kanapie, podniecony, z twarzą w wonnym mroku jej rozpiętej u góry bluzki i z rowkiem między wydatnymi piersiami przed nosem, zaczął się zastanawiać, dlaczego to wszystko niecierpliwi go bardziej niż zwykle, cała ta gadanina i konieczność słuchania, czekanie na kolację, zanim dostanie prawdziwą nagrodę. Może stracił cierpliwość do obwarowań charakteryzujących ludzkie kontakty, bo za dużo przebywał w hałaśliwych miejscach publicznych, wśród światowych naukowców, takich jak on, nadętych każdy na swój sposób. A gdy był sam, przeważnie tkwił w prawie abstrakcyjnym świecie jonów kobaltu, protonów, katalizatorów. Gdy zaś nie był sam, flirtował beztrosko, o czym w tej chwili nie chciało mu się myśleć.

Wypuściła go z uścisku, wyprostowała się i powiedziała coś, jedno zdanie, którego nie dosłyszał, bo w tej samej chwili musnęła dłońmi jego uszy. Położyła mu ręce na ramionach i kiedy uniósł głowę, spodziewając się uspokajającego uśmiechu, który w sposób naturalny zakończy to fizyczne interludium i pozwoli jej pójść do kuchni, zobaczył ze zdumieniem łzy w jej oczach, zbierające się szybko, gotowe spłynąć po policzkach. A ona, o dziwo, się uśmiechała, choć bez wesołości, jakby chciała zneutralizować własne uczucia albo je wykipić. Przestraszył się nieracjonalnie, że zranił ją swoimi myślami, które wypowiedział na głos albo miał wypisane na twarzy. Ale każdy człowiek jest przecież wyspą, jego myśli były bezpiecznie zamknięte w głowie. To musiała być jakaś poważna sprawa, która nie miała z nim związku. Wstał, wziął Melissę za ręce i poczuł, że są wilgotne, nie tylko wnętrza dłoni, ale także miejsca między palcami - gorące i lepkie z emocji, które powinien jak najszybciej poznać i zrozumieć - żegnajcie nadzieje na przyjemny dalszy ciąg.

- Melisso - zaczął. - Co się dzieje i co powiedziałaś przed chwilą?

Pocałowali się jeszcze raz, czule jak poprzednio. Może jednak uda się pchnąć wieczór na właściwe tory.

Wtedy spojrzała na niego ze zdziwieniem i parsknęła śmiechem.

- Ty idioto. Kocham cię. Jestem w ciąży.

- Ach...

Zobaczył pustkę przed oczami, męski odpowiednik neurastenicznego osunięcia się na stojącą z tyłu kanapę. Była w ciąży. Zaczął walczyć z tym dojrzewającym, pęczniejącym słowem - dość znajomym, ale w tej chwili pozbawionym pomocnego kontekstu jak, powiedzmy, twarz miejscowego kioskarza w nieprawdopodobnym miejscu. To słowo niosące

z sobą znaczenie i konsekwencje związane z biologią i losem wreszcie zaskoczyło na miejsce jak stalowy boleć. Żył w otwartej celi przez wiele lat, wiele miesięcy, i mógł z niej wyjść. Ale już za późno. Gdy któregoś razu odwracał się plecami, jeden z jego plemników, sprytny i dzielny jak Odyseusz, przebył długą drogę, pokonał mury i odnalazł jej jajeczko. Teraz on musiał zrobić to samo. W ciągu czterdziestu lat zdołał namówić kilka kobiet, w tym dwie żony, żeby usunęły ciążę. Było cudem, że udało mu się tyle czasu uniknąć ojcostwa. Ale wiedział, że z Melissą nie pójdzie mu tak łatwo. Patrzyła teraz na niego z rozchyłonymi ustami i czekała na jego reakcję, na jego słowa, pierwsze słowa tatusia, które wytyczą nowy kurs w jej życiu.

- Napiję się tej szkockiej.

- Chodź ze mną.

Objął ją ramieniem i razem przeszli nad bałaganem na podłodze, zmierzając do małej funkcjonalnej kuchni. Na kuchence, na małym ogniu stał jeden duży garnek będący źródłem intensywnego zapachu. Poza nim, oprócz pudełka ryżu, nie było innych śladów gotowania, bo wszystkie blaty zostały wytarte, obierki wyrzucone, narzędzia umyte i schowane na miejsca. Prawdziwa zagadka, jak ktoś tak pełnokrwisty i zmysłowy jak Melissa mógł być tak aseptycznie czysty. Próbą stałoby się dla niej dziecko i nadchodzący wraz z nim codzienny nieporządek. Jednakże dziecka być nie mogło i kwestią pozostawało tylko, jak długo zajmie mu przekonanie jej do tego. Jak to możliwe, że sama nie rozumiała tej sprawy, że nie uświadamiała sobie, jaką głupotą byłoby narzucenie mu takiego obowiązku; jakie to żalosne - prawie siedemdziesięcioletni mężczyzna, i to bez predyspozycji do ojcostwa, i niespełna dziesięcioletnie dziecko! Do tego jego własna skłonność do nieporządku, niepoprawne zaabsorbowanie pracą, obecny poziom zarobków, nawet nie sześciocyfrowych, haniebna przeszłość, ryzyko związane z przekazaniem starych genów potomstwu. Jej jajeczko też na pewno czuło już chłód trzydziestej dziewiątej zimy. A co z jego misją? Czy byłoby przesadą stwierdzenie, że planeta ucierpi, jeśli on nie doprowadzi swoich badań do końca? Chyba nie.

Melissa zajrzała do zielonego garnka i odniósł wrażenie, że jest zadowolona, potem odkręciła butelkę, nalała mu szkockiej i wzięła kostkę lodu z pojemnika. Jeśli argumenty, które sobie przygotowywał, były naciągane, to dlatego, że niestety, sprawa prawdopodobnie była już przesądzona. Melissa chciała tego, zawsze chciała. Więc nawet nie były to argumenty, tylko prośby. Jeśli go kocha, to posłucha, ale kochała go i jednocześnie pragnęła dziecka, więc nie mogła posłuchać. Sytuacja była poważna, naprawdę brzemienna. Wziął od Melissy drinka i choć nie wypił go jednym haustem, jak by zrobił, gdyby był sam z tym problemem, to w każdym razie szybko wysączył.

Posłała mu uśmiech i zajęła się ryżem; nalała oliwy i soku z cytryny do miski, a następnie wrzuciła do niej liście rokiety, które wyjęła z lodówki. Tę górę zieleniny niewątpliwie przyrządzała dla siebie. Kwas foliowy, antyoksydanty, witamina C. Porcja dla dwojga. Coś musiał z tym zrobić.

- Wiesz - powiedziała - myślę, że dla odmiany napiję się białego wina.

Nie chciał, żeby rozmowa o aborcji przekształciła się w uroczystość z okazji zajścia w ciążę. Nie chciał też, żeby alkohol wpłynął na rozwój układu nerwowego płodu. Czuł się niedorzecznie, nie mógł wydobyć głosu. Melissa uniosła kieliszek, więc i on podniósł szklankę. Nalała sobie tyle wina, ile jemu szkockiej.

- Podoba ci się moja spódnica?

To pytanie, jak można było wnosić po intonacji, nie miało na celu zmiany tematu. Spódnica była z delikatnego kaszmiru, w kolorze grafitowym, z wieloma zakładkami, które układały się spiralnie przy obrocie.

- Jest śliczna - odparł. - Tak jak ty. Nigdy nie wyglądałaś piękniej.

Nie za dobry pomysł, żeby ją utwierdzać w pewności siebie, ale nie mógł się powstrzymać. W ramach kompensacji zapytał:

- W którym jesteś miesiącu?

- Drugim, to siódmy tydzień.

- Kiedy się dowiedziałaś?

- Dwa dni temu.

- Melisso, powiedz mi. Czy to była wpadka?

Podeszła do niego i przyłożyła mu dłoń do policzka. Znowu poczuł ciepło jej promiennego ciała. Była jak piec, pomyślał idiotycznie, w którym piekła się bułeczka. Ich wspólna bułeczka.

W końcu odpowiedziała szeptem:

- Nie.

- Odstawiłaś pigułki?

- Od czasu gdy je odstawiłam, kochaliśmy się co najmniej trzy razy.

- Powinnaś była mi powiedzieć.

- Byłbyś przeciwny.

- Tak, byłbym. Znasz mój stosunek do tej sprawy.

- A ty znasz mój.

Wypił już prawie całą szkocką. Obszedł Melissę, żeby wziąć butelkę, nalać sobie jeszcze. Teraz, gdy znaleźli się po przeciwnych stronach kuchni, łatwiej mu było powiedzieć

z pewną surowością:

- A więc mnie oszukałaś.

Znowu do niego podeszła. Wiedział, że będzie trudno wybić ją z tego spokojnego, uwodzicielskiego nastroju. Wolałby już zwyczajną kłótnię, bez silenia się na uprzejmości. Większy dystans do pokonania. Ale ona zbliżała się w atmosferze domowego spokoju i mimowolnie doznał wzrodu, a ponieważ widział, że ona o tym wie, podniecił się jeszcze bardziej. Jej twarz była inaczej oświetlona i ze swojego miejsca, przy jej żalnym barku - jedno amaretto, jeden prawie wypity johnnie walker, jeden baileys - zauważył, że hormony pierwszego trymestru robią swoje, korzystnie wpływają na jej cerę. Już? Czy to możliwe? Nie miał pojęcia, ale nigdy nie widział, żeby wyglądała tak pięknie, tak młodo. Kiedy zatrzymała się tuż przed nim, musiał sobie przypomnieć, że właśnie - i niebezpiecznie - zarzucił jej oszustwo. Nie mógł pozwolić, żeby go uwiodła. Postąpiła wobec niego nieuczciwie. Choć jednocześnie rozładowanie napięcia seksualnego uodporniłoby go na jej wdzięki, odzyskałby jasność myślenia i z nową energią mógłby przystąpić do walki o swoją sprawę.

Melissa zaczęła:

- Zmarnowałam wiele lat, bo myślałam, że nie powinnam mieć dziecka, dopóki nie trafię na odpowiedniego mężczyznę. Straciłam czas na różnych idiotów i drani... to tak samo moja wina jak i ich. Myślę, że ty jesteś odpowiednim mężczyzną i nie ma znaczenia, że uważasz inaczej. Zamierzam urodzić to dziecko. Będzie mi smutno bez ciebie, ale to nie takie przykre, jak nie mieć zupełnie nikogo. Nie musisz podjąć decyzji ani dziś wieczorem, ani w ciągu przyszłego miesiąca. Możesz powiedzieć „nie”, a potem zmienić zdanie. Niewykluczone, że to nastąpi, gdy zobaczysz dziecko. Tak bywa. Ale jednego jestem pewna... nie będę się z tobą kłócić. Jeśli jesteś zdecydowanie przeciwny, to odejdz. Zawsze jednak możesz wrócić.

- To dziecko nie skończy jeszcze dziesięciu lat, gdy ja przekrocze siedemdziesiątkę. Jaki będzie ze mnie pożytek?

- Dobra. Nie angażuj się. Ale pomyśl, jakie to błogosławieństwo... w wieku siedemdziesięciu lat kochać dziesięciolatka i być przez niego kochanym.

Błogosławieństwo? Skąd ona wzięła takie słowo? Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby go używała.

- Jest jeszcze jedno.

Powiedziała to słodko, czuła się pewnie. Usunęła kamienie spod jego nóg i teraz szedł drogą w nieznanym terenie kompletnie zagubiony, choć nic mu nie groziło, a w każdym razie tak sugerowała jej postawa.

- Nie prosiłam cię, żebyś został ojcem mojego dziecka. I nie proszę cię o wsparcie finansowe. Mam oszczędności i mam sklepy. Jeśli zechcesz nam pomóc, to świetnie. Jeśli zechcesz zostać z nami, jeszcze lepiej.

„Nam”, „z nami”. Ta istota wielkości łebka od szpilki już miała głos, zyskała byt. Beard poczuł się skrzywdzony i wymanewrowany. Był zbyt przytłoczony, żeby wyartykułować generalną zasadę, którą Melissa pogwałciła. Czy nie miał żadnych praw? Nie mógł nakazać unicestwienia tego dziecka, gdy jeszcze był czas. Czego więc chciał? Próbował wrócić do pryncypiów.

- Odejdę, czy zostanę, będę pomagać, czy nie będę... jestem ojcem twojego dziecka. Wbrew woli. Nie zapytałaś mnie, bo wiedziałaś, co odpowiem.

- Jeśli nie będziesz chciał zobaczyć dziecka ani w żaden sposób nam pomagać, to w twoim życiu nic się nie zmieni.

- Skąd możesz to wiedzieć, a poza tym mylisz się, bardzo się mylisz. Sądzisz, że nie ma żadnej różnicy między posiadaniem dziecka, którego się nigdy nie widziało, a nieposiadaniem go w ogóle? Zmuszasz mnie do dokonywania wyborów, których nie chciałem dokonywać.

Wypowiedział to z pewnym wzburzeniem i rzeczywiście tak myślał, ale nagle to, co mówił, wydało mu się nierzeczywiste. Jego prawdziwe obiekcje, wciąż niewyrażone, były owiane mgłą.

Najwyraźniej liczyła się z taką jego reakcją. Sprawiała wrażenie nieporuszonej, gdy odwróciła się i zaczęła nakrywać do stołu. Kiedy znowu się odezwała, spokojnie położyła mu rękę na ramieniu i przybrała pojednawczy ton, choć na niego nie patrzyła.

- Spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia, Michaelu. Kocham cię, pragnę mieć dziecko, nie zależy mi na nikim innym, widuję się z tobą od czasu do czasu, nie wiedząc, kiedy to nastąpi, mam świadomość, że spotykasz się z innymi kobietami, a ty ani się ze mną nie wiążesz, ani ode mnie nie odchodzisz, i tak upływają już cztery lata. Jeśli nic nie zrobię, wejdę w okres menopauzy. I w ten sposób ty wywrzesz na mnie presję, wymusisz na mnie decyzję.

To był chory układ. Ale przecież mogła dać mu kopniaka. Położył ręce na jej dłoniach, które wciąż trzymała mu na ramionach. Był to rodzaj przeprosin.

Zdjęła casserole z kuchenki, postawiła na stole, na podkładce, i podała mu butelkę wina do otwarcia. Było to corbiere, całkiem porządne, które miał wypić sam. Melissa ledwie tknęła tę odrobinę białego wina, którą miała w kieliszku. Siadając przy stole, przypomniał sobie o prezencie dla niej, olejku do kąpieli i miętowych pralinkach w gorzkiej czekoladzie, z

berlińskiego lotniska. Nie najlepszy moment, żeby je wręczyć. Kiedy Melissa nakładała potrawkę, zapadło milczenie. Zneutralizowała jego protest listą zarzutów. Przypuszczał, że wiedziała o jego romansach, ale zdumiało go, właściwie zaszokowało, że mówiła o tym z takim spokojem. Biorąc widelec, zobaczył przed oczami, jakby w reprojekcji, w rzucie mózgu na siatkówkę, obraz Melissy i pewnej dziewczyny, którą poznał w Mediolanie; klęczały razem, nagie, na łóżku z baldachimem wśród pięttrzącej się pościeli, w wyczekująco czułych pozach, w mrocznym stylu pornograficznych rozkładówek. Zobaczył nawet zgięcie pośrodku. Odsunął od siebie tę wizję i zabrał się do jedzenia. Ale pod jej wpływem ścisnęło go w gardle i miał trudności z przełknięciem pierwszego kęsa. Melissa przedstawiła rozsądne argumenty i znalazł się w potrzasku, nie miał racji, i chociaż wiedział, że ma i nie mógł wykonać żadnego ruchu, mimo że, jak podejrzewał, sprawa po prostu została postawiona na głowie.

Odczekał mniej więcej minutę, a potem, starając się, żeby zabrzmiało to poważnie, nieplaczkliwie, powiedział:

- Chodzi o to, Melisso, że tak naprawdę nie będę miał wyboru, jeśli uprzesz się przy swoim. Miałbym zignorować istnienie własnego dziecka? Nie potrafiłbym. Przypuszczam, że na to liczysz, i dlatego się nie zgadzam. To rodzaj szantażu...

To słowo zawisło między nimi i pomyślał, że wreszcie wybuchnie oczyszczająca kłótnia. Ale Melissa nie traciła spokoju, pogodna przyszła matka, żująca w zamyśleniu. Jadła więcej niż zwykle.

- Nie liczyłam, że nie będziesz w stanie zignorować dziecka. Jeśli to prawda, jestem tym bardziej szczęśliwa. Wiedziałam, że będziesz niezadowolony, i nie mam do ciebie żalu. Początkowo miałam zamiar ci powiedzieć, że to była wpadka, ale nie mogłabym potem z tym żyć.

A ze świadomością, że odstawiła pigułki bez jego wiedzy, mogła. Nie chciał jednak o tym mówić, tak jak nie był w stanie przyznać, że wie, jak będzie wyglądała przyszłość. Po szczęśliwym interludium, zakładając, że nawyknę do małżeństwa, stopniowo stanie się nic niewartym, nieodpowiedzialnym pseudomeżem i nic niewartym, nieodpowiedzialnym ojcem. Jeśli tego chciała, to jej sprawa. O to właśnie walczyły kobiety, o prawo do urodzenia dziecka i do aborcji. Może więc nic nie mógł zrobić. Zdejmowała z niego odpowiedzialność, ale wiedział, jak to się dalej potoczy; będzie miała inne nastawienie, gdy ich życie się zmieni, gdy zaczną się męczące nieprzyjemne sceny, z krzykami, płaczem dziecka, trzaskaniem drzwiami, warkotem silnika odjeżdżającego sprzed domu samochodu. Wtedy będzie przekonana, że to wszystko jego wina, niezależnie od tego, co mówi teraz, gdy hormony optymizmu uśmierzają wszelkie obawy - jedna ze sztuczek ewolucji, żeby dziecko pojawiło

się na świecie.

Ponownie nalewając sobie do szklanki, poczuł, że jego bojowe nastawienie, pretensje i żal ustępują miejsca beztrószkiemu fatalizmowi. Chciał odsunąć od siebie ten problem i nadać wieczorowi właściwy bieg - odbyć przyjacielską pogawędkę z tą piękną, młodą jeszcze kobietą, przy smacznej kolacji i ciemnym winie, a potem kochać się z nią, przytulić sennie i zasnąć. Był leniwym sybarytą czy smakoszem, który ma apetyt na życie? Znał odpowiedź. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Cieszę się, że byłaś ze mną szczerą. Dziękuję ci.

Wciąż trzymając ją za rękę, przeprosił za ostre słowa: nie uważa jej wcale za szantażystkę, bardzo się cieszy, że są razem i że rzeczywiście nie ma sensu się kłócić. Gdy mówił, patrzyła mu w twarz jak hipnotyzerka. Jej oczy odzyskały blask. Wstała, podeszła do niego i przyklękła; pocałowali się namiętnie. Gdy wróciła na miejsce przy stole, wszystko było już dobrze, więc zajęli się jedzeniem. Pochłoniął trzy porcje kurczaka w chili, opowiadając jednocześnie o swojej pracy i podróżach, konferencji w Poczdamie, najnowszych wiadomościach z Nowego Meksyku, o tym, że zespół MIT pracuje tak jak on nad sztuczną fotosyntezą, ale ma w stosunku do niego osiemnastomiesięczne opóźnienie. Mówił o prostocie projektu, pięknie nieruchomych elementów, o obliczeniach zespołu z Oksfordu mających na celu uzyskanie optymalnego kształtu reflektora solarnego, wbrew jego przewidywaniom wcale nieparabolicznego.

Na pewno ją nudził, ale mówił to wszystko, żeby oddalić problem dziecka, zająć jej myśli czymś innym, jego własnymi sprawami. Czasami zadawała mu jakieś pytanie, patrząc na niego z wielką, irracjonalną wyrozumiałością. Kochała się w łysym grubym facecie, który był dla niej kwintesencją wszystkiego, co poważne, wyższego celu, ojcem dziecka, które nosiła, a także jej własnym, którym pragnęła się zająć, ojcem, który nie był zachwycony swoim losem, ale - miała tego świadomość - musiał ulec.

Przystępnym, jak sądził, językiem opisał swoje najnowsze odkrycie - nie jeden elektron przypada na każdy foton, lecz dwa, a któregoś dnia może nawet będą trzy! Słuchając go, przybrała wyraz twarzy, który zawsze lubił - lekko drwiący uśmiezek, powściągany, żeby nie wybuchnął pełnym zachwytem śmiechem. Choć nic z tego, co mówił, nie było wcale zabawne. Zasługiwała na coś więcej. Opowiedział jej więc o przygodzie w pociągu, a ponieważ objadł się i było mu gorąco, zaproponował, żeby przesiedli się na kanapę.

Przedstawiając tę historię w Savoyu, bazował przede wszystkim na swoich wrażeniach. Teraz na jego opowieść złożyły się trzy elementy - same wydarzenia, tak jak je zapamiętał, świeże wspomnienie swojej pierwszej relacji i chęć opowiedzenia anegdoty, żeby

rozśmieszyć Melisse, przypodobać jej się i odsunąć rozmowę na zasadniczy temat. Wszystko, co uwydatniał, modyfikował albo dodawał, brzmiało prawdopodobnie, czasami zresztą nie miało się z prawdą. Popelniał plagiat z samego siebie, zapożyczał pewne wyrażenia, kopiował pauzy i gesty, które wykonywał podczas odczytu. Przedstawił swojego współpasażera jako potężniejszego i groźniejszego, z siebie zrobił kompletnego kretyna, impulsywnego, łakomego, pochopnie wydającego sądy. Pod koniec, w chwili gdy jego walizka była zdejmowana z półki, przerysował wyrozumiałość młodego człowieka, jego szlachetność. Jak prawdziwy gawędziarz przezornie pominął wszystkie szczegóły, które mogły zdradzić finał i osłabić jego wymowę - gdy włożył rękę do kieszeni i znalazł w niej nienapoczętą paczkę chipsów.

Ta przezorność przyniosła efekt. W stosownej chwili Melissa aż wykrzyknęła ze zdumienia. Ujęła jego głowę w dłonie, potrząsnęła nią i zawołała:

- Ty idioto, ty głupku! Och, szkoda, że mnie tam nie było! - Nie przestając się śmiać, podniosła kieliszek z winem, wciąż z tą samą ilością, i pocałowała Bearda, a potem śmiali się i obejmowali. Następnie, odsunawszy się, powiedziała: - Ty złodzieju! - i dodała, kręcąc głową: - Biedny facet!

Doszedłszy w końcu do siebie, przysunęła się do niego i zapytała:

- A wiesz, że coś takiego przydarzyło się Ivanowi... pamiętasz Ivana ze sklepu?

Nie miał ochoty słuchać o Ivanie. Wstał z pewnym trudem, wykonał przesadnie szarmancki gest otwartą dłonią, kłaniając się lekko, potem zaprowadził ją do sypialni i tam w milczeniu rozebrał. Lubiała taki wstęp - gdy była naga, a on ubrany. Nie znał się na tym, ale był pewien, że w innym stuleciu uchodziłaby ze swoim miękkim przyjaznym ciałem za ideał kobiecej urody, wcielenie doskonałości. Wąska w ramionach, o rozłożystych biodrach, ciężkich piersiach, z dwoma dołeczkami u podstawy kręgosłupa, nad dwoma jędrnymi pośladkami. Ucałował te dołeczki. Przycupnął na brzegu łóżka, a ona odwróciła się i pochyliła, żeby usiąść mu okrakiem na kolanach i zarzucić ręce na szyję. Przytulała się do niego i całowała go w czoło, on całował jej piersi. Ale taka piękność nie była lekka. Poczuł ostry ból w słabszym kolanie i pomyślał, że ma niespełna minutę, aby wykonać następny ruch, zanim zerwie sobie więzadło. Tymczasem ona mówiła mu właśnie, że go kocha, opowiadała szeptem, jak go kocha, i musiał się wstrzymać.

W końcu, z jękiem, który mógł uchodzić za przejaw namiętności, wziął ją w ramiona i położył na plecach na łóżku, a następnie przykrył kołdrą. W pokoju było chłodniej, niżby sobie życzył. Szybko, z wieloletnią wprawą, rozebrał się sam, rozciągnął obok niej i zaczął ją pieścić w sposób, który część kobiet uważała za zbyt techniczny. W takich sytuacjach Melissa

zazwyczaj nie mogła się doczekać, kiedy przystąpią do rzeczy, ale tym razem, choć trzymała go za członek i delikatnymi ruchami palca wskazującego oraz kciuka sprawiała mu dużą przyjemność, najwyraźniej miała ochotę na rozmowę. Początkowo nie zwrócił na to uwagi, skupiony na pieszczenu jej i całowaniu, a także na własnych coraz intensywniejszych doznaniach pod wpływem jej zabiegów. Urywane słowa padające z jej ust, sugestywne, przypadkowe, przepływały obok niego jak ryby z rafy koralowej obok nurka. Potem jednak dotarli do niego i zdał sobie sprawę, że mówiła o ciąży. Ale dlaczego teraz? No tak, oczywiście - o czym innym mogła mówić? Dla niej nie zmienili wcale tematu. Seks, dzieci, piersi, miłość, nieprzerwana złota nić pokoleń. A w pobliżu żadnego sznura, którym mógłby związać jej ręce i nogi albo samemu powiesić się na najbliższej gałęzi, i to w chwili gdy myślał, że jego życie w ostatnich stadiach aktywności nabiera sensu i do czegoś zmierza. Zwalczył jednak w sobie zniecierpliwienie, otworzył oczy, spojrzał w sufit i zaczął słuchać.

- ...to jak kochać kogoś, kogo się nie poznało, ale też nie całkiem. My się znamy, znamy się od zawsze, od samego początku. Michaelu, nie miałam pojęcia, że tak to będzie, że zacznie się tak szybko. Już się zaczęło, już ją czy jego Kocham, tę małą istotkę, która przybywa do nas znikąd, skuloną we mnie w ciemnościach, rosnącą z każdą godziną, idącą nam na spotkanie. Czasami Kocham ją tak mocno, że aż czuję ból w piersi. Jestem tak chora z miłości, że wzdycham głośno. To głupie, ale jednocześnie dziwne i cudowne, pomyśl, jedna osoba wychodzi z drugiej jak rosyjskie babuszki. Jakie to dziwne i jednocześnie zwyczajne. Jestem taka szczęśliwa. Mówię bez sensu. Kocham cię, Kocham to dziecko, które noszę w sobie, i mam nadzieję, że ty też je pokochasz, myślę, że tak się stanie, Michaelu, tak będzie, powiedz, że tak, powiedz, że Kochasz to dziecko... - Przyciągnęła go do siebie. Powtórzyła płaczliwie: - Powiedz, że tak, powiedz, że będziesz...

Nie mógł inaczej, to byłoby nieprzyzwoite, więc powiedział:

- Tak. - Potem pocałował ją i pomyślał, że nie kłamie, bo przecież nie zna przyszłości, że być może na swój sposób zdoła pokochać to dziecko, gdy już się pojawi, i że cokolwiek by teraz powiedział, i tak zatrze to czas i bieg wydarzeń, a seks to zamknięty, zaczarowany świat, w którym obowiązują inny język i zasady, inna prawda.

Łatwo było sprawić jej przyjemność, była głośną, pełną pasji kochanką ze starej szkoły, z tych, co drapią paznokciami po plecach; to mu odpowiadało, ale nie tego wieczora. Gdy kochali się z sobą, gdy jej jedwabista skóra stała się śliska, a jęki trafiające do jego lewego ucha głośniejsze, zauważył, że nie jest w stanie zapomnieć się całkowicie, że jest wytrącony z równowagi, nie może się skoncentrować. Niepotrzebnie przypomniała mu o ciąży. Po jakimś czasie przyszedł moment, kiedy zgodnie z wymogami seksualnej etykiety

powinien do niej dołączyć, zgrać się z nią na ostatniej prostej do orgazmu, ale wiedział, że nie jest gotowy i że być może mu się to nie uda. Więc w tych ostatnich sekundach finiszu przeniósł się do znajomego pustego teatru, usiadł na widowni i zaczął przesłuchanie kilku kobiet, które znał, wywołując je kolejno na scenę w niewiarygodnym tempie. Pojawiały się przed nim w dziwacznych pozach, tworząc żywe obrazy, na których magicznym sposobem ukazywał się i on. Przywołał i odprawił dziewczynę z Mediolanu, potem irańską biofizyczkę, potem Patrice, którą zawsze miał w rezerwie. W końcu się zdecydował - jego wybór padł na urzędniczkę biura imigracyjnego, tę z bezwładną ręką. Kazał jej wstać zza biurka i zaczął z nią uprawiać seks na stojąco, przed stanowiskiem kontroli, w obecności pięciuset znudzonych pasażerów, którzy stali w kolejce z paszportami w dłoniach. Zawsze lubił fantazjować o seksie w miejscu publicznym, na oczach obojętnych gapiów, i teraz też to zadziało. Zdążył w samą porę.

Kiedy znalazł się z powrotem w łóżku, Melissa całowała go po twarzy, mówiąc:

- Najdroższy. Dziękuję. Kocham cię. Michaelu, kocham cię. Mój drogi, najdroższy.

*

Miał wrażenie, że obudził go helikopter wiszący w powietrzu kilka ulic dalej, ale gdy oprzytomniał, maszyna odlatywała już nad dachami na północ, i to jazgoczące psisko sąsiadów powodowało cały hałas. Ręka zaplątała mu się we włosy Melissy, która spała z prawą nogą na jego nogach. Wyswobodził się, a potem leżał i czekał, podczas gdy Melissa jękliwie mamrotała przez sen. Kiedy umilkła, wysunął się spod kołdry. W miejskich sypialniach nigdy nie panowały całkowite ciemności, więc szybko przeciął pokój i nagi przeszedł korytarzem do łazienki.

Czarna terakota na podłodze była podgrzewana przez całą noc i poczuł przyjemne ciepło pod zimnymi białymi stopami. Chrzanić planetę. Pamiętając, że jest tu kilka lusterek - jedno wielkie na całą ścianę - przygasił światło, zanim podszedł do umywalki, żeby napić się wody. Potem się wysikał, a następnie opuścił klapę sedesu. Zanim na niej usiadł, włożył czerwony szlafrok, który Melissa kupiła mu przed trzema laty na Gwiazdkę, i zawiązał go w pasie.

Orgazm czasami powodował u niego bezsenność. Wygodniej by mu było w salonie, ale idąc tam, wybudziłby się zupełnie, zaczęłby dzień, kolejny podrozdział swojego życia. Był w kiepskim nastroju. Pragnął zapomnienia, a łazienka była etapem przejściowym, przedśnią snu. Nie rozumiał, dlaczego tak podle się czuje. Przypomniał sobie, ile wczoraj wypił - tyle co zwykle - i zaczął formułować swoje stałe postanowienie, ale potem

dał sobie spokój, bo wiedział, że nie wygra z tym swoim wcieleniem nienależącym do rannych ptaszków, rozpartym wygodnie, na przykład podczas lotu z Berlina, w rozświetlonej słońcem kabinie samolotu, z ginem w ręku. A co takiego czytał w samolocie? Jakże inne troski może mieć racjonalnie myślący człowiek? Trzy raporty, jeden po drugim. Pierwszy - wstępne obliczenia ludzi z przemysłu naftowego dotyczące poziomu wydobycia ropy w ciągu następnych pięciu, może ośmiu lat. Bardzo mało czasu, żeby rozkręcić interes. Drugi - również wstępny projekt planowanej na jesień publikacji z tezą: jednej czwartej żyjących na Ziemi ssaków grozi wyginięcie, nastąpił początek Wielkiej Zagłady. I trzeci - artykuł naukowy poświęcony letniemu topnieniu lodowców w Arktyce, przewidywany termin całkowitego ich zniknięcia: 2045 rok.

Czy czuł przygnębienie, gdy czytał o tych efektach działalności ludzkiej? Ależ skąd. Był zadowolonym z siebie, poważnym mężczyzną ze zmarszczonym czołem, który w tej chwili nie myślał o zbliżającym się lunchu, zaznaczał ważniejsze fragmenty albo opinie budzące zastrzeżenia, podkreślając je albo opatrując w strzałki czy kółka, podczas gdy za owalnym okienkiem po jego lewej stronie rozciągała się lazurowa stratosfera, a ponad trzydzieści tysięcy stóp niżej - pozbawione drzew płaskie tereny północnych Niemiec, wyrównane i udeptane w ciągu stuleci krwawych walk, które przechodziły następnie w pozbawioną drzew Holandię i jej mondrianowskie pola. I po lewej też to południowe słońce, na tej wysokości nieprzesłonięte chmurami i wysyłające strumień fotonów, które rzucały blask na jego pracę i uwznioślały ją. Jak mógłby kiedykolwiek zrezygnować z ginu?

Ale teraz, o czwartej nad ranem, gdy tak siedział na drewniano-porcelanowym piedestale, skulony jak *Newton Blake'a*, nie mogąc spać ze zmęczenia, był nieszczęśliwy. Bezsensowność plus alkohol - miał sucho w ustach, czuł się wykończony i jednocześnie pobudzony. W mroku przegrzanej łazienki pojawiały się przed nim połączone w jedną masę zmartwienia. Nie były to wcale abstrakcyjne troski. Niektóre miały wręcz fizyczną postać: jego waga, serce, które ostatnio nieregularnie mu biło, zawroty głowy, gdy wstawał, bóle w kolanach, nerki, piersi, nieustanne zmęczenie, czerwona plama na dłoni, która przed kilkoma miesiącami stała się purpurowa, szum w uszach, słyszalny także teraz, takie nieustanne lekkie brzęczenie, mrowienie w lewej ręce, również nieustające. Traktował te dolegliwości jak przestępstwa. Powinien pójść do lekarza i przyznać mu się do wszystkiego. Ale nie chciał usłyszeć wyroku.

Potem zapuszczone mieszkanie w suterenie przy Dorset Square, pytające oskarżycielsko, jak porzucony przyjaciel: kiedy wrócisz? Szczególnie przygnębiająco działały stopy nieotwartej poczty. Były to listy od ojca Toma Aldousa, który chciał się spotkać i

porozmawiać o synu. Co Beard miał zrobić? To niedobra pora, żeby brać na siebie jeszcze ciężar, jakim była rozpacz ojca, mimo że od śmierci Aldousa minęło już pięć lat. Następnie ryzyko związane z projektem. Czy inwestorzy z Silicon Valley w końcu dadzą się przekonać i otworzą sakiewki? Czy John P. Hedley Trzeci, ranczer z Nowego Meksyku, zmieni zdanie, powiadomi o tym pełnomocnika i Beard będzie mógł nazajutrz w ambasadzie USA podpisać dokumenty? Czy uda się uzyskiwać gazy z wody tańszym sposobem, i to tak, żeby nie łączyły się ponownie? Czy katalizatorem musi być tlenek? Jeśli zacznie się nad tym wszystkim zastanawiać, to już nigdy nie zaśnie. Już lepiej myśleć o nowinie Melissy. Kto by przypuszczał, że stać ją na taki podstęp? Jeśli o to chodzi, o ciążę, po trzech godzinach snu zyskał pewność. Czuł w trzewiach, że nie może do tego dojść, to dziecko nie może się urodzić, nie ma mowy, ten homunkulus musi powrócić w zaświaty. Nie wątpił, że ją w końcu przekona. Zależało jej na nim. To, że kochała go bardziej, niż on kochał ją, dawało mu niezaprzeczalnie przewagę.

W takich właśnie chwilach nawiedzały go myśli o Tomie Aldousie. Tyczkowatym, grubokościstym Aldousie z dużymi zębami, głową pełną pomysłów, wcale nie takich głupich. Biedny Tom, dawno zapomniany przez resztę świata. On, Beard, niemal czynił sobie wyrzuty. Powinien był przybić ten śmieszny dywanik od rodziny Patrice dwucalowymi gwoździami. Powinien był zaprotestować, kiedy Patrice uparła się, żeby położyć na podłodze parkiet. Powinien był sprzeciwić się wstawieniu tego ohydneho szklanego stolika, jeśli już nie z powodów estetycznych, to ze względu na bezpieczeństwo. I chociaż nie ponosił odpowiedzialności za to, że Aldous był w jego domu, a nie miał prawa w nim być, to lepiej by się stało, gdyby od razu wyrzucił go bezlitośnie na ulicę, na zimno, w szlafroku, we własnym szlafroku, żeby wracał do kawalerki wuja.

Ale, pomyślał teraz, nie powinien być dla siebie zbyt surowy. To przecież on podjął dzieło tego młodego człowieka. Przed czterema laty w wynajętym mieszkaniu w suterenie, niepotrzebnie potem kupionym na własność, leżąc na cuchnącej sofie - która wciąż tam stała i pachniała nie lepiej - dostrzegł prawdziwą wartość tej pracy, która z kolei opierała się na jego dokonaniach, a one - na dokonaniach Einsteina. I od tamtej pory naprawdę ciężko pracował. Uzyskiwał patenty, tworzył konsorcjum, wdrażał badania laboratoryjne, zdobywał kapitał, żeby później, gdy to wszystko zacznie działać, świat stał się lepszym miejscem. Jedyne, na czym mu zależało, z wyjątkiem stosownego wynagrodzenia, to na uznaniu. Bo jakie znaczenie mogła mieć dla zmarłego kwestia pierwszeństwa, miano odkrywcy? Zresztą nieważne były nazwiska, tylko sprawa, tak pilna, nagląca. Dzieło, idea Aldousa, miało przetrwać w jedyńm sensie, który liczył się naprawdę.

Ależ to były heroiczne czasy, te pierwsze przebliski świadomości, że w materiałach Aldousa rzeczywiście coś jest, a potem, wieczorami, oglądanie w tej samej pozycji na kanapie wiadomości telewizyjnych, doniesień z Old Bailey, widok swojej byłej żony, pupilki mediów, wypowiadającej się przed budynkiem sądu drżącym głosem, ale pewnie. A co do Tarpina budowlańca - to, że facet, który dopuścił się dwóch przestępstw, pieprzył Patrice i podbił jej oko, poszedł niewinnie do więzienia za trzecie, nigdy nie spędzało Beardowi snu z powiek.

Trudno przewidzieć, co spowoduje u człowieka bezsenność. Nawet za dnia, w najbardziej sprzyjających warunkach, rzadko kiedy ma możliwość wyboru bóleczki, którą będzie się dręczył. A teraz, kilka godzin przed zimowym świtem, na równi z kłopotami zdrowotnymi, pieniędzmi, prawem, konieczną aborcją czy przypadkową śmiercią dokuczało mu wspomnienie naukowca czy wykładowcy z Savoyu, LEMONA czy MELLONA, tego ze sterczącą bródką, o przenikliwym spojrzeniu, który bezczelnie zarzucił mu nieszczerłość, manipulację, kradzież pomysłu. A to on był prawdziwym złodziejem, przywłaszczył sobie autentyczną historię, jego, Bearda, żeby zredukować ją do przedmiotu badań naukowych, przypadku zbiorowego urojenia, zaraźliwej przypadłości, ciekawostki, anegdota puszczonej w obieg jak świński dowcip. Rozespany wyobraził sobie, że podnosi rękę do szyi Mellona i zaciska ją na niej, aż ten pada na kolana, żeby zduszonym głosem przeprosić. Beard był silny, ale nigdy nikogo nie zaatakował, nawet w dzieciństwie. W fantazjach jednak zaskakiwał przeciwników zdumiewającą zdolnością do przemocy. Teraz, gdy puls mu lekko przyspieszył, poczuł się odświeżony, wreszcie rozbudzony. Ogarnęła go fala optymizmu. Mimo wszystko otwierały się przed nim różne możliwości.

Choćby ten projekt, który go fascynował - chciał, żeby kolega Toby Hammer podszedł do pomysłu poważnie. W Europie, a któregoś dnia może także w USA, wejdą w życie przepisy dotyczące handlu dwutlenkiem węgla. Opracowano więc koncepcję, zgodnie z którą trzeba wrzucić do oceanu tony żelaznych opiłków, wzbogacić nimi jego wody i w ten sposób dostarczyć pożywki planktonowi. Ten, w miarę wzrostu, pochłaniałby coraz więcej dwutlenku węgla z powietrza. Dałoby się wyliczyć nawet dokładną jego ilość, co pozwoliłoby ubiegać się o kredyty emisji, które mogłyby być na tej podstawie sprzedawane podmiotom przemysłu ciężkiego. Gdyby przedsiębiorstwo spalające węgiel kupiło ich odpowiednią liczbę, miałoby prawo twierdzić, że jego działania są neutralne pod względem emisji CO₂. Chodziło tylko o to, żeby wyprzedzić konkurencję, zanim powstaną rynki europejskie. Należało zdobyć statki i żelazne opiłki, zatwierdzić lokalizacje i załatwić sprawy formalne. Toby Hammer powinien zabrać się do roboty. Pewni biolodzy morsecy, którzy niewątpliwie mieli własne zamiary, słyszeli już pogłoski o tych planach i twierdzili, że wszelkie ingerencje

w podstawy łańcucha pokarmowego są niebezpieczne. Trzeba było zamknąć im usta jakimiś dowodami naukowymi. Beard miał już dwa gotowe artykuły, ale musiał zaczekać z ich publikacją na właściwy moment.

Spowity w czerwony szlafrok, usadowiony na tronie w mroku nocy niczym księżę dokonał oceny swoich dotychczasowych działań. Plan wrzucania do oceanu żelaznych opiółków przypomniał mu o wszystkim, co słuszne i pożyteczne, uświadomił, że nie może dać się sprowadzić z obranej drogi. Musi pozyskać czterysta akrów ziemi w Nowym Meksyku. Przebiegały przez nią stare linie elektroenergetyczne, wprawdzie na wałących się drewnianych słupach, ale zupełnie zdatne do użytku, było też pewne źródło wody. Któregoś dnia ten trawiasty obszar pokryją ustawione pod odpowiednim kątem do słońca szklane panele z przezroczystymi spiralnymi rurkami, lśniące morze paneli, które praktycznie za bezcen zaczną wytwarzać ze światła tlen i wodór. Wodór za pomocą kompresorów znajdzie się w wielkich zbiornikach. Połączony znowu z tlenem będzie generował prąd w ogniwach paliwowych. Dzień i noc zakład będzie przysyłał energię do Lordsburga i zasiliał oświetlenie małego pasa startowego. Potem, gdy wydajność wzrośnie, przyłączą się do nich sąsiednie miejscowości: Redrock, Virden, Cotton City i wreszcie Silver City. Świat zobaczy, co potrafią, i zlecą się wszyscy.

Beard podniósł się wreszcie, poprawił szlafrok i przeszedł przez pogrążony w ciemnościach salon, przekraczając leżące na podłodze własne rzeczy, żeby dostać się do kuchni. Tam stanął w mroku przed wielką lodówką. Wahał się chwilę, zanim pociągnął uchwyt długości dwóch stóp. Drzwi otworzyły się zapraszająco z cichym ssącym odgłosem, przypominającym cmoknięcie. Półki były dyskretnie oświetlone, jak szklany drapacz chmur w nocy, i miały wiele do zaoferowania. Pomiędzy sałatą i słoikiem dżemu domowej roboty stała biała miska przykryta folią aluminiową, w której znajdowały się resztki potrawy z kurczaka. W zamrażalniku znalazł pół litra lodów czekoladowych. Mogły trochę odtajać, zanim się do nich zabierze. Wyjął z szuflady łyżkę - nada się do jednego i drugiego - zasiadł do posiłku i zdejmując folię z miski, poczuł, że wraca do życia.

Część trzecia
2009

Nikt nie był zdziwiony, gdy się dowiadywał, że Michael Beard jest jedynakiem, a on nie ukrywał, że nigdy nie odczuwał braku rodzeństwa. Jego matka Angela była chudą piękną, która nie widziała poza nim świata, i okazywała mu swoją miłość poprzez jedzenie. Z pasją karmiła go butelką, aż ponad miarę. Ze czterdzięci lat przed zdobyciem Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki uzyskał pierwsze miejsce w konkursie dziecięcym okręgu Cold Norton w kategorii noworodków do szóstego miesiąca życia. W tych trudnych powojennych latach, gdy wszyscy marzyli, żeby wreszcie skończyła się reglamentacja żywności i nastąpiła epoka dobrobytu, ideałem niemowlęcia był tłuszcik bobas z wieloma podbródkami w stylu Churchilla. Dzieci prezentowano i oceniano jak kabaczki czy cukinie w konkursie ogrodniczym i w 1947 roku Michael, pulchny i wesolutki, bez trudu pokonał całą konkurencję.

Było jednak czymś niezwykłym, że kobieta z klasy średniej, żona maklera giełdowego, porzuciła podczas wioskowego święta stragan z ciastami i chutney, aby zgłosić swoje dziecko do takiego jarmarcznego konkursu. Musiała wiedzieć, że Michael wygra, tak samo jak później wiedziała, podobno, że jej syn zdobędzie stypendium studenckie w Oksfordzie. Chłopiec szybko przeszedł na pokarmy stałe i przez resztę życia gotowała dla niego z takim samym oddaniem, z jakim niegdyś dzierżyła butelkę, a w połowie lat siedemdziesiątych, mimo choroby, zapisała się na kurs wykwintnego gotowania, żeby przyrządzać dla niego nowe specjały, gdy od czasu do czasu przyjedzie z wizytą. Jej mąż Henry był zwolennikiem tradycyjnej kuchni, mięsnych posiłków z niewielką ilością warzyw, nie cierpiał czosnku ani zapachu oliwy. Ona jednak już na początku małżeństwa, z powodów, które zachowali dla siebie, przestała go kochać. Żyła dla syna i wychowała grubego faceta, który nieustannie zabiegał o piękne kobiety umiejące gotować.

Henry Beard był szczupłym mężczyzną, z bujnymi wąsami i zaczesanymi do tyłu ciemnymi włosami. Dbał o swoją małą rodzinę i kochał syna, zgodnie z duchem czasu, miłością surową, unikając fizycznego kontaktu z nim. Choć nigdy nie przytulał do siebie Michaela i rzadko kładł mu dłoń na ramieniu serdecznym gestem, zawsze miał dla niego

odpowiednie prezenty - zestawy do zabawy typu „mały konstruktor” czy „mały chemik”, radioodbiornik do samodzielnego montażu, encyklopedie, modele samolotów i książki z zakresu historii wojskowości albo geologii, biografie sławnych ludzi. Sam mógł się pochwalić udziałem w wojnie; jako młodszy oficer piechoty służył bowiem pod Dunkierką, w Afryce Północnej, na Sycylii, a później jako podpułkownik brał udział w inwazji na Normandię, gdzie dosłużył się medalu. Przybył do obozu koncentracyjnego Belsen tydzień po jego wyzwoleniu i przez osiem miesięcy od zakończenia wojny stacjonował w Berlinie. Jak wielu ludzi z jego pokolenia nie opowiadał o swoich przeżyciach i nie narzekał na powojenną codzienność, z jej spokojnym rytmem, porządkiem i rosnącym dobrobytem, a w szczególności brakiem zagrożenia, wszystkim tym, co tak bardzo doskwierało urodzonym w pierwszych latach pokoju.

W 1952 roku, kiedy przekroczył czterdziestkę, a Michael skończył pięć lat, Henry Beard porzucił pracę w banku handlowym i wrócił do prawa, które było jego pierwszą miłością. Został wspólnikiem w starej firmie prawniczej pod Chelmsford i pracował tam do końca swojego zawodowego życia. Żeby uczcić tę doniosłą zmianę i wyzwolenie od konieczności codziennych dojazdów do pracy, sprawił sobie używanego rolls-royce'a Silver Cloud. Ten jasnoniebieski samochód służył mu przez trzydzieści trzy lata, aż do śmierci. Syn, już jako dorosły mężczyzna, mający z perspektywy czasu pewne poczucie winy wobec niego, kochał go za ten wspaniały gest. Jednakże życie małomiasteczkowego prawnika, zajmującego się głównie cesjami i zatwierdzaniem testamentów, upływało bardzo spokojnie. W weekendy ojciec przeważnie zajmował się swoimi różami, samochodem albo grywał w golfa z kolegami rotarianami.

W tym mniej więcej czasie Angela Beard miała serię romansów, które trwały razem ponad jedenaście lat. Młody Michael nie zauważał w domu przejawów wrogości czy napięcia, żadnych cichych dni, ale przecież nie był szczególnie spostrzegawczy ani wrażliwy, a po szkole często zamykał się w swoim pokoju: konstruował modele, kleił je, czytał, a potem oglądał świerszczyki i masturbował się na okrągło, później zaś biegał za dziewczynami. I w wieku siedemnastu lat w ogóle nie zwrócił uwagi, że matka, zmęczona, wróciła w końcu na łono rodziny. Dowiedział się o jej przygodach dopiero wtedy, gdy jako pięćdziesięciokilkuletnia kobieta umierała na raka piersi. Od niej samej, jakby zapragnęła uzyskać przebaczenie za to, że zrujnowała mu dzieciństwo. Michael kończył drugi rok studiów w Oksfordzie, żył matematyką i dziewczynami, fizyką i imprezami, i nie bardzo rozumiał, co matka do niego mówi. Leżała na poduszkach w separacie na dziewiętnastym piętrze wielkiego szpitala z widokiem na słone błota Canvey Island i południowe wybrzeża

Tamizy. Był już na tyle dorosły, aby wiedzieć, że sprawiłby jej przykrość, mówiąc, że niczego nie zauważył. Albo że przeprasza nie tego, kogo należało. Poza tym nie był w stanie wyobrazić sobie, żeby ktoś po trzydziestce mógł uprawiać seks. Trzymał ją za rękę i ścisnął, aby wyrazić serdeczność, a potem powiedział, że nie ma czego jej wybaczać.

Dopiero po powrocie do domu i wypiciu z ojcem trzech szkockich przed snem, gdy poszedł do swojego pokoju, w ubraniu położył się na łóżku i zaczął zastanawiać się nad tym, co powiedziała mu matka, w pełni ogarnął, jakiego wyczynu dokonała. Siedemnastu kochanków w ciągu jedenastu lat. Podpułkownik Beard przeżył do trzydziestego trzeciego roku życia wszystkie emocje i niebezpieczeństwa, jakie człowiek może przeżyć. Angela też tego pragnęła. Kolejne romanse były dla niej jak kampania pustynna przeciwko Rommlowi, jak inwazja normandzka, jak zdobycie Berlina. Bez nich, jak powiedziała Michaelowi w szpitalu, znienawidziłaby samą siebie i oszałała. Jednocześnie nie mogła sobie darować tego, co w swoim odczuciu wyrządziła synowi. Następnego dnia znowu przyjechał do szpitala i gdy trzymała go spoconą dłonią za rękę, zapewnił ją, że miał najszcześniejsze dzieciństwo, pełne poczucia bezpieczeństwa, nigdy nie czuł się zaniedbany i nie wątpił w jej miłość, że nigdy nie odżywał się lepiej, a zawsze podziwiał jej apetyt na życie i ma nadzieję, że go po niej odziedziczył. To było pierwsze przemówienie, jakie wygłosił w życiu. Te pół - i ćwierćprawdy stanowiły najszlachetniejsze słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedział. Sześć tygodni później matka umarła. Oczywiście jej życie miłosne było tematem tabu między ojcem i synem, ale przez następne lata Michael nie mógł przejechać przez Chelsford ani przez okoliczne wsie bez refleksji, czy ten albo tamten starszy pan, który włókł się chodnikiem albo stał przygarbiony na przystanku, nie należał przypadkiem do owych siedemnastu kochanków matki.

Gdy zaczynał studia w Oksfordzie, był nad wiek rozwiniętym młodzieńcem. Uprawiał seks już z dwiema dziewczynami, miał samochód, morrisa minora z dzieloną przednią szybą, którego trzymał w garażu przy Cowley Road, i dostawał od ojca kieszonkowe znacznie przekraczające sumy, jakie otrzymywali inni chłopcy w szkole średniej. Był bystry, towarzyski, pewny siebie, koledzy z renomowanych szkół nie robili na nim wrażenia, a nawet przeciwnie - traktował ich z lekceważeniem. Należał do tego typu irytujących i niezastąpionych młodzieńców, którzy stali na przodzie każdej kolejki, mieli bilety na najciekawsze imprezy w Londynie, w ciągu zaledwie kilku dni poznawali najważniejszych ludzi i wszelkie drogi na skróty w sferze towarzyskiej, zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Wyglądał dojrzałe jak na osiemnastolatka, ciężko pracował, był dobrze zorganizowany, porządny i prowadził terminarz. Koledzy lgnęli do niego, bo umiał zreperować radio czy

adapter i miał lutownicę. Nigdy oczywiście nie brał pieniędzy za takie przysługi, ale oczekiwał rewanzu.

Po kilku tygodniach od przyjazdu miał już dziewczynę, „zepsutą” dziewczynę z Oxford High, która nazywała się Susan Dory. Inni chłopcy studiujący matematykę i fizykę byli raczej zamknięci w sobie, o niezbyt pewnym sposobie bycia. Poza salami wykładowymi i laboratoriami Michael trzymał się od nich z daleka, tak jak unikał „artystów” - ci go z kolei onieśmielali, bo z upodobaniem rzucali aluzje literackie, których nie rozumiał. Wolał towarzystwo „inżynierów”, dzięki którym uzyskiwał wstęp do warsztatów, kolegował się także z geografami, zoologami i antropologami, zwłaszcza tymi, którzy pracowali „w terenie” w dziwnych miejscach. Znał wielu ludzi, ale nie miał bliskich przyjaciół. Był nie tyle popularny, ile znany, mówiono o nim, korzystano z jego usług, choć odnoszono się do niego nieco protekcjonalnie.

Pod koniec drugiego roku studiów, gdy próbował się oswoić z myślą, że jego matka niebawem umrze, usłyszał przypadkiem w pubie, jak ktoś mówi o studentce z Lady Margaret Hall, niejkiej Maisie Farmer, rzekomo „występnej” dziewczynie. To określenie miało wtedy pozytywny wydźwięk, stanowiło kategorię, termin ścisły. Zaintrygowało go bukoliczne nazwisko dziewczyny w tym zestawieniu. Wyobraził sobie potężną hożą dziewczynę z obornikiem na butach, siedzącą na traktorze, a potem o niej zapomniał. Semestr się skończył, Beard wrócił do domu, jego matka umarła i lato upłynęło mu w smutku oraz nudzie, w otepiałym niezręcznym milczeniu między nim i ojcem. Nigdy wcześniej nie rozmawiali z sobą o uczuciach i teraz też nie potrafili. Kiedy pewnego razu zobaczył na tyłach ogrodu ojca zbyt uważnie przyglądającego się różom, poczuł zażenowanie, nie, przerażenie, bo zorientował się po drżeniu jego ramion, że płacze. Nie przyszło mu jednak do głowy, żeby do niego podejść. Wiedział, że matka miała kochanków, ale nie orientował się zupełnie, czy ojciec o tym wie - sądził, że raczej nie - i to stało się kolejną barierą nie do przebycia.

We wrześniu wrócił do Oksfordu i wynajął pokój na drugim piętrze w Park Town, półkolistym szeregu nędznych domków w stylu środkowego okresu epoki wiktoriańskiej. W drodze na wydział fizyki przechodził codziennie obok bram brzydkiego college'u dla dziewcząt przy wąskiej uliczce prowadzącej do parku. Któregoś rana, pod wpływem impulsu, wszedł do środka i dowiedział się na portierni, że rzeczywiście istnieje studentka o nazwisku Maisie Farmer. Jeszcze w tym samym tygodniu odkrył, że dziewczyna studiuje anglistykę, na trzecim roku, ale to go nie zniechęciło. Myślał o niej przez dzień czy dwa, potem jednak pochłonęły go praca i inne sprawy, i dopiero pod koniec września kolega przedstawił go jej i jeszcze innej dziewczynie przed Museum of Natural History.

Wyglądała zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażał, i początkowo wzbudziło to jego rozczarowanie. Była drobna, wręcz krucha, bardzo ładna; miała ciemne oczy i cienkie brwi, mówiła melodyjnym głosem z zaskakującym akcentem, ledwie wyczuwalnym cockneyem, co mogło dziwić wtedy w wypadku osoby studiującej na uniwersytecie. Kiedy w odpowiedzi na jej pytanie wyjaśnił, czym się zajmuje, wyraźnie przestała się nim interesować i szybko odeszła z koleżanką. Wpadł na nią dwa dni później, była już sama, zaprosił ją na drinka, ale odmówiła bez wahania, zanim jeszcze dokończył zdanie. Był zaskoczony, co obrazuje jego pewność siebie. Bo kogo w nim widziała? Krępego chłopaka o wyglądzie księgowego i poważnym sposobie bycia, noszącego krawat - w 1967 roku! - z krótkimi włosami z przedziałkiem i - dyskwalifikujący szczegół - długopisem w górnej kieszeni marynarki. A do tego studiował nauki ścisłe, żaden przedmiot! Pożegnała się grzecznie i już miała odejść, ale on ruszył za nią i zapytał, czy miałyby czas następnego dnia albo jeszcze następnego, albo w weekend. Nie, nie i nie. Wtedy rzucił wesoło: „A może kiedyś, obojętnie kiedy?” - i wreszcie zaśmiała się życzliwie, autentycznie rozbawiona jego natarczywością, już prawie skłonna się zgodzić. Ale odpowiedziała: „Zawsze, czyli nigdy. Odpowiada ci?”. A on odparł: „W »nigdy« nie mam czasu”. Znowu się roześmiała i żartobliwie uderzyła go dziecięcą niemal piąstką w klapę marynarki, po czym odeszła. Odniósł jednak wrażenie, że mimo wszystko ma u niej szansę, że dziewczyna nie jest pozbawiona poczucia humoru i że mógłby ją zdobyć.

I zdobył. Zebrał informacje na jej temat. Ktoś powiedział mu, że szczególnie interesuje ją John Milton. Szybko zorientował się, z jakiej epoki gość pochodzi. Student trzeciego roku literatury angielskiej, który winien był Beardowi przysługę - za zdobycie biletów na koncert Creamu - udzielił mu godzinnego wykładu o Miltonie, powiedział, co ma przeczytać i jakie wygłaszać opinie. Beard przejrzał *Camusa* i zdumiał się jego głupotą. Przczytał *Licydasa*, *Samsona Agonistesa* i *Il Penseroso* - jego zdaniem koturnowe i nadęte w niektórych partiach. Bardziej podobał mu się już *Raj utracony* - i jak wielu przed nim wołał część szatana od części Boga. Potem nauczył się na pamięć fragmentów, które wydawały mu się niegłupie i efektowne. Przczytał biografię Milтона i cztery eseje, które, jak mu powiedziano, miały epokowe znaczenie. Zajęło mu to cały tydzień. Prawie wyrzucono go z antykwariatu w Turl, gdy od niechcienia zapytał o pierwsze wydanie *Raju utraconego*. Wytropił sympatycznego opiekuna naukowego, który kolekcjonował stare książki, i wyznał mu, że chce zrobić na dziewczynie wrażenie, dając jej szczególny prezent. Został skierowany do księgarni w Covent Garden, w której wydał połowę swojego stypendium semestralnego na osiemnastowieczne wydanie *Areopagitiki*. Kiedy przeglądał je w pociągu w drodze powrotnej do Oksfordu, jedna z kartek się rozdarła. Skleił ją taśmą.

Potem, oczywiście znowu „przypadkiem”, wpadł na dziewczynę, tym razem przed bramą jej college'u, gdzie czekał przez dwie i pół godziny. Zapytał, czy mógłby przynajmniej odprowadzić ją przez park. Zgodziła się. Miała na sobie szynel z nadwyżek wojskowych, pod nim żółty sweter i czarną plisowaną spódnicę, a do tego lakierki z dziwnymi srebrnymi klamerkami. Była jeszcze śliczniejsza, niż zapamiętał. Gdy szli obok siebie, zapytał uprzejmie, w czym się specjalizuje, a wtedy wyjaśniła jak wioskowemu idiocie, że pisze pracę o Miltonie, znanym angielskim poecie z siedemnastego wieku. Poprosił, żeby opowiedziała mu o tym. Zrobiła to. Zaryzykował specjalistyczne pytanie. Zaskoczona odpowiedziała wyczerpująco. Żeby potwierdzić którąś z jej opinii, zacytował fragment: „od poranka aż do południa spadał”, a ona bez tchu dokończyła: „od południa/Do rosistego wieczora”*. Starając się, żeby brzmiało to nieśmiało, zaczął mówić o dzieciństwie Milтона, a potem o wojnie domowej. Niektóre fakty były jej obce i słuchała z zainteresowaniem. O życiu poety wiedziała mało i, o dziwo, nie zajmowała się nim, nie brała pod uwagę czasów, w których tworzył. Beard skierował rozmowę na lepiej znany jej grunt. Razem przypomnieli sobie swoje ulubione fragmenty. Beard zapytał ją, jakie publikacje czytała. Niektóre z nich znał i subtelnie dał to do zrozumienia. Przejrzał wcześniej bibliografię i zaczął trochę szarżować. Nie lubiła *Camusa* jeszcze bardziej niż on, więc pozwolił sobie powiedzieć kilka słów na jego obronę, żeby mogła odnieść się do nich miążdząco.

Potem zaczął mówić o *Areopagitice* i jej odniesieniach do współczesnej polityki. Wtedy przystanąła na ścieżce i zapytała podejrzliwie, skąd fizyk i matematyk tyle wie o Miltonie; pomyślał, że wpadł. Udał lekko urażonego. Powiedział, że interesują go wszystkie dziedziny nauki; podziały między nimi są czysto umowne, wynikają z historii albo tradycji. Na potwierdzenie przytoczył opinie kolegów antropologów i zoologów, które przezornie zapamiętał. Wreszcie, z serdeczniejszą nutą w głosie, zaczęła wypytywać go o niego samego, choć o fizyce nie miała ochoty słuchać. Skąd pochodził? Z Esseksu, odpowiedział. Och, ona też! A skąd dokładnie? Z Chingfordu! Tu szczęście się do niego uśmiechnęło i skorzystał z okazji. Zaprosił ją na kolację. Powiedziała „tak”.

To mgliste, słoneczne popołudnie nad Cherwell, przy Rainbow Bridge, stało się dla niego początkiem pierwszego małżeństwa. Trzy dni później zabrał ją na kolację do Randolph Hotel, a przedtem poświęcił jeszcze jeden cały dzień Miltonowi. Wiedział, że z kolei jego specjalnością będzie światło, więc naturalnie zwrócił uwagę na fragment poematu o tym

* John Milton, *Raj utracony*, przekład Macieja Słomczyńskiego, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków, 2003.

tytule, nauczył się na pamięć dwunastu ostatnich linijek i przy drugiej butelce wina zaczął mówić o ich patosie, o ślepcu lamentującym, że już nigdy nie będzie widział, a potem uradowanym, że zyskał moc wyobraźni. Przy stole nakrytym białym wykrochmalonym obrusem, z kieliszkiem w dłoni, wyrecytował stosowny fragment, kończąc na: „A więc tym mocniej, światłości niebieska, /Zajaśniej wewnątrz i moce umysłu/Wszystkie oświecaj, tam też osadź oczy, /Rozpędź mgły wszelkie i oczyść to miejsce, /Abym mógł widzieć i mówić o sprawach/Niedostrzegalnych dla ludzkiego wzroku”. Wtedy zobaczył łzy w oczach Maisie; sięgnął pod krzesło i wyjął prezent dla niej, oprawioną w skórę *Areopagitice* z 1738 roku. Była oszołomiona. Tydzień później, w jej pokoju, przy dźwiękach *Sierżanta Peppera*, płynących z adapteru marki Dansette, który naprawił jej tego popołudnia swoją lutownicą, zostali wreszcie kochankami. Określenie „występna dziewczyna”, sugerujące, że była własnością publiczną, teraz zaczęło go razić. Ale nie ulegało wątpliwości, że Maisie była znacznie śmielsza i swobodniejsza, jeśli chodzi o seks, bardziej skłonna do eksperymentów i pozbawiona zahamowań niż jakakolwiek dziewczyna, którą znał. Potrafiła też przyrządzić niezły stek i cynaderki.

Zdobycie Maisie było dobrze zorganizowaną, wymagającą dużo wysiłku kampanią i przyniosło mu wielką satysfakcję; stanowiło też punkt zwrotny w jego rozwoju, bo zdał sobie sprawę, że teraz żadna studentka wydziału humanistycznego z trzeciego roku, choćby najbystrzejsza, już go nie zagnie, nie odeśle w szeregi kolegów, studentów fizyki i matematyki.

I to mu już zostało. Po tygodniu spędzonym nad Miltonem zaczął podejrzewać humanistykę o jeden wielki bluff. Czytanie było męczące, ale nie natrafił na nic, co stanowiłoby dla niego jakiegokolwiek wyzwanie intelektualne, nic, co dorównywałoby trudnością temu, na co natykał się podczas własnych studiów. Tamtego tygodnia, w którym zaprosił Maisie do Randolpha, zajmował się skalarem krzywizny Ricciego i wreszcie zrozumiał jego funkcję w ogólnej teorii względności. W każdym razie wydawało mu się, że pojął te niezwykle równania. Sama teoria nie była już dla niego abstrakcją, zyskała wymiar fizyczny, czuł, jak pozbawiona szwów tkanina czasoprzestrzeni może być zakrzywiona przez materię i jak ta tkanina wpływa na ruch przedmiotów, jak przez jej krzywiznę powstaje grawitacja. Potrafił przez pół godziny wpatrywać się w kilka symboli i indeksów dolnych w równaniach pola i zrozumiał, dlaczego Einstein mówił o jej „niezrównanym pięknie”, a Max Born powiedział, że „to największe osiągnięcie w myśleniu ludzkim o przyrodzie”.

To zrozumienie można by porównać do podnoszenia ciężarów - przy pierwszym podejściu nie może się udać. Beard i jego koledzy siedzieli na wykładach i brali udział w

ćwiczeniach laboratoryjnych codziennie od dziewiętej rano do piątej po południu, mierząc się z najtrudniejszymi koncepcjami, jakie kiedykolwiek stworzył umysł. Tamci, humaniści, zwlekali się z łóżek w południe, żeby pójść na któreś z dwóch seminariów w tygodniu. Podejrzywał, że nie rozmawiali o niczym, czego ktokolwiek z połową mózgu nie mógłby zrozumieć. Przeczytał cztery najlepsze eseje o Miltonie. I pojął wszystko. Mimo to te leniuchy odnosiły się do niego z wyższością, a on im na to pozwalał, czuł się onieśmielony. Koniec z tym. Z chwilą gdy zdobył Maisie, osiągnął wolność intelektualną.

Wiele lat później Beard opowiedział tę historię i swoje wnioski wykładowcy literatury angielskiej w Hongkongu, a ten zaprotestował:

- Ależ, Michaelu, nie o to chodzi. Gdybyś uwiódł dziewięćdziesiąt dziewcząt, z których każda miałaby swojego ulubionego poetę, powiedzmy, jedną tygodniowo w ciągu trzech lat studiów, i zapamiętałbyś wszystko, to znaczy twórczość tych poetów, i te twoje lektury dałyby ci jakiś pogląd estetyczny, to ewentualnie mógłbyś zrobić specjalizację w dziedzinie literatury angielskiej. Ale nie mów, że to takie łatwe.

Wtedy jednak tak mu się wydawało i na ostatnim roku studiów był o wiele szczęśliwszy, podobnie jak Maisie. Namówiła go, żeby zapuścił włosy, chodził w dżinsach zamiast we flanelowych spodniach i przestał naprawiać te różne rzeczy. To nie było *cool*. A oni mieli być *cool*, choć oboje byli na to za niscy. Beard wyprowadził się z Park Town, znalazł małe mieszkanie w Jericho i zamieszkali razem. Jej znajomi, studenci literatury i historii, stali się jego znajomymi. Byli dowcipniejsi niż inni znajomi, choć oczywiście bardziej od nich leniwi, lubili uczucie zadowolenia i chcieli czerpać z życia same przyjemności, jakby to im się należało. Wyrobił sobie dzięki nim nowe opinie na temat dystrybucji dóbr, Wietnamu, wydarzeń w Paryżu, nadchodzącej rewolucji i LSD, środka, który uważał za nieoceniony, choć sam go nie brał. Kiedy słuchał samego siebie, nie był wcale przekonany i zdumiewało go, że nikt nie widział w nim oszusta. Spróbował trawki, ale zdecydowanie mu się to nie podobało, bo z jego pamięcią działały się dziwne rzeczy. Mimo że nieustannie się bawili przy wyjącej muzyce i okropnym winie w nasiąkających papierowych kubkach, ani on, ani Maisie nie przestali pracować. Przyszło lato, wraz z nim egzaminy końcowe, a potem, ku ich głupiemu zdumieniu, było już po wszystkim i znajomi się rozjechali, każdy w swoją stronę.

Oboje dostali dyplomy z wyróżnieniem. Michael otrzymał posadę na University of Sussex, tak jak chciał, i zamierzał robić doktorat. Pojechali więc razem do Brighton i znaleźli sobie lokum, stare probostwo w oddalonej wiosce na terenie Sussex Downs, w którym mieli zamieszkać od września. Czyny przekraczał ich możliwości finansowe, dlatego przed

powrotem do Oksfordu zgodzili się dzielić dom z parą studiującą teologię, która miała bliźnięta w wieku niemowlęcym. Chingfordzka gazeta opublikowała artykuł o miejscowej dziewczynie z klasy pracującej, która „wydźwignęła się na wyżyny”, więc z perspektywy tych wyżyn, a także, by przeciwdziałać rozpadowi swojego środowiska, postanowili wziąć ślub, nie dlatego że wymagały tego od nich konwenanse, ale wręcz przeciwnie - dlatego, że było to takie egzotyczne, zabawne, kabotyńskie i nieszkodliwie staromodne, jak mundury wojskowe z frędzlami noszone przez Beatlesów na filmach promujących ich sensacyjny longplay. Para nie zaprosiła ani nie poinformowała o ślubie rodziców. Pobrali się w oksfordzkim urzędzie stanu cywilnego i upili na Port Meadow z garstką przyjaciół, którzy przyjechali na uroczystość. Podpułkownik - w stanie spoczynku - Henry Beard, który mieszkał sam w starym domu w Cold Norton, dowiedział się o małżeństwie syna dopiero, gdy przyszło do rozwodu.

*

Jego syn rozmyślał o tamtych czasach teraz, po upływie czterdziestu jeden lat, gdy senny na skutek zmiany stref czasowych czekał o godzinie piątej po południu przy owalnym barze w hotelu Camino Real w teksaskim El Paso na Toby'ego Hammera. Znowu podeszła kelnerka i Beard zamówił kolejną szkocką oraz drugą miseczkę słonych orzeszków. Głosy Amerykanów i Meksykanów niosły się echem pod wysoką witrażową kopułą i zlewały z sobą, tak że nie docierały do niego nawet strzępy rozmów. Myślał o tamtych czasach, jak to bywa podczas długich podróży, kiedy brak zakorzenienia i nuda, niewyspanie i rutyna przywołują nie wiadomo skąd skrawki przeszłości, które stają się nagle całkiem realne i niepokojące. I niemal znowu znalazł się tam, w jadalni hotelu Randolph, w garniturze, krawacie i białej koszuli, którą sam niewprawnie wyprasował. Po drinku potrafił wciąż odtworzyć fragmenty Miltonowskiego *Światła*: „I wiekuista ciemność mnie otacza:/Od spraw radosnych ludzi mnie odcięła”, coś tam, coś tam, „I tak zamknęła jedną z bram mądrości”. Wykorzystał ten wiersz, żeby zdobyć dziewczynę, a ona odeszła, umarła przed dwoma laty na raka wątroby. Wiersza jednak nie zapomniał. Myślał o tym, że nie przedstawił ojcu Maisie i nie zaproponował staruszkowi, żeby zamieszkał z nimi w pięknym probostwie w hrabstwie Sussex, tylko zostawił go z jego smutkami; zawitała bowiem nowa epoka i aroganckie, bezwstydne, zepsute pokolenie odwróciło się plecami do ojców, którzy walczyli na wojnie i wydawali się śmieszni z powodu swoich porządnie ostrzyżonych włosów, schludności i niewzruszonej postawy wobec rock and rolla.

Ale Michael musiał wypić więcej niż jednego drinka, żeby obudziło się w nim

poczucie winy. To był już trzeci - albo czwarty. Czekał od ponad godziny. Na zewnątrz, na ulicy, było gorąco, ze czterdzieści trzy stopnie, a tu prawie dziesięć mniej. Rozgrzewał go jednak alkohol. Odbił tę podróż i przesiadywał w tym barze już wiele razy. Z Londynu do Dallas, a potem do El Paso, pod lotniskiem wsiadał do wielkiego SUV-a, jedyne go samochodu, w którym mieścił się ze swoim brzuchem. Potem odpoczywał albo spotykał się ze współpracownikami, a następnie ruszał w trzygodzinną podróż wzdłuż granicy meksykańskiej do Lordsburga w Nowym Meksyku. Hammer miał tego dnia przylecieć z San Francisco. Z powodu letnich burz loty nad Rockies były jednak opóźnione. Beard mógł jechać bez niego, ale wolał zaczekać. Pomyślał, że może nawet tu przenocuje, a rano spotka się z doktorem Eugene'em Parksem, żeby poznać wyniki badań. Był to przesąd, od którego nie potrafił się wyzwolić - wiara, że stary mądry amerykański lekarz jak Parks może postawić kliniczną diagnozę z neutralnością niezaangażowanego cudzoziemca, bez umoralniających podtekstów, krytyki czy źle maskowanego niezadowolenia. „Może się pan już ubrać, profesorze Beard. Obawiam się, że naprawdę będziemy musieli zająć się pana stylem życia”. Jego styl życia - chciał powiedzieć upokorzony, niezgrabnie wkładając na siebie bieliznę - to propagowanie sztucznej fotosyntezy jako metody wytwarzania energii na skalę przemysłową. Jeśli tylko świat ze swoimi skostniałymi rynkami kredytowymi mu na to pozwoli.

Dostał swojego drinka, z meniskiem wypukłym nad kostkami lodu - zmarnowaną energią w zgrabnej, przezroczystej formie - i funt orzeszków na desce pod kopczykiem soli. Doktor Parks nie miał w zwyczaju łącać pacjentów za to, jak żyją. Poza tym interesował się projektem Bearda - był zagorzałym wyznawcą teorii zmiany klimatu i kupił działkę w Nowej Fundlandii, na której zamierzał w ciągu dziesięciu lat urządzić winnicę. Gdy letnie temperatury w Teksasie osiągną pięćdziesiąt stopni Celsjusza, trzeba będzie się spakować i przenieść na północ. Setki, jeśli nie tysiące, Amerykanów, powiedział Beardowi, kupują już ziemię w Kanadzie.

Przekładając kostki lodu do poprzedniej szklanki, wszystkie oprócz jednej, Beard zobaczył plamkę na wierzchu swojej dłoni i przyjrzał się jej, pragnąc, żeby zniknęła. Przed trzema laty coś tu miał i po pewnym czasie poszedł z tym do lekarza. Okazało się, że to niezłośliwy nowotwór skóry, który łatwo zamrożono płynnym azotem i usunięto. Jednakże dziewięć miesięcy temu znowu powróciło, ale wyglądało inaczej, i Beard podejrzewał, że tym razem nie będzie miał tyle szczęścia co poprzednio. Nic jednak nie robił, gdy zaczęło się powiększać i ciemnieć, przybierając formę sinej plamy o czarnych brzegach. Zwykle przypominał sobie o niej, gdy wpadał w dołek. Nie podejrzewałby siebie o takie tchórzostwo i brak rozsądku. Gdzieś w gabinecie doktora Parksa, w jakieś teczce, w postaci wyników

biopsji znajdowała się prawda. Mógł poznać ją następnego dnia albo poczekać z tym do powrotu. Najlepiej by było, gdyby poszedł nazajutrz na badania ogólne i został poinformowany tylko w przypadku, gdy wyniki są dobre. W Ameryce można załatwić coś takiego.

Obiecał, że zadzwoni do Darlene do Lordsburga, ale nie miał na to ochoty. Na podwyższeniu w rogu baru siedzieli przy mikrofonach dwaj mężczyźni. Jeden zaczął stroić gitarę elektryczną, której irytujący dźwięk krzywych mikrotonów znowu obudził wspomnienia. Tak, ta para teologów, z którą on i Maisie zamieszkali, miała na nazwisko Gibson, Charlie i Amanda Gibsonowie; byli bardzo pobożni, wbrew modzie, i myślący, studiowali w instytucie w Lewes. Ich Bóg w akcie dziwnej miłości albo zemsty zesłał im dwoje grubych dzieci, które bez trudu odebrałyby Beardowi nagrodę w czterdziestym siódmym roku. Bliźnięta te nigdy nie spały, nader rzadko przestawały się drzeć, zresztą identycznie, nawzajem pobudzały się do płaczu, jeśli któreś zaczęło pierwsze, i wprawiały w ruch miazmaty w tym eleganckim domu, tak przenikliwe jak zapach curry na kuchence, najostrejsze curry z krewetkami, śmierdzące niczym nadmorskie bagna, jakby cała rodzina musiała z przyczyn religijnych ograniczać się do diety z guano i małży.

Młody Beard pracujący w sypialni nad pierwszymi obliczeniami, które miały doprowadzić go do największego życiowego osiągnięcia i ustawić, wsadzał w uszy papierowe zatyczki i otwierał okna nawet w środku zimy. Kiedy jednak schodził na dół, żeby zaparzyć sobie kawę, natykał się w kuchni na tych dwoje - w swoim piekle, z podkrążonymi oczami, rozdrażnionych z powodu niewyspania i wzajemnej niechęci, rozdzielali między sobą obowiązki, do których należała także modlitwa i medytacje. Przestronny hol i georgiańskie pokoje probostwa straciły cały swój urok wraz z pojawieniem się setek plastikowo-metalowych akcesoriów i narzędzi niezbędnych współcześnie do wychowania dzieci. Ani dorośli, ani mali Gibsonowie nie wykazywali zadowolenia zarówno z własnej, jak i cudzej egzystencji. Bo dlaczego by mieli? Beard w głębi duszy przysiągł sobie, że nigdy nie będzie miał dzieci.

A Maisie? Porzuciła plany doktoratu z Aphry Behn, zrezygnowała z pracy w bibliotece uniwersyteckiej i przeszła na zasiłek społeczny. W innej epoce uchodziłaby za rentierkę, ale w dwudziestym wieku była „osobą zaangażowaną”. Czytała publikacje z zakresu teorii społecznej, należała do organizacji prowadzonej przez grupę Kalifornijek i sama zaczęła prowadzić „warsztaty”, coraz to nowe, i chociaż w konwencjonalnym rozumieniu tego słowa nie „rozwijała się”, miała coraz wrażliwsze sumienie i niebawem uświadomiła sobie, na czym polega patriariat i rola męża w machinie ucisku, na którą

składały się zarówno instytucje wspierające jego funkcjonowanie jako mężczyzny, choć on zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy, jak i sugestie zawarte w tym, co mówił nawet w rozmowach towarzyskich.

To było, jak wtedy powiedziała, niczym przejście na drugą stronę lustra. Wszystko wyglądało tam inaczej i trudno było trwać w niewinnym zadowoleniu - jeśli chodziło o nią, a więc i o niego. Po poważnej rozmowie ustalili pewne rzeczy. On był zbytnim racjonalistą, żeby odrzucić powody, dla których nie miałby pomagać w domu. Uważał, że to nudzi go jeszcze bardziej niż ją, ale nie powiedział tego. Zresztą zmywanie naczyń stanowiło najmniejszy kłopot. Najważniejszy problem stwarzały jego głęboko zakorzenione przekonania, które musiał przemyśleć i zmienić, podświadoma potrzeba dominacji, nieznamość własnych uczuć, nieumiejętność słuchania - i słyszenia - co mówi ona, a także brak świadomości, że ten system, który sprzyja mu w ważnych i nieważnych sferach życia, zawsze zwraca się przeciwko niej. Na przykład: on może sam pójść do pubu we wsi, żeby strzelić sobie piwko, a ona nie, bo gapiliby się na nią miejscowi i czułaby się jak dziwka. Albo to jego niepodważalne przeświadczenie o doniosłości własnej pracy, o własnym obiektywizmie i racjonalnym podejściu do wszystkiego. Nie rozumie, że najważniejsze jest poznanie samego siebie. Że są też sposoby, żeby poznać świat, kobiety, tylko on je lekceważy. Choć się do tego nie przyznaje, mierzi go jej krew menstruacyjna, co obraża istotę jej kobiecości. Ich seks - ślepe odtwarzanie postaw dominacji i uległości - imituje gwałt i jest z gruntu zdegenerowany.

Mijały miesiące z licznymi wieczornymi sesjami, podczas których Beard głównie słuchał, a w przerwach myślał o pracy. W tamtym czasie próbował podejść do fotonów z innej strony. Wtedy, któreś nocy, gdy jak zwykle obudził ich płacz niemowląt i gdy w ciemnościach leżeli obok siebie na wznak, powiedziała mu, że odchodzi. Przemyślała to i nie chce się kłócić. Na wzgórzach w wilgotnej środkowej Walii powstaje komuna, do której zamierza wstąpić i pewnie już nie wróci. Wie, choć on tego nigdy nie zrozumie, że musi pójść tą drogą. Chodzi o samorealizację, musi też zastanowić się nad swoją przeszłością i tożsamością jako kobiety. To jej obowiązek. Beard doznał w tym punkcie potężnych, nieznanym mu dotąd emocji; ścisnęło go w gardle i z piersi wyrwał mu się szloch, nad którym nie mógł zapanować. Był to dźwięk, który wszyscy Gibsonowie musieli usłyszeć przez ścianę. Łatwo go było wziąć za krzyk. Ogarnęła go jednocześnie radość i ulga, wrażenie ogromnej lekkości, jakby miał ulecieć z pościeli i wznieść się pod sufit. Nagle ujrzał przed sobą perspektywę wolności: będzie mógł pracować, kiedy zechce, zaprosić do siebie kilka dziewczyn, które widział na kampusie w Falmer, gdy stały na schodach przed biblioteką,

powrócić do swojego bezrefleksyjnego „ja” i bezboleśnie pozbyć się Maisie. Wszystko to wywołało łzę wdzięczności, która stoczyła mu się po policzku. Poczul też niecierpliwe pragnienie, żeby już się wyniosła. Przyszło mu do głowy, aby zaproponować jej odwiezienie na stację, ale o trzeciej nad ranem z Lewes nie odchodził żaden pociąg, a poza tym nie była spakowana. Słyszając jego szloch, wyciągnęła rękę, żeby zapalić lampkę przy łóżku, spojrzała mu w twarz i zobaczyła łzy w oczach. Szepnęła stanowczo, z naciskiem:

- Nie szantażuj mnie, Michaelu. Nie zostanę, powtarzam: nie zostanę, więc daruj sobie te swoje emocjonalne manipulacje.

*

Na szczęście bar był duży. Dwaj mężczyźni śpiewali głośno jakąś zabawną piosenkę po hiszpańsku i za każdym razem, gdy dołączał się chór, robiło się coraz głośniejsze. Mimo czasu, jaki spędził w tym zakątku Stanów Zjednoczonych, Beard nie rozumiał ani słowa. Uniósł rękę i poprosił o jeszcze jednego drinka. Dostał go prawie natychmiast i zaczął wysysać szkocką spod kostek lodu. Czy jakieś małżeństwo skończyło się szybciej? W ciągu tygodnia Maisie wyjechała na farmę w Powys. Przez rok wymienili kilka kartek pocztowych. Potem dostał od niej pocztówkę z aśramy w Indiach, gdzie przebywała trzy lata i skąd pewnego dnia przysłała mu zgodę na rozwód, podpisując jak należy wszystkie dokumenty. Zobaczył się z nią w swoje dwudzieste szóste urodziny, na których pojawiła się z ogoloną głową i kolczykiem w nosie. Wiele lat później wygłosił mowę na jej pogrzebie. Być może to ich bezproblemowe rozstanie w starym probostwie sprawiło, że tak nieostrożnie zdecydował się na następne małżeństwo, i następne.

Wstał z pewnym trudem i skierował się przez owalny bar do toalety. Według miejscowych dość wysokich standardów nie był bardzo gruby. Nawet teraz zauważył parę, która przebijała go pod tym względem, mężczyznę i kobietę, którzy ze względu na tuszę musieli przysiąść na poręczach foteli. Niemniej Beard był gruby, dlatego odczuwał bóle kolan i zawroty głowy, gdy za szybko się podnosił. Kiedy przecinał lobby, jeden z recepcjonistów wyszedł zza kontuaru i podbiegł do niego.

- Przepraszam, pan Beard, prawda? Tak myślałem. Witamy w Camino Real? Jakiś dzentelmen pana szukał.

- Pan Hammer?

- Nie. Tydzień temu? Z Anglii? Ale nie zostawił wiadomości.

- Jak wyglądał?

- Taki dość duży? Mówi, że nazywa się Turnip czy coś w tym rodzaju?

Ciągnęliby dalej w tym tonie, ale Beard zobaczył Hammera, który wchodził przez szklane drzwi wejściowe za tragarzem ciągnącym wózek z bagażami. Gdy mężczyźni uścisnęli się na przywitanie, recepcjonista wycofał się z dyskretnym uśmiechem i Beard podziękował mu skinieniem głowy.

- Toby!

- Szefie!

Hammer nazywał Bearda szefem, od kiedy się dowiedział, że dawniej tak się do niego zwracano, ale mówił to żartobliwie, z ironią. Reszta współpracowników przejęła od niego ten zwyczaj, co oczywiście sprawiało Beardowi przyjemność. Niemal rekompensowało fakt, że został wyrzucony z ośrodka.

Był trzy lata starszy od Bearda; szczupły i silny, trzymał się prosto, miał przytomne spojrzenie i cerę człowieka, który od dwudziestu lat nie tknął alkoholu. Mimo że chodził jak kowboj, który zsiadł z siodła po długiej podróży, na rozstawionych nogach, wciąż grał w squasha i samotnie wędrował z plecakiem po High Sierra. A przynajmniej tak twierdził. Spędziwszy jakiś czas w jego towarzystwie, Beard często przechodził na dietę i przestrzegał jej wiele godzin. Hammer pierwotnie zajmował się elektroniką, ale na początku lat osiemdziesiątych postanowił zostać pijakiem, zrujnować swoje małżeństwo i zniechęcić do siebie wszystkich przyjaciół. Gdy zerwał z nałogiem i odzyskał wszystkich, łącznie z żoną i dziećmi, rozpoczął działalność w zawodzie, który nie ma nazwy. Znał wielu ludzi, więc kontaktował ich z sobą i pośredniczył w zawieraniu transakcji. Poznał Bearda z prawnikami specjalizującymi się w podatkach, z księgowymi obeznanymi w prawodawstwie stanowym, z pośrednikami z Waszyngtonu, działającymi na rozległym, grząskim terenie na styku interesów i polityki, z ludźmi mającymi dostęp do szefów fundacji przyznających granty, facetów z kapitałem inwestycyjnym wysokiego ryzyka, znajomych znajomego takich osobistości jak Vinod Khosla czy Shai Agassi. Hammer pokierował wnioskiem patentowym Bearda, załatwił dzierżawę ziemi pod Lordsburgiem z prawem kupna, przeniknął do bractwa solarnego, poznał inżynierów i specjalistów od tworzyw czy materiałów. Zdążył wycisnąć pieniądze od ekipy Busha przed jej ustąpieniem, a ostatnio - i to znacznie więcej - z zasobnej kieszeni Obamy.

Jednakże nawet Hammer nie mógł nic poradzić na opóźnienia w realizacji projektu, na jego kurczenie się i niemal całkowity upadek. Na każdym etapie trzeba było zawierać kompromisy. Lordsburg stanowił czwartą lokalizację na południowym zachodzie Ameryki. W pewnych rejonach Arizony i Nevady liczba godzin słonecznych w roku była wyższa, ale konkurencja wielkich zakładów użyteczności publicznej spowodowała wzrost cen. W innych

miejscach nie było wody, porządnej drogi czy dostępu do sieci energetycznej - albo życzliwej izby handlowej. Firma, którą stworzyli on, Beard i inni, zmuszona była rekonstruować się trzy razy, żeby uzyskać zwolnienia podatkowe. Służby bezpieczeństwa wewnętrznego odnosiły się podejrzliwie do Bearda jako cudzoziemca, a listy od wybitnych naukowców amerykańskich niewiele pomagały za kadencji Busha. Pieniądze przychodziły z trudem nawet w lepszych czasach. Inwestorzy wysokiego ryzyka, którzy interesowali się solarem, uznali, że należy postawić na dwie sprawdzone metody: fototermiczną - wykorzystującą energię słoneczną do wytwarzania pary wodnej napędzającej turbiny - i fotowoltaiczną - przekształcającą światło słoneczne w energię elektryczną. Panował bowiem powszechny pogląd, że na tanią sztuczną fotosyntezę trzeba będzie jeszcze poczekać ze dwadzieścia lat.

Żeby zadać temu kłam, Beard w 2007 roku zorganizował pokaz dla potencjalnych inwestorów na parkingu przed laboratorium w Oakland w Kalifornii. Woda w stojącej w pełnym słońcu dużej butelce miała rozszczepić się na tlen i wodór, te pozwoliłyby uruchomić ogniwa paliwowe zasilające z kolei udarową wiertarkę pneumatyczną, którą człowiek w kasku rozwaliby mur z wykonanym techniką graffiti napisem „Ropa”. Nie dostarczono jednak najważniejszych części, demonstrację przełożono o miesiąc, potem przyjechała już tylko połowa inwestorów i projekt uzyskał jedną trzecią funduszy, kurcząc się jeszcze bardziej.

W miarę jak ubywało pieniędzy, rosły trudności techniczne. Tom Aldous miał rację, jeśli chodzi o podstawowe założenia, ale mylił się co do pewnych szczegółów, choć Beard nie miał na co narzekać, bo uzyskał siedemnaście patentów. Przez dłuższy czas nie udawało się powiększyć niewielkiego modelu laboratoryjnego, który rozszczepiał wodę w 2005 roku, ani przyspieszyć jego działania. Trzeba było zastanowić się od nowa nad światłoczułymi barwnikami, które stanowiły podstawę procesu. Jeden katalizator uzyskano w końcu nie z manganu, lecz ze związku kobaltu, drugi - z rutenu. Wybór i testy odpowiedniej porowatej membrany oddzielającej wodór od tlenu miały być łatwe, ale nie były. Wreszcie przyszła pora na skonstruowanie prototypu, który pewnego dnia zamierzano produkować na masową skalę. Wybrano zespół pod Paryżem. Panel, wspaniałe osiągnięcie, miał sześć stóp kwadratowych i kosztował trzy miliony dolarów. Wysłano go na testy do National Renewable Energy Laboratory w Golden w Kolorado, gdzie stwierdzono, że nie sprawdza się w trzystu procentach, jest wadliwy, zarówno jeśli chodzi o założenia konstrukcyjne, jak i samo wykonanie.

Zaczęli więc od nowa z chińską firmą sześćdziesiąt mil od Pekinu. Rurki z absorbującym światło półprzewodnikiem, elektrolitami wodnymi i membraną zostały

wykonane z pleksiglasu na górze, a u podstawy miały stal nierdzewną. Panel, w którym się znajdowały, miał rozmiary dziewięć na sześć stóp, a każda z jego części kosztowała tym razem cztery miliony dolarów. Biznesplan przewidywał, że po wejściu do produkcji masowej będą one kosztować dziesięć tysięcy dolarów. Według laboratorium w Golden nowy panel działał. Ale wtedy świat pogrążył się w recesji. Inwestorzy wycofali się z obietnic, jakie złożyli Hammerowi. Opcja na kupno ziemi, odnawiana już trzy razy, wygasła. Toby podjął negocjacje i zamiast czterystu akrów kupił dwadzieścia pięć, przy źródle wody. Mieli tylko dwa małe zbiorniki na gaz zamiast ośmiu wielkich, jeden kompresor do wodoru i jeden generator zamiast pięciu, a co najgorsze ze wszystkiego, bo stanowiły trzon i symbol projektu, zaledwie dwadzieścia trzy zwrócone ku niebu panele zamiast stu dwudziestu pięciu.

Jednakże wszystko to było już na miejscu i pojutrze miał rozpocząć się nowy rozdział w historii cywilizacji przemysłowej; przyszłość Ziemi nie będzie już zagrożona. Światło słoneczne padające na skrawek pustyni w południowo-zachodniej części Nowego Meksyku w kształcie obcasa nagrzej rurki z pleksiglasu i spowoduje rozpad wody, zbiorniki napełnią się gazem, generatory z ogniwami paliwowymi zaczną pracę i do miasteczka popłynie prąd - w obecności przyjaciół z Lordsburga, przedstawicieli mediów państwowych i firm energetycznych, kolegów z Golden i MIT-u, Caltechu i laboratoriów Lawrence Berkeley, a także kilku przedsiębiorców skupionych wokół Stanfordu. Będzie dostępny pakiet informacyjny dla prasy zawierający specjalny kolorowy folder. Wszystko to zorganizował Hammer i jego ekipa. Pod wielkim namiotem, który, jak twierdził, dostał od NASA, będą popijać szampana, udzielać wywiadów i prowadzić rozmowy o kontraktach. Na dany sygnał laureat Nagrody Nobla wciśnie guzik i rozpocznie się nowa epoka.

Tymczasem teraz, w jasno oświetlonym przestronnym holu hotelowym, Hammer zdawał relację ze swojej męczącej podróży z San Francisco, opowiadał o straszliwej, głębokiej na dwa tysiące stóp dziurze powietrznej, w którą wpadł samolot, o panice swojego sąsiada, o niejadalnej kanapce, dopóki Beard nie poczuł, że zaraz pęknie mu pęcherz, i nie przeprosił kolegi na chwilę. Po powrocie zobaczył, że Hammer siedzi w recepcji i wystukuje e-maile na swoim laptopie.

- Przyjedzie „Scientific American” - rzucił, nie przerywając sobie. - I ten chudy facet z „New York Timesa”.

- Bywało lepiej - zauważył Beard. Skandale prasowe rzucają długi cień.

- Miejscowi przedsiębiorcy złożyli się na wielki neon z napisem „Lordsburg” i wykrzyknikiem. Chcą go postawić w odległości ćwierć mili od nas i zapalić, kiedy ruszymy.

- Jeśli tylko pociągną ćwierćmilowy kabel.

Hammer odłożył laptop. Wyglądał na zmęczonego, a nawet trochę przybitego.

- Chcą, żeby świecił przez całą noc. A izba handlowa ściągnęła orkiestrę dętą spod Las Cruces.

- Myślałem, że będzie dziewczęcy zespół taneczny.

- W Nowym Meksyku, a przynajmniej tej jego części, pierwszeństwo ma wojsko. Będzie też przelot samolotów z bazy lotniczej. Dziewczęta wystąpią później, jeśli oczywiście dostarczymy zasilanie dla wzmacniaczy. - Walnął Bearda w ramię, siląc się na wesołość. - Światło słoneczne, woda i pieniądze równa się elektryczność i jeszcze więcej pieniędzy! Przyjacielu. To stanie się faktem.

Uzgodnili, że zjedzą wcześniej kolację, przenocują i wyruszą w drogę, gdy tylko Beard wróci od lekarza.

- Ale posłuchaj, szefie - odezwał się Hammer, kiedy zajmowali miejsca w pustej restauracji hotelowej. - Nie daj sobie wmówić żadnej choroby. Nie pora na to.

- Też o tym myślałem. Diagnoza lekarska to rodzaj współczesnej klątwy. Człowiek jest zdrowy, dopóki nie pójdzie do lekarza.

Wodą i winem wzniesli toast za pozytywne myślenie, a potem wrócili do rozmowy, którą prowadzili drogą e-mailową od kilku miesięcy. Dla postronnego słuchacza byłaby ona kwintesencją nudnej gadki o interesach, ale dla tych dwóch mężczyzn miała wielkie znaczenie. Jak duże zamówienie na panele pozwoli obniżyć koszt jednostkowy do takiego poziomu, aby mogli powiedzieć, że średnich rozmiarów instalacja do sztucznej fotosyntezy pozwala wytwarzać prąd w takiej samej cenie jak węgiel? Rynek energetyczny jest bardzo konserwatywny. Szlachetny cel, próby przeciwdziałania zmianom klimatu nie są na nim premiowane. Siedem tysięcy paneli - takie były ich szacunki. Wiele zależało od tego, czy uda się zasilić w energię elektryczną Lordsburg i okolice przez rok, nie tylko w dzień, ale i w nocy, niezależnie od warunków pogodowych. A także od Chińczyków, od tego, jak szybko zareagują i jak bardzo przestraszy ich groźba utraty biznesu. Jeśli o to chodzi, sprzyjała im recesja, choć jednocześnie powodowała zmniejszenie popytu na panele, a może i na samą energię. Powracali do tej kwestii kilka razy, powoływali się na różne wyliczenia, inne brali z powietrza, gdy Hammer pochylił się i powiedział poufnym tonem, jakby jedyny kelner po przeciwnej stronie sali mógł go usłyszeć:

- Ale, szefie, bądź ze mną szczery. Powiedz. To prawda, że planeta się schładza?

- Co takiego?

- Wciąż słyszę od ciebie te same argumenty, ludzie jednak mówią co innego. I to wszędzie, gdzie się obrócić. W zeszłym tygodniu jakaś profesorka od atmosfery czy coś

takiego powiedziała o tym w telewizji publicznej.

- Kimkolwiek była, jest w błędzie.

- Ale ci z branży też to mówią. Coraz częściej. Twierdzą, że naukowcy się pomylili, a teraz nie chcą się do tego przyznać. W grę wchodzi kariera i reputacja zbyt wielu ludzi.

- A jakie mają dowody?

- Podobno wzrost temperatury o zero przecinek siedem od czasów przedindustrialnych to drobiazg, mieści się w normie. Ostatnia dekada w ogóle wypadła poniżej średniej. Mówi się też, że zbyt wielu ludzi chce się wzbogacić na dotacjach Obamy i ulgach podatkowych, aby ujawnić prawdę. A ci wszyscy naukowcy, łącznie z moim znajomym, którzy podpisali senacki raport mniejszości o zmianach klimatycznych? Musi pan go znać.

Beard się zawahał, a potem poprosił o jeszcze jedno wino. Na tym właśnie polegał problem z niektórymi czerwonymi winami z Kalifornii, były tak łatwo dostępne i wchodziły jak lemoniada. A tymczasem zawierały szesnaście procent alkoholu. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że ta rozmowa jest poniżej jego godności. Nużyła go jak dyskusje o religii, za lub przeciw, albo o kręgach na polach zboża, albo o UFO.

Odpowiedział:

- W tej chwili wzrost temperatury wynosi już zero koma osiem i nie jest betką w warunkach klimatycznych, a nastąpił głównie w ostatnich trzydziestu latach. Dziesięć lat to za krótki okres, żeby stwierdzić jakąś tendencję. Potrzeba co najmniej dwudziestu pięciu. Niektóre lata są cieplejsze, niektóre chłodniejsze, i jeżeli sporządzi się wykres przedstawiający średnie roczne temperatury, to będzie on zygzakowaty, ale zygzakowaty wznosząco. Jeśli się weźmie wyjątkowo ciepły rok jako punkt początkowy, można łatwo wykazać spadek, przynajmniej w ciągu kilku następnych lat. To stara sztuczka, zwana kadrowaniem albo doborem selektywnym. A co do tych naukowców, którzy podpisali jakiś przeciwstawny dokument, to stanowią mniejszość, i to w proporcji jeden do tysiąca, Toby. Ornitologowie, epidemiologowie, oceanografowie i glaciologowie, poławiacze łososi i operatorzy wyciągów narciarskich... wszyscy zgadzają się z sobą. Kilku kiepskich dziennikarzy protestuje, bo wydaje im się, że to oznaka niezależności. Oczywiście naukowiec, który ma inne zdanie niż wszyscy, budzi wielkie zainteresowanie. Ale tak jak istnieją marni piosenkarze i beznadziejne kucharki, są też kiepscy naukowcy.

Hammer miał sceptyczną minę.

- Jeśli klimat się nie ociepla, to mamy przesrane.

Dolewając sobie znowu wina, Beard zauważył w myślach, że w ciągu tych wszystkich lat znajomości rzadko rozmawiali na tak zasadnicze tematy. Zawsze skupiali się na

interesach, bieżących sprawach. Pomyślał również, że niebawem będzie całkiem pijany.

- Mam dobre wieści. Według szacunków ONZ już około trzystu tysięcy ludzi umiera rocznie na skutek zmian klimatycznych. Bangladesz jest zalewany, bo z powodu ocieplenia wód oceany przybierają i występują z brzegów. W lasach deszczowych Amazonii panuje susza. Na Syberii wydziela się metan. Pod pokrywą lodową Grenlandii następuje topnienie, o którym nikt nie chce mówić. Przejściem Północno-Zachodnim pływają już jachty. Dwa lata temu straciliśmy czterdzieści procent letnich lodowców arktycznych. Teraz przyszła pora na wschodnią Antarktykę. Jesteśmy już w przyszłości, Toby.

- Uhm - mruknął Hammer. - Może i tak.

- Nie jesteś przekonany. Dobra, weźmy najgorszy wariant. Załóżmy coś prawie niemożliwego. Tysiąc osób się myli, jedna ma rację, dane są fałszywe, nie ma żadnego globalnego ocieplenia. Naukowcy ulegli masowemu zamroczeniu albo się zmówili. Ale pozostają dawne zagrożenia. Bezpieczeństwo energetyczne, zanieczyszczenie powietrza, wyczerpywanie się zasobów ropy.

- Nikt nie zechce kupić od nas jakichś paneli słonecznych tylko dlatego, że za trzydzieści lat skończy się ropa.

- Co z tobą? Problemy w domu?

- Nic z tych rzeczy. Tylko narobiłem się po łokcie, a ci goście w białych fartuchach mówią w telewizji, że planeta się nie przegrzewa. Spietrałem i już.

Beard położył dłoń na ramieniu kolegi, pewny znak, że przekroczył już wszelkie granice.

- Toby, posłuchaj. To prawdziwa katastrofa. Odpręż się wreszcie!

*

O dziewiątej trzydzieści obaj mężczyźni zmęczeni podróżą jechali już windą, żeby położyć się do łóżek. Beard wysiadał pierwszy. Powiedział Hammerowi dobranoc, a potem ruszył z bagażem długimi korytarzami, starając się utrzymać pion, mrużąc pod nosem numer pokoju, aby mieć go świeżo w pamięci, i zatrzymując się od czasu do czasu, żeby skrócić chwile przed tabliczkami na ścianach z numeracją pobliskich pokoi, na przykład „309 - 331”. Jego własnego, 399, najwyraźniej nigdzie nie było, szedł więc dalej i w końcu dotarł z przeciwnej strony do windy, może innej, ale z podobnym zbrązowiałym ogryzkiem w popielniczce z piaskiem. Z rosnącym poczuciem męczeństwa powędrował dalej i kolejny raz wyszedł na windę. Robił już trzecią rundkę, gdy zorientował się, że trzyma plakietkę od klucza do góry nogami, jego pokój ma numer 663 i znajduje się na innym piętrze. Pojechał

wyżej, odnalazł go, rzucił bagaż za drzwiami i skierował się do minibaru, z którego wyjął brandy i wielki baton czekoladowy, a następnie usiadł z nimi na brzegu łóżka.

Było już na szczęście za późno, żeby zadzwonić do Melissy, a za wcześnie, żeby zadzwonić do Darlene, która powinna być o tej porze w pracy. Miał jeszcze tylko siłę, żeby sięgnąć po pilota. Zanim telewizor się włączył, wydał swojski stłumiony trzask rozgrzewającej się elektroniki, znajomy i przyjemny jak pocałunek matki. Choć nie jego matki. Beard był wykończony i pijany, mógł więc jedynie poprzerzucać kanały. Trafił na to, co zwykle, żadnych niespodzianek - teleturnieje, programy typu talk-show, kreskówki, sesja Kongresu, idiotyczne reklamy. Dwie kobiety, którym w tym momencie gotów byłby powierzyć życie, rozmawiały o swoich chorych na alzheimera mężach. Młode małżeństwo wymieniło znaczące spojrzenia, które wzbudziły wybuchy śmiechu wśród zgromadzonej w studiu publiczności. Ktoś powiedział, jakby w proteście, że prezydent Obama ciągle jest święty, wszyscy go kochają. W tym okresie Beard uważał się za „dożywotniego demokratę”. Często podczas wystąpień na zjazdach poświęconych zmianom klimatycznym mówił o tym doniosłym momencie w 2000 roku, kiedy ważyły się losy świata i Bush odebrał zwycięstwo Gore'owi, aby przewodzić państwu w ciągu następnych tragicznych zmarnowanych ośmiu lat. Jednakże już dawno temu Beard stracił zainteresowanie tą dziwną różnorodną Ameryką, jaką reprezentowała telewizja. W Rumunii i wszędzie indziej na tej planecie były już setki kanałów telewizyjnych. Zresztą, jeśli coś pojawiała się w telewizji, przestawało być dziwne. Był jednak zbyt zmęczony, żeby oderwać kciuk od przycisku i zmienić kanał, więc przez czterdzieści minut siedział w otępieniu, z pustym kieliszkiem i pustym opakowaniem po batonie na kolanach, zanim ułożył się wygodnie na poduszkach i zasnął.

Półtorej godziny później obudził go dzwonek palmtopu. Przyłożył aparat do ucha i powoli oprzytomniał, słuchając głosu dziewczynki, której przyjście na świat starał się wszystkimi przyzwoitymi sposobami udaremnić. Ale była tam, po drugiej stronie, Catriona Beard, równie nie do unicestwienia jak zakazana książka.

- Tatusiu - powiedziała poważnie. - Co robisz?

W Anglii była szósta rano, niedziela. Mała obudziła się wraz ze świtem, wstała z łóżka, poszła do telefonu w salonie i nacisnęła pierwszy guzik po lewej stronie.

- Kochanie, pracuję - odparł z taką samą powagą.

Mógł jej powiedzieć, że spał, ale musiał skłamać, aby zagłuszyć poczucie winy, jakie obudził w nim jej głos. Niektóre rozmowy z trzyletnią córeczką przypominały mu dawne historie z różnymi kobietami, kiedy to tłumaczył się idiotycznie, płatał albo wynajdywał wymówki, ale i tak był demaskowany.

- Jesteś w łóżku, bo masz zachrypnięty głos.

- Czytam. A ty co robisz? Co widzisz?

Usłyszał, że mała gwałtownie wciąga powietrze i cmoka czystym językiem o zęby mleczne, zastanawiając się, jakimi niedawno przyswojonymi słowami odpowiedzieć. Stała albo siedziała na sofie przed dużym jasnym oknem wychodzącym na puszczejącą liście wiśnię, musiała więc widzieć misę z ciężkimi kamykami, która zawsze ją ciekawiła, rzeźbę Moore'a, rozświetlone słońcem ściany w neutralnych kolorach, długie proste linie dębowych desek.

W końcu zamiast odpowiedzieć zapytała:

- Dlaczego nie przyjedziesz do domu?

- Kochanie, jestem tysiące mil od ciebie.

- Jeśli możesz wyjechać, to możesz też wrócić.

Logika tej argumentacji sprawiła, że zamilkł, i już miał powiedzieć, że niebawem się zobaczą, gdy oświadczyła radośnie:

- Idę do łóżka mamy. Pa! - I połączenie zostało przerwane.

Beard przewrócił się na plecy, zamknął oczy i spróbował sobie wyobrazić świat widziany oczami córki. Nie miała jeszcze pojęcia o czasie, strefach czasowych i odległości, żyła z urządzeniem, którego cudowne właściwości były dla niej czymś normalnym. Po naciśnięciu guzika mogła rozmawiać z nieobecnym ojcem, jak podczas seansu spirytystycznego z duchem po drugiej stronie. Czasami mogła go przywołać fizycznie, przeważnie jednak jej się to nie udawało. Kiedy już się zjawiał, zawsze przynosił prezent kupiony na lotnisku, często nieodpowiedni - komplet dwunastu tęczyowych koszulek, które były za małe, pluszaka, który wydawał się jej zbyt dziecinny, ale była zbyt grzeczna, żeby to powiedzieć, grę elektroniczną, której nie rozumiała, pudełko czekoladek z likworem, które sam musiał potem zjeść. Melissa usiłowała go przekonać, żeby nie przynosił żadnych prezentów - „ona chce ciebie” - ale Beard przez całe życie próbował udobruchać kobiety niespodziankami w papierze ozdobnym i nie mógł wyzbyć się tego zwyczaju. Przychodząc bez prezentu, czuł się nagi, bezbronny, narażony na nieprzewidywalne żądania, niezdolny zrekompensować swojej nieobecności, dać coś z siebie w krępującym osobistym wymiarze, zaangażować się głębiej.

Nawet w wieku trzech lat Catriona była osobą, która przy otwieraniu prezentu poczuwa się do odpowiedzialności wobec ofiarodawcy. Jak taka młodzietka świadomość może być równie wyczulona? Mała nie chciała, żeby ojciec był zawiedziony jej reakcją. Koszulki się nie zmarnują - zapewniała go - bo pewnego dnia przydadzą się jej braciszkowi,

kruchej istotce, której przybycia spodziewała się z niesamowitą wiarą. Była miłą, serdeczną dziewczynką o trudnej do wytrzymania wrażliwości. W przypadkowej uwadze potrafiła pochwycić jakąś nutę, podniesiony ton, który brała za krytykę albo reprimendę i od razu wpadała w przerażenie, zaczynała płakać, a potem już ryczała na dobre i niełatwo było ją uspokoić. Czasami można było odnieść wrażenie, że traktuje drugą osobę jak namacalne pole siłowe, o falach równie silnych jak bałwany na Atlantyku. To wyczulenie na innych stanowiło i przekleństwo, i dar. Była żywa i ufna, zabawna i bystra, ale z powodu swojej delikatności bezbronna, co wytrącało z równowagi jej ojca. Kiedyś jakaś jego niewinna uwaga, łagodny wyraz zniecierpliwienia wprawiły ją w taką rozpacz, że aż przybiegła matka, aby wziąć dziecko w ramiona. Nie chciał wyjść na nieczulego drania, nie czuł się nim, ale to, że musiał się pilnować przez cały dzień, bardzo go męczyło.

Czy byłoby mu lepiej z synem o podłużnej główce, kopiającym w golenie? Pewnie nie. Przywiązała go do siebie - jeśli w ogóle mógł się do kogoś przywiązać - swoją natarczywą, bezwarunkową, bezkrytyczną miłością. Dla Catriony sprawa przedstawiała się prosto. Był jej ojcem i chciała zagarnąć go dla siebie. Wiedziała, że zajmował się ratowaniem świata, a ponieważ jej światem była matka, Primrose Hill, sklep ze strojami dla tancerzy i koleżanki, odczuwała wielką dumę. Na nic nie zdały się upomnienia matki, żeby nie zawracała ojcu głowy. Catriona nie zamierzała mu darować. Nie przeszkadzało jej, że jest gruby, niski, niezbyt przyjemny i że ma już trzeci podbródek, jakby tego nie zauważała, kochała go i chciała mieć na własność. Znała swoje prawa. Był to kolejny powód jego poczucia winy; przywoził jej prezenty, żeby miała się czym zająć, żeby nie przypadała do jego brzucha, gdy tylko stawał w drzwiach, i nie wspinała mu się na kolana, żeby szeptać swoje dziewczęce sekrety do ucha, kiedy siadał na kanapie po męczącej podróży. Jak jego własny ojciec Beard miał trudności z okazywaniem uczuć dziecku. Catriona zaś, tak jak jej matka, gotowa była kochać bardziej i nie zauważała jego rezerwy.

Był więc w efekcie niezdecydowanym rodzicem i partnerem, ani nie przejawiał oddania rodzinie, ani od niej nie odchodził. Z przyzwyczajenia trzymał się młodzieńczej wizji niezależności, która mogła się wydawać dziwaczna u prawie sześćdziesięciodwuletniego mężczyzny. Gdy wracał do Londynu, często zatrzymywał się w mieszkaniu przy Dorset Square, przynajmniej na pierwsze dwie albo trzy noce, aż miał dość jego brudu i licznych usterek. W kuchni, na linii między ścianą a sufitem, pieniał się żółtawoszary grzyb. Teoretycznie należąca do sąsiada rynna na zewnątrz budynku pękła i woda deszczowa przesiąkała przez cegły do środka. Beard nie miał jednak ochoty na rozmowę z wojowniczym, niedosłyszającym facetem z góry, a nie chciało mu się skuwać muru i tynkować go od nowa,

nie lubił hałasu i uciążliwości związanych z remontem. Na korytarzu stale nie było światła, niezależnie od tego, ile razy wymieniałby żarówki. Przepalały się z głośnym pyknięciem, gdy tylko naciskał włącznik. W łazience na górze już dawno temu przestała płynąć zimna woda. Żeby się ogolić, powoli odkręcał ciepłą i starał się wykonywać wszystkie czynności jak najszybciej, żeby go nie poparzyła. Z kolei, żeby się wykapać, musiał napełnić wannę wodą i odczekać godzinę, aby wystygła. Te i inne drobne problemy wymagały natężonej uwagi, wołał więc improwizować. Deszcz przeciekający przez dach w wolnej sypialni łapał do wielkiej miski, żelazna skrobaczka do stóp przytrzymywała drzwi lodówki, żeby się nie otwierały, strzępiący się, pokręcony brudny sznur zastępował łańcuch starej toalety z rezerwuarem na górze.

Nic jednak nie dało się zrobić ze sfilcowanymi, brudnymi dywanami, które nie widziały odkurzacza od czasu, gdy przed sześcioma laty odeszła ostatnia sprzątaczką. Ani ze stosami nieposortowanych papierów, czasopism, listów, poczty z reklamami, pustymi butelkami w pudłach, cuchnącą kanapą i brudem, który jakby przesycił powietrze, tak jak oblepiał wszystkie powierzchnie, garnki, naczynia i pościel. Beard mówił sobie, że choć mieszkanie jest obskurne, pełni funkcję biura, to w nim przedarł się przez wywody Toma Aldousa i zaczął życie od nowa. W mieszkaniu w Primrose Hill Melissa i Catriona stale coś do niego mówiły, a tutaj, w tym królestwie brudu, mógł wyciągnąć się swobodnie na kanapie i czytać bez przeszkód. Ale nie zawsze mu się to udawało, ze względu na swędzenie kostek. Wszędzie bowiem były pchły. Tyle trzeba by zrobić, żeby doprowadzić to miejsce do porządku, że żadna pojedyncza czynność nie była warta zachodu. Po co je malować, po co w ogóle wnosić zakurzone butelki po szkockiej i ginie, zamiatać zdechłe muchy i pająki, skoro mógł przenieść się do Melissy?

I ta nora przed wieloma laty, kiedy rozstał się z Patrice, miała być przystankiem na drodze do ascetycznego, jasnego ustronia, równie niewinnie czystego jak Eden, schronieniem przed zamętem i wszystkim, co rozpraszało, miejscem, gdzie wolny, otwarty umysł mógłby bez przeszkód rozwijać swoje możliwości. Tymczasem gdziekolwiek spojrzeł w tym mieszkaniu, jeszcze ciemniejszym z powodu niemytych okien, wszystko odzwierciedlało jakiś aspekt jego osobowości, jego najgorszego, najgrubszego „ja” niezdolnego wcielić w życie porządnego planu. Zawsze było coś, co wołał w danej chwili zrobić - poczytać, napić się, zjeść, pogadać przez telefon, posurfować w Internecie - zamiast zadzwonić do elektryka, hydraulika, firmy zajmującej się sprzątaniami albo posortować stosy dokumentów wznoszące się na trzy stopy, albo odpowiedzieć na jeden z listów od ojca Toma Aldousa. Był to przejaw tej samej inercji, która niegdyś skłoniła go do pozostania przy Dorset Square na następny rok,

to samo lenistwo, pod wpływem którego odkupił mieszkanie od właściciela.

Kiedy nie mógł już znieść siebie samego, tego miejsca czy też siebie w tym miejscu, uciekał na północny zachód, w objęcia swojej kochanki i córki. W Primrose Hill czekały na niego wyprane i wyprasowane ubrania, sprawny prysznic i posiłki, a także dwie kobiety, które na zmianę relacjonowały mu najnowsze wieści, dokuczały niewinnie z powodu tuszy - rozszerzającego się wszechświata, jak określała to Melissa - i domagały się, żeby opowiedział im o swoich przygodach na amerykańskiej pustyni podczas ratowania ludzkości przed samozagładą. Czytał Catrionie w łóżeczku, a ona była tak przejęta tym, że robi to ojciec, a nie matka, iż leżała na plecach jakby w omdleniu, podciągając kołdrę pod brodę i ledwie co słysząc. Mimo ogarniającej ją senności ze spełnioną zaborczą miłością patrzyła na brzuch ojca wznoszący się nad książeczką Beatrix Potter w jego rękach. Cały był jej. W tym czasie nie chciała, aby czytał jej cokolwiek innego, ale Beard nie należał do wielbicieli Potterowskiej dystopii, zamieszkiwanej przez jeże z deskami do prasowania czy króliki w pumpach, i sam z trudem nie zasypiał, choć czasami, w połowie zdania, opadała mu głowa, a wtedy przytomniał i bezbarwnym głosem podejmował wątek, powiedzmy, skradzionej marchewki.

Beard, wciąż leżąc na plecach w teksaskim pokoju hotelowym z palmtopem w ręce, poczuł pragnienie, ale był zbyt zmęczony, żeby wstać i pójść po butelkę wody. Wszystkie te mile, które przebył w powietrzu, wszystkie te szkockie i cała doba bez snu wciskały go w wielkie amerykańskie łóżko. Odbierał fale wirtualnego ruchu przebiegające przez jego plecy i nogi - cielesne wspomnienie całodniowej podróży w falującej stratosferze z trzema czwartymi prędkości dźwięku. W tym stanie zupełnie nie odczuwał pożądania, a mimo to pomyślał o Melissie. Jak miały się sprawy? Po wieczornej lekturze na dobranoc wreszcie byli sami. Wreszcie? W tym okresie nie doświadczał już takiej niecierpliwości i palącej potrzeby jak kiedyś, i to mu odpowiadało, mógł skupić się na jedzeniu i spokojnie słuchać o sklepach z wyposażeniem dla tancerzy. Z powodu recesji ludziom przeszła ochota na taniec. Melissa była jednak dobrym przedsiębiorcą, nie zamknęła żadnego z trzech sklepów, tylko zredukowała asortyment i skróciła godziny pracy, nie zwolniła nikogo z personelu. Małe baletnice podążające z duchem czasu odkryły czerń, a choć panowie w średnim wieku nie chodzili już tabunami na lekcje tanga, to ich żony wpadały po kowbojskie kapelusze, które nosiły podczas tańców country and western, niemodne wprawdzie, ale popularne. Niespodziewanie do wzrostu popytu przyczyniły się też nadawane na żywo telewizyjne programy taneczne.

Te opowieści działały na niego kojąco, zwłaszcza w ostatnich szalonych tygodniach,

gdy zbliżał się termin uruchomienia zakładu w Lordsburgu. Obserwował mówiącą Melissę i widział, że na swój dorodny, obfity sposób jest piękna jak nigdy i szczęśliwsza niż kiedykolwiek, odkąd ją znał. Macierzyństwo przyszło jej z łatwością. Była przy Catrionie serdeczna i odprężona, nie rozczulała się nad nią ani nie przejawiała zaborczości, choć mogło tak być w przypadku kobiety, która urodziła jedyne dziecko trzy miesiące po swoich czterdziestych urodzinach. Jej szczęście przewyższało wszystko, czego sam doświadczył w życiu, i sądził, że częściowo z tego powodu oddaliła się od niego, znalazła w jakimś ochronnym kokonie, którego, jak wiedziała, nigdy nie odważyłby się naruszyć. Miała teraz coś cudownego, własne źródło radości i nie zadawała sobie trudu, żeby się tym dzielić, bo była przekonana, że i tak by nie zrozumiał. Zawsze witała go z zadowoleniem, kochała się z nim z taką samą pasją jak kiedyś, zachęcała go do kontaktów z Catrioną, znajdowała nawet czas, aby prasować mu koszule. Onłożył na dom dwadzieścia pięć tysięcy funtów rocznie, a to było aż nadto. Przypuszczał jednak, że Melissa doskonale poradziłaby sobie i bez jego pieniędzy i byłaby równie szczęśliwa, gdyby wcale się nie pokazywał.

Dotrzymywała więc obietnicy, którą składała wielokrotnie podczas ich kłótni, gdy była w ciąży. Ignorowała jego argumenty za aborcją, ale też nie wysuwała żadnych żądań. A on ze swojej strony? Nigdy by nie przypuszczał, że potrafi być tak wierny samemu sobie, tak konsekwentny. Nawiązał znajomość z pewną kobietą z Lordsburga, kelnerką o imieniu Darlene, która mieszkała w przyczepie kempingowej po stronie południowej, przy drodze do wymarłego miasteczka o nazwie Shakespeare. Darlene może nie była piękna, zupełnie nie miała tej klasy co Melissa, ale Beard też już nie należał do urodziwych ze swoim kaczym chodem i tymi dodatkowymi podbródkami, z których najniższy wisiał mu jak u indyka i drżał przy skrętach głowy. Kiedy pytał nieznajome kobiety, czy nie poszłyby z nim na kolację, śmiały się, zanim powiedziały „nie”.

Darlene przyjęła jego zaproszenie, poza tym była poczciwa i zabawna, no i lubiła się z nim napić. Podczas jego ostatniego pobytu w Lordsburgu upili się razem w przyczepie i pod wpływem szaleństwa zgodził się z nią ożenić. Ale było to w trakcie seksu, miało charakter retoryczny, stanowiło jedynie wyraz podniecenia. Następnego wieczora, żeby uniknąć sceny, która niewątpliwie by nastąpiła, znowu się z nią upił, tym razem w barze po północnej stronie miasteczka, i o mały włos nie oświadczył jej się drugi raz. Wszystko to oznaczało, że naprawdę ją polubił. Dobrze się z nią czuł, była wesoła, zgrywna. Ale teraz mogła jeszcze bardziej skomplikować mu życie, bo chciała przyjechać do Anglii.

Zadziwiające było jedno: jego życie od czasu narodzin Catriony wyglądało prawie tak samo jak przedtem. Znajomi mówili mu, że będzie zaskoczony, zmieni się zupełnie,

przewartościuje mu się wszystko. Nic z tego jednak nie nastąpiło. Owszem, pojawiła się Catriona, ale cała reszta pozostała bez zmian. I teraz, gdy wkroczył w ostatni aktywny okres swojej egzystencji, zaczął zdawać sobie sprawę, że jeśli nie zdarzy się jakiś nieprzewidziany wypadek, jego życie nie ulegnie już zmianie. Okłamano go. Zawsze przypuszczał, że w okresie dorosłości przyjdzie taki moment, coś w rodzaju plateau, gdy wreszcie nauczy się sztuki radzenia sobie czy też po prostu funkcjonowania. Gdy odpowie w końcu na wszystkie listy i e-maile, uporządkuje dokumenty, poustawia książki na półkach w porządku alfabetycznym, gdy ubrania i buty doprowadzone do porządku znajdują się w szafie wraz ze wszystkimi innymi rzeczami, tak że będzie mógł je znaleźć bez trudu, przeszłość - listy i zdjęcia - wylądują w pudłach, posortowane i oznakowane, a w jego życiu prywatnym zapanuje spokój i stabilizacja, tak samo jak w finansach. W ciągu tych wszystkich lat taka chwila nie nadeszła, nie było żadnego plateau, a mimo to Beard wciąż wierzył, nie zastanawiając się nad tym specjalnie, że to już niedaleko, na następnej prostej, że jeszcze odrobina wysiłku i przekroczy metę, a wtedy jego życie stanie się łatwe, umysł zaś wolny, i wreszcie zacznie się prawdziwe dorosłe życie. Ale niedługo po narodzinach Catriony, mniej więcej w tym czasie, gdy poznał Darlene, chyba po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że w dniu śmierci będzie miał na sobie skarpetki nie do pary, w norze zwanej przez niego domem pozostaną koszule bez guzików przy mankietach, psujące się światło na korytarzu, niezapłacone rachunki, zagracony strych, zdechłe muchy, a gdzie indziej przyjaciele czekający na odpowiedź i kochanki, do których się nie przyznawał. Jedyłą pociechą stanie się dla niego zapomnienie, ostatnie słowo ze sfery organizacji.

Noc, którą spędził w Londynie zaledwie przed trzydziestoma godzinami, powinna być momentem spełnienia, złączenia się w radości z małą rodziną. Niewielu ludzi by się temu oparło, sam Vasco da Gama nie pogardziłby takim pożegnaniem. I początkowo Beard był zadowolony. Melissa wyjątkowo się postarała. Nawet Catriona rozumiała, że tata leci do Ameryki, żeby coś włączyć, a kiedy to zrobi, świat będzie uratowany. Obie z matką ubrane w odświętne sukienki przygotowały specjalną wczesną kolację, której największą atrakcją była kula z ciasta uformowana własnoręcznie przez Catrionę i ozdobiona niebieskim lukrem z zielonymi kleksami. Miała to być Ziemia, na jej czubku znajdowała się świeczka, którą zdmuchnął za pierwszym razem ku zachwytowi dziewczynki. Melissa i Catriona odśpiewały piosenkę o kaczątkach, Beard zaintonował *Ten Green Bottles*, bo znał jej słowa. Przez prawie cały wieczór córeczka obejmowała go rączkami za szyję. Czy nie było to szczęście? Prawie. Zapomniał jednak wyłączyć palmtop i gdy Melissa kroїła ciasto, zadzwoniła Darlene. Odebrał odruchowo i na jej powitanie odpowiedział zbyt sztywno: „Oddzwonię do ciebie”. Wiedział,

że Melissa usłyszała damski głos i zauważyła jego napięty ton, ale nic w jej zachowaniu się nie zmieniło, nie było żadnej inteligentnej demonstracji tłumionego gniewu, której Catriona by nie zauważyła, on natomiast tak. Patrzyła mu w oczy, uśmiechnęła się do niego ciepło, naląła mu wina, wzniosła za niego toast.

Kiedy Catriona poszła spać i zostali sami, wziął sobie dużą szkocką i przygotował się na scenę zazdrości. To było nie do uniknięcia. Ale ona zrzuciła pantofle, usiadła przy nim, pocałowała go i powiedziała, że będzie za nim tęsknić. Rozmawiali o innych sprawach, o przygotowaniach do podróży, jego powrocie, i w tym czasie irytacja mu przeszła. Czyżby Melissa prowadziła swoją grę, chciała, żeby zadreńczyło go poczucie winy? Ale dlaczego miałby czuć się winny? No dlaczego? Nie miała go na wyłączność, układ był jasny. I uznał, że źle robi, pokrywając swoją zazdrość serdecznością, przymilaniem się. Dołąła mu szkockiej, przysunęła się jeszcze bliżej, zaczęła się do niego tulić, lizać jego ucho, położyła mu rękę na udach, pieściła go i znowu całowała. To już był nieznośny fałsz. Przecież czuła, że nie jest podniecony. Jak mogła udawać, że nie słyszała głosu Darlene, choć wiedziała, że on wie, iż tak.

Jednakże potem, gdy opowiadała mu jakąś nieśmieszłą historyjkę o czymś, co powiedziała czy zrobiła Catriona, wreszcie zrozumiał, dotarło to do niego jak żadne z dotychczasowych objawień. Wcale nie była zazdrosna, pozostała zupełnie nieporuszona, obojętna. A powód mógł być tylko jeden.

Odsunął się od niej i zapytał tak spokojnie, jak tylko potrafił:

- Spotykasz się z kimś?

Była to reakcja wynikająca z powściąganej złości. Jego drugie „ja”, które nie tknęło alkoholu, nie podejrzewało jej o nic. To pytanie miało być raczej karą i spodziewał się, że Melissa pospiesznie zaprzeczy.

Ona jednak zareagowała obrażeniem. Odęła wargi, tak jak lubił, a potem odpowiedziała ze zdziwieniem:

- A ty nie? Oczywiście, że się z kimś spotykam, Michaelu.

No tak, oczywiście. Stary dobry argument - równowaga, sprawiedliwość. Równe prawa. Racjonalizm postawiony na głowie, ostatnie bezsensowne podrygi feminizmu.

Po chwili milczenia, podczas której porządkował myśli, zapytał:

- Jak on ma na imię?

Odwróciła wzrok i odpowiedziała:

- Terry.

- Terry? - powtórzył z niedowierzaniem. W tym idiotycznym imieniu znalazła wyraz

cała jej głupota. - A czym ten Terry się zajmuje?

Westchnęła. To i tak musiało wyjść na jaw.

- Dyrygowaniem.

- Kim dyryguje?

- Orkiestrami, chórami. No wiesz, w muzyce klasycznej.

Ale przecież nie znosiła muzyki klasycznej tak jak on, żadnego w tym rytmu, mawiała, żadnego życia, za mało latynoskiej ikry jak dla niej. Siedziała na drugim końcu sofy z miną, jakby żałowała, że nie uciekła się do kłamstwa.

- I Terry zna Catrionę?

To ją zdenerwowało. Odpowiedziała z szyderczą słodyczą:

- Dość o mnie. Porozmawiajmy teraz o tobie. To ona dzwoniła, mam rację? Jak się nazywa i czym się zajmuje?

Skwitował to pytanie machnięciem ręki. Nie był gotowy przeciwstawić kelnerki dyrygentowi orkiestr symfonicznych.

- Posłuchaj, Melisso, czegoś nie rozumiesz. Jesteś matką naszego dziecka...

- Och, na miłość boską, Michaelu. Ty jesteś ojcem naszego dziecka i tak dalej. Czasami nie mogę uwierzyć, że takie bzdury w ogóle przechodzą ci przez usta. Poza tym...

Zamierzała chyba jeszcze mu o czymś powiedzieć, ale w tym momencie Catriona zaczęła płakać w swoim pokoju i Melissa zerwała się, żeby pójść do niej. Kiedy wróciła, stał po przeciwnej stronie pokoju, przy swoim bagażu.

- Dobrze - zauważyła. - Idź sobie. Mam cię gdzieś. Wyrzucam cię.

- Nie ma potrzeby - rzekł, wziął walizkę i wyszedł.

Rano, gdy był na Heathrow, zadzwoniła do niego, aby powiedzieć, że go kocha. On powiedział, że jest mu przykro z powodu wczorajszego wieczora, jego zakończenia, i wziął winę na siebie. Gdy przyleciał do Dallas, rozmawiali jeszcze raz i byli coraz bardziej pogodzeni. Kiedy teraz o tym myślał, czuł się rozdarty. Był zły i zazdrosny, chciał mieć Melissę tylko dla siebie i miał ochotę wetknąć Terry'emu tę jego batutę do gardła. A jednakże... ów Terry był jego przepustką, paszportem umożliwiającym mu dalsze igraszki z pocziwą Darlene. Ile jeszcze miał przed sobą takich uciech? I może właśnie o to chodziło - tak naprawdę był w idealnej sytuacji. Kiedy jednak pomyślał, że ten facet leży w łóżku Melissy albo czyta Beatrix Potter jego córce, postanowił zerwać z Darlene i wrócić jak najszybciej do Londynu. No dobrze, ale co z Darlene? To bez sensu - myśleć o tym teraz, gdy jest tak zmęczony, gdy nazajutrz, po przyjeździe do Lordsburga, i tak wszystko się rozstrzygnie.

Zasnął na łóżku kompletnie ubrany, z palmtopem w dłoni.

*

Międzystanową 10 jechało się szybciej, ale wybrali pustą boczną drogę numer 9, która biegła kilka mil od granicy meksykańskiej, jak prosta euklidesowa, między niskimi pagórkami a porośniętą skarłowaciałą roślinnością pustynią Chihuahua. Było niemal południe, temperatura osiągnęła już czterdzieści cztery stopnie i wciąż rosła. Rozciągająca się przed nimi dwupasmowa droga nikła na horyzoncie w drgającym gorącym powietrzu, gdzie załamujące się promienie światła tworzyły miraż w postaci jezior, które zniknęły, gdy się do nich zbliżali. W ciągu godziny widzieli tylko trzy samochody, były to białe pick-upy należące do straży granicznej. Kierowca jednego z nich, mijając ich, uniósł rękę w smętnym salucie. Beard prowadził, Hammer zaś siedział zgarbiony nad swoim laptopem; pisał i mruczał przy tym do siebie: „I dobrze, cholera, że nie zamierzają... ale i ja nie... tylko niech spróbują przeprosić, dupki...”. Od czasu do czasu udzielał swojemu towarzyszowi konkretnych informacji:

- „New York Times” odwołał przyjazd... Miały przelecieć tylko dwa odrzutowce, ale ten bohater wojenny z izby handlowej, ten z jedną nogą, były pilot, zna wszystkich, więc będziemy mieć siedem...

Beard jechał z prędkością pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę, wygodnie opierając na brzuchu łokieć ręki, którą kierował. W Stanach przychodziło to łatwiej, tak jechać po pańsku, że wielki silnik ledwie pracował, prawie go nie było słychać. Ten kraj *en masse* dłużej cieszył się samochodem niż inne. Ludzie już zdążyli znudzić się nim jako maszyną wyścigową, przedłużeniem penisa czy substytutem pocisku. Zatrzymywali się na podmiejskich skrzyżowaniach i grzecznie negocjowali spojrzeniami, kto ma jechać pierwszy. Przestrzegali nawet ograniczenia prędkości do piętnastu mil na godzinę w pobliżu szkół. Przy tej niewymagającej skupienia szybkości, z wyblakłymi żółtymi liniami niknącymi pod SUV-em, jego myśli obsesyjnie, jałowo krążyły wokół projektu. Wsadził w te panele siedemnaście patentów. Gdyby sprzedał dziesięć tysięcy... to przy współczynniku rozszczepienia wody na wodór i tlen w idealnych warunkach jak te... litr wody mógłby wytworzyć trzy razy tyle energii, ile litr benzyny. W mniejszym samochodzie z odpowiednim silnikiem mogliby więc przejechać tę drogę na dwóch litrach wody... w trzech butelkach po winie... Trzeba było kupić wino w El Paso, bo w Lordsburgu jest mały wybór...

Myśli umykały w tył jak mile; był odprężony i zadowolony mimo wizyty u lekarza. Jego poczucie wolności potęgowały bezchmurne niebo, niebieskawoczarne w zenicie, i

rozciągająca się wokół pustka. Zbliżała się kulminacja ośmioletniej pracy. Podróż do Lordsburga ucieleśniała angielskie wyobrażenie o Ameryce - pusta droga zwięzająca się na horyzoncie, niezmiernie przestrzenie, nieograniczone możliwości. Wzdłuż drogi, zwłaszcza od południa, pomiędzy pagórkami i łąkami piachu wznosiły się stosy kamieni czasami dochodzące do wysokości pięciu stóp; kamienie ustawiano jeden na drugim, żeby przypominały sylwetkę człowieka. Było w nich coś prymitywnego, starożytnego, i kiedy zobaczył je po raz pierwszy, uznał, że to jakieś zabytki azteckie, lokalny odpowiednik menhirów i dolmenów. Były to jednak symbole zwycięstwa wznoszone przez meksykańskich emigrantów, którzy zdołali przedostać się przez granicę i wędrowali całe mile wśród pustynnych krzewów, żeby spotkać się ze swoim łącznikiem. Parkowali pick-upy na strategicznych wzniesieniach i przez lornetki lustrowali szarozielone połacie wysuszonej ziemi. Czy można mieć im to za złe? Kto nie chciałby przybyć do miejsca, gdzie tak serdecznie przyjmowano cudzoziemca mającego uruchomić nowatorską elektrownię przy szczodrej pomocy lokalnej społeczności i ulgach podatkowych, z orkiestrą dętą i defiladą samolotów z lotnictwa? W Libii czy Egipcie nie poszłoby tak łatwo.

Hammer przerwał ten przyjemny tok myśli.

- Przyszła wiadomość od prawnika z Albuquerque, facet chce się z tobą skontaktować. Twierdzi, że reprezentuje jakiegoś Anglika o nazwisku Braby. Chce porozmawiać o czymś w imieniu swojego klienta.

- Pisał do mnie w zeszłym tygodniu, prosił o spotkanie - odparł Beard. - Olałem go. Nie mam wobec Braby'ego żadnych zobowiązań. To on wywalił mnie z ośrodka. Pamiętasz? Opowiadałem ci tę historię.

Hammer wyprostował się i znowu odchylił głowę na oparcie.

- Gdy patrzę na ten ekran, robi mi się niedobrze. - Mówił z zamkniętymi oczami. - Prawnik nazywa się Barnard, przylatuje tu jutro. Musi z tobą pogadać. Na pewno to nie żadna śmierdząca sprawa, o której powinienem wiedzieć?

- Braby to jeden z tych, którzy najpierw dają ci kopa w tyłek, a potem proszą o przysługę. Nie zwracaj sobie tym głowy.

Hammer siedział z zamkniętymi oczami i przez minutę nic nie mówił, więc Beard pomyślał, że kolega zasnął, dopóki ten nie powiedział:

- Kiedy jakiś prawnik przylatuje nieproszony z tak daleka na koszt klienta, należy spodziewać się kłopotów.

Beard pominął to milczeniem. Czy było o co się kłócić? Ignorował Braby'ego od lat. Niech facet się wysili i sam weźmie słuchawkę do ręki. Nietrudno było się domyślić, o co mu

chodzi. Chce się dostać do NREL w Golden, pozyskać kapitał inwestycyjny dla ośrodka, a może podłączyć się pod solar i ulgi podatkowe? Jest o co się martwić?

Przejechali przez Columbus i gdy na horyzoncie pojawiły się Cedar Mountains, podjęli bardziej neutralną rozmowę o planach związanych z żelaznymi opiłkami. Wszystko już mieli: inwestorów, statek, kapitana, opcję na kupno opiłków. Brakowało jedynie ustaleń prawnych dotyczących handlu dwutlenkiem węgla.

- Nadaliśmy sprawę, Obama już się nią zajął - wyjaśnił Hammer. - Możemy skupić się na czym innym, ale jak przyjdzie co do czego, ruszamy z kopyta.

Według termometru na desce rozdzielczej na zewnątrz było około pięćdziesięciu stopni Celsjusza; żaden z nich jeszcze nie doświadczył takiego gorąca. Beard zatrzymał samochód, żeby przekonać się, jak to jest. To był chyba błąd - wychodzić bez kapelusza z klimatyzowanej kabiny na taki straszliwy upał, a może półtorej godziny za kierownicą zrobiło swoje. Gdy Beard stanął na poboczu drogi i już miał podzielić się z kolegą jakimś banalnym spostrzeżeniem, zakręciło mu się w głowie, stracił kontakt z rzeczywistością i poczuł, że uginają się pod nim kolana. Gdyby nie złapał się klamki przy drzwiach samochodu, upadłby na ziemię. A tak zachwiał się tylko i potknął, ale zdołał odzyskać równowagę, choć uderzył ramieniem o samochód. Serce biło mu szybko, gdy próbował otworzyć tylne drzwi, aby wyjąć kapelusz. Zanurzył się w takim chłodzie z tyłu samochodu, szukając panamy, złapał oddech i poczuł się lepiej. Cały ten epizod trwał niespełna piętnaście sekund. Hammer, który stał po drugiej stronie wozu, niczego nie zauważył.

Obaj mężczyźni oddalili się od drogi, podziwiając widok. Upał powodował rodzaj synestezji. Był wręcz głośny, wulgarny, napierał na ich głowy z góry, a jednocześnie uderzał z dołu, prosto w twarz. Kto by pomyślał, że foton nie ma masy?

- To ona! - zawołał Beard triumfująco i uniósł zaciśniętą w pięść dłoń, aby zamaskować swoje dziwne osłabienie i dźwiękiem własnego głosu uspokoić samego siebie, że nic mu nie jest. - To moc!

- Cała moc dla mocy! - odpowiedział Hammer. - Ale ja mam już dość.

Wrócił do samochodu i zajął miejsce za kierownicą - na szczęście, pomyślał Beard, siadając obok niego. Wciąż był zbyt słaby, żeby prowadzić. Jechali teraz prawie osiemdziesiątką i w niecałe pół godziny przejechali przez Hachitę i Playas, a potem przecięli Continental Divide u stóp Pyramid Mountains, w hrabstwie Hidalgo, na obcasie buta, który przypominała ta część stanu. Od celu podróży, po dalszej stronie Lordsburga, dzieliła ich jeszcze godzina jazdy i w miarę jak się do niego zbliżali, stawali się coraz weselsi i bardziej ożywieni, niczym chłopcy ze wsi w drodze na zabawę, a nie panowie po sześćdziesiątce,

obarczeni odpowiedzialnością. Śpiewali *The Yellow Rose of Texas*, jedyną znaną im wesołą piosenkę o rejonach Nowego Meksyku. Mieli za sobą długą, ciężką drogę usianą trudnościami, na Środkowym Wschodzie szło im kiepsko, na amerykańskim południowym zachodzie - topornie. Z powodu prac laboratoryjnych i biurowych musieli się czasami rozjeżdżać, ale teraz, wreszcie, mieli osiąść wspólny sekret, pradawny sekret roślin, i zadziwić świat swoją wersją taniej, czystej, niewyczerpanej energii. Przez wzgląd na dawne czasy i dlatego, że było to ich ulubione miejsce, na skrzyżowaniu w Animas skręcili na południe, zajechali na pokryty pyłem parking przed barem Panther Tracks i zatrzymali się tuż obok wozu patrolowego miejscowego szeryfa.

Hammer mitologizował Animas, według niego była to najbardziej przyjazna wiejska społeczność w Stanach. W dniu, w którym ułożą w miasteczku chodniki - mawiał - przestanie tu przyjeżdżać. Bar - najlepszy na zachód od Missisipi - był pomalowaną na biało chałupą o kilku oknach. Wchodząc tam z upału wczesnym popołudniem, przystanęli na progu, żeby wzrok przyzwyczał się do mroku. Szeryf i inny gliniarz rozmawiali o czymś po cichu nad kubkami kawy; byli jedynymi klientami. W Panther Tracks nie zamawiało się tego, na co miało się ochotę, ale to, co widniało w ofercie. Tego dnia - naleśniki i bekon. Kawa była słaba, taka, jaką pijano na amerykańskim Południu. Gdy czekali na zamówienie, Beard wyjął swój palmtop. Rano, w hotelu, przyszło kilka wiadomości, ale jeszcze ich nie przeczytał. Jego uwagę przykuło od razu nazwisko P. Banner, jego piątej żony, która wyszła za męża za stomatologa estetycznego, Charlesa, mającego na jej punkcie bzika prawie takiego samego jak Beard przed dziewięcioma laty. Przez krótki czas była dyrektorką szkoły, potem w ciągu czterech lat urodziła trójkę dzieci. A kiedyś mówiła Beardowi, że nie chce mieć dzieci. W każdym razie nie z nim. Co ciekawe, Charles był niski, okrągły, jeszcze bardziej łysawy niż Beard i dwa lata starszy od niego. Jakby kolejne małżeństwa były serią poprawianych szkiców.

Przed rokiem wpadł na nią w Regent's Park, była z synkiem, delikatnym pięciolatkiem o dziewczęcych lokach. Zachowywała się miło i zauważył, że wciąż jest piękna. Usiedli na ławce i gawędzili przez piętnaście minut. Pokrętnym sposobem Beard zdołał zadać jej pytanie, które chodziło mu po głowie. Czy zdradza męża? Tak, zdarza się, odpowiedziała równie pokrętnie, ale z nim nie ma zamiaru, jeśli o to mu chodzi.

Drogi Michaelu!

Może to dla Ciebie żadna nowina, ale na wszelki wypadek chcę Cię zawiadomić, że pięć tygodni temu Rodney wyszedł na wolność. Próbował się ze mną

skontaktować. Ma szalone teorie, których nawet nie chcę przedstawiać. Adwokat Charlesa wystąpił do sądu i Rodney dostał zakaz zbliżania się do mnie, to znaczy, że zostanie aresztowany, jeśli zadzwoni, napisze do mnie albo podejdzie do naszego domu na odległość pięciuset jardów. Właśnie dowiedziałam się od znajomych jego znajomych, że pojechał do Stanów Cię szukać. Może chce Ci osobiście podziękować, że zeznawałeś przeciwko niemu podczas procesu! W każdym razie wołałam Cię ostrzec. Jutro zaczyna się przerwa semestralna i wszyscy wyjeżdżamy na Szetlandy, chociaż tam leje.

Wszystkiego dobrego,

Patrice.

Tak, ten Turnip z hotelu Camino Real. Jedną z miłych stron prawa angielskiego była możliwość skrócenia mordercy kary o połowę, jeśli dobrze się sprawował. Po wpisaniu nazwiska „Beard” do wyszukiwarki w Internecie łatwo było dotrzeć do Lordsburga i zakładu. I co z tego? Mimo klimatyzacji poczuł, że nad górną wargą występuje mu piekący pot i coś ścisza go w piersi, powodując ból w dole gardła. Przyniesiono naleśniki - po dwadzieścia na każdym talerzu zgodnie z tym, co powiedziała miła kelnerka - i słoik syropu klonowego do polania, stos bekonu wysokości sześciu cali i jasnobrązową kawę z dzbanka.

- Nirwana! - oświadczył Hammer, klaskając w ręce, wciąż w nastroju, który zdążył już opuścić Bearda.

Od początku wiedział, że ta chwila musi nadejść, ale oswoił się z tą myślą, poza tym liczył, że Tarpin odsiedzi wyrok do końca, że czas zrobi swoje, więzienie wyleczy faceta z głupich pomysłów, a jeśli nawet nie, to będzie miał raczej obsesję na punkcie Patrice za to, że go pograżyła podczas procesu. Beard prawie uwierzył - był to wręcz cudowny przejaw wyparcia - że Tarpin, porywczy, osądzony i uznany za winnego, wsadzony do więzienia z innymi przestępcami, jest już przez samo to splamiony i naprawdę winny, a co więcej - zdaje sobie z tego sprawę i pogodził się z losem. Beard przecież nikogo nie zabił, a jego zeznanie w sądzie było niepodważalne, miał wiarygodnego świadka z instytutu. Z biegiem lat te wydarzenia, ten poranek, kiedy wrócił z Arktyki, przybrały postać snu... nierealnego, pozbawionego konsekwencji. Jednakże pod tymi pewnikami, jak warstwa nieprzepuszczalnej skały, kryły się pewne obawy, nie, pewność, której Beard wśród licznych zajęć nie dopuszczał do głosu. Jeśli, jak się obawiał, policja i Patrice mogli podejrzewać, że to on, zazdrosny mąż, zamordował Aldousa, Tarpin też musiał na to wpaść. Kto inny miałby go wrobić, posługując się narzędziami z jego torby? Co więc zamierzał po wyjściu na wolność

niesłusznie skazany, skłonny do przemocy facet, który codziennie, przez osiem lat, musiał dawać upust wściekłości i goryczy w więziennej siłowni? Nie brakuje tanich lotów do Dallas.

Dopóki w barze przy sąsiednim stoliku siedzieli szeryf i jego kumpel, Beard czuł się bezpiecznie. Jednakże gdy drzwi baru otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę, aż podskoczył, a ucisk w jego piersi się zwiększył. Do środka wpadła hałaśliwa grupka czterech miejscowych nastolatków, trzech chłopaków i dziewczyna, którzy zażyczyli sobie coca-coli. Obecność gliniarzy ich nie speszzyła. Przywitali się z nimi jak z rodziną. Być może dwaj uzbrojeni policjanci wcale nie poradziliby sobie z Tarpinem. Facet mógłby zabić Bearda przy świadkach, a potem spędzić resztę życia w pudle, upajając się swoją zemstą. W tej części świata nietrudno o broń palną, można ją kupić równie łatwo jak sprzęt wędkarski.

- Straciłeś apetyt, szefie? - Hammer pochłoniął już swoje naleśniki. - Złe wieści z domu?

- Nie, nie - zaprzeczył Beard automatycznie, choć gdy to mówił, pod nazwiskiem Patrice zobaczył pilną wiadomość od Melissy. - Tylko muszę coś sprawdzić. Po prostu nie jestem głodny. Za gorąco tu. Możesz zjeść moje.

Podsunał mu swój talerz i Toby zabrał się do dwudziestego pierwszego naleśnika, gdy Beard, po chwili wahania, otworzył wiadomość Melissy. Uznał, że powinien ją przeczytać, zanim zginie.

„Michael, proszę, zadzwoń do mnie. Musimy porozmawiać o przedwczorajszym wieczorze”.

Przedwczorajszy wieczór? Nie wiedział, o co chodzi. Potem przypomniał sobie Terry'ego, kochasia dyrygenta. Zerwała z nim albo chciała za niego wyjść. Beard nie mógł się zdecydować, co by mu w tej chwili bardziej odpowiadało. W tym drugim wypadku znalazłby schronienie w przyczepie Darlene. Tarpin nie byłby dla niej przeciwnikiem. Albo zabiłby ich oboje. Beard nie myślał jasno i nie był w nastroju, żeby wałkować sprawy sercowe z Melissą. I nigdy nie będzie. Przewinął listę nadawców pozostałych dwudziestu siedmiu wiadomości - wszystkie oprócz jednej miały związek z pracą, przeważnie dotyczyły czystej wzniosłej idei sztucznej fotosyntezy. Otworzył tę jedną prywatną, od Darlene.

„Przyjeżdżaj szybko! Ci coś chcę powiedzieć!!!”.

Wciąż te zakusy, roszczenia - nie zasłużył na to.

Wszyscy go osaczali - kobiety, prawnik z Albuquerque, morderca z północy Londynu, niespokojne komórki jego własnego ciała, to spisek, żeby uniemożliwić mu ocalenie świata. On za nic nie ponosił winy. Ludzie mówili o nim, że jest błyskotliwy, i mieli rację, był błyskotliwym człowiekiem próbującym czynić dobro. Ogarnął go żal nad sobą, który na

chwile przyniósł mu ukojenie. On i Toby mieli po południu spotkać się z inżynierami, żeby po raz ostatni dokonać inspekcji zakładu. Potem Beard zamierzał wygłosić przemówienie do pracowników. Powinni już ruszać w drogę. Ale jazda do Lordsburga oznaczała wyjście naprzeciw Tarpinowi. Na widok naleśników, czy raczej Hammera pożerającego ich tyle, w syropie, z częściowo spalonymi plasterkami świńskiego mięsa i tłuszczu, zrobiło mu się niedobrze. Mamrocząc pod nosem przeprosiny, przeszedł przez bar do męskiej toalety, bo sądził, że jeśli zwymiotuje, odzyska jasność myślenia. Stał lekko pochylony, jak gorliwy kelner, nad porcelanową muszlą. Ależ była czysta; gdy tymczasem jakiś obrzydliwy mały ślad, czekoladowe arabeski po ekskrementach innego gościa mogłyby mu pomóc opróżnić żołądek. Ale nic z tego. Wyprostował się i otarł czoło papierem toaletowym. Co więc miał teraz zrobić? Albo jego życie naprawdę było w niebezpieczeństwie, albo zamienił się w rozhisteryzowanego tchórza. Skupił się na zasadniczej sprawie - Tarpin przyjeżdża, żeby go dopaść. Co dobrego może z tego wyniknąć? Może facet siedzi już na brzegu łóżka w motelu pod Lordsburgiem i oliwi broń. Najwyraźniej jest gotowy na wszystko. Z powodów psychologicznych, logistycznych, nawet finansowych ekswieźniowi nie jest łatwo podróżować po świecie. Na pewno musiał zataić swoją kryminalną przeszłość, ubiegając się o pozwolenie na wjazd do Stanów bez wizy. Ale kto miał o tym wiedzieć. Głupotą więc byłoby nie wpadać w panikę. W tej sytuacji powinien usunąć się w cień, udając skromność, i pozwolić, żeby Toby poprowadził uroczystość otwarcia zakładu, umknąć na przykład do Sao Paulo, znał tam pewną kobietę, Sylwię, też niezłą fizyczkę, która byłaby uszczęśliwiona, gdyby zatrzymał się u niej. Spuścił wodę w toalecie, niespiesznie umył ręce, usiłując podjąć decyzję przed powrotem do stolika. Tak, dobrze, Sao Paulo, ale nie znał portugalskiego. Nie mógł tkwić tam do końca życia. Poza tym brakowałoby mu Darlene. To co wobec tego?

Hammer wstał i płacił rachunek. Na brudnym talerzu przed nim leżały cztery naleśniki, jeden plasterzek bekonu, przekrojony na dwie nierówne części, i wykałaczka. Słoik z syropem był pusty. Jakim cudem facet zachowywał taką szczupłą sylwetkę?

- Mamy być na miejscu za czterdzieści minut, a zostało nam jeszcze czterdzieści pięć mil do przejechania. W drogę! - powiedział.

Beard nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, więc ponuro wyszedł za kolegą w oślepiający blask i ruszył przez parking do samochodu.

*

Skierowali się na północ przez trawiaste obszary w stronę autostrady międzystanowej; obaj milczeli, choć Hammer pogwizdywał za kierownicą w dziwnych tonacjach, jakby

wykonywał jakiś ponury awangardowy utwór. Beard zazwyczaj umiał odsuwać od siebie nieprzyjemne albo niepokojące myśli, ale teraz, będąc w kiepskim nastroju, zaczął rozmyślać o swoim zdrowiu i oglądać czerwonawobrazową plamę, mapę nieznanego terytorium, jaką miał na nadgarstku. Pobrano próbkę do biopsji. Doktor Eugene Parks potwierdził rano, że to czerniak i że wrósł pół milimetra głębiej w otaczającą go tkankę, niżby można było sobie życzyć. Podał nazwisko specjalisty w Dallas, który mógłby go usunąć następnego dnia i rozpocząć naświetlanie. Beard jednak chciał być na uroczystości otwarcia w Lordsburgu i powiedział Parksowi, że przyjedzie za miesiąc, gdy tylko będzie miał czas. Ten, w swój ujmujący, neutralny sposób, zwrócił mu uwagę, że postępuje nieracjonalnie. Nie ma czasu do stracenia, niebawem może być za późno, grożą przerzuty.

- Proszę przed tym nie uciekać - dodał doktor Parks, jakby wracał do ich pogawędek o zmianie klimatu. - Problem nie zniknie dlatego, że pan tak sobie chce albo przestanie o nim myśleć.

I nie były to jeszcze wszystkie złe wieści, choć reszty mógł się spodziewać. Rozebrał się do pasa, a potem z urazą pozapinał koszulę. Gabinety lekarskie znajdowały się na dziewiętnastym piętrze wieżowca w centrum El Paso, na tym samym piętrze, na którym jak pamiętał, zmarła jego matka. Parks, pochodzący z St. Kitts, miał miętowy oddech i mądrą, pobrużdżoną twarz w kolorze srebrzystej czerni. Głowa wystawała mu z ramion jak u żółwia i kiwała się łagodnie za każdym razem, gdy Beard coś mówił. Był w tym samym wieku co on, choć o kilka cali wyższy, i zachował formę, bo pływał codziennie w dni powszednie między szóstą a siódmą, przed przyjęciem pierwszego pacjenta. Beard nie wyobrażał sobie, że o tej porze mógłby moczyć się w wodzie czy w ogóle wstać, i wiedział, że nigdy nie zdobędzie się na coś takiego, nie narazi się na taką uciążliwość i niewygodę tylko po to, żeby obniżyć indeks masy ciała.

To prawda, lekarz nie pouczał ani nie prawił morałów, ale nadrabiał to pełną obojętności, obelżywą szczerością. Za każdym razem, przy groźbie kolejnego nieszczęścia, mądry żółw wysuwał głowę trochę dalej i lekko uderzał ołówkiem o wnętrze dłoni. Nikt, mówił, nie chciałby mieć takiego ciała jak Beard, nawet on sam. Nosi sześćdziesiąt pięć funtów dodatkowej wagi, co odpowiada pełnemu ekwipunkowi piechura. Z powodu tuszy puchną mu kolana i kostki, tak że może nabawić się zapalenia kostno-stawowego, ma powiększoną wątrobę, podwyższone ciśnienie i grozi mu zastoinowa niewydolność serca. Badania wykazały wysoki poziom złego cholesterolu, nawet jak na angielskie normy; miewa trudności z oddychaniem, jest na prostej drodze do cukrzycy, a także naraża się na przerost prostaty, raka nerek i zakrzepicę. Ma szczęście - szczęście, a nie dość rozumu, zauważył

Beard - że nie pali, bo inaczej mógłby już nie żyć.

Głowa i ramiona lekarza znajdowały się w obramowaniu wychodzącego na południe okna z walcowanego szkła, jasnego prostokąta zamglonego białego nieba, które zapowiadało męczący upał. Od czasu do czasu przelatywał po nim samolot, skręcając nad miastem, aby wylądować po jego wschodniej stronie. Za rzeką leżał Juarez, obecnie światowa stolica rozboju i przemocy; gangi narkotykowe walczyły tam z sobą, zabijając przy okazji żołnierzy, sędziów, policjantów i urzędników miejskich. Meksykańskie kartele zatrudniały teraz bezrobotnych teksaskich nastolatków jako płatnych zabójców. Najwyraźniej świat mógł obyć się bez Michaela Bearda. Słuchając jak Parks roztacza przed nim ponure wizje przyszłości, postanowił, że nie wspomni o swojej najnowszej dolegliwości, klasycznym objawie, jakim był ucisk w piersi. Wyszedłby na jeszcze większego głupca i ofiarę. Nie chciał też przyznać, że nie jest w stanie jeść i pić mniej, a wszelkie ćwiczenia fizyczne to fantazje. Nie mógł zmusić do tego swojego ciała i nie zamierzał. Wolał już umrzeć, niż uprawiać jogging czy skakać do muzyki funkowej w sali kościelnej z innymi nierobami w dresach.

Kiedy Beard zapowiedział wymijająco, że wróci za miesiąc, doktor Parks próbował zobowiązać go do tego, ustalając daty. We wtorek, dwudziestego trzeciego, albo w czwartek, dwudziestego piątego, musi poddać się zabiegowi. Beard się zawahał, Parks nalegał, jakby to przez jego krwiobieg miały rozprzestrzeniać się komórki rakowe poszukujące nowego miejsca, najbliższego węzła chłonnego, w którym mogłyby się osiedlić. Beard wybrał dalszy termin; wiedział, że może zadzwonić do asystentki Parksa i bezwstydnie odwołać wizytę.

Teraz, gdy Hammer wreszcie przestał pogwizdywać i zwolnił, aby przejechać przez maleńkie miasteczko Cotton City, schronienie, jakie dawała nieznana klinika w Dallas, wydało się Beardowi nawet atrakcyjne. Wiedział jednak, że nie będzie miał siły uciec do niej. Przygotowania do jutrzejszej uroczystości były w pełnym toku i nie mógł ich przerwać, zresztą pragnął publicznego triumfu, tej chwili wczesnym wieczorem, gdy mały Lordsburg z neonem, barami szybkiej obsługi i wszechobecnymi klimatyzatorami oficjalnie zacznie redukować emisję dwutlenku węgla, a cywilizacja amerykańska, reprezentująca aspiracje całego świata, pójdzie jego śladem, nie przyczyniając się już dłużej do powstawania efektu cieplarnianego. Ośmioletnia praca, poczynawszy od powolnego wgryzania się w materiały Aldousa aż po badania laboratoryjne, projekty, doskonalenie technologii, kolejne przełomy, testy w warunkach naturalnych, musi doczekać się zwieńczenia. Ostatnim jej etapem było powszechne uznanie. Niech Tarpin robi, co chce.

Beard zaczął manipulować przy radiu, żeby złapać wiadomości nadawane o pełnych godzinach, i wreszcie na nie trafił - wśród nich znalazł się dynamiczny wywiad z jednym z

PR-owców Hammera, który wyjaśniał, że dzięki światłu słonecznemu i wodzie zasila w energię najpierw Lordsburg, a potem, pewnego dnia, całą planetę.

Hammer zawył radośnie:

- Świetnie! Dobrze podszkoliłem chłopaka.

Obaj z Beardem nigdy nie przyznali, nawet między sobą, prywatnie, że tak naprawdę nie będą dostarczać Lordsburgowi prądu. Mieli tylko sprzedawać miejscowemu przedsiębiorstwu komunalnemu kilowatogodziny odpowiadające z grubsza przeciętnemu zużyciu prądu przez miasteczko. Elektrycy z ich nowatorskiej elektrowni popłyną anonimowo razem z całą resztą pochodzącą z innych źródeł.

- Będziemy tam wszyscy - oświadczył spiker. - Przy autostradzie numer dziewięćdziesiąt, trzy mile na wschód od siedemdziesiątki. Dołączcie do nas jutro o osiemnastej, gdy będziemy odliczać sekundy do chwili, gdy Lordsburg poprowadzi świat w przyszłość!

Wkrótce mknęli już między stanową na wschód, potem odbili na północ, żeby objechać miasteczko, i po kilku milach skręcili w prawo, w kierunku Silver City. Po paru minutach znaleźli się na niewielkim wzniesieniu, z którego ujrzeli zakład. Beard widział go wiele razy w ostatnich miesiącach, gdy wszystko było już na miejscu, a próby, po początkowych komplikacjach, przebiegały pomyślnie. Mimo to tego popołudnia poczuł przypływ dumy. Jakby wyczuwając jego nastrój, Hammer zwolnił.

- No, stary - powiedział okropnym cockneyem, żeby zamaskować własne emocje. - Nie robi ci się cieplej na serduchu?

Dwadzieścia trzy wielkie ustawione pod kątem matowe panele połyskiwały w ostrym słońcu. Zasilała je płatanina rur z zaworami. Za nimi znajdowały się zbiorniki na sprężony wodór i tlen, a wzdłuż nich stały niskie budynki z pustaków mieszczące generatory z ogniwoami paliwowymi i katalizatory. Linie wysokiego napięcia na nowych palach wiodły do starych drewnianych słupów, które ciągnęły się przez całą półpustynię. Po drugiej stronie zbiorników widać było pompę nad głęboką studnią, a dalej - ładny ceglany budynek, do którego wstawiono komputery.

Nowym elementem były setki ludzi, robotników, drobnych handlarzy i dźwiękowców, którzy krzatali się z ważnymi minami, a także wręcz tysiące flag amerykańskich na masztach wokół paneli, gdzie powinno znajdować się ogrodzenie, i sznur trójkątnych chorągiewek biegnący wzdłuż brzegu wielkiego jasnoniebieskiego namiotu i jego linek, dalej wokół podwyższenia i niedawno zrównanego pólakrowego placu, przez który miała przemaszerować orkiestra dęta, potem, podwieszony artystycznie wstęgami, nad odkrytą trybuną, na której

miały zasiąść miejscowe VIP-y, następnie wzdłuż stoisk z fast foodem i zimnymi napojami, wreszcie wzdłuż jeszcze okazalszej alejki z przenośnymi toaletami i wokół parkingu, gdzie stała co najmniej setka samochodów zamiast jak zwykle dwanaście, choć zmieściłoby się jeszcze kilka tysięcy. Ani jednej flagi brytyjskiej, zauważył smętnie Beard, żeby uhonorować pomysłodawcę i inicjatora całego przedsięwzięcia, czyli jego. Ale nic na ten temat nie powiedział i odsunął od siebie tę myśl.

Z boku, na kolejnym oczyszczonym i ozdobionym flagami kawałku ziemi stały wozy transmisyjne z dyskami satelitarnymi. Kilka jardów dalej, wśród krzewów, na niewielkim wzniesieniu biegnącym wzdłuż autostrady widniał niezapalony neon z hasłem „Lordsburg!” nawiązujący krojem pisma do sławnego napisu „Hollywood” pod Los Angeles. Wszystkie litery były już ustawione - oprócz wykrzyknika, wysokości trzydziestu stóp, który właśnie podnosili na linach ludzie w kaskach.

Gdy zjechali z autostrady na bitą drogę i przejechali pod proscenium z kolejnymi amerykańskimi flagami, w chłodzonej przez klimatyzację kabinie samochodowej rozszedł się zapach smażonego tłuszczu, który podrażnił ich powonienie.

- Toby, jesteś geniuszem! - zawołał Beard.

Hammer z powagą pokiwał głową.

- Lubię kojarzyć z sobą ludzi i sprawy. Ale, Michaelu. To twój pomysł. To ty jesteś geniuszem.

Teraz z kolei Beard, rozanielony, skinął głową. Tak powinna wyglądać przyjaźń.

Jeszcze gdy parkowali, podbiegli do nich w chmurze pyłu faceci w T-shirtach i bejsbolówkach, niektórzy z podkładkami do pisania. Była to ekipa Hammera, a przynajmniej jej część, należeli do niej inżynierowie, specjaliści od hydrauliki i komputerów oraz inni technicy. Beard zajmował się pracami związanymi z teorią i nadzorował eksperymenty laboratoryjne, ale cała reszta, skalowanie, szkice, plan produkcji masowej, projekt samego zakładu i jego budowa, rury i zawory, a także kierujące nimi oprogramowanie komputerowe - to już nie jego zmartwienie. Znał założenia, był właścicielem patentów, ale nie wiedział zbyt wiele o samym funkcjonowaniu zakładu. Tu, na otwartej przestrzeni, był sławą, niemal legendą, wszyscy odnosili się do niego ze stosownym respektem, z ciepłą uprzejmością, w jakiej przodują Amerykanie, nikt jednak nie oczekiwał od niego, żeby zajrzał do jakiegoś rowu czy rozstrzygnął spór o zakres obowiązków. W NREL w Golden przetestowano prototyp i potwierdzono, że proces technologiczny, który opracował, przebiega sprawnie. Wszystkim innym zajęła się sympatyczna grupa fachowców pod kierunkiem Toby'ego Hammera, który sam nie znał się zupełnie na sprawach technicznych i nie miał pojęcia o

teorii, ale miał talent organizacyjny, potrafił kierować ludźmi i zajął się szczegółami.

Gdy więc obaj mężczyźni wysiedli z samochodu i nastąpiły uściski dłoni oraz poklepywania po plecach, Beard przygotował się do ucieczki. W rozpalonym powietrzu apetyczne zapachy grillowanego na drewnianej podpalce mięsa przywiewane na parking były jeszcze intensywniejsze. Wiadomość o Tarpinie zepsuła mu brunch, ale uspokoił się nieco, gdy tylko przeszedł deptakiem na pustyni wśród budek z jedzeniem i dokonał przemyślanego wyboru. Toby, który miał na terenie zakładu pick-upa, oddał mu kluczyki od samochodu i z grupą pracowników skierował się przez parking do biura.

Po zaledwie pięciominutowym namyśle Beard zasiadł samotnie w głębokim cieniu przy stole na kozłach, z tekturowym talerzem, na którym znajdował się mostek z rusztu w stylu teksaskim, trzy wielkie korniszony i góra sałatki ziemniaczanej, a także z małym papierowym wiaderkiem piwa z beczki. Według standardów świata energetyki Zakład Sztucznej Fotosyntezy w Lordsburgu, znany wśród inżynierów jako ZSFL, był maleństwem, zwykłą zabawką, ledwie prototypem. Lecz Beard, siedząc tutaj, w obłokach niebieskiego dymu z grillowanego w sąsiedniej budce kurczaka, przy dźwiękach muzyki rockowej dobiegającej z głośników zamontowanych na słupach i okrzykach kucharzy informujących się wzajemnie, że dwudziestu czterech głodnych chłopaków z ekipy wznoszącej neon z napisem „Lordsburg!” już idzie na steki wołowe, poczuł się, jakby to miejsce było pępkiem świata. Jakie to pyszne - nie tylko jedzenie, ale sama możliwość przebywania tutaj, cudownie anonimowo, w tym dalekim zakątku Ameryki, w jego sercu, i świadomość, że to wszystko, cała ta krzątanina, sam zakład, obecność mediów, a wkrótce także odrzutowców myśliwskich i orkiestry dętej, ta rozpoczynająca się rewolucja przemysłowa zawdzięcza swoje istnienie, tu, wśród niskich domków i wyschniętych traw, jego koncepcji sprzed ośmiu lat, którą stworzył, leżąc na brudnej kanapie w mieszkaniu w suterenie pięć tysięcy mil stąd.

Zagłębił zęby w czwartym kawałku soczystego mostka, gdy stało się coś, czego nie pamiętał od czasów szkolnych i co nawet wtedy uważał za okropnie wkurzające. Poczul, że ktoś staje za jego plecami, i zanim zdążył się odwrócić, ciepłe ręce zasłoniły mu oczy, ściskając mocno głowę, żeby nie mógł jej skrócić, a czyjś głos szepnął mu do ucha:

- Zgadnij, kto to?

Palec lewej dłoni naciskał boleśnie na północną półkulę jego gałki ocznej i Beard bał się poruszyć. W ustach miał mięso i nie mógł go przełknąć. Wymamrotał jednak niewyraźnie:

- Tarpin?

- Czy to nie twoja dziewczyna? - Rozległ się wesoły śmiech i Beard odzyskał swobodę ruchów.

Darlene, oczywiście. Irytacja przeszła mu, gdy wstał z trudem, przeżuając szybko mięso, i ją objął. Jak tu jej nie kochać? Była poczciwą, dużą kobietą z Nebraski, przez całe życie pracowała jako kelnerka, miała trzech mężów i czworo dorosłych już dzieci, które albo ją uwielbiały, albo jej potrzebowały, bo dzwoniły bezustannie; przed dwunastoma laty odkryła Nowy Meksyk i zmieniła imię, bo przedtem używała imienia Janet. Mówiła płynnie po hiszpańsku, ponieważ przez sześć lat żyła z Hiszpanem, kierowcą ciężarówek, w przyczepie na południowym skraju miasteczka. Potem faceta wywaliła.

A teraz upodobała sobie Michaela Bearda. Gdy po raz pierwszy poszli do łóżka, powiedziała mu, że jest jej pierwszym starszym mężczyzną. Potem skorygowała: pierwszym znacznie starszym mężczyzną. Nie chciał myśleć, że być może jej szanse, tak jak jego, mały i nie miała już takiego wyboru. Ale w końcu był miejscowym bohaterem uhonorowanym przez izbę handlową z East 2nd Street za to, że stworzył miejsca pracy dla mieszkańców miasteczka. Można by go nawet uznać za całkiem niezłą zdobycz. A ona oczywiście zaspokajała jego dawne fantazje o kochance z nizin społecznych. W typowy dla Amerykanów sposób pocziwie demonstrowała swoją przynależność klasową, żując od rana do wieczora gumę - bezwstydnie, z otwartymi ustami, nawet wtedy kiedy mówiła - wyjmowała ją tylko, gdy się z nim całowała. Nie czytała książek, gazet ani nawet czasopism, nie chodziła do kościoła i nie znosiła zdrowej żywności tak samo jak Beard, a używając keczupu, którego sobie nie żałowała, przywoływała znane stwierdzenie Ronalda Reagana, że to warzywo. Beard żałował, że nie jest religijna. To by bardziej pasowało do jego wizji. Ale była pod tym względem stanowcza. Nie jest nawet ateistką, bo jak powiedziała, za mało ją to obchodzi, żeby chociaż zaprzeczać istnieniu Boga. Jej to „lata”.

Poznali się, gdy Beard próbował zabić czas, który pozostał mu do jakiegoś spotkania, i pewnego popołudnia wyjechał z Lordsburga, skręcił w drogę prowadzącą do miasteczka Shakespeare, a następnie z lekkim znudzeniem, pod wpływem wiosennego ciepła ogarnięty nieokreślonym seksualnym podnieceniem, przeszedł się starą główną ulicą, od starego saloonu do starego domu towarowego i starego hotelu Stanford, gdzie kiedyś Billy Kid zmywał naczynia. Już miał stamtąd odjechać, ale spotkał na parkingu Darlene. Przyjechała pocieszyć koleżankę o imieniu Nicky, która starała się o pracę przewodnika turystycznego i właśnie jej powiedziano, że ma za mało pewności siebie i jest słabo przygotowana. Wypłakiwała się na ramieniu Darlene, kiedy Beard w nastroju łowieckim podszedł i zapytał, czy mógłby pomóc. Darlene wyjaśniła mu, co się stało, i Nicky włączyła się do rozmowy. Była jękającą się chudą, piegowaną palaczką z krótkimi włosami, paliła, nawet gdy płakała, i Beard pomyślał, że sam nie zatrudniłby jej w żadnym charakterze. Była to jej trzecia z rzędu

nieudana próba zdobycia pracy w ostatnim czasie, więc pojechali do przyczepy Darlene i przez całe popołudnie popijali piwo i szkocką, a Nicky pocieszała się, paląc kokainę i trawkę, której tamci odmówili. Żeby zdobyć względy Darlene, obiecał, że znajdzie coś dla Nicky w zakładzie (i znalazł, ale Hammer zwolnił ją po dwóch dniach), i gdy dziewczyna poszła, żeby zajrzeć do dzieci, Beard i Darlene przespali się z sobą w wyłożonej dębowym fornirem sypialence za ścianą.

Spotykał się z nią za każdym razem, gdy przyjeżdżał do Lordsburga. Chodzili do baru przy 4th Street, czasami imprezowali w jego pokoju w Holiday Inn, ale przeważnie zabawiali się w jej przyczepie utrzymywanej przez nią w czystości i porządku. Z tyłu znajdowało się małe podwórko z trzema drzewkami cytrynowymi, o które dbała jak o dzieci; drzewka były na tyle duże, że późnym popołudniem rzucały cień, gdy siadali pod nimi z drinkiem. Po kilku szkockich - lubiła ją tak jak Beard - śmiała się dużo i bardzo głośno, a potem nachodziła ją ochota, żeby wrócić do przyczepy i kochać się w chłodzie przy dźwiękach szumiącej i terkoczącej klimatyzacji. Dla niego romans ten był niespodziewanym seksualnym renesansem, dawał mu intensywną zmysłową przyjemność, niemal odwrotność agonii, jaką pamiętał z czasów, gdy miał dwadzieścia lat. Minęły lata, odkąd ostatni raz mimowolnie krzyczał jak szaleniec podczas orgazmu. Nie uwierzyłby, że dozna jeszcze takich skrajnych emocji z kobietą w wieku pięćdziesięciu jeden lat, o zmęczonym, obwisłym, obrzmiałym ciele poznaczonym żyłakami jak jego własne. Sądził, że może ostatni raz zaznaje takiej ekstazy, więc przywiązał się do niej. Tak jak Melissie i Catrionie przywoził prezenty z El Paso czy z Dallas, tak Darlene - z Heathrow. W innym mieście, w innym kraju mogłaby uchodzić za hałaśliwą pijaczkę. W Lordsburgu jednak była doceniana i lubiana, i dzięki niej zaczął szanować to miasteczko. Poza tym, że wieczorami kelnerowała w Lulu Diner, ochotniczo pracowała także w szkole podstawowej, gdzie sprzątała i myła podłogi, obcierając sobie kolana. Przez dwa tygodnie w roku bezpłatnie wykonywała różne niewymagające kwalifikacji prace na obozie letnim dla dzieci autystycznych na wzgórzach Gila. Naprawdę rzadko, najwyżej dwa, trzy razy w roku, sąsiad albo policjant z patrolu zabierał ją pijaną z chodnika i zawoził do domu, do przyczepy.

Właściwie Beard nie okłamywał jej, jeśli chodzi o swoje życie w Anglii, ale też nie mówił wszystkiego. Wiedziała, że miał pięć żon, zaśmiewała się podczas jego opowieści o zapuszczonym mieszkaniu przy Dorset Square i zapowiadała, że wysprząta je dla niego i doprowadzi do porządku, jeśli tylko będzie miała okazję. Nie wspominał jednak o swojej partnerce i dziecku z Primrose Hill. Darlene chciała pojechać z nim do Anglii, on wolał nie podsycać jej zainteresowania tym pomysłem, mówiąc „nie”, ani nie komplikować sobie życia,

mówiąc „tak”, więc ograniczał się do mglistych obietnic. Po półtora roku sprawy przybrały zwykły bieg. Urok nowości i ekscytacja minęły, choć powoli i tylko trochę, dzięki krokom wstecz, które działały odświeżająco. Jednocześnie Darlene coraz częściej wybiegała myślami w przyszłość, ich wspólną przyszłość, która stanowiła przykry temat, bo nieuchronnie zbliżał się czas, kiedy elektrownia zacznie działać i nie będzie już musiał przyjeżdżać do Lordsburga, za to zacznie załatwiać sprawy gdzie indziej na południowym zachodzie, wrzucać żelazne opłki do oceanu na północ od wysp Galapagos albo wdrażać swoje patenty na całym świecie. Jednakże jeśli nawet ta rozbieżność uczuć stwarzała problem, to Beard nie chciał przedsięwziąć żadnych kroków. Przychodziło mu to łatwo w upale Nowego Meksyku, w jego głębokich cieniach, przy swobodnych relacjach z Darlene. Jak już nieraz się przekonał, przyszłość przynosi własne rozwiązania.

Przyjemnie było więc znowu ją zobaczyć, podejść do grilla i zamówić dla niej wielką porcję żeberek, sałatki ziemniaczanej i keczupu oraz wiaderko piwa, takie jakie miał sam, usiąść z nią przy sentymentalnych dźwiękach wygrywanej na gitarach z pedałami muzyki country, słuchać jej nowin i opowiadać własne. Zajęli miejsca obok siebie i pomijając sferę życia prywatnego, Beard przekazał jej wieści z maleńkiego królestwa po drugiej stronie oceanu o ostatnim skandalu: ciemieni obywatele musieli bowiem opróżnić kieszenie na podatki, żeby klasa rządząca mogła oczyścić fosy, wznieść kwatery dla służących, kupować sobie prasowalnice do spodni i wypożyczać filmy pornograficzne. Teraz na zasnuty smogiem brukowanych uliczkach brudnych miast i w krytych strzechą wioskach, które dotknęła zaraza, rozlegają się podżegania do buntu. Ona ze swojej strony opowiedziała mu, że Nicky wróciła do AA, gdzie po raz czwarty odnalazła Jezusa, od dwudziestu dwóch dni nie ćpa i nie pije, choć nie rzuciła palenia, i pracuje w aptece, choć zaledwie od kilku dni.

Skończywszy jeść, Darlene położyła mu ciężką rękę na ramieniu i pocałowała go w policzek.

- Ale, kochanie, największą sensacją jesteś ty sam. Zeszłego wieczora pokazywali Lordsburg w NBC, a CNN filmowało wczoraj Main Street, zaraz za stacją Exxon. Wszyscy mówią tylko o jutrzejszej ceremonii. Jestem z ciebie taka dumna!

Patrzyła na niego z miną, jakiej jeszcze u niej nie widział, był to wyraz matczynego zadowolenia, który go trochę zaniepokoił. Nie chciał jednak, żeby coś zepsuło nastrój chwili, teraz i w ogóle. Pocałował ją więc, wypili jeszcze jedno piwo i zjedli na spółkę czekoladę, krówki i lody miętowe. Potem wstali, znowu się pocałowali i objęli, a później powiedział jej, że spotkają się za godzinę. Bo ma obowiązeki.

Przeciął teren zakładu, kierując się do stacji kontroli, gdzie czekała już cała ekipa

zebrana wokół konsoli z komputerami, żeby wysłuchać podziękowań, które przygotował sobie podczas lotu z Londynu. Hammer stał z powagą przy jego boku, ze splecionymi na piersi ramionami, jak ochroniarz z nocnego klubu. Skądś z zewnątrz dobiegł dźwięk trąbek i fletu, a także walenie w bęben. Przybyła orkiestra dęta, przynajmniej jej część, żeby odbyć próbę.

Zespół dokonał cudów, zaczął Beard bezbarwnym tonem zbiorowej pochwały, powołując do życia, tu na pustyni, coś, co najpierw było jedynie marzeniem, potem kolumną szalonych obliczeń, serią eksperymentów laboratoryjnych i wreszcie projektów. Czegoś takiego jak to, co tu wzniesli, nie ma nigdzie indziej na świecie, z wyjątkiem kilku laboratoriów będących jeszcze na etapie testów. Ale ten projekt, choćby najwspanialszy, to tylko ostatni etap długiego procesu badań i rozwoju. Po raz pierwszy rozszczepiono wodę na wodór i tlen w roku 1789, a zasady działania ogniów paliwowych poznano w 1839. Badaniom nad fotosyntezą poświęcili życie niezliczeni biologowie i fizycy. Swoją rolę odegrały: fotowoltaika Einsteina, mechanika kwantowa, chemia, badania nad nowymi materiałami, synteza proteinowa, czyli w gruncie rzeczy cała nauka wniosła wkład w ten triumf, który teraz mogą sobie poczytać za swój. Ale sprawa ma jeszcze szerszy wymiar. Jak wszyscy tu obecni wiedzą, w największym przedsięwzięciu natury, obejmującym miliardy lat, absorbowanie światła i przekształcanie go, rozszczepianie wody przez żywe organizmy spowodowało powstanie tlenu i stworzyło podwaliny ewolucji. I to właśnie stało się inspiracją - proces, który spróbowali inżynierzy odwrócić.

Beard wciągnął powietrze do płuc, a potem je wypuścił z głośnym westchnieniem, po czym rozłożył dłonie skromnym gestem.

- Dlatego nie mogę sobie przypisać żadnej zasługi. Stoję jak Newton na ramionach gigantów, setek ludzi, a odwołałem się jedynie do przyrody. Szczęśliwym trafem teoria, którą stworzyłem, pomogła mi dostrzec to, czego inni nie dostrzegli, choć drzwi już zostały uchylone. Zobaczyłem, że powszechnie występujący we wszechświecie pierwiastek, wodór, można wytwarzać tanio, łatwo i w wielkich ilościach, naśladując po prostu fotosyntezę, co z kolei pozwoli zasilić w energię całą naszą cywilizację, tak jak ten wspaniały proces zasilił życie na Ziemi, będąc jej głównym biologicznym źródłem energii. Będziemy więc od tej pory dysponowali czystą energią, która odnawia się bez końca, a to umożliwi nam cofnięcie się z krawędzi zgubnego, destrukcyjnego dla nas globalnego ocieplenia. Niektórzy twierdzą, że odegrałem w tym kluczową rolę, że nic z tego nie byłoby możliwe beze mnie. Cóż, kto wie? Jeśli o mnie chodzi, uważam, że tylko dzięki szczęściu wpadłem na pewne pomysły, że po prostu znalazłem się w odpowiednim punkcie historycznym, we właściwym miejscu i w

czasie, gdy narodziła się pałaca potrzeba. To, czego dokonałem, było po prostu nieuniknione. Ale tworzymy zespół i wszyscy odegrali ważne role, każdy z was był kluczowym ogniwem. I muszę wyznać, że był to dla mnie wielki zaszczyt pracować z wami, odkrywać wasze kompetencje. Powinniście jednak wiedzieć, że wszystko to zawdzięczam... wszyscy zawdzięczamy... naszemu drogiemu przyjacielowi, żywej, chodzącej energii, Toby'emu Hammerowi!

Przy wtórce oklasków i wiwatów Beard chwycił Toby'ego za nadgarstek, zadrasnął przy tym skórę Amerykanina, i niemal wyrwał mu rękę ze stawu, unosząc ją jak bokser na ringu.

Hammer bez uśmiechu skłonił głowę wśród coraz głośniejszych wyrazów uznania. Zacisnął usta, wymówił się od przemówienia, do którego wzywano go okrzykami: „Mowa! Mowa!”, i zebranie dobiegło końca.

Kiedy została już tylko garstka ludzi, tych, którzy najwyraźniej chcieli porozmawiać z Beardem, Hammer pokręcił głową i w milczeniu wskazał im drzwi. Po chwili wahania wszyscy wyszli i dwaj koledzy zostali sami. Beard usiadł przy jednym z komputerów i spojrzał na ekran, na którym widniały trzy wykresy z opadającymi krzywymi. Nie były oznakowane, ale domyślił się, że obrazują pracę katalizatorów.

- Co jest, Toby?

- Jeszcze nie wiem dokładnie.

- Wciąż martwisz się ociepleniem? Dziś w Orogrande padnie nowy rekord.

Hammer się nie uśmiechnął. Stał oparty o ścianę przy drzwiach, z rękami w kieszeniach, i patrzył w dal ponad głowę Bearda. Odezwał się w końcu:

- Zadzwoił ten facet, Barnard. Prawnik z Albuquerque, który reprezentuje Braby'ego i ośrodek. Już tu jedzie. Zapowiedziałem, że nie spotkam się z nim, dopóki nie powie, czego chce. I powiedział.

Toby głośno odchrząknął, odepchnął się od ściany i podszedł do Bearda. Położył rękę na ramieniu Anglika.

- Michaelu, czy powinienem wiedzieć o czymś w związku z projektem, o czym nie wiem?

- Oczywiście, że nie. Dlaczego pytasz?

- Zamierzają wystąpić do sądu, żeby zakwestionować twoje prawo do patentów.

- Braby?

- Uhm.

Przez kilka sekund Beard siedział zgarbiony przy konsoli, ze zmarszczonym czołem,

wracając pamięcią do swojej szarej angielskiej przeszłości. Przypomniawszy sobie betonowe słupy, zapach dochodzący z browaru przy autostradzie, blocko między barakami, prowizoryczne stoły zasłane efektami głupich mrzonek. Poczł się tak, jakby przywoływał jakieś inne życie, sprzed swoich narodzin, jeszcze zanim na świecie zapanowały dinozaury, gdy nad pradawnymi bagnami unosiły się gęste mgły. A potem, kiedy mgły zaczęły się rozwiewać, wreszcie zobaczył. Dlaczego tego nie przewidział? To w taki sposób Braby zamierzał dostać się na ożywioną ostatnio scenę odnawialnych źródeł energii - nie prosząc o przysługę za radę czy rekomendację, ale wchodząc na kosztowną drogę prawną. To była groźba, ukartowany zamach. Pewnie liczy na ugodę poza sądem, która przyniesie mu udział w przyszłych projektach. I to nie mając żadnych podstaw.

Beard wstał nagle, bo poczuł ulgę i przypływ energii. Nie zważając na kolejny zawrót głowy, poklepał Hammera po piersi, jakby próbował naprawić szwankującą maszynę.

- Posłuchaj, Toby. Widywałem już takie numery wobec różnych instytucji i patentów. Braby sądzi... albo tak udaje... że pracowałem nad sztuczną fotosyntezą jeszcze w ośrodku, który tym samym ma prawa do moich odkryć. Ale rozpocząłem te prace dopiero, gdy przeszedłem do Imperial, po tym jak Braby mnie wyrzucił. Wszystko jedno, umowa o pracę dawała mi możliwość prowadzenia własnych badań. Zresztą bywałem w ośrodku tylko raz w tygodniu. Mam w domu tamten kontrakt. Pokażę ci.

- To może spowodować opóźnienie naszych prac - mruknął ponuro Hammer, wciąż nieprzekonany.

Beard odparł:

- Kiedy zobaczą daty: mojej umowy, mojego odejścia, od razu podkulą ogon. Będziemy mogli ich pozwać do sądu za nękanie, zniesławienie, cokolwiek. Ośrodek dysponuje jeszcze mniejszymi pieniędzmi niż my. Wydali prawie wszystko na tę żalosalną turbinę wiatrową, nad którą pracowali. Zrobił się z tego wielki skandal. I teraz cienko przęda.

Beard zauważył, że kolega się uspokaja. Dobrze wiedzieć, że strona przeciwna jest biedna jak mysz kościelna.

- Michaelu, przysięgnij, że nie ma tu żadnych raf, żadnych niespodzianek, że nic przede mną nie ukrywasz.

- Przysięgam. Braby to cholerny oportunist. Tak skopiemy mu tyłek, że wylądje za Rio Grande.

- Barnard będzie tu za piętnaście minut.

Beard udał, że marszczy brwi, i spojrział na zegarek. Chciał jeszcze zabawić się z Darlene. Dopiero wtedy będzie mógł stawić czoło prawnikowi.

- Mam spotkanie w miasteczku. Ale facet znajdzie mnie wieczorem w Holiday Inn. Albo w restauracji po drugiej stronie ulicy.

Gdy Beard ruszył do drzwi, Hammer pochylił się nad swoim laptopem i zaczął pisać e-maile, ledwie zauważając, że kolega wychodzi. Wszystko wróciło do normalności.

*

To podziało na niego orzeźwiająco - wyjście z chłodnej stacji kontroli na gorące powietrze w to późne popołudnie, ze światła fluorescencyjnego na złote, z szumu serwerów w zgiełk przygotowań i kakofonię dwóch oddzielnych systemów nagłaśniających, z których w różnych częściach zakładu płynęła muzyka country, współzawodnicząc z próbą orkiestry dętej i wyciem wiertarek. Beard ożywił się nie tylko na myśl o wyprawie do miasta z Darlene. Sił - i otuchy - dodało mu oburzenie z powodu głupich, nieuzasadnionych roszczeń Braby'ego. Podniosły one wartość jego projektu. Fałszywy przyjaciel, który odwrócił się od niego w biedzie, w chwili załamania jego kariery, teraz chciał udziału w chwale. Ale go nie dostanie - i świadomość tego faktu sprawiła Beardowi zadowolenie. Szedł więc niezwykle lekkim, szybkim krokiem wśród panującej krzątaniny. Zwolnił, mijając stoisko z patriotycznymi pamiątkami. Wyobraził sobie, że kupuje małą chorągiewkę w barwach amerykańskich i macha nią z dziecięcą złośliwością przed nosem Braby'ego. Ale nie. Niech gnije z tą swoją nędzną turbiną w wilgotnej szarej dziurze na południu Anglii.

Do spotkania z Darlene miał jeszcze dwadzieścia minut, więc ruszył w stronę placu defiladowego ku srebrzystym trylom i basom orkiestry dętej. Zobaczył tam ze dwudziestu mężczyzn w mundurach polowych, niezbyt młodych, którzy stali z kapelmistrzem pod płóciennym dachem na drugim końcu świeżo wyrównanego placu. Po stronie południowej robotnicy kończyli wznoszenie wysokich, ostro nachylonych trybun dla dygnitarzy i prasy. Znowu zachwyił się tym wszystkim, co Toby Hammer zdołał załatwić swoimi e-mailami. Gdy podjął obchód, muzycy zaczęli ćwiczyć, prawie nie fałszując, składankę Beatlesów i doszedł do wniosku, że to żadna prawdziwa orkiestra wojskowa, tylko grupa rezerwistów, miejscowi zapaleńcy. Biała batuta kapelmistrza wywołała nieprzyjemne skojarzenie z kochankiem Melissy. W Londynie robiło się już późno i powinien do niej zadzwonić. Ale to nie był dobry moment.

Przy triumfalnych dźwiękach *Yellow Submarine* skierował się ku trybunie, która wznosiła się wśród zarośli. Zobaczył, że ktoś siedzi na niej samotnie, na samym środku, i natychmiast rozpoznał rodaka. Czy to po papierosie, opuszczonych wąskich ramionach, szarych skarpetkach i czarnych butach, czy braku kapelusza i okularów przeciwsłonecznych?

U stóp mężczyzny stała mała torba podróżna, a on sam pochylał się do przodu, z brodą wspartą na jednej dłoni, patrząc nie na orkiestrę, ale poza nią, w kierunku wzgórz Gila. Rodney Tarpin, oczywiście. Stary kumpel, który przebył szmat drogi, żeby powiedzieć, co ma do powiedzenia. Rozpoznawszy go ze strachem, po chwili wahania Beard postanowił podejść do niego, bo uznał, że lepiej będzie stawić mu czoło na własnym terenie, w miejscu publicznym, niż dać się zaskoczyć gdzie indziej. Zasłonięcie oczu przez Darlene było ostrzeżeniem.

Stopnie trybuny były dziwnie wysokie i musiał przystanąć w środkowym rzędzie, zanim ruszył w stronę Tarpina. Ten, całkiem spokojny, udawał, że nie widzi Bearda albo się nim nie przejmuje, patrzył przed siebie, paląc papierosa, nawet gdy Beard usiadł obok. Beard nie chciał się odezwać, dopóki nie odzyska tchu, ale Tarpin wciąż nie dawał po sobie poznać, że jest świadomy jego obecności. Niewiele czasu z tych ośmiu lat spędził w więziennej siłowni. Skurczył się podczas pobytu w pudle. Ramiona i nogi miał chude, a brzuch, który kiedyś sterczał mu dumnie nad paskiem, zamienił się w mały brzuszek. Nawet głowa wydawała się mniejsza, twarz była bardziej mysia niż szczurza, a jej dawny wścibski, zaczepny wyraz, z rozdętymi nozdrzami, gdzieś zniknął. Jego miejsce zajęła bierna czujność, którą można by na przykład o zmierzchu wziąć za spokój. W Nowym Meksyku, w złotym świetle popołudnia, sprawiał wrażenie nieszkodliwego wraka, włóczęgi, nerwowo zaciągającego się dymem z papierosa, kogoś, kto nie potrafiłby nikogo uderzyć w twarz. Beard poczuł się podbudowany. Ten biedak nie mógł wyrządzić mu krzywdy.

Milczenie stało się absurdalne. Beard odezwał się dziarsko, jak do niezadowolonego, krnąbrnego podwładnego:

- Więc, panie Tarpin, wypuścili pana. Co pana tu sprowadza, taki szmat drogi?

Ten odwrócił się wreszcie, ujmując papierosa palcem wskazującym i kciukiem. W jego oczach, w kącikach białek, widać było niezdrowe żółtawe smugi. Miał też popękane naczynka, które rozchodziły się od nasady nosa po policzkach. Kiedy się odezwał, okazało się, że nie ma zęba, górnego siekacza, którego nie wstawił mu więzienny dentysta.

- Pomyślałem, że zauważy mnie pan, jeśli tu usiądę.

- No i?

- Panie Beard, muszę z panem porozmawiać, powiedzieć panu coś i o coś poprosić.

Beard poczuł się znowu lekko zaniepokojony. Cały czas patrzył na rękę Tarpina i na torbę leżącą u jego stóp.

- Dobrze. Ale nie mam za dużo czasu.

Poniżej orkiestra wciąż grała składaną. Ostatnie dźwięki *Yesterday* przeszły w

dziarskie tony *All You Need Is Love* granej w marszowym tempie. Trudno było uwierzyć, że miliony ludzi kiedyś wrzeszczały i wydzierały sobie włosy z głowy, słuchając takiej spokojnej pioseneczki.

- Wobec tego od razu przejdę do rzeczy. Po pierwsze, nie zabiłem Toma Aldousa.

- Tak pan mówił w sądzie, pamiętam.

- Nieważne, że mi pan nie wierzy. Nikt mi nie wierzy. Nie obchodzi mnie to, bo prawda jest taka, że gdybym tylko miał okazję, zabiłbym go. I o to właśnie chodzi. Powiedziałem Patrice, żeby to zrobiła, jeśli nie ściągnie na siebie kłopotów. Obiecałem jej, że jeżeli go załatwi, pójdę siedzieć za nią, gdyby było trzeba. Nic nie powiedziała, ale potem, kiedy była u mnie, musiała wziąć jeden z moich młotków i walnąć Aldousa, gdy spał u niej na sofie.

- Chwileczkę - rzucił Beard. - Po co, u licha, Patrice miałyby go zabić?

- Rozumiem, że jest pan wytrącony z równowagi, panie Beard. Wiem, że się pan rozwiódł i tak dalej, ale kochał pan kiedyś tę kobietę i nie jest panu przyjemnie słuchać, że jest morderczynią. Nie mogła się go pozbyć. Prosiła, żeby zostawił ją w spokoju, ale nie chciał. Robiłem, co mogłem, tylko że to był drań...

Beard niemal zapomniał, że zna prawdę i że sam wrobił Tarpina. Nie wiedział, który argument przedstawić mu najpierw. Zapytał:

- Mówiła panu, że go nienawidzi? Że chce się go pozbyć?

- Wiele razy.

- Ale przecież powiedziała wszem wobec, że go kochała.

Tarpin wyprostował się i odparł z pewną dumą:

- To było już później, chciała dowieść, że miałem motyw. Zazdrość! Że gotów byłem zrobić dla niej wszystko.

- Na miłość boską, człowieku, to dlaczego nie przyznał się pan do winy i nie poprosił o skrócenie kary?

- Bo jakiś nadęty prawnik powiedział, że mnie z tego wyciągnie, a ja mu uwierzyłem.

- Więc ukartowaliście to razem?

- Nie mogłem się z nią skontaktować po śmierci Aldousa. A potem mnie zamknęli. Musieliśmy więc dograć sprawę bez porozumiewania się z sobą. Ale każde z nas wiedziało, co robi.

Orkiestra dała z siebie wszystko przy Beatlesach i teraz odpoczywała. Muzycy wylewali na piasek skroploną parę z instrumentów. Kapelmistrz stał z boku, z cygarem w ustach.

Beard zauważył:

- Ale przecież gdyby pan sam spotkał się z Aldousem, na pewno by go pan wystraszył i odczepiłby się od Patrice.

Tarpin zaśmiał się gorzko.

- Próbowałem, no nie? Od początku. Pojechałem do niego do Hampstead, wziąłem łom dla bajeru. Wyrwał mi go, stłukł mnie nim, rzucał mną po całym ogrodzie, walił po plecach, złamał mi rzepekę w kolanie, wsadził głowę do stawu, zwichnął ramię. I jeszcze to. Niech pan patrzy.

Wskazał brakujący ząb.

Beard nie mógł powściągnąć dumy z Toma Aldousa. To był fizyk!

- Odpłacił panu za to, że podbił pan Patrice oko - odparł.

- Przeprosiłem, panie Beard - z urazą wyjaśnił Tarpin. - I to niejeden raz, jeśli chce pan wiedzieć. I w końcu Patrice przyjęła moje przeprosiny.

- Więc poszedł pan do więzienia za moją żonę. Odwiedzała tam pana, pisała piękne, pełne wdzięczności listy?

- Nie mogła. Jak by to wyglądało, gdyby odwiedzała mordercę swojego kochanka. Po roku zacząłem do niej pisać. Codziennie. Ale nie odpowiedziała. Ani razu w ciągu ośmiu lat. Dopóki nie wyszedłem, nie wiedziałem nawet, że znowu wyszła za mąż.

Biedny oszukujący samego siebie frajer zapatrzył się w góry za Lordsburgiem. Przyglądając się mu, Beard poczuł zadowolenie, że sam nigdy tak naprawdę się nie zakochał. Jeśli to miało odjąć człowiekowi rozum? Był tego bliski, żyjąc z Patrice, i jakiego zrobił z siebie głupca. Chętnie zagadnąłby Tarpina o narzędzie zbrodni, młotek z wąskim obuchem, ale nie mógł. Czyżby sierota naprawdę zapomniał, że zostawił torbę z narzędziami w Belsize Park? Ależ z niego dupek! I dobrze.

- Ciągle o niej myślę - mówił dalej Tarpin. - I tylko z panem mogę o tym porozmawiać. Obaj kochaliśmy tę samą kobietę, panie Beard. Można powiedzieć, że nasze losy są z sobą splecione. Nie mogę do niej podejść, nie mogę pogadać z nią nawet pięć minut przez telefon. Ale wciąż ją kocham.

Powtarzał to z coraz większą pasją i dwie robotnice, które przechodziły obok trybuny, spojrzały w ich stronę.

- Powinienem być zły, powinienem być wściekły za to, co mi zrobiła. Powinienem złamać jej kark, ale ją kocham i czuję ulgę, gdy mogę powiedzieć to głośno komuś, kto ją zna. Kocham ją i jeśli miałyby się to skończyć, skończyłoby się dawno temu, gdy zrozumiałem, że nie skontaktuje się ze mną. Kocham ją, kocham...

- Wyjaśnijmy sobie coś - przerwał mu Beard. - Przyjechał pan taki kawał drogi, zataił pan swoją kryminalną przeszłość przed służbami bezpieczeństwa tylko po to, aby mi powiedzieć, że wciąż kocha pan moją byłą żonę?

- Jest pan jedynym wtajemniczonym w całą sprawę, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Jediną osobą, której mogę to powiedzieć, powiedzieć, że Patrice zabiła Aldousa, a ja za to zapłaciłem ośmioma latami mojego życia. I winien jestem panu przeprosiny za to, że tak pana potraktowałem, gdy przyjechał pan do mnie. Ale byłem w stresie, rozumie pan, Patrice spotykała się wieczorami z Aldousem, bo nie chciała go drażnić. Naprawdę przykro mi, że pana uderzyłem.

- Chyba możemy o tym zapomnieć - odparł Beard.

Tarpin jednak przepraszał go nie bez przyczyny.

- Przyjechałem tu z jeszcze jednego powodu. Wiele o tym myślałem. Muszę coś z sobą zrobić. Nie mogę przez następne dziesięć lat siedzieć bezczynnie i myśleć o Patrice. Panie Beard, chcę zacząć od nowa, gdzieś z dala od niej. Widziałem w telewizji ten pana zakład. Pan jako jedyny zna moją sytuację i wiem, że pan zrozumie. Proszę pana o pracę. Jestem fachowcem, znam się na hydraulice, elektryce, murarce i tak dalej. Będę zbierać śmieci, jeśli mi pan każe. Umiem ciężko pracować.

Beard wybiegł myślami naprzód. Znalazł robotę dla Nicky, choćby tylko na dwa dni. Nielegalny status Tarpina nie stanowił problemu, dałoby się go obejść. A facet był fantastą i kretynem, któremu należało się coś od życia. Jednakże na nieszczęście dla Tarpina przed kilkoma minutami Beard przypomniał sobie tamte żalosne czasy, gdy obserwował z półpiętra żonę idącą w nowej sukience i butach ścieżką przez ogród do swojego peugeota, aby pojechać na spotkanie z kochankiem. Czy osiem lat to nie za mało? Czy to już ma być koniec kary? Nie, pomyślał Beard. Wstał, wyciągnął rękę i przybrał oficjalny ton.

- Dziękuję, że pan przyjechał i spotkał się ze mną, panie Tarpin. Nie wiem, czy panu wierzyć, czy nie, ale było mi miło. A jeśli chodzi o pracę, miał pan romans z moją żoną i namawiał ją pan, żeby zamordowała mojego bliskiego kolegę, albo, kto wie, sam pan go zabił. W sumie więc nie poczuwam się wobec pana do żadnych zobowiązań...

Tarpin także wstał, ale nie podał mu ręki. Zapytał z niedowierzaniem:

- Odmawia pan?

- Tak.

Nagle petent zamieniał się w agresora.

- Bo sypiałem z pańską żoną?

- Głównie tak, owszem.

- Ale pan jej nie kochał. Bzykał pan wszystko, co popadnie. Nie troszczył się pan o nią. Mógł pan ją mieć dla siebie, ale pan nie chciał.

Wpadł w złość i już bardziej przypominał dawnego siebie, odzyskał rumieńce i szczerzy wyraz twarzy. Może i wychudł, ale miał siłę w tym żylastym ciele. I choć skurczył się i postarzał, wciąż był od Bearda wyższy i młodszy.

- Nie szukałem przygód - oświadczył głośno Tarpin. - Patrice przyszła do mnie, bo chciała odegrać się na panu. Miałem własne problemy. Odeszła ode mnie żona i zabrała dzieci. Pan sam schrzanił swoje małżeństwo. Taka piękna kobieta. Złamał pan serce biedaczce!

Bojąc się, że oberwie, Beard zaczął cofać się wzdłuż trybuny. Nie był Tomem Aldousem, nie umiał łamać rzepek. Powiedział z bezpiecznej odległości:

- Przy autostradzie stoi patrol policyjny. Niech pan się stąd zabiera albo ich zawołam, żeby skontrolowali pańską wizę turystyczną. Nie lubią w tych stronach nielegalnych przybyszów.

- Ty draniu! Ty tchórzliwy draniu!

Beard pospiesznie zszedł z trybuny, a potem zaczął oddalać się szybkim krokiem. Nawet gdy już dotarł do końca placu defiladowego i ruszył w stronę budki z teksaskim grillem, słyszał cichnące okrzyki:

- Ty cipo! Tchórze! Oszuście! Jeszcze cię dorwę!

Praworządni obywatele odwracali głowy, żeby zobaczyć, co się dzieje, i rzucali w stronę Bearda niechętnie spojrzenia. Po kilku minutach, skręciwszy nie tam, gdzie trzeba, znalazł się przed kolumnadą zielonych przenośnych toalet i wślizgnął się do jednej z nich, żeby zniknąć z widoku. Kiedy wyszedł i rozejrzał się wokół, zobaczył Tarpina w oddali, przy autostradzie; machał ręką, żeby zatrzymać któryś z przejeżdżających samochodów.

Beard wiedział, że jest już spóźniony na spotkanie z Darlene, ale był zmęczony i zgrzany, poza tym miał wiele do przemyślenia, więc się nie spieszył. To Tarpina, a nie Aldousa Patrice chciała się pozbyć i żeby uniknąć awantury, która znowu skończyłaby się podbitym okiem, zmyśliła historyjkę. Ale Aldous spuścił rywalowi manto i groźby się skończyły. Nawet gdyby Beard udusił Aldousa własnymi rękami, Tarpin wzięłby na siebie winę, do tego stopnia miłość przesłaniała mu wzrok. Beard często robił ze swojego życia bajzel, jego przeszłość była jak rozlewający się ser, którego zapach dolatuje z daleka, ale teraz ten ser wydał mu się całkiem twardy, jak parmezan albo epoisses. Pogodnie zastanawiał się przez chwilę nad tym porównaniem - co przypominało mu, że jest trochę głodny - i już zaczął rozglądać się za teksaskim grillem, gdy poczuł, że jego palmtop wibruje w kieszeni. Melissa,

przeczytał na wyświetlaczu. Dzwoni przed snem. Kiedy jednak przyłożył telefon do ucha, usłyszał warkot silnika samochodowego i - w tle - śpiew Catriony.

- Kochanie - zaczął szybko, zanim zdążyła się odezwać. - Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

- Byliśmy w samolocie.

Uciekła z dyrygentem i zabrała jego dziecko, pomyślał w pierwszej chwili.

- Gdzie jesteście? - zapytał spokojnie, spodziewając się kłamstwa.

- Właśnie wyjeżdżamy z El Paso.

Zamilkł, żeby to ogarnąć.

- Jak to? Nie rozumiem.

- Już jesteśmy w drodze. Zaczęła się przerwa semestralna, Lenočka zajmie się sklepami, a Catriona i ja chcemy o czymś z tobą porozmawiać.

- O czym? - zapytał, czując niejasny przypływ poczucia winy. Co takiego znowu zrobił?

- Zadzwoiła kobieta, która przedstawiła się jako Darlene, i powiedziała, że bierze ślub. Zanim do tego dojdzie, twoja córka i ja chciałybyśmy zamienić z tobą słówko.

Ach tak. W jego pamięci przypominało to mglisty, zapomniany sen, ale rzeczywiście zdarzyło się coś takiego przed kilkoma tygodniami. Darlene później nie wspominała o tym.

- Melisso - zaczął - wierz mi, nie ma w tym prawdy. - Jakby mówiąc to, mógł ją zawrócić z drogi i uratować wieczór.

- Poczekaj, tym wyjściem... - powiedziała do córki. - Musisz jeszcze o czymś wiedzieć. Terry.

- Tak?

- On nie istnieje. Wymyśliłam go. Żeby ratować twarz, ale to było głupie. Tylko pogorszyło sprawę.

- Rozumiem - odparł Beard.

I rzeczywiście rozumiał. Wymyśliła Terry'ego i teraz on miał to samo powiedzieć o Darlene. Usłyszał w tle śpiew czy okrzyki Catriony.

- Zobaczymy się niebawem - zakończyła Melissa. - Jesteś nasz. - I rozłączyła się.

Nie ruszył się z miejsca, stał oparty o słup podtrzymujący głośnik. Dzięki Bogu, nie nadawano żadnej muzyki. Teren wokół niego powoli pustoszał, w miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi; ludzie kończyli swoją zmianę i szli na parking. Przypomniał sobie, jak któregoś upalnego popołudnia po kilku drinkach kochali się z Darlene, klimatyzacja nastawiona była na najwyższy poziom, telepała się jak szalona. Chwilę przed tym, jak

doszedł, Darlene chwyciła go za jaja i zapytała, czy się z nią ożeni, a on odpowiedział, czy raczej wrzasnął, że tak. Pewnie zrobił to pod wpływem ekstazy, w zapamiętaniu. Jak mógł, skoro nawet nie ożenił się z Melissą? Kto zresztą potraktowałby serio obietnice faceta w takim momencie? Darlene jednak odkryła, że prowadził drugie życie, i jak śmiały gracz próbowała to wykorzystać. Można się było tego spodziewać. Historia stara jak świat.

Beard sięgnął po kluczyki do samochodu; ich uspokajająca masywność symbolizowała te wszystkie mile, jakie chciał pokonać, zostawiając za sobą Lordsburg. Dobrze by było wynieść się stąd, znaleźć sobie kwatery przy międzystanowej w Deming, umknąć przed Darlene i Melissą na cały dzień, żeby skupić się na czekającym go historycznym wydarzeniu, i dopiero potem stawić im czoło, razem albo oddzielnie. Wszystko, tylko nie spotkanie tego wieczora. Gdy jednak odwrócił się, żeby pójść do samochodu, poczuł wielki żal, że straci obiecaną godzinę z Darlene. Frakcje parlamentarne w jego duszy ożyły. Eloquentny głos doświadczenia przekrzykujący zgilek całej reszty podpowiadał, że jeśli odmówi sobie długo oczekiwanego spełnienia, odbije się to na jego koncentracji. Ale zignorował ten głos. Czasami człowiek musi ponosić ofiary, w imię nauki, dla dobra przyszłych pokoleń.

Jednakże decyzja została podjęta za niego. Przeszedł zaledwie trzydzieści kroków, gdy usłyszał, że ktoś go woła. Darlene wyszła spod daszka nad teksaskim grillem w alejkę, jakies sto jardów dalej, i biegła ku niemu niezgrabnie, z rozpostartymi ramionami. Poczul ulgę. Pojadą prosto do hotelu. Siła wyższa.

Z jakiegoś powodu nie zapytała go, dlaczego szedł w niewłaściwym kierunku. Ruszyli pod ramię alejką z zielonymi latrynami w stronę parkingu. Kiedy tam doszli, uznała, że lepiej będzie, jeśli zostawi swój samochód i pojedzie z nim. Nie przychodził mu do głowy żaden powód, dla którego miałby się sprzeciwić, poza tym, że będzie skazany na jej towarzystwo nie tylko przez całą noc, ale i rano. Ale pewnie właśnie o to jej chodziło. Gdy jechali w stronę Lordsburga, położyła mu lewą rękę na kolanie i pieściła go całą drogę, opowiadając jednocześnie, co mu robi, gdy znajdują się na miejscu. Nie mógł już myśleć o niczym innym, gdy skręcał do hotelu i zajeżdżał pod znajomy pokój. Jak robot wszedł do recepcji, żeby się zameldować. I wkrótce, podnieceni, złożyli swoje nagie okrągłe ciała na chłodnej pościeli za zamkniętymi na dwa zamki drzwiami. Przed zaledwie dziesięcioma laty, kiedy jeszcze myślał, że uratują go ćwiczenia fizyczne, byłby przerażony swoją formą, potrójnym podbródkiem i pełnym wałeczków ciałem kobiety, którą pieścił, a także słodką wonią skoszonej trawy dobywającą się spod jej pach, z krocza i zgięć kolan, mocno pofałdowanych rejonów, rzadko wystawianych na świeże powietrze czy światło. A jednak wszystko to wciąż

działało na niego podniecająco. Była szczodłą i pomysłową kochanką, która lizała, ssała i głaskała, i wilgotna oddała mu siebie, ale kiedy przyszedł wreszcie ten moment, pamiętał, żeby nie dać się wmanewrować w małżeństwo.

Później leżeli obok siebie. Darlene wsparła swoje ciężkie ciało na łokciu i patrząc na niego z czułością, zaczęła bawić się jedną z niewielu kępek włosów, jakie zostały mu za uszami. Miał zamknięte oczy.

- Michaelu? - szepnęła. - Kochanie?

- Uhm?

- Mówiłam ci już, że cię kocham?

- Tak... - Myślał z dziwną jasnością o swoim starym przyjacielu, fotonie, i pewnym szczególnie w notatkach Toma Aldousa dotyczącym przemieszczania się elektronu. Może istnieje niedrogi sposób udoskonalenia drugiej generacji paneli. Po powrocie do Londynu odkurzył tę teczkę. Powtórzył z zadowoleniem: - Tak.

- Michaelu?

- Uhm?

- Kocham cię. I wiesz co?

- Uhm?

- Należysz tylko do mnie, nie oddam cię nikomu.

Otworzył oczy. Zawsze niepokoiło go, że kobiety po seksie nie mogą wyzwolić się ze swoich osobowości sprzed seksu, że potrafią zamęczyć człowieka swoją czułością. On natomiast rozkoszował się ponownym odkrywaniem swojego ja, którym nie dzielił się z nikim, kultywowaniem tej intymnej części stanowiącej istotę mężczyzny - czy to nie śmieszne? - czyli embrionu. Jeszcze dziesięć minut wcześniej czuł, że należy do niej. Teraz myśli, że mógłby do kogoś należeć, że w ogóle ktoś może być czyjąś własnością, była dla niego nie do zniesienia.

Oburzył się.

- Dzwoniłaś do Melissy.

- Jasne, że tak! I to nieraz.

- I powiedziałaś jej, że chcemy się pobrać?

- A żebyś wiedział.

Wciąż była zupełnie naga, ale skądś wzięła gumę - nigdy nie żuła jej, gdy się kochali - i zamazyście poruszała szczękami. Jednocześnie uśmiechała się do niego łagodnie, czekając na jego wybuch. Najwyraźniej dobrze się bawiła.

- Skąd znasz jej numer telefonu? - Nieistotna kwestia, ale denerwowało go jej

zadowolenie.

- Michaelu! Dzwoniłeś do niej ode mnie z przyczepy, gdy byłem w pracy. Myślisz, że nie widać tego na rachunku?

Już miał odpowiedzieć, gdy się zaśmiała i chwyciła go za łokieć.

- Wiesz, co się stało, gdy zadzwoniłam pod ten numer pierwszy raz? Odebrała mała dziewczynka, więc żeby się upewnić, zapytałam: „Kotku, mogę rozmawiać z tatusiem?”. I wiesz, co odpowiedziała?

- Nie.

- „Tatus ratuje świat w Lordsburgu”. I to poważnie. Urocze, no nie?

Nie mógł dłużej prowadzić tej rozmowy na golasa. Poszedł do łazienki i wziął szlafrok, a kiedy wrócił, ze zdziwieniem zobaczył, że zaczęła się ubierać. Wciąż była w świetnym humorze. Usiadł na fotelu przy łóżku i patrzył, jak wkłada spódnice, a potem, stękając, pochyla się, żeby włożyć buty.

Odezwał się w końcu:

- Darlene, musimy sobie coś wyjaśnić. Nie pobierzemy się.

Odpowiedziała, upinając włosy przed lustrem obok telewizora:

- Muszę skoczyć do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Wieczorem pracuję przez godzinkę w szkole. Ale nie martw się. Nicky za dziesięć minut kończy robotę w aptece i mnie podrzuci.

Była gotowa do wyjścia. Podeszła i usiadła obok niego na skraju łóżka. Uśmiechnęła się smutno i poklepała go po kolanie. Zrobiło mu się żal, że zaraz sobie pójdzie. Czy miał ochotę na taką potężną kobietę, bo dzięki temu zaspokajał miłość własną? Jego życie przypominało równię pochyłą, od Maisie do Darlene.

- Posłuchaj mnie - zaczęła. - Jest parę rzeczy, o których powinieneś wiedzieć. Po pierwsze, nie jesteś takim dobrym człowiekiem, tak jak i ja. Po drugie, kocham cię. Po trzecie, zawsze podejrzewałam, że jesteś żonaty. Nie mówiłeś o tym, ja nie pytałam. Oboje jesteśmy dorośli. Po czwarte, gdy rozmawiałam z Melissą, zorientowałam się, że nie jest twoją żoną. Po piąte, zdarzało się, że gdy się kochaliśmy, mówiłeś coś o ślubie. Więc, po szóste, postanowiłam. Weźmiemy ślub. Będziesz się wrywał i krzyczał, ale jestem zdecydowana. Poskromię cię. Nie uciekniesz mi, panie noblisto. Wsiadłeś do dylizansu, który odjechał!

Była taka radosna, tak beznadziejnie pełna wiary i ufności. Po amerykańsku. Zaczął się śmiać i ona też się zaśmiała. Pocałowali się raz i drugi, bardziej namiętnie.

- Jesteś cudowna - powiedział - ale nie ożenię się z tobą. Ani z nikim innym.

Wstała i wzięła torebkę.

- Hm, no to ja wyjdę za ciebie.

- Zostań jeszcze trochę. Odwiozę cię do domu.

- Nie, nie. Już się ubrałam. A poza tym bym się spóźniła. Znam cię dobrze.

Przed drzwiami posłała mu pocałunek i wyszła.

*

Pozostał w fotelu. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Hammera i nie zapytać, jak poszło spotkanie z prawnikiem. Uznał jednak, że łatwiej mu będzie rozmawiać, gdy przedtem weźmie prysznic. Pomyślał też, że mógłby obejrzeć lokalne wiadomości telewizyjne, aby sprawdzić, czy mówią w nich o projekcie, ale pilot znajdował się pod poduszką, jedną z wielu, po drugiej stronie łóżka, a nie chciało mu się wstać, jeszcze nie teraz. Czuł się ociężały i przyszło mu do głowy, że dobrze by było przenieść się - albo zostać przewiezionym na szpitalnym łóżku - do innego pokoju, w którym łóżko byłoby pościelone, jego ubrania nie zsuwałyby się z krzesła, a zawartość walizki nie walałaby się po całej podłodze. Ale to niemożliwe. Jego miejsce było tutaj, w tym świecie. Postanowił więc wziąć prysznic. Nie wstał jednak. Pomyślał o Melissie i Catrionie, które jechały już międzystanową w stronę zachodu słońca, i o tym, że wykazał się przezornością, nie mówiąc Darlene o ich przyjeździe. Na pewno chciałyby, żeby wszyscy poszli razem na kolację i porozmawiali o przyszłości. Zaczął się zastanawiać, gdzie zatrzyma się Tarpin, a potem przypomniał sobie, że powinien cieszyć się perspektywą czekającego go nazajutrz doniosłego wydarzenia, co znowu przywiodło mu na myśl Hammera. Sennie wrócił do rozważań o komplikacjach, jakie mógł przynieść wieczór, kiedy usłyszał głośnie walenie czy kopanie w drzwi; ze strachu zerwał się z fotela i poczuł ból w piersi. Na tym się jednak nie skończyło - po chwili rozległy się kolejne dwa uderzenia w cienką sklejkę.

- No dobrze! - zawołał. - Już idę.

Gdy otworzył drzwi, do pokoju motelowego wdarło się suche, gorące powietrze, zalatujące asfaltem, i na tle pomarańczowego nieba ukazała się sylwetka Hammera, za którym stała wysoka postać w garniturze.

- Nie będę nawet pytał o pozwolenie - bezbarwnie oświadczył Hammer. - Wchodzimy.

Beard wzruszył ramionami, odsuwając się do tyłu. Dlaczego miałby przepraszać za bałagan?

Hammer wydawał się blady, twarz miał stężałą. Głosem równie bez wyrazu dokonał prezentacji:

- Pan Barnard, pan Beard. - Zwykle przed nazwiskiem Beard dodawano „profesor”.

Beard podał mężczyźnie rękę, wskazał niezaścielone łóżko, jedyne miejsce, gdzie można było usiąść, i wrócił na fotel. Barnard, który miał z sobą aktówkę, starannie wygładził dłonią pościel, bojąc się nie bez powodu, aby ludzkie wydzieliny nie pobrudziły mu szarego jedwabnego garnituru. Hammer usiadł obok niego i wszyscy trzej pochylili się ku sobie jak dzieci spiskujące w sypialni w deszczowe popołudnie.

Barnard, potężny mężczyzna o wzroście co najmniej sześciu stóp i trzech cali, szerokiej piersi, wręcz rozsadzającej koszulę, kwadratowych szczękach i cienkich ustach, w okularach z masywnymi oprawkami, kiedy złączał kolana i stawiał na nich teczkę, robił wrażenie łagodnego faceta w ciele twardziela, bardziej w typie Clarka Kenta, jakby przepraszającego za to. Toby, który siedział przy nim, wydawał się bardzo poruszony. Ręka trzęsła mu się jak w powieści, przełykał z trudem, głośno, poruszając grdyką. Była to jedna z tych sytuacji, gdy raczej powinien konspiracyjnie albo szyderczo spojrzeć Beardowi w oczy. Ci prawnicy! On jednak unikał wzroku kolegi. Zamiast tego patrzył na swoje złożone ręce.

- Michaelu, sprawa wygląda kiepsko - powiedział w końcu.

Barnard w milczeniu pokiwał głową z ubolewaniem i odczekał chwilę, a potem zapytał trochę zbyt wysokim głosem jak na swoją budowę:

- Mam zacząć? Panie Beard, jak pan wie, moja firma dostała zlecenie z Anglii w sprawie różnych patentów, jakie panu przyznano. Oszczędzę panu terminologii prawniczej. Chcemy dojść do porozumienia, szybko i na rozsądnych zasadach. Na razie prosimy, żeby odwołał pan jutrzejszą uroczystość, ponieważ zaszkodziłaby interesom naszego klienta.

Oczami wyobraźni, niczym kamera na wysięgniku, Beard zaczął przeglądać mieszkanie przy Dorset Square, szukając teczek, w których znajdowały się jego dawne umowy o pracę. Jednocześnie zapytał z uprzejmym uśmiechem:

- A o co chodzi?

- Słodki Jezu - jęknął Hammer.

- W dwutysięcznym roku mój klient osobiście sporządził kopię trzystudwudziesiosiedmiostronicowego dokumentu, który jak wiemy, znajduje się w pańskim posiadaniu. Dokument ten wyszedł spod ręki pana Thomasa Aldousa niedługo przed jego śmiercią, gdy był zatrudniony w National Centre for Renewable Energy pod Reading w Anglii. Kopię tę zbadali godni zaufania eksperci w swojej dziedzinie, czołowi fizycy, między innymi profesor Pollard z Newcastle University, którzy także zapoznali się z pańskimi wnioskami patentowymi. Na podstawie ich orzeczenia, którego fragmenty przedstawiłem obecnemu tu panu Hammerowi, mamy powody przypuszczać, iż te wnioski oparte były nie na

pańskiej pracy badawczej, ale na odkryciach pana Aldousa. Kradzież własności intelektualnej na taką skalę to poważna sprawa, panie Beard. Prawowitym właścicielem odkryć pana Aldousa jest ośrodek. Tak wynika z warunków jego umowy o pracę, co może pan sam przeczytać.

Beard wciąż miał na twarzy pełen zainteresowania życzliwy uśmiech, ale przyjął tę groźbę czy zapowiedź komplikacji nieprzyjemnie przyspieszonym biciem serca przypominającym synkopowany rytm, które nie tyle przyćmiło mu świadomość, ile całkowicie go jej pozbawiło, i przez chwilę miał wrażenie, że zaraz zemdleje.

Potem jednak serce się uspokoiło, Beard wrócił do siebie i odpowiedział rzeczowym tonem.

- Odwołanie jutrzejszej uroczystości wysoce zaszkodziłoby naszym własnym interesom, a także interesom miejscowej społeczności, i nie wchodzi w rachubę. Poza tym jest już fizycznie niemożliwe. - Pochylił się konfidencjonalnie. - Próbował pan kiedyś odwołać pokaz lotniczy amerykańskich sił powietrznych, panie Barnard?

Nikogo to nie rozbawiło.

Beard ciągnął:

- Druga sprawa. Jeśli dobrze pamiętam, na teczce z notatkami Toma Aldousa widnieje adnotacja: „Poufne”. Do wyłącznej wiadomości profesora Bearda. Zdaje się, że doszło tu do nadużycia. I trzecia sprawa, przed śmiercią pan Aldous pracował razem ze mną nad sztuczną fotosyntezą. Przychodził do mojego domu, i to tak często, że... jak wszyscy wiedzą... nawiązał romans z moją żoną. Podczas wspólnej pracy ja zajmowałem się stroną koncepcyjną, a Tom notował. W czasach demokracji, panie Barnard, nauka pozostaje wciąż zhierarchizowana, nie można zaprowadzić w niej równości. Wymaga zbyt dużej wiedzy, doświadczenia. Starsi naukowcy, zanim zidiocieją, wiedzą więcej według obiektywnych, mierzalnych norm. Aldous był zaledwie doktorem. Można by powiedzieć, że pełnił funkcję mojego kopisty. I dlatego zawartość teczki przeznaczona była dla mnie, a nie dla kogo innego. Mam dziesiątki, jeśli nie setki, własnych notatek dotyczących tych samych zagadnień, wszystkie są starannie opatrzone datami, i to wcześniejszymi niż te, które widnieją w zapiskach Aldousa. Jeśli chce pan zrujnować budżet ośrodka i pójść z tym do sądu, chętnie je udostępnię. Ale pokryje pan moje koszty, a ja się zastanowię, czy nie wnieść sprawy przeciwko panu Braby'emu o zniesławienie.

Toby Hammer, do tej pory zgarbiony, wyprostował się trochę i w jego oczach, gdy patrzył na kolegę, pojawiła się nadzieja, jeszcze nieśmiała.

Prawnik odpowiedział poprzednim tonem:

- Mamy listy, które pan Aldous pisał do ojca. Relacjonował w nich swoje pomysły i wyraził zamiar przedstawienia ich panu w tej teczce. Chciał, żeby użył pan swoich wpływów i uzyskał dotacje na dalsze badania. Wiemy z wielu źródeł, że pańskie zainteresowania ograniczały się wtedy do konstrukcji nowego typu turbiny wiatrowej.

- Panie Barnard - powiedział Beard głosem łagodnym, ale pobrzmiewała w nim nuta stanowczego upomnienia. - Całe życie poświęciłem światłu. Od dwudziestki, kiedy to nauczyłem się na pamięć wiersza Milтона o takim tytule. Dwadzieścia pięć lat temu otrzymałem Nagrodę Nobla za modyfikację teorii Einsteina z zakresu fotowoltaiki. Niech mi pan nie mówi, czy moje zainteresowania ograniczają się, czy też ograniczały, do turbin wiatrowych. Jeśli chodzi o listy Toma, nie byłby pierwszym ambitnym młodym człowiekiem, który chce się pochwalić swoimi osiągnięciami przed ojcem wciąż łożącym na jego utrzymanie.

Beard otulił się szlafrokiem i uspokajająco skinał głową w stronę Hammera.

Barnard nie ustępował. Po prostu przeszedł do następnego punktu.

- To nie jest najważniejsze dla naszej sprawy, stanowi tylko jeden z dowodów. Mamy zapis pańskiego wystąpienia w hotelu Savoy w Londynie, w lutym dwa tysiące piątego roku. Odkryliśmy, że zostało zaczerpnięte z notatek znajdujących się w teczce pana Aldousa.

Beard wzruszył ramionami.

- A one zostały zaczerpnięte ode mnie.

- Dysponujemy także - ciągnął Barnard - zapiskami pana Aldousa sprzed czasów, gdy panowie się poznali. Świadczą one o jego głębokim zainteresowaniu globalnym ociepleniem, ekologią, poszukiwaniem odnawialnych źródeł energii i innymi kwestiami, które potem podjął w swoich badaniach. I zanim powie mi pan, panie Beard, że jakimś sposobem musiał je uzyskać od pana, mimo że panowie się nie znali, powinien pan wiedzieć, że nasza kancelaria dotarła do wszystkich pańskich przemówień publicznych, wypowiedzi radiowych, wywiadów prasowych i telewizyjnych, komentarzy czy wykładów na uczelniach, i nie ma w nich nic, co by wiązało się ze sztuczną fotosyntezą. Ani razu nie wspomniał pan też o zmianie klimatu ani o energii odnawialnej w miesiącach i latach poprzedzających śmierć pana Aldousa, dopóki jego teczka nie weszła w pańskie posiadanie. Czyż nie tego należałoby się spodziewać po takiej osobie publicznej jak pan, która dokonuje przełomu w tej dziedzinie, prawda, panie Beard?

Hammer przygarbił się znowu i Beard w końcu się wściekł. Co ten groteskowy facet robi w tym pokoju, siedząc sztywno na łóżku, na którym spoczywało przed kilkoma minutami kształtne ciało Darlene? Beard zerwał się na nogi, jedną ręką przytrzymując szlafrok, żeby

osłonić wstydlive partie, a drugą machając przed twarzą Barnarda.

- Zmiana klimatu? Jakoś zapomniał pan, że zostałem szefem ośrodka, zanim jeszcze poznałem Toma Aldousa. Nie wygra pan tej sprawy, nie dostanie honorarium, co, panie Barnard? Chce się pan wzbogacić? Proszę przekazać moją odpowiedź panu Braby'emu. Niech mu pan powie, że potrafię rozpoznać żalostnego oportunistę, gdy mam go przed sobą. Dokonał tu czegoś wspaniałego i wydaje mu się, że może się pod to podczepić. W dodatku jest na tyle głupi, aby liczyć, że sąd uwierzy, iż coś takiego mógł wymyślić samodzielnie zwykły doktorant. Jutro nasz zakład zacznie zaopatrywać Lordsburg w tanią czystą energię. Niech pan powie panu Braby'emu, że może to obejrzeć w telewizji, a my zobaczymy się z nim w sądzie!

Barnard także wstał i przycisnął walizeczkę do piersi. Pokręcił głową, a kiedy się odezwał, w jego głosie pojawił się ostrzejszy ton, oburzenia i dumy jednocześnie.

- Powinien pan jeszcze o czymś wiedzieć. Nie ma już pana Braby'ego. W zeszłym miesiącu były urodziny królowej, która z tej okazji nadała mu tytuł szlachecki. Pan Braby to teraz sir Jock Braby.

Beard jęknął ze zniecierpliwieniem i demonstracyjnie uderzył się dłonią w czoło. Ale w oczach Hammera pojawiło się przerażenie. Jeśli Braby miał po swojej stronie królową Anglii, to chyba stracili wszelkie szanse w angielskim sądzie?

Beard wyjaśnił mu:

- To wszystko bzdury, Toby. Nie słuchaj. Istnieje coś takiego jak honorowa lista urodzinowa królowej. Nie sporządza jej ona sama, głównie o niej wie, ale oni wszyscy robią w gacie, żeby się na niej znaleźć, każdy dupek z dziedziny nauki, sztuki czy służby cywilnej, który chce obnosić się z tytułem szlacheckim wśród znajomych i kolegów z pracy, liczy, że zostanie uznany za arystokratę!

Po tym wybuchu nastąpiła cisza, potem Barnard westchnął i obszedł łóżko, kierując się do drzwi.

- Mam rozumieć, panie Beard, że Jej Królewska Mość nie miała możliwości wytypować pana?

Beard odparł sucho:

- Nie jestem upoważniony, aby o tym rozmawiać.

Barnard opuścił aktówkę, tak że zadyndała u jego boku.

Toby wstał. Barnard oświadczył:

- Cóż, w imieniu sir Jocka Braby'ego i National Centre for Renewable Energy chcę ostatni raz postawić sprawę jasno. Jeśli zgodzicie się, panowie, odwołać jutrzejszą imprezę i

zrewidować kwestię własności patentów, przekonacie się, że jesteśmy życzliwymi partnerami, którzy z pewnością znajdą dla was miejsce przy wdrażaniu technologii należącej prawnie do ośrodka. Jeżeli nie, jak najszybciej udamy się do sądu, żeby zamrozić wszystkie poczynania, dopóki sprawa nie zostanie rozpatrzona.

Hammer, który zwrócił się do Bearda, wyglądał, jakby zaraz miał paść na kolana.

- Michaelu, to może potrwać z pięć lat.

Beard pokręcił głową.

- Nie, Toby. Nie zgadzam się.

Barnard dodał:

- Rząd brytyjski dysponuje środkami, przynajmniej na użytek tej sprawy. Zależy mi, żeby ośrodek odzyskał patenty i żeby można było pochwalić się tym przed podatnikami.

Hammer chwycił Bearda za poły szlafroka.

- Posłuchaj, jesteśmy winni wiele pieniędzy. Nikt nie zechce z nami współpracować, dopóki ta afera się nie wyjaśni. Nie stać nas na adwokatów.

- Włożyliśmy w ten projekt tyle pracy - zauważył Beard, odsuwając rękę Hammera. - Jeżeli teraz się wycofamy, będziemy mogli uważać się za szczęśliwców, jeśli ktoś zechce nas zatrudnić do sprzątnięcia kibli.

- Panowie - odezwał się Barnard. - Na pewno możemy zaoferować wam coś lepszego. Pan Hammer ma rację. Kiedy wiadomość o postępowaniu sądowym dotrze do mediów, ludzie nie zechcą robić z wami interesów. A chyba nie chcielibyście jutro kompromitacji.

- Mówię jak najuprzejmiej - oświadczył Beard. - Proszę wyjść.

Nieznacznie zaciskając usta, Barnard odwrócił się i otworzył drzwi. Pomarańczowa pustynia nad jego ramieniem przechodziła w żółć, a następnie w jaskrawą zieleń.

Hammer, zazwyczaj spokojny, zawołał piskliwym głosem:

- Michaelu, nie kończmy tak tej rozmowy! Panie Barnard, proszę zaczekać, wychodzę z panem.

Prawnik skłonił głowę z żalem.

- Oczywiście, ale przede wszystkim chcemy uzyskać podpis pana Bearda. - I wyszedł w zmrok. Hammer wybiegł za nim. Drzwi się zatrzasnęły i Beard usłyszał głosy obu mężczyzn oddalających się parkingiem, przy czym Toby zaczął mówić głośniej, błagalnie, prosił o czas, a potem zamilkł pod wpływem niewyraźnej stanowczej odpowiedzi Barnarda.

Beard siedział zgarbiony w fotelu, tak jak poprzednio; wciąż zastanawiał się, czy nie pójść pod prysznic. Ten epizod wydawał się przedstawieniem odegranym na jego użytek. Przez chwilę nie zdawał sobie sprawy z implikacji. Miał tylko wrażenie, że na jego drodze

wyrósł wysoki mur, który zasłaniał mu widok. Był otepiały. Myślał tylko o tym, że za niecałą godzinę przyjadą Melissa i Catriona i że powinien się ubrać na spotkanie z nimi. Po dłuższej chwili jałowej beczynności udał się wreszcie do łazienki, wszedł pod prysznic i stał bezmyślnie, ledwie świadomy, pod gorącą wodą, która spływała mu na głowę. Usłyszał coś, wystawił głowę z kabiny i zaczął nasłuchiwać. Dobiegło go głośne pukanie do drzwi, potem następne. Zapadła cisza, wtedy zadzwonił jego palmtop leżący na stoliku nocnym przy łóżku, po czym znowu rozległo się pukanie, tym razem bardziej natarczywe. Hammer zawołał kilka razy. Pewnie chciał wejść i przekonać go, żeby przystał na warunki Braby'ego.

Beard wrócił pod prysznic i kiedy upewnił się, że kolega wreszcie dał za wygraną, wyszedł i zaczął się wycierać. Gorąca woda zrobiła swoje. Czuł się odświeżony i ogarnął sytuację. Wszystko zależy od podejścia. Nie wolno odwołać jutrzejszego otwarcia. Może pozbawiono ich satysfakcji, ale świat zobaczy, czego dokonali. On sam wystąpi w chwale. Albo jeszcze lepiej - namówi kogoś z forszą, żeby wsparł go podczas procesu w zamian za udziały. Najważniejsi goście byli już w hotelach w El Paso, niektórzy mieli przyjechać od strony Silver City. Wезде słońce, panele zaczną wytwarzać z wody gazy, a one uruchomią ogniwa, popłynie prąd, świat na pewno będzie pod wrażeniem. Nic nie może zakłócić składanki Beatlesów i ryku przelatujących nisko odrzutowców.

Przepasany ręcznikiem, pogwizdując *Yellow Submarine*, Beard wrócił do pokoju, pogrzebał w walizce i wydobyl koszulę; wyjął ją z pralnianego celofanu i tektury. Szelest plastiku przypomniiał mu o czymś jeszcze, co przywracało do życia, o jedzeniu. Zrezygnowawszy z brunchu i zastąpiwszy go lunchem, poczuł głód, który zamierzał zaraz zaspokoić. Znalazł czystą bieliznę i skarpetki - dziwnie pomyśleć, że kiedyś był w stanie włożyć skarpetki na stojąco - a następnie wyjął swój najlepszy niegniotaący się garnitur. Oczywiście ubierał się dla Melissy. Z myślą o niej - jednocześnie spryskując się wodą kolońską przed lustrem - wrócił do pokoju i starannie pościelił łóżko. Z kolei na myśl o Darlene i o tym, gdzie wszyscy będą spali i co na to powiedzą, coś się w nim zbuntowało jak znarowiony koń i podryfował myślami w innym kierunku. Czyli alkoholu. W restauracji po drugiej stronie drogi go nie podawano. Z wewnętrznej przegrody walizki wyjął srebrną piersiówkę w cielejącej skórze, w której miał holenderski gin Genever; nadawał się do picia w temperaturze pokojowej i smakował jak woda. Beard pociągnął łyk i włożył piersiówkę do kieszeni. Zatrzymał się przed drzwiami i wypił jeszcze jeden łyk, po czym wyszedł.

Zawsze delectował się takimi chwilami - choć nie na Wyspach Brytyjskich - kiedy odświeżony, wyperfumowany i w czystym ubraniu wychodził z klimatyzowanego pomieszczenia w niezawodnie ciepłe wieczorne powietrze gdzieś na południu. Nawet w

nienaturalnym blasku, jakim świecił lordsburski pas startowy, grały cykady czy świerszcze - nigdy nie wiedział, na czym polega różnica między nimi. Nic nie było w stanie ich powstrzymać, żadne pieniądze. Nie dało się też usunąć czy przekupić starannie wytrawionego księżycyca w kwadrze, który wisiał nad stacją benzynową.

Tego wieczora jednak nie mógł się tym wszystkim cieszyć. Trzydzieści stóp od drzwi jego pokoju motelowego stał czarny lexus, do którego wsiadał Barnard. Po stronie pasażera sterczał Tarpin, z tą samą torbą u stóp co poprzednio, i też miał właśnie wsiąść do samochodu. Gdy otwierał drzwi, zauważył Bearda i uśmiechnął się półgębkiem, przesuwając ręką po szyi w geście podrzynania gardła. Rozległ się warkot silnika, zapaliły się reflektory, Tarpin podniósł torbę i wsiadł, samochód zawrócił i wyjechał z parkingu. Beard, zdezorientowany, patrzył za nim i nie ruszył się z miejsca, nawet gdy stracił go z oczu. Potem wzruszył ramionami i wstąpił do recepcji motelu z prośbą, aby powiedziano Melissie, gdzie można go znaleźć, następnie przeciął drogę i wszedł do Blooberry już w lepszym nastroju. Nie zamierzał się poddać.

Jego zdaniem w całych Stanach Zjednoczonych nie było lepszej ani weselszej knajpki niż Blooberry Family Restaurant, która specjalizowała się w stekach na śniadanie. Jako nieskłonny do refleksji ateista nie mógł nie zwrócić uwagi na pouczające broszury menonitów, które leżały na stoliku przy wejściu. *Szczęśliwy dom, Udane małżeństwo* czy bliżej jego własnej dziedziny *Troska o Ziemię*. Przy kasie znajdował się sklep z upominkami, w którym w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy kupił kilkanaście koszulek dla Catriony. Sala restauracyjna była duża, wszystkie kelnerki sprawiały wrażenie bliskich kuzynek, wesołych kuzynek, Darlene. Jadali tu gliniarze po służbie, policjanci ze straży granicznej, kierowcy ciężarówek i wszyscy inni podróżujący autostradą stanową, o podkrążonych oczach, którzy siedzieli sami, no i oczywiście rodziny, Hiszpanie, Azjaci, biali, często w licznych grupach, siedzący przy trzech, czterech zsuniętych razem stołach. Ale nawet z kompletem gości Blooberry było spokojnym, nobliwym miejscem, przypominającym kogoś, kto marzy o drinku. Łatwo tu było zachować anonimowość. Nikt z pogodnych pracowników nigdy nie dał mu do zrozumienia, że rozpoznaje w nim stałego klienta. Tuż obok przebiegała autostrada międzystanowa numer 10 i stale panował tu ruch.

Lubił serwowane w Blooberry jedzenie. Gdy czekał, żeby wskazano mu miejsce, od razu zdecydował, co zamówi - zawsze jadł tu to samo. Nie było sensu eksperymentować. Zaprowadzono go do przedziału w najdalszym kącie sali. Żeby skrócić czas oczekiwania na przekąskę, nalał sobie do pustej szklanki porządną ilość ginu, wypił jak wodę i dołał znowu. Sprawy wyglądały fatalnie, ale nie był w złym nastroju. Przynajmniej koniec z Terryem. A

może to wcale nie tak dobrze? Melissa i Darlene, ale się porobiło. Nie chciał jednak o tym myśleć, nie był do tego zdolny. Później stawi temu czoło. I biedny Toby. Wiedział, że powinien do niego zadzwonić, wyjaśnić, dlaczego pokaz musi się odbyć, ale w tej chwili nie miał ochoty na kolejną kłótnię.

Żeby nie myśleć o jedzeniu, które zamówił - czekał już piętnaście minut, choć zwykle trwało to nie dłużej niż pięć - przejrzał e-maile i znalazł kilka informacji, które przyjął niemal okrzykiem radości. Po pierwsze, dostał sondażowy list od starego znajomego, byłego fizyka, który pracował obecnie jako konsultant w Paryżu. Konsorcjum zrzeszające potężne firmy pragnęło, aby Beard ze swoim „bogatym doświadczeniem w dziedzinie technologii ekologicznych objął kierownictwo nad działaniami propagującymi wykorzystanie wolnej od dwutlenku węgla energii jądrowej”. Z propozycją tą wiązała się sześciocyfrowa pensja, biuro w centrum Londynu, osoba asystenta i samochód służbowy. Cóż, oczywiście. Chętnie o tym pomówi. Poziom dwutlenku węgla w atmosferze stale wzrastał, a czas uciekał. Istniał tak naprawdę tylko jeden sprawdzony sposób wytwarzania energii elektrycznej na skalę zaspokajającą potrzeby rosnącej populacji świata, który byłby szybki i nie stwarzałby komplikacji. Wielu szanowanych ekologów doszło już do tego wniosku, że jedynym wyjściem jest energia jądrowa, czyli mniejsze zło. James Lovelock, Stewart Brand, Tim Flannery, Jared Diamond, Paul Ehrlich. Naukowcy i dobrzy ludzie, każdy z nich. Czy w nowej skali jakiś wypadek, miejscowy wyciek promieniotwórczy był aż taki straszny? I bez wypadków węgiel codziennie powodował istną katastrofę o globalnym zasięgu. Czyż dwudziestoosmiokilometrowy zamknięty pas wokół Czarnobyla nie stał się pod względem biologicznym najżyźniejszym i najbogatszym regionem w Europie Środkowej, przy prawie niewykraczającym ponad normę wskaźniku mutacji, jeśli chodzi o wszystkie gatunki flory i fauny? Zresztą czyż promieniowanie nie jest tylko formą światła słonecznego?

W drugim e-mailu proponowano mu wystąpienie na zjeździe ministrów spraw zagranicznych, COP 15, wielkiej konferencji dotyczącej zmian klimatycznych, która miała się odbyć w grudniu w Kopenhadze. Coś w sam raz dla niego - był idealnym kandydatem. Pojedzie tam. Wreszcie dostał przystawkę - ser pomarańczowej barwy, w grubej panierce z bułki tartej i soli, smażony w głębokim tłuszczu, z kremowym jasnozielonym dipem. Idealny i ta porcja! Gdy tylko kelnerki zniknęły z widoku, nalał sobie resztę ginu. Łapczywie przystąpił do jedzenia i gdy zabierał się do pierwszego z ostatnich trzech kawałków, zastanawiając się, czy pod panierką zamiast sera nie są grzyby, leżący obok talerza palmtop zaczął wibrować.

- Toby?

- Posłuchaj. Mam dla ciebie same fatalne wieści, ale właśnie dostałem najgorsze.

Beard odnotował powściąganą wrogość w głosie kolegi.

- Mów.

- Ktoś dostał się z młotkiem na teren z panelami. Wszedł między nie i porozbijał je wszystkie. W drobny mak. Straciliśmy katalizatory. Elektronikę. Wszystko.

Trudno to było pojąć. Beard odsunął od siebie talerz. To robota dla budowlańca. Ile Barnard mu zapłacił? Dwieście dolarów? Może nawet mniej.

- Co jeszcze?

- Nie zobaczymy się więcej. Nie mogę już na ciebie patrzeć, Michaelu. Ale powiem ci. Zamierzam wynająć w Oregonie prawnika. Będę się bronić przed długami, twoimi długami. Jesteśmy już winni, to znaczy, ty jesteś winien, trzy i pół miliona. Jutrzejsza ceremonia będzie kosztować następne pół miliona. Możesz tam pojechać i wytłumaczyć się przed tymi pocziwymi ludźmi. Poza tym Braby chce pozbawić cię wszystkiego, co masz i co będziesz miał. A w Anglii ojciec tego zabitego chłopaka przekonał władze, żeby wszczęły przeciwko tobie postępowanie, głównie pod zarzutem kradzieży i oszustwa. Nienawidzę cię, Michaelu. Okłamałeś mnie i jesteś złodziejem. Ale nie chcę, żebyś wylądował w więzieniu. Więc trzymaj się z dala od Anglii. Wyjedź do jakiegoś kraju, z którym nie macie umowy o ekstradycję.

- Coś jeszcze?

- Tylko to: zasłużyłeś na wszystko, co cię spotka. Więc pieprz się. - I w słuchawce zapadła cisza.

Tym razem nie ukrywał się z piersiówką, gdy wytrząsał z niej dwie ostatnie krople. Przed nim wyrosła kelnerka z pełnym talerzem. Była to poważna nastolatka z włosami spiętymi nobliwie w kucyk, na zębach miała aparat ortodontyczny z kolorowymi szklanymi paciorkami. Wiele kosztowało ją to, co musiała powiedzieć.

- Proszę pana? Nie wolno tu spożywać alko... alkoholu.

- Nie wiedziałem. Bardzo przepraszam.

Zabrała półmisek z trzema zimnymi już kawałkami sera i postawiła przed nim główne danie. Cztery płyty piersi kurczaka, bez skóry, poprzedzielane trzema cienkimi stekami, wszystko to owinięte w bekon, oblane miodowo-serowym sosem i podane z pieczonymi ziemniakami w mundurkach, z masłem i stopionym serem.

Patrzył na to przez dłuższą chwilę. Aby uniknąć ekstradycji, musiałby uciec, jak wszyscy inni, do Brazylii. A gdyby tak kupił bilet do Sao Paulo i został u Sylvii? To urocza kobieta, całkiem interesująca. Nie byłoby tak źle. Ale nie, to niemożliwe. Żeby uspokoić nerwy, wziął widelec i nóż, lecz jego wzrok przykuła plamka na wierzchu dłoni, czerniak.

Powiększyła się od czasu, gdy ostatni raz się jej przyglądał, a w jarzeniowym świetle Blooberry miała wściekłą purpurowobrazową barwę. Czy naprawdę jeszcze z tym musiał się zmierzyć, jakby mało miał problemów? Ale odsunął tę myśl od siebie. Samo przejdzie. Nie zamierzał też jechać nazajutrz na teren zakładu, żeby rozmawiać z rozwścieczonymi tłumami. Cóż, nie zbawi świata.

Odłożył sztuce. Pragnął tylko jednego - pójść do jakiegoś baru i usiąść w kącie ze szkocką w rękę. Do 4th Street miał niedaleko. Ale postanowił, że pojedzie samochodem. Już miał przywołać kelnerkę, żeby poprosić o rachunek, kiedy usłyszał, że przy wejściu zapanowało zamieszanie. Odwrócił się i zobaczył Melisę z rumieńcami na policzkach, w jednej ze swoich barwnych karaibskich sukienek w wielkie zielone kwiaty na czerwono-czarnym tle. Przeszła obok tabliczki z napisem: „Proszę czekać na wskazanie miejsca”, a obok niej, niespodzianka, podążała Darlene. Obie kobiety były wzburzone, wściekle i potargane, jakby na zewnątrz stoczyły bójkę. Teraz szukały jego. Kilka stóp przed nimi dreptała Catriona, z plecaczkiem w kształcie misia koala na ramionkach. Pierwsza dostrzegła ojca i pobiegła do niego, wołając coś niezrozumiale, gdy przemykała między stłoczonymi stolikami. Beard, wstając, poczuł w sercu nieznane uczucie i gdy rozkładał ramiona, żeby złapać córkę, pomyślał, że nikt by nie uwierzył, gdyby powiedział, że to miłość.

ZAŁĄCZNIK

Przemówienie profesora Nilsa Palsternacka z Królewskiej Szwedzkiej Akademii Nauk (przekład z języka szwedzkiego)

Wasza Królewska Mość, Wasze Wysokości, Panie i Panowie!

To, że widzicie mnie przed sobą, to zasługa odbierających światło fotopigmentów w waszych oczach. To, że wszyscy odczuwamy przyjemne ciepło mimo chłodnej pogody na ulicach Sztokholmu, zawdzięczamy lasom z epoki karbonu, które dzięki barwnikom występującym w liściach przyswajały podczas fotosyntezy światło i przetrwały w postaci złóż węgla i ropy naftowej. To tylko najprostsze przykłady tego, jaki wpływ na życie na Ziemi ma wzajemne oddziaływanie promieniowania i materii. Pod koniec lat czterdziestych Feynman i Schwinger dogłębnie zrozumieli fizyczne mechanizmy tego oddziaływania i w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym większość fizyków miała wrażenie, że to już zamknięty rozdział i że badania zjawisk fundamentalnych przeniosą się do innej skali: kosmicznej albo subatomowej. Czekala ich jednak niespodzianka.

Konferencja w Solvay to doniosłe wydarzenie dla fizyków. Podczas zjazdu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, w trakcie popołudniowej sesji, usłyszano okrzyk z końca sali. Zebrani zwrócili głowy w tamtą stronę i zobaczyli Richarda Feynmana, który trzymał plik kartek w dłoni. „Magia!” - zawołał, wyszedł przed audytorium, przeprosił mówcę i wkroczył na podium. Podczas pięciominutowego wykładu, któremu towarzyszyła żywa gestykulacja, wyjaśnił, jak od dawna nurtujący go problem został właśnie rozwiązany przez młodego naukowca Michaela Bearda.

Ta „magiczna chwila” w Solvay przeszła oczywiście do historii. Nietrudno zrozumieć, dlaczego odkrycia Bearda tak poruszyły Feynmana. Dowodziły, że pewne diagramy opisujące wzajemne oddziaływanie światła z materią wykazują nowy subtelny typ symetrii, która znacznie upraszcza obliczenia. W popularnym rozumieniu mechanika kwantowa opisuje to, co najmniejsze; i rzeczywiście, to prawda, tylko najmniejsze układy mogą zachować spójność, w tym sensie, że mogą pozostać w izolacji od otoczenia. Jednakże teoria Bearda

ujawniła, że procesy zachodzące podczas oddziaływania promieniowania z materią przebiegają spójnie w dużej skali w stosunku do rozmiaru atomów; co więcej, ich przebieg przypomina diagram przepływu danych dla złożonego układu, na przykład graficzny obraz funkcjonowania rafinerii ropy czy kolejne, logiczne moduły programu komputerowego. To zmieniło nasze rozumienie zjawiska fotoelektrycznego do tego stopnia, że mówimy obecnie o połączonej teorii Bearda-Einsteina - takie zestawienie nazwisk wywołuje ciarki na plecach każdego fizyka - która plasuje dokonania Michaela Bearda w prostej linii z rewolucyjną publikacją Einsteina z tysiąc dziewięćset piętego roku.

Feynman, ze swoim talentem popularyzatorskim, wymyślił sztuczkę, która miała zobrazować założenia tej teorii. Do tego celu potrzeba sześciu pasków albo sznurków, które, splecione z sobą, tworzą efektowną kratę. Sześć osób ujmuje potem po dwa wolne końce i ogląda splot. Każdy może się przekonać, że powstał węzeł, którego nie da się prześledzić ani rozsupłać, dopóki uczestnicy eksperymentu nie puszczą trzymanyh w rękach końców. Następnie wszyscy wykonują ze swoim sąsiadem coś, co przypomina obrót w tańcu country, operację, która zdaje się jeszcze bardziej gmatwać płataninę. Potem jednak, na dany sygnał, każdy pociąga za swoje końce i ku zdumieniu obserwatorów paski czy sznurki się oddzielają. Krata Feynmana stała się ulubioną sztuczką wykładowców fizyki i pewnie nie ma takiego studenta, który by nie brał w niej udziału, a część z nich podczas jej wykonywania poznała nawet swojego przyszłego męża czy żonę.

I oto widzimy topologiczną istotę koncepcji Michaela Bearda; działanie grupy (wyjątkowej grupy Liego E_8 , jednej z najbardziej złożonych struktur w świecie idei Platona), która rozwikłuje skomplikowane oddziaływania światła z materią, przedstawiając je w postaci serii logicznych operacji. To współgranie owych operacji powoduje magiczny efekt, niczym ruch czarodziejskiej różdżki, i przywodzi na myśl Einsteinowski opis teorii atomowej Bohra, jako najwyższej formy muzycznej w sferze myśli. Słowami filozofa Francisa Bacona:

Najsłodsza i najlepsza jest Harmonia, gdy każdą Partię czy Instrument słyhać nie z osobna, ale razem, w połączeniu.

Profesorze Michaelu Beardzie, otrzymuje Pan tegoroczną Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki za doniosły wkład w poznanie oddziaływania pomiędzy materią a promieniowaniem elektromagnetycznym. Mam zaszczyt złożyć Panu najserdeczniejsze gratulacje w imieniu Królewskiej Szwedzkiej Akademii Nauk. Proszę, aby Pan wystąpił i odebrał nagrodę z rąk Jego Królewskiej Mości.

PODZIĘKOWANIA

Jestem wdzięczny Davidowi Bucklandowi i Cape Farewell za to, że w lutym 2005 roku zaprosili mnie na Spitsbergen - ta powieść wzięła swój początek w zamrzniętym fiordzie. Doktor Graeme Mitchison z Centre for Quantum Computation w Cambridge wspomniał mi swoję wiedzę z dziedziny matematyki i fizyki. Odpowiedzialność za wszystkie błędy, jakie pozostały, ponoszę ja. To on uprzejmie wygrzebał dla mnie mowę z okazji przyznania Michaelowi Beardowi Nagrody Nobla. Winien też jestem podziękowania profesorowi Johnowi Schellnhuberowi, dyrektorowi Potsdam Institute for Climate Impact Research, i Stefanowi Rahmstorfowi z tego samego ośrodka, doktorowi Dougowi Arentowi, Jamesowi Boschowi i profesorowi Johnowi A. Turnerowi z National Renewable Energy Laboratory w Golden w stanie Kolorado, Malcolmowi McCullochowi z Department of Engineering Science z Oksfordu, profesorowi Mike'owi Duffowi z Imperial College, Philipowi Diamondowi z Institute of Physics, Timowi Gartonowi Ashowi i jak zwykle Annalenie McAfee. Dziękuję Danowi Boekmanowi za udostępnienie mi domu w Nowym Meksyku, a Gregowi Carrowi - za udostępnienie domu w Sun Valley w Idaho. Bardzo wiele zawdzięczam licznym książkom i pracom poświęconym badaniu zmian klimatycznych i związanych z nimi zagadnień, a także dyskusjom między Stevenem Pinkerem a Elizabeth Spelke na Edge.com. Przede wszystkim muszę podziękować Walterowi Isaacsonowi za książkę *Einstein*, znakomitą biografię tego uczonego.